

ASHLEY AUDRAIN SZEPTY

To był tylko
nieszczęśliwy wypadek



Prószyński i S-ka

ASHLEY
AUDRAIN

SZEPTY

PRZEŁOŻYŁ
ŁUKASZ PRASKI

Prószyński i S-ka

TYTUŁ ORYGINAŁU
THE WHISPERS

COPYRIGHT © 2023 Ashley Audrain Creative Inc.

PROJEKT OKŁADKI
Mariusz Banachowicz

ZDJĘCIE NA OKŁADCE
arch. Mariusz Banachowicz

REDAKTOR INICJUJĄCA
Magdalena Gołdanowska

REDAKTOR PROWADZĄCA
Jadwiga Mik

REDAKCJA
Aneta Kanabrodzka

KOREKTA
Beata Buko
Jolanta Rososińska

ISBN 978-83-8352-649-2

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku
[JamaNiamy](#)

*Dla wszystkich mam,
które trzymają się resztkami sił.
I dla tych,
które rozpaczliwie próbują stać się jedną z nich*

Coraz częściej odnosiłam wrażenie,
że życie kobiety i życie feministki
z perspektywy małżeństwa i macierzyństwa
to dwie zupełnie różne sprawy,
których prawdopodobnie nie da się
ze sobą pogodzić.

RACHEL CUSK W WYWIADZIE DLA
„THE GLOBE AND MAIL”, TORONTO 2012

Spis treści

WRZESIEŃ

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58
ROZDZIAŁ 59
ROZDZIAŁ 60
ROZDZIAŁ 61
ROZDZIAŁ 62
ROZDZIAŁ 63

ŚRODA, NOC UPADKU

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Unosi do nosa dwa palce i czuje zapach matki dziecka; jego oczy otwierają się szeroko w ciemnej kuchni. Zegar na kuchence pokazuje trzy minuty po północy. Klatka piersiowa. Wszędzie czuje ucisk. Czyżby miał atak serca? Właśnie tak się go czuje? Musi się ruszyć. Chodzi tam i z powrotem po deskach z białego dębu i dotyka różnych rzeczy: dźwigni tostera, uchwytu drzwi lodówki ze stali nierdzewnej, mięknących, aromatycznych bananów w misce na owoce. Wypatruje znajomych elementów, by znaleźć oparcie. By wrócić.

Prysznic. Powinien wziąć prysznic. Wdrapuje się po schodach jak roczny dzieciak.

Nie chce nawet spojrzeć na swoje odbicie w łazienkowym lustrze.

Skóra go piecze. Szoruje ją.

Chyba słyszy syreny. To są syreny?

Szarpie za kurek prysznic i nasłuchuje. Cisza.

Łóżko. Powinien być już w łóżku. Już by tam leżał, gdyby nic się nie stało. Gdyby to była najnormalniejsza czerwcową noc ze środy na czwartek. Wyciera się i wieszka ręcznik na haczyku na drzwiach, tam gdzie zawsze. Poprawia opadający materiał, starając się ułożyć idealną fałdę z białego frotté, jakby dekorował witrynę w domu towarowym. Ze strachu, choć nie wie, co jest tego powodem, drżą mu ręce.

Telefon. Przemyka przez ciemny dom, szukając miejsca, gdzie go położył – na ławie w korytarzu, na kuchennym blacie, na stoliku u stóp schodów. Jest w kieszeni płaszcz leżącego na podłodze przy tylnych drzwiach, rzucił go tam po wejściu do domu. Bierze aparat na górę i na miękkich nogach staje przed drzwiami sypialni.

Nie może tam wejść.

Prześpi się w pokoju gościnnym. Powoli kładzie się na podwójnym łóżku, zwracając uwagę, jak starannie wygładzona jest pościel, telefon kładzie obok siebie. Ogarnia go nieodparta chęć, by do niej zadzwonić.

Co by jej powiedział? Że za nią tęskni? Że jej pragnie?

Za późno.

Mimo to wpatruje się w telefon i w wyobraźni słyszy miarowy sygnał w słuchawce. Czeką, aż zabrzmie jej głos. A potem zamyka oczy i znowu widzi dziecko.

Trochę później czuje drgnienie materaca. Ktoś położył się obok niego. Czeką na dotyk. Ale nie, to tylko wibracja. Potem znowu. I jeszcze raz. Pokój przesywa seria pomarańczowych rozbłysków. Przesuwa kciukiem po odbiciu własnej zmęczonej twarzy na ekranie, by odebrać.

Zbolały ton jej głosu. Już go wcześniej słyszał.

– Stało się coś strasznego – mówi.

WRZESIEN

OGRÓD ZA DOMEM LOVERLYCH

Jest coś zwierzęcego w tym, jak w ogrodzie przy najokazalszym domu w okolicy dorośli w średnim wieku, udając życzliwość, mierzą się nawzajem taksującym wzrokiem. Najbardziej atrakcyjni przyciągają najwięcej osób. Przyszli na to rodzinne popołudnie u sąsiadów ze względu na dzieci, które toczą właśnie podobną grę, mimo to mężczyźni włożyli eleganckie buty, kobiety wybrały ozdoby, jakie rzadko widuje się na placu zabaw, i wszyscy prowadzą rozmowy wytwornym, dystygowanym tonem.

To przyjęcie z cateringiem. Ustawiono duże stalowe pojemniki z rzemieślniczym piwem w lodzie, na długich drewnianych półmiskach podano małe hamburgery na jeden kęs i papierowe różki pełne długich, cienkich frytek. Na małych gości czeka mnóstwo ciastek z lukrem podpisanych imionami dzieci i zapakowanych w celofanowe torebki przewiązane szeroką satynową wstążką.

Wzdłuż ogrodzenia z tyłu rośnie rząd sporych drzew, choć tak naprawdę zostały świeżo zasadzone za pomocą dźwigu. Dzięki temu nie widać teraz ani skrawka nieprzyjemnego zaułka za posesją, lokatorów mieszkań readaptacyjnych urządzonych w budynkach cztery ulice dalej ani kanałów ściekowych, które przepełniają się podczas deszczu. Trawa ma zachwycający odcień zieleni. Zainstalowano system nawadniania. Na tarasie ze szlifowanego betonu przy kuchni stoją donice ze starannie przystrzyżonym bukszpanem. W ogrodzie znajduje się szopa, która właściwie wcale nie jest szopą – są w niej drzwi obrotowe i porządne stałe oświetlenie.

W tym ogrodzie, w tym dwupiętrowym domu zbudowanym na podwójnej działce, niespotykanej w tej dzielnicy, wychowuje się troje dzieci. Trzyletnie bliźniaki – chłopiec i dziewczynka – ubrane w identyczne stroje z bawełnianej kory, pozwoliły, by ich matka, pani tego królewskiego domu,

porządnie uczesała i przyglądała im włosy. Starszy chłopiec, dziesięciolatek, upiera się, że wystąpi w swoim zeszłorocznym stroju na wuef, z plamą na koszulce. Goście zastanawiają się pewnie, czy z czekolady, czy z krwi. Mąż Whitney przekonał ją jednak, aby na kwadrans przed rozpoczęciem przyjęcia wykazała się rozsądkiem i nie urządziła awantur z powodu drobiazgów.

O trzeciej po południu musi powstrzymać chęć zerwania z syna T-shirta i wciśnięcia chłopca w jasnoniebieskie polo kupione specjalnie na tę okazję. Musi opanować stres gospodyni i upajać się radosnym faktem, że wszyscy doskonale się bawią. Zrobiła na nich odpowiednie wrażenie. Widzi to w ich spojrzeniach, dyskretnych gestach, kiedy znajomi pokazują sobie nawzajem szczegóły, na które chciała zwrócić ich uwagę. Myśli o zdjęciach, które dzisiaj wieczorem zostaną wrzucone do mediów społecznościowych. Otacza ją głośny gwar, gęsto przetykany wybuchami śmiechu, i ta wesoła atmosfera sprawia jej satysfakcję.

Właśnie z powodu tego hałasu Mara, która mieszka obok, nie wybiera się na imprezę. Miesiąc wcześniej, jak wszyscy inni, znalazła w skrzynce na listy wydrukowane na grubym kartoniku zaproszenie i od razu wyrzuciła je do śmieci. Wie, że sąsiedzi tak naprawdę wcale nie chcą gościć u siebie takich ludzi jak ona i Albert. Uważają, że Mara nie ma już nic do zaproponowania. Nabywana przez kilkadziesiąt lat mądrość nie ma najmniejszego znaczenia dla tych kobiet, którym się wydaje, że pozjadały wszystkie rozumy. Ale to nic. Nie potrzebuje więcej niż to, co widzi i słyszy przez sztachety ogrodzenia, kiedy porządkuje własny ogród, skubie nowo wyrosłe chwasty, dopóki nie rozbolą jej plecy, a potem przenosi się na nadpleśniały ogrodowy fotel. Zauważa coś między pędami hortensji, obsypanymi kwiatami o twardych, gęstych płatkach. Potrząsa krzewem. Na ziemię spada papierowy samolocik. Jeszcze jeden, którego wcześniej nie dostrzegła. W czwartek rano znalazła ich kilka. Kiedy się pochyła, by go podnieść, słyszy wznoszący się ponad gwar głos Whitney, która wita mieszkającą naprzeciwko parę.

Rebecca i Ben zaraz po przyjściu starają się znaleźć gospodynię. Mają dla niej dwadzieścia minut i storczyk w doniczce. Rebecca powinna niedługo

jechać do pracy. Ben musiał ją udobruchać, inaczej zostałyby w domu. Milczy, podczas gdy jego żona i Whitney wymieniają uprzejmości. Whitney prawi jej komplementy, wypytuje ją, dotyka jej dłoni, potem ramienia, a Rebecca przyznaje jej w czymś rację. Jest oczarowana jak nigdy. Ma nadzieję, że nikt im nie będzie przerywał.

Ben ma jeszcze mokre włosy po prysznicu i pachnie jak poranek. Czuje na sobie wzrok Whitney rozmawiającej z jego żoną. Trzyma dłoń w tylnej kieszeni białych dżinsów Rebekki. Przyciąga ją bliżej. Ona wyczuwa, że mąż raczej nie przysłuchuje się jej rozmowie, i ma rację. Przygląda się iluzjoniście, który owija kolorową chustą jedno z rozchichotanych bliźniąt gospodyni, dziewczynkę. Oczy dziecka napotykają życzliwy wzrok Bena. On nie przepada za towarzystwem dorosłych, za to przyciąga dzieci. Jest ulubionym nauczycielem. Wesołym wujkiem. Trenerem baseballu.

Z przeciwległego końca ogrodu Blair przygląda się, jak Ben i Rebecca w subtelny sposób dotykają się, słuchając oracji Whitney, jak gdyby wciąż nie potrzebowali do szczęścia niczego więcej niż siebie nawzajem. Nie mają dzieci z wyboru, dlatego nie zmienili się tak bardzo jak reszta. Rozmawiają ze sobą, używając pełnych zdań, właściwych form gramatycznych. Prawdopodobnie ciągle pieprzą się raz dziennie i robią to z przyjemnością. Zasypiają w tym samym łóżku, wtuleni rękami i nogami w naturalne zagłębienia ciała partnera. Nie rozdziela ich poduszka wyznaczająca granicę między jej a jego połową łóżka, mająca pomóc stworzyć złudzenie, że tego drugiego nie ma.

Blair widzi, jak jej najlepsza przyjaciółka, Whitney, zostawia Rebeccę i rusza na dyskretne poszukiwanie następnej okazji do rozmowy. W rogu ogrodu dudni głos Aideny, hałaśliwego faceta, który śpi po drugiej stronie poduszkowej bariery w łóżku Blair. Ma słuchaczy – zawsze otacza go wianuszek słuchaczy. Buduje napięcie przed puentą, którą ona już słyszała, zwrócił na siebie uwagę przechodzącej obok Whitney, a Blair z przykrością zdaje sobie sprawę, że stoi zupełnie sama. Szuka Jacoba, męża Whitney, i zauważa go w towarzystwie pary, której nie poznała. Między nogi matki wciska się mała dziewczynka z włosami zaplecionymi w cienkie warkoczyki. Jacob wskazuje na dom, kreśląc palcem w powietrzu kształt dachu i wyjaśniając jakiś szczegół projektu. Jak zwykle ma na sobie czarny

T-shirt i czarne spodnie z mankietami oraz białe markowe adidas, które nosi bez skarpetek, a jego włosy, brwi oraz skandynawskie oprawki okularów wyglądają chłodno i poważnie, chociaż jest bardzo łagodnym człowiekiem. Unosi rękę, by skinąć jej dłonią, hej. Przyłapuje ją, gdy się na niego gapi, i Blair czerwienieje. Łatwo się na niego zagapić. Jacob znowu szuka wzrokiem żony.

Whitney rozmawia właśnie z grupą matek kolegów z klasy Xaviera, jej najstarszego syna. Mają czat grupowy, na którym ona rzadko zabiera głos, bo nie zna odpowiedzi na zadawane tam pytania – ani o projekt w pierwszym semestrze, ani o szkolne lunche, ani o termin zamawiania klasowych zdjęć. Mimo to lubi być na czacie grupowym. Czasem wrzuca jakiś emotikon, gdy przychodzi do biura wczesnym rankiem i przy trzeciej kawie może przez chwilę porozmyślać w ciszy i spokoju. Uniesiony kciuk. Czerwone serduszko. Dzięki za wiadomości! Nie włącza się do konwersacji, by komuś pomóc, raczej trochę z nich kpi. Whitney czuje teraz na sobie spojrzenia tych kobiet, gdy idzie przywitać ich mężów, a oni na jej widok przerywają rozmowę i przestają się garbić.

Blair zwraca na siebie uwagę Rebekki i teraz one wymieniają uprzejmości. Blair przychodzi do głowy tylko pogoda, zawsze ta przekłeta pogoda, jak szybko wieczorami robi się teraz chłodno, potem mówią o wyczerpujących godzinach spędzanych przez Rebeccę w szpitalu, gdzie musi być za czterdzieści pięć minut. Ale ona je uwielbia. Blair łączy z Rebeccą tylko to, że mieszkają blisko siebie, nic więcej. Rebecca obiecuje Blair, że zostanie jej encyklopedią medyczną dostępną na żądanie i będzie odpowiadać na każdy SMS w sprawie wysypki u córki, jej suchego kaszlu, swędzącego ucha i szarawego odcienia kupki – wszystkich tych rzeczy, które całymi dniami zaprzatają uwagę Blair. Ciekawe, jakie to uczucie mieć w tych sprawach taką pewność. I przychodzić na sąsiedzkiego grilla w białych dzinsach.

Rebecca co kilka sekund zatrzymuje wzrok na siedmioletniej córce Blair. Nie może się powstrzymać, by na nią nie spoglądać. Zastanawia się, jak by to było przyjść tu z własnym dzieckiem. Puszczą wodze fantazji i ta wersja

przyszłości staje się coraz dłuższa i dłuższa, jak chusta wyciągana z cylindra magika. Dziewczynka rysuje kredą na betonowej posadzce tarasu razem z bliźniakami, które czekają na swoją kolej, by pogłaskać królika. Obie kobiety przyglądają się córce Blair, udając wielkie rozbawienie harcami dzieci.

Dołącza do nich Whitney z nowym drinkiem, a wtedy Blair z Rebeccą od razu się ożywiają. Gospodyni opiera dłoń o ramię Blair i udaje, że wcale nie denerwuje jej pył z kolorowej kredy na rękach bliźniaków. Cedzi, że uroczo razem wyglądają, a Chloe świetnie sobie radzi z maluszkami. Robi niedostrzegalny krok do tyłu, by uniknąć kredowych odcisków dłoni na sukience.

Rebecca próbuje sobie wyobrazić, że interesuje się takimi rzeczami, lubi wydawać przyjęcia, popisywać się przed sąsiadami. Ma jeszcze trzy minuty i jej mózg jak zawsze będzie odliczał każdą ze stu osiemdziesięciu sekund. Ona też komentuje łagodne usposobienie Chloe, podczas gdy upływają ostatnie sekundy.

– Rozkoszna – takiego słowa używa Rebecca. Blair uśmiecha się, jakby nieprzekonana co do doskonałości swojego dziecka, ale komentarz tego rodzaju zawsze podnosi matkę na duchu. Nawet zdawkowy.

Słyszając słowo „rozkoszna”, Whitney zastanawia się, gdzie się podziewa jej nierozkoszne dziecko. Szuka syna wzrokiem w ogrodzie. Blair twierdziła, że ostatni raz widziała go pół godziny wcześniej, kiedy stał przy ogrodzeniu od strony domu Mary z twarzą między sztachetami. Nigdy nie ma go tam, gdzie powinien być. Ostrzegala go, że ma się wzorowo zachowywać, zajmować się młodszymi dziećmi i być życzliwy. Choć ten jeden jedyny raz. Dla niej. Powinien tu być. Magik już kończy występ.

– Może po prostu potrzebuje chwili spokoju – Blair wypowiada te słowa wolno i cicho, zastanawiając się, czy w ogóle powinna.

Nie. Whitney go znajdzie.

Czy on nie potrafi zrobić tego, o co się go prosi? Nie może być choć odrobinę podobny do córki Blair? Myśli o jego przypominającej grymas gniewu, wiecznie nadąsanej minie, przez którą ludzie pytali, czemu jest taki

naburmuszony, a on po prostu tak wygląda. Pociągła twarz. Ponura. Za długie włosy, których nie pozwala sobie przystrzyc. Whitney szybkim krokiem przemierza dom, wołając go. Spizarnia. Salon. Pokój zabaw w suterenie. Nie powinna tego robić w środku przyjęcia w ogrodzie dla pięćdziesięciu kilku osób. Postanowił się schować? Znowu buchnął iPada? Xavier! Czy on zawsze musi jej tak grać na nerwach? Biegnie na drugie piętro, otwiera drzwi do jego pokoju i widzi go, jest, siedzi na swoim łóżku, otoczony ukradzionymi torebkami z upominkami dla dzieci, które już zdążył opróżnić. Co do jednej. Na jego twarzy i na pościeli rozmazała się czekolada. Zlizuje lukier z opakowania ciastka z nalepką, na której widnieje imię jakiegoś dziecka.

– XAVIER! CO TY WYRABIASZ, DO CHOLERY?! – Rzuca się, by wyrwać mu z ręki lepki celofan, a on krzyczy i odskakuje od niej. – CO SIĘ Z TOBĄ DZIEJE?

Twarz Xaviera się wykrzywia, dolna warga wywija się jak u o połowę młodszego dziecka. Whitney nie pozwoli na irytujące lamenty, które zaraz zaczną przybierać na sile, zawsze ma wtedy ochotę dać mu klapsa.

– NIE! – krzyczy i łapie go za ramię, a chłopak żałośnie jęczy i wiotczeje. Nie znosi go w tym stanie. – WSTAWAJ, CHOLERNY GÓWNIARZU!

Nagle go puszcza. Bo uświadamia sobie, że wesoły gwar na dole przycichł.

Goście w ogrodzie umilkli. Whitney ma w uszach tylko łomot swojego rozszalałego serca. I pogłos wściekłego, dzikiego wrzasku, który przed chwilą wyrwał się z jej ust. Znajome echo własnej furii. Przejmuje ją strach przed tym, co może się wydarzyć. Właśnie wtedy to zauważa. Otwarte na oścież okno. Wszyscy słyszeli.

Wstyd przygina ją do podłogi. Wciska w gniazdo uwite z satynowych wstążek, którymi były przewiązane torebki z ciastkami. Są poprzycinane jak koniuszek języka węża.

Już wie, co straciła.

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ 1

BLAIR

CZWARTEK RANO

Jest wpół do szóstej rano w czerwcowy czwartek. Blair Parks popija kawę i myśli o swoim mężu, który rozkłada uda innej kobiety, szeroko jak skrzydła motyla.

Wyobraża sobie, jak ją węża. A potem próbuje jej smaku, delikatnie muskając ją językiem i zataczając nim koła.

Blair przysłania usta dłonią. Odstawia kubek.

Nie może spać. Pozwala sobie na obsceniczne myśli tego rodzaju. W takim początku dnia nie ma nic przyjemnego, ale to jej pomaga okiełznać obsesyjne obawy i ruszyć z miejsca. W przeciwnym razie zdręczałaby się, wcale tego nie chcąc. Patrzy na sklepową półkę z odplamiaczami, których reklamy pozbawiają walorów seksualnych niepracujące zawodowo matki w średnim wieku, takie jak ona, i wyobraża sobie młodszą kobietę z ustami wypełnionymi nasieniem jej męża.

Nalewa sobie drugi kubek kawy, który nie będzie smakował tak jak ten pierwszy, i myśli, że jest głodna czegoś więcej. Nie umie jednak tego nazwać. Nie chodzi tylko o nudę. Ani o rzewną tęsknotę za czymś nieokreślonym. Nie o jej stateczne dziesięcioletnie małżeństwo ani tykający zegar, odmierzający stopniową utratę znaczenia. Czy to normalne? Inne kobiety w jej wieku też się tak czują?

Na myśl, że mogłaby komukolwiek o tym powiedzieć, czuje, jak napina się jej przepona. Bardziej niż zwykle. Lepiej trzymać fason i ze spokojem przyjmować to, co przyniesie najbliższa godzina. A potem następna, by nikt nie podejrzewał, że jest aż tak nieszczęśliwa. Wie, że dla wszystkich będzie najkorzystniej, jeśli górę weźmie w niej obojętność. Jeśli będzie dalej to

ciągnąć, nie mając siły, by zastanowić się, czego tak naprawdę chce. Albo co naprawdę czuje, gdy rano dzwoni budzik.

Zdaje sobie sprawę, że powinna popracować nad wrażliwością, kobiety mają to dzisiaj ćwiczyć jak mięśnie. Tak wynika z książek, podcastów i występów mówców motywacyjnych. Blair stara się podziwiać tych, którzy przyznają, że żałują niektórych dokonanych w życiu wyborów, i głośno deklarują chęć zmiany. Tego rodzaju wstrząsy nie są jednak dla niej. Nie widzi dla siebie żadnego innego życia. I nie umie się odciąć od wstydu, że tak sromotnie się pomyliła.

Po następnym kubku kawy na górze skrzypią drzwi sypialni córki. Słysząc jej kroki na drewnianych deskach korytarza. W ich jedynej łazience szumi spuszczana woda, w całym domu jęczą rury. Blair ociera dłonią zmęczoną twarz.

W pewnym momencie uznała, że winę za jej stosunek do życia wygodniej będzie zrzucić na Aiden. Stał się niezawodnym, zawsze czynnym składowiskiem jej gniewu. Zrzuca na niego tony złości, a on najwyraźniej ma nieograniczoną pojemność. Jej zdaniem nie ma to prawie żadnych negatywnych konsekwencji – są małżeństwem, separacja nie wchodzi w grę. Rozmontowanie, zmiana charakteru wszystkiego. Inna perspektywa. Wpływ na ich córkę stojącą teraz na górze. Nie do pojęcia.

Z kranu w łazience płynie woda. Blair słyszy, jak Chloe otwiera lustrzane drzwiczki szafki, gdzie w jednym kubku stoją ich trzy szczoteczki do zębów. Wkłada do tosterka bajgla na śniadanie dla córki. Wyjęła już z lodówki serek śmietankowy, żeby był w temperaturze pokojowej, tak jak lubi Chloe.

Przypisywała swoje nieszczęście niedoskonałemu małżeństwu i to pomagało jej sobie z tym radzić, dopóki półtora tygodnia temu nie znalazła w kieszeni dżinsów Aiden skrawka błyszczącego opakowania. Był małeńki, parę centymetrów kwadratowych. Dla każdej innej osoby, która podniosłaby go z podłogi pralni po wywróceniu spodni na lewą stronę przed praniem, byłby to po prostu śmieć. Ale Blair rozpoznała karbowanie na krawędzi celofanu. I szmaragdowy odcień zieleni. Wyglądał jak kawałek opakowania po prezerwatywach, których używali przed laty. Odkąd znalazła ten skrawek, co dzień rano otwiera szufladę, gdzie go trzyma, kładzie go sobie na dłoni i myśli.

Może pochodzić z mnóstwa innych rzeczy. Z batonika. Miętówki, którą podano po lunchu.

Ma jednak coś więcej niż dowody – ma przeczucie.

Słyszała kiedyś, jak ktoś nazwał to szeptami – to one czasem próbują cię ostrzec, że coś jest nie tak. Kłopot w tym, że niektóre kobiety nie słuchają, co życie próbuje im powiedzieć. Słyszą te szepty dopiero poniewczasie. I czują się zaskoczone. Rozpaczliwie pragną poznać nagą prawdę.

Chociaż może to tylko paranoiczna podejrzliwość. Blair ma za dużo czasu na myślenie.

Słyszy kroki Chloe na schodach i starannie smaruje bajgiel serkiem. Wraca do niej wizja rozwartych ud. Palce Aideny rozchylają napięte, wydepilowane wargi sromowe tej kobiety. Potem jest dla niej szalenie miły. Może ona potrafi go rozbawić. Blair czuje, jak jeżą jej się włoski na przedramionach. Znowu myśli o tym, że tamtej jedynej nocy w zeszłym miesiącu, gdy uprawiali seks, Aiden nie miał wytrysku. I że częściej niż zwykle sprawdza telefon.

Chloe jest już prawie na parterze. Blair zamyka w wyobraźni tamte uda, kiedy składa razem połówki bajgla. A potem odwraca się i zmusza do uśmiechu, by pierwszą rzeczą, którą jej córka widzi każdego ranka, była rozpromieniona twarz matki.

ROZDZIAŁ 2

REBECCA

KILKA GODZIN WCZEŚNIEJ

Rezydent przekazuje jej szczegóły, gdy w pośpiechu mijają podwójne drzwi sali resuscytacyjnej, skrzypiąc miękkimi podeszwami butów na posadzce z żywicy epoksydowej. Czuje wilgotne powietrze z zewnątrz, zanim jeszcze zobaczy ratowników przekazujących jej zespołowi nosze na kółkach. Dziesięcioletni chłopiec, znaleziony nieprzytomny o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt, podejrzenie uszkodzenia mózgu spowodowanego upadkiem, brak widocznych oznak urazu. Pielęgniarka się wycofuje, a Rebecca wkłada niebieskie rękawiczki i nachyla się, by unieść powieki pacjenta.

Odsuwa się. Twarz dziecka. Spogląda na pielęgniarkę po drugiej stronie.

– Znam go. Ma na imię Xavier. Mieszka naprzeciwko mnie.

– Chce pani...

– Nie. – Porusza nogami, by odzyskać czucie. Za chwilę uniesie się kurtyna. – Nic mi nie jest. Wszystko gra. Jakie parametry? No, do roboty.

Jej dłonie poruszają się pewnie po małym ciele i w ciągu kilku sekund wpada w rytm ćwiczonej od lat choreografii. Intubacja. Wkłucie. Tomograf na cito. Nigdy nie trzyma dziecka za długo na stole do badań, każda minuta jest istotna i metodycznie wykorzystana, z każdej sekundy wyciska, ile się da, a mimo to, kiedy wszystko, co można zrobić, jest już zrobione, myśli o tych minutach jak o masie czasu, która doprowadzi do pozytywnego lub negatywnego rezultatu.

– Rodzice tu są? Gdzie czekają? – Zdejmuje rękawiczki i wrzuca je do kosza na śmieci. Spogląda na szarą twarz Xaviera, rozchylone usta zakneblowane rurką intubacyjną, którą wprowadziła do tchawicy. Odgarnia mu z oczu kosmyk wilgotnych włosów. Ziemia, na której wylądował, na pewno jest jeszcze mokra po wczorajszym deszczu. Dotyka jego policzka.

Na winylowych szpitalnych krzesłach czekały na nią już setki rodziców. Czasem martwi ją łatwość, z jaką formułuje te komunikaty. Nigdy wcześniej nie знаła jednak pacjenta. Nie widziała, jak w górze mydlin myje samochody sąsiadów, nie wiedziała też, że ma kobaltowy rower z jaskrawozielonymi uchwytami kierownicy. Nigdy nie mówiła żadnemu znajomemu, że jego dziecko może nie wyzdrowieć.

Kiedy wychodzi z centrum urazowego, poziom adrenaliny trochę spada. Widzi odbicie świetlówek w podłodze korytarza i powoli odzyskuje zmysły: wzywany jest pulmonolog, w poczekalni kwili jakieś dziecko, w powietrzu unosi się woń środka antyseptycznego. Wyjmuje z kieszeni telefon. Chce zadzwonić do Bena, usłyszeć spokój w jego głosie, ale o tej porze on już na pewno śpi. A na nią czeka Whitney.

Rebecca puka do otwartych drzwi pokoju, gdzie została ulokowana jej sąsiadka. Siedzi przy okrągłym stole i patrzy na pudełko szorstkich chusteczek, które dostała. Nie unosi wzroku.

– Whitney, tak mi przykro.

Wolno porusza głową, jak robot, któremu wyczerpuje się bateria. Nie odpowiada. Rebecca siada obok i jej dotyka. Zwykle kładzie dłoń na rękę albo ramieniu rodzica, aby słowa, które zamierza powiedzieć, zabrzmiały mniej rutynowo, bardziej osobiście. Już wiele lat temu włączyła to do emocjonalnych wytycznych, kiedy opracowywała procedurę w razie takich sytuacji. Empatia nie zawsze przychodziła jej tak łatwo jak teraz. Gdy była młodsza, lepiej radziła sobie z innymi zadaniami, konkretnymi i wymiernymi wyznacznikami jej kwalifikacji. Z wszystkim tym, czego można dowieść.

Whitney zamyka oczy i otwiera usta, ale głos wydobywa z siebie z wyraźnym trudem. Początki słów brzmią, jakby zapomniała, jak się je tworzy.

– Możesz mi powiedzieć, co się stało? – pyta Rebecca.

A potem czeka, aż sąsiadka powtórzy jej to, co mówiła ratownikom: z ich relacji wynikało, że przed pójściem spać zajrzała do syna, ale on nie leżał w łóżku, a okno w sypialni było otwarte. Wyrzała przez nie i zobaczyła go w trawie na dole. I nie ma pojęcia, co się stało. No, Whitney, powiedz mi dokładnie to samo.

Myśli o ogrodzie, o prostokacie wypielęgnowanej trawy, z którego zapewne podnieśli go ratownicy. Ostatni raz Rebecca była tam we wrześniu

na przyjęciu dla sąsiadów.

Nie chce wspominać tamtego wybuchu złości Whitney. Ani dobiegającego z pokoju płaczu chłopaka, kiedy na niego krzyczała.

– Chcę z tobą porozmawiać o stanie Xaviera.

Whitney jedną ręką zasłania twarz.

– Powiedz mi tylko, czy on umrze. – Jej głos rozlega się w ledwie słyszalnych rejestrach.

Rebecca sięga po drugą dłoń Whitney. Jej palce są zimne, zwinięte w pięść. Rebecca mocno zaciska rękę, dopóki sąsiadka nie da za wygraną. Niewiele rzeczy potrafi Rebecce przstraszyć, ale coś w Whitney wzbudziło w niej lęk, kiedy się poznały. Jej energia, błyskotliwość, celność sformułowań.

Z biegiem czasu, gdy weszły w swoje orbity, to wrażenie osłabło. Jeśli ktoś ze wszystkich współrzędnych na planecie wybiera miejsce tuż obok, to rodzi się silne poczucie zażyłości. Oddychają z Whitney w tej samej małej bańce powietrza. W środy Rebecca widzi jej kubły na śmieci i wie, że nie segregują wszystkiego, co da się segregować. Wie, że Whitney jest uzależniona od zakupów, widzi chwiejące się piramidy paczek przed ich drzwiami, z nadrukami z ładnych domów towarowych; kurier zostawia przesyłki, które odbiera opiekunka do dzieci. Wie, że jedno z nich – Whitney albo Jacob – nie sypia za dobrze. Wracając do domu w środku nocy, jest świadkiem, jak w ich kuchni zapalają się światła. W przezroczystych niebieskich workach na szkło widzi butelki po winie.

Wrzask Whitney słyszała nie tylko w czasie przyjęcia w ogrodzie. Zza tych imponujących szklanych tafli od frontu domu nieraz dobiegał charakterystyczny ton głosu matki, która ma serdecznie dość. Za każdym razem czuła się nieswojo, tak jak na tamtym przyjęciu, zakłopotana, że ją słyszy. Nie jest pewna, co jeszcze dzieje się w tym domu, ale czuje się niezręcznie, snując tego rodzaju przypuszczenia. Jest lekarką i jej zainteresowanie wzbudzają fakty. Fakty dają jej poczucie równowagi.

– Xavier doznał poważnego urazu, martwimy się o jego głowę. Leży na OIOM-ie, w śpiączce farmakologicznej, żeby jego mózg mógł odpocząć. Niedługo ktoś z tobą porozmawia o tym, czego można się spodziewać. W takich sytuacjach wiele dowiadujemy się w ciągu pierwszych siedemdziesięciu dwóch godzin. Wiem, że to trudne, ale musisz się liczyć z możliwością, że może nie odzyskać przytomności.

Whitney pozostaje niewzruszona.

Rebecca milknie na chwilę i pyta łagodniejszym tonem:

– Rozumiesz?

Czuje, jak dłoń sąsiadki zaczyna drżeć, uważnie przygląda się jej pięknej twarzy. Patrzy na pełne blasku, gładkie czoło. Na optycznie zagęszczone brwi. Zewnętrzną doskonałość.

– Jacob jest z bliźniakami?

Whitney zamyka oczy i kręci głową.

– W Londynie. Służbowo. Od razu przyjechała nasza opiekunka, ale musiałam poczekać. – Jej głos przechodzi w wyższy rejestr. – Nie mogłam pojechać z nim karetką.

Rebecca mówi jej, że zaraz ją do niego zaprowadzi, że jest zaintubowany i spuchnięty. Jego widok może ją przestraszyć, ale nic go nie boli. O wszystkim opowie jej inny lekarz. Otwierają się drzwi za ich plecami i Rebecca widzi pielęgniarkę w towarzystwie dwóch policjantów.

Będą chcieli porozmawiać z Whitney; rutynowa procedura. Rebecca uważa to za mało przyjemne przeżycie, chociaż pytania, które chcą zadać, formalnie jej nie dotyczą. Patrzy w ich stronę i kręci głową – proszę, nie teraz – i pielęgniarka prowadzi funkcjonariuszy w głąb korytarza.

– Z niektórych badań wynika, że pacjenci w tym stanie wiedzą, kiedy są przy nich członkowie rodziny. Możesz go wziąć za rękę i mówić do niego, jak gdyby był przytomny. Słyszysz?

Whitney wstaje i ściska w dłoniach brzeg swojej bluzy. Pozwala, by Rebecca podtrzymała ją silnym ramieniem, gdy idą razem korytarzem. W pewnym momencie Whitney sztywnieje. Odwraca się w stronę Rebekki i po raz pierwszy spogląda jej w oczy.

– To dlatego nie masz dzieci?

Rebecca waha się przez chwilę. Nie wie, co powiedzieć. Z powodu swojej pracy? Szpitala? Ciągłego strachu, że coś pójdzie nie tak, nieznośnego bólu, kiedy rzeczywiście dojdzie do nieszczęścia?

Myśli o godzinach spędzonych na podłodze łazienki. O krwawych kuleczkach opadających na dno sedesu, o wirujących nitkach śluzu. O ciężkim ręczniku na kolanach w drodze do szpitala.

Dlaczego nie ma dzieci? Bo nie potrafiła utrzymać ich przy życiu.

ROZDZIAŁ 3

BLAIR

Dzień dobry, kochanie. Jak się spało?

Chloe otacza ramionami i ściska szeroką talię Blair. Co dzień rano puszcza w niepamięć wszystkie urazy i żale. Z miski z owocami matka bierze banana i kładzie jej na talerzu obok jednej z muffinek, które upiekła wczoraj po południu, kiedy padał deszcz. Bo była środa, a właśnie to Blair robi w środy. Muffinki, pościel, czyszczenie bębna pralki octem i sodą oczyszczoną. Czasem się wstydzi, że w ogóle się nie rozwinęła.

Córka zlizuje nadmiar serka z boku bajgla, pomrukując z zadowoleniem.

Ciekawe, czy Aiden kiedykolwiek zauważy listę rzeczy, które są do zrobienia. Albo plan zajęć wpisany w kwadraty kalendarza w kuchni. Ciekawe, czy w ogóle wie, że bęben jedenastoletniej pralki wymaga czyszczenia. Może dzisiaj wieczorem położy po jego stronie łóżka brudne szmaty, żeby przynajmniej wiedział, jaki zapach wydziela jedenastoletnia pralka.

Dzisiaj jednak jest czwartek. Łazienka. Chloe musi oddać książki do biblioteki, bo właśnie mija termin zwrotu. Blair jeszcze wieczorem zapakowała je do plecaka córki razem z pudełkiem bento z lunchem, czystym strojem na gimnastykę oraz karteczką informującą, że ją kocha, a wcześniej wysypała do zlewu okruchy i ziarna piasku ze szkolnego boiska. Potem połknęła dwie pastylki advilu i położyła się wcześniej. Aiden mówił, że musi jeszcze popracować nad prezentacją.

Zanim wstała, już wyszedł na siłownię; pewnie zaczynał dzień bardzo wcześnie. Nie pamięta, żeby w nocy czuła jego obecność w łóżku. Czasem jednak śpi w pokoju gościnnym, żeby jej nie budzić po powrocie do domu.

Kiedy odrywa papierek od muffinki z otrębami, zastanawia się: A czy w ogóle wrócił do domu?

Wkłada między zęby kawałek ciasta. Wyobraża sobie Aiden, który wchodzi do domu i na dobranoc całuje ich śpiącą córkę ustami oblepionymi brudem innej kobiety. Nie potrafi przełknąć muffinki. Wypluwa ją do śmieci.

– Kurtka i buty, Chloe, już trzeba wychodzić!

Jest grzeczną i mądrą dziewczynką, jedynaczką, która lubi ustalony porządek dnia, lubi też mieć czyste włosy i zawsze mówi „proszę”, mimo to Blair wciąż zadrećza się myślami o jej potrzebach. A raczej potrzebuje tej udręki. Kiedyś uważała, że jest jedyną osobą na świecie, która potrafi we właściwy sposób zająć się córką. Dlatego nie wróciła do pracy osiem lat temu, po urodzeniu Chloe. I dlatego teraz znalazła się w takim, a nie innym punkcie życia. Czuje się nijaka. Ma czterdzieści lat, a kiedy przekroczy się czterdziestkę, coraz mniej scenariuszy wydaje się prawdopodobnych.

Całuje przy drzwiach córkę na do widzenia, a potem odwraca się w stronę pustego domu. Prawie co dzień rano jej córka maszeruje do szkoły, pokonując cztery skrzyżowania w towarzystwie swojego najlepszego kolegi Xaviera. Blair za każdym razem musi się przekonać, że bezpiecznie dotarła na miejsce. Że nie trafiła do vana pedofila. Jeżeli rano zadzwoni jej telefon, natychmiast przychodzi jej do głowy myśl: To ze szkoły, z wiadomością, że Chloe nie przyszła. Matczyne obawy to spoczynkowy stan jej umysłu.

W łazience na górze wciska nos do ceramicznej wklęsłości umywalki. Szuka zapachu miętowej pasty, którą wyplułby mąż, gdyby rano był w domu. Czuje tylko owoce leśne z pasty bez fluoru, której używa Chloe. Biały ręcznik wiszący na drzwiach jest suchy, chociaż to akurat nic nadzwyczajnego. W te dni, gdy Aiden ćwiczy, zwykle bierze prysznic w siłowni.

Wszystko da się wytłumaczyć, jeśli Blair chce to wytłumaczyć.

Wszystko może być krzyżującym dowodem winy, jeżeli na to pozwoli.

Sięga pod umywalkę po środek czyszczący z wybielaczem i spryskuje nim płytki. Nie przerywa, mimo że opary szczypią ją w oczy. Znieczulają ją pytania. Kogo on pieprzy? I jak pieprzy? Gdzie odbywa się to pieprzenie? Po ścianie spływają strumyczki wybielacza. Szczegóły romansu wydają się ważniejsze od jego znaczenia i Blair zdaje sobie sprawę, że to nie ma sensu, ale ludzki mózg rozpaczliwie potrzebuje informacji o technicznej stronie najgorszych zdarzeń. Nie potrafimy przyjąć do wiadomości czyjejś śmierci, dopóki nie poznamy detali, jak, kiedy i gdzie do niej doszło.

W ten sposób Blair odwraca uwagę od prawdy, która przeraża ją bardziej niż prawdopodobieństwo romansu i jego skutki: boi się, że absolutnie nic z tym nie zrobi.

Uciszy szepty i wyrzuci skrawek zielonej folii. Wmówi sobie, że za każdym razem, kiedy Aiden nie odbiera telefonu, jest po prostu w siłowni albo na spotkaniu. Postanowi się z tym pogodzić, wyciszy wszystkie obawy do poziomu szumu w tle ich życia, ponieważ nie może przyjąć do wiadomości konsekwencji innego rozwiązania.

I nikt nie musiałby o niczym wiedzieć.

Samotność, jaką odczuwa, jest upokarzająca.

Wpatruje się w plamkę pleśni, gdy nagle zaskakuje ją krzyk Chloe z dołu:

– Mamo? Xaviego nie ma w domu!

– Jak to?

– Nikt nie otwiera drzwi. Stałam tam i stałam.

Blair pędem zbiega po schodach, myśląc o upływającym czasie, o tym, że Chloe na pewno spóźni się do szkoły.

Dziewczynka krzywi się, zerkając na zegarek, z którego dopiero niedawno nauczyła się korzystać.

– Spóźnię się na dzwonek?

– Może wyszedł wcześniej na kółko szachowe i zapomniał ci powiedzieć.

Zwykle to się jednak nie zdarza. Whitney pewnie poszła wcześniej do pracy, a Jacoba nie ma w mieście, ale w domu zawsze jest opiekunka, Louisa, która dogląda dzieciaków przez cały dzień.

– Jest czerwiec, mamo, kółko szachowe już się skończyło. Napiszesz do Whitney i zapytasz, gdzie on jest?

– Dobrze, ale chodźmy już, pójdę z tobą.

Wysłała wiadomość, wciskając jednocześnie stopy do zawiązanych adidasów. Z satysfakcją tupie po chodniku – była w domu, miała czas, mogła zadziałać. Proszę, jaka jestem cenna. Proszę, ciągle jestem potrzebna córce. Lubi wygłaszać w duchu monologi o sprawach, o których chciałyby powiedzieć mężowi.

Rano przez Harlow Street jak pochód przelewa się fala ludzi zmierzających do pracy i szkoły. Rodzice gnają maluchy do przedszkoli. Miejskie dzieciaki z wrzaskiem pędzą na hulajnogach. Dwudziestokilkulatki na rowerach omijają slalomem samochody, jadąc do marnie płatnej pracy w marketingu, jaką kiedyś Blair sama miała. Tę

eklektyczną część miasta zamieszkiwały kiedyś rodziny młodych Portugalczyków, których nie było stać na dom gdzie indziej. Dziś przekazali swoje posesje ludziom gotowym zapłacić cenę, o jakiej nie śniłoby się im pięćdziesiąt lat temu. Takim jak Blair i Aiden, których hipoteka osiągnęła tak zawrotną wysokość, że wydawała się nierealna.

Idą obok szeregu domów przypominających zęby potwora, niepasujących do siebie, przekrzywionych; przebudowane cacka za milion dolarów sąsiadują z pochyłymi, zaniedbanymi budowlami w stylu wiktoriańskim, których odmalowane ceglane ściany czekają na swój czas. „Vogue” przyznał tej części miasta drugie miejsce w kategorii „Dzielnica świata najbardziej cool”, na co się często powoływano, jak gdyby miało to uzasadniać cenę dwóch milionów dolarów za bliźniaka z gnijącą piwnicą i oryginalnymi toaletami w kolorze awokado. Skręcają z Harlow, idą obok piekarni i cukierni, które źle zniosły upływ czasu, a także kilku ocalałych sklepów sprowadzających ubrania z Lizbony. Długoterminowy najem się kończy i lokale jeden po drugim zmieniają profil, by wyjść z ofertą do zamożnej klienteli. Pojawiają się hoteliki, gdzie podają czarną kawę po trzy dolary za filiżankę. Kiczowate kwaciarnie, wegańskie sklepiki spożywcze, drogie butikie dziecięce. Blair pracuje w jednym z nich dwa razy w tygodniu po pięć godzin i dzisiaj ma pierwszą zmianę. Za godzinę ma otworzyć sklep. Jej szefową jest dwudziestosiedmioletnia dziewczyna, Jane – pokrywa koszty działalności biznesowej pożyczką od rodziców, której nigdy nie zwróci. Sprzedają lniane czapeczki i drewniane zabawki, które bardziej podobają się rodzicom niż dzieciom.

Jane była opiekunką na letnim obozie i sądzi, że zna dzieci, ale nie zna matek. Blair zakreśla w katalogu rzeczy, które naprawdę będą się dobrze sprzedawać, klientom, którzy wchodzą z ulicy, pokazuje coś, czego potrzebują, choć nie zdają sobie z tego sprawy. Po raz pierwszy wpadła na pomysł, by pracować w tym sklepie, gdy szukała prezentów urodzinowych dla Chloe i myślała, jak miło byłoby dbać o zawartość tych półek. Że sklep mógłby poprawić jakość obsługi klientów. Myślała o matowym papierze do pakowania upominków w ładnych pastelowych kolorach i o fantazyjnych, długich wstążkach. O motywach przewodnich aranżacji wystaw i o kolorystycznym układzie towarów na stolikach. O dużych kosztach ze słomy pełnych sezonowych rzeczy, które matki takie jak ona lubią kupować

pod wpływem impulsu. To była jedna z tych sytuacji, gdy słowa padły wcześniej, nim zdążyła się nad nimi zastanowić.

„Pomagam jej”, mówi znajomym, kiedy pada pytanie o pracę, jak gdyby robiła to za darmo.

„To ci chyba dobrze zrobi”, brzmiała reakcja Aideny, gdy wróciła do domu i ogarnęła ją fala żalu, jak gdyby była pensjonariuszką domu opieki, która zapisała się na cotygodniowe bingo.

Bardziej ucieszyła się Whitney, klaskała ze znacznie większym entuzjazmem niż zwykle. Ależ to wspaniale! Ma szczęście, że trafiła jej się tak doświadczona osoba jak ty.

Blair przytula Chloe przed szkołą, gdy rozbrzmiewa dzwonek, i oddycha z ulgą, że udało im się dotrzeć na czas, ale w tym samym momencie zauważa grupkę znajomych matek, z którymi czasem rozmawia. Jedna z nich unosi wzrok i napotyka spojrzenie Blair. Nie ma wyboru, musi do nich podejść. Zdobyć się na promienny uśmiech i radosne powitanie.

Mają buty na obcasach. Pięknie wystylizowane, rozwiane włosy. Najmodniejsze w tym sezonie płaszcze. Prawniczka, psychiatrka, wiceprezeska. Jedna z nich straciła dwadzieścia kilogramów i teraz handluje nieruchomościami, choć przez dziesięć lat nie pracowała. Nazywa to „odrodzeniem wieku średniego” i twierdzi, że nigdy wcześniej nie czuła się szczęśliwsza. Mówią, że są w kwiecie wieku i „przyznają się do czterdziestki”, ich język przypomina prężenie bicepsów. Ona im się przygląda, przymierza w duchu fragmenty ich życia.

„Jak leci?”, witają Blair zawsze. Leci. Nie mają żadnego konkretnego, o który mogłyby zapytać.

Mogą tylko rano podrzucić dzieci i niekiedy zgłosić się do pomocy, na więcej nie mają czasu – w odróżnieniu od Blair. Ona zawsze odbiera córkę ze szkoły, zawsze pomaga, gdy raz w miesiącu dzieci mają pizzę na lunch, jest na każdych urodzinach, każdej wspólnej zabawie, każdym koncercie, każdym kiermaszu książek. Na każdym cholernym zebraniu rady rodziców.

Takie zaangażowanie z początku wydawało się szlachetne. Wymagało od niej troski i uwagi, dawało jej więcej satysfakcji niż pisanie tekstów reklamujących czekoladowe batony albo płyn do prania. Wbrew przypuszczeniom nie tęskniła za otwartą przestrzenią dawnego biura. Nie tęskniła za garderobą, która wymagała wieszaków, za sportową elegancją z domieszką formalnego stylu biznesowego. Nie pamięta, by intelektualna

gimnastyka w pracy dawała jej poczucie spełnienia, chociaż wtedy miała wrażenie, że się realizuje. Kiedyś uwielbiała to połączenie kreatywności i marketingu, odnajdywanie doskonałej frazy, rozwiązania trafionego w dziesiątkę. Była w tym wyjątkowo dobra. Zdobyła pięć imiennych nagród za kampanie reklamowe. Czasem czuła się jak geniusz – tego słowa używał szef, kiedy podczas burzy mózgów podrywał się z miejsca, zapisywał jej pomysł na środku tablicy i zakreślał pięcioma kółkami, a ona ze wszystkich sił starała się nie wyglądać na wniebowziętą.

Ta kariera nie należała już do niej, odkąd została matką. Tylko Chloe wydawała się warta poświęcenia czasu, energii i uwagi. Przez pierwsze miesiące czuła się jak na haju. Karmiła dziecko piersią w nocy, wpatrywała się w ciemność i zachodziła w głowę, jakim cudem mógłby ją jeszcze kiedykolwiek obchodzić slogan reklamowy. Powinna pragnąć wszystkiego. I mieć wszystko. Nie należało dopuścić do tego, by macierzyństwo odcięło ją od kariery. A jednak nie miała w życiu miejsca na nic więcej oprócz dziecka.

Wtedy nie uważała tego za żadną ofiarę. Poświęcając się macierzyństwu i związanym z nim obowiązkom domowym, na początku była szczęśliwa. Chloe naprawdę uszczęśliwia Blair. Przeogromnie. Ale wszystko inne, co towarzyszyło jej pojawieniu się, zmiany w niej samej, w ocenie siebie, w jej małżeństwie zachodziły tak wolno, że trudno było je dostrzec. Kiedyś uważała, że macierzyństwo dało jej znacznie więcej, niż miała kiedykolwiek przedtem, a dziś jest przekonana, że wszystko jej ono odebrało. Nie potrafi już pogodzić miłości do córki z ograniczeniami, jakie narzucił jej przywilej rodzicielstwa.

To uczucia, których w sobie nienawidzi. O tych uczuciach nigdy nikomu nie powie na głos.

– Szkoda, że nie pojedziesz – mówi do niej jedna z kobiet, poprawiając na ramieniu bardzo ładną torebkę. Rozmawiają o wspólnym weekendowym wypadzie matek za miasto w lipcu. Do domku wynajętego na wzgórzach Berkshire. Blair rzadko wyjeżdża bez Aideny i Chloe, a gdy już to się zdarza, przed wyjazdem dręczy ją przemożny niepokój, a potem odurza świadomość wolności. Jedno i drugie z równą siłą wytrąca ją z równowagi. Kobiety będą piły za dużo wina, plotkowały o cudzych dzieciach, zajmowały jednakowe, zgodne z duchem czasu stanowisko w sprawie każdego tematu poruszanego w wiadomościach. Kiedyś Blair czuła, że

trzyma rękę na pulsie. Teraz dochodzi do przekonania, że jest na marginesie wszystkiego, co ma znaczenie w oczach innych. Wróci do domu, czując się jeszcze podlej niż przed wyjazdem.

– Wiem, też żałuję. Ale w tę sobotę mamy właśnie, hm... urodziny. Może następnym razem.

Pierwsza kończy rozmowę, rzuca jakąś wzmiankę o kurierze i oczekiwanej przesyłce. Dzisiaj nie ma siły odgrywać przed nimi żadnej roli ani jeszcze raz próbować zyskać ich szacunek. Niepracująca zawodowo matka jedynaczki, męczennica. Czasem żałuje, że nie ma więcej dzieci, aby mogła mieć usprawiedliwienie, dlaczego tak mało dzieje się w jej życiu.

Idąc do domu, sprawdza telefon, ale nie ma odpowiedzi od Whitney. Zajęta, na pewno jest zajęta. Robi to, co ludzie robią w pracy, ma głowę pełną wielkich i doniosłych rozwiązań wielkich i doniosłych problemów w stratosferze, której Blair nie zna, i nie zamierza już udawać, że jest inaczej.

Mimo to Whitney zawsze stara się odpowiadać na jej wiadomości, prowadzi z nią w ciągu tygodnia rozmowę, którą co jakiś czas przerywają i na nowo podejmują. Pytają się nawzajem, co u nich, znowu umawiają się na kieliszek wina. Blair nigdy nie lubiła pić, ale to dobry pretekst. Wyczuwa, że Whitney uwalnia się od swojego typowego spięcia, gdy pod koniec dnia spotykają się i spędzają czas razem w towarzystwie dzieci. Wtedy powoli się rozluźnia. Zaczyna poświęcać więcej uwagi temu, co mówi sąsiadka, zamiast błąkać myślami gdzie indziej, dziecięce hałasy wreszcie przestają ją irytować. To zasługa wina, oczywiście, że to wino, ale Blair woli myśleć, że to także jej towarzystwo.

Whitney ma na nią jednak zupełnie inny wpływ. Jej obecność nie działa na Blair odprężająco, wręcz przeciwnie. Upokarza ją myśl, że tamta mogłaby podejrzewać, iż jest dla niej gwoździem programu. A ponieważ nie ma zbyt wiele do opowiedzenia, to rozdmuchuje zupełnie błahe sprawy. Potem za każdym razem żałuje. Whitney zupełnie nie obchodzi, kto napisał w mejlu coś, co zdziwiło skarbnika rady rodziców, ani co Blair zrobiła, żeby rozładować sytuację, zanim odwołano imprezę, na której zamierzano zbierać pieniądze.

To nieistotne.

Whitney jednak uprzejmie udaje, że to coś ważnego. Życzliwie słucha, gdy Blair przez godzinę trajkocze o cholernym kiermaszu ciast, z którego

dochód wynosi niecałe dwieście dolarów rocznie.

Czasem jednak, gdy plecie te bzdury, czuje na sobie badawczy wzrok sąsiadki. Jakby tamta szukała w niej składnika, którego jej samej brakuje. Nie jest pewna, czy to prawda, czy może chce w to wierzyć. Bywają jednak chwile, gdy wyczuwa, że Whitney chce wiedzieć, jakie to uczucie przejmować się tym, czym przejmuje się Blair. Patrzeć na własne dziecko i czuć to samo, co ona. Dumnie unosi głowę. Przynajmniej ma to.

ROZDZIAŁ 4

MARA

Mara Alvaro krzyżuje nogi w kostkach i odchyła się na oparcie składanego krzesła stojącego na werandzie. Ten czwartkowy poranek wydaje się jakiś dziwny. Kiedy córka Blair zapukała do domu obok, nikogo nie zastała, nawet opiekunki, a przecież zwykle bywa tam przez cały tydzień.

Te matki są jednak zajęte, wiadomo. Za dużo się dzieje w ich życiu, a jednocześnie nie dzieje się zupełnie nic, same stwarzają atmosferę pośpiechu i pędzą przez życie jak szalone. Nie wiedzą, co to znaczy po prostu być. Nie znajdują czasu, żeby pomyśleć o tym, co mają tuż pod nosem.

I jak szybko mogą to wszystko stracić.

Nie rozumie też, dlaczego Blair codziennie nosi te okropne czarne legginsy, a Whitney, która farbuje włosy na żółto, ubiera się w męskie garnitury i targa takie ogromne, brzydkie torby. Nie ma w tym nic kobiecego. Szkoda, że ktoś w jej wieku nosi się w takim stylu.

Zastanawia się, czy wejść do środka i splukać okruszki po śniadaniu z talerza. Powinna się też trochę ogarnąć, chociaż od kilku lat poświęca temu rytuałowi mniej wysiłku. Ostatnia szminka Avonu w kolorze Toasted Rose, której używała od dziesięcioleci, skończyła się dziewięć miesięcy temu i po raz pierwszy nie chciało jej się kupić nowej.

Zresztą jakie to ma jeszcze znaczenie? Mara ma osiemdziesiąt dwa lata. W okolicy zostało jej niewielu znajomych. Wszyscy albo poumierali, albo są w domach opieki, albo – jeśli mieli szczęście – są ciężarem dla swoich dzieci daleko od tego przedmieścia. Dawniej nie mogła otworzyć rano drzwi, by wziąć z progu gazety, żeby ktoś się nie zatrzymał przy werandzie na ploteczki. Dzisiaj zalewa ją potop nowości: brzydkie nowo odremontowane domy, szpanerskie samochody zaparkowane przy ulicy, nowe młode rodziny z ich hałasami, rzeczami, nadmiarem wszystkiego.

Chcą wielkomiejskiego życia, chcą się czuć ważni, ale Mara ma dla nich wiadomość – wszyscy zmierzają w tę samą cholerną stronę.

Kiedy wprowadzała się każda z tych rodzin, wywiązywała się z sąsiedzkich obowiązków. Przynosiła im świeżo upieczone *pastéis de nata* i informowała o harmonogramie wywozu śmieci. Przez wiele miesięcy ofiarowywała pomoc, proponowała, że kiedy wyjadą, może odbierać paczki i mieć na oku posesję. Udzielała rad, gdy krzew piwonii opanowały mrówki. Zimą podrzucała domowej roboty *canje*, portugalski rosół z kury. Ani słowem nie wspominała o niepotrzebnym drugim piętrze, które blokowało dostęp słońca do jej małego ogródka warzywnego, ani o tym, że musiała znosić strasznie głośne dźwięki, kiedy przez dwa lata przeprowadzali te swoje ważne remonty. Czy o ciągłym hałasowaniu dzieci. O wrzaskach. Trzaskaniu tymi głupimi kuchennymi drzwiami.

Wszyscy z początku traktowali ją bardzo uprzejmie, mimo wyraźnych różnic, jakie ich dzieliły. Byli zaintrygowani tym, że tak długo w tym miejscu mieszka i pewnie przez te lata widziała tu mnóstwo zmian, jak gdyby to musiało być coś wspaniałego. Nikt nie pomyślał, że największym problemem były właśnie zmiany. Portugalski kościół katolicki Świętej Heleny na rogu podczas każdej mszy świeci pustkami. Resztki po społeczności, którą z takim mozołem budowało całe pokolenie jej rodaków, nowi uważali za brzydactwa szpecące dzielnicę. Czekają, by przejąć tych parę ostatnich posesji, których właściciele są tak samo starzy jak ona. Ślinią się na widok ostatnich padających sklepików z importowaną żywnością. Wszyscy chcą mieć w odległości kilku metrów od domu kawiarenkę z tej cholernej sieci z syreną w logo.

Odkąd wymieniali się uprzejmościami, prawie nikt nie spytał o nią. O jej życie. Jak się tu znalazła. Tylko ich dzieci jeszcze do niej machają. No i Rebecca. Lubi Rebeccę. Lekarkę o naturalnej urodzie, wykonującą dobrą, godną pracę.

Dlatego nie, nie musi upiększać twarzy ani dziś, ani żadnego innego dnia. Poprawia się na krześle, słuchając skrzypienia płóciennego siedziska.

– Mara!

– Jest na stole, Albert! – odkrzykuje. Jak zawsze, ma ochotę dorzucić. Jak co dzień, każdego cholernego ranka. Zza siatki w kuchennym oknie za swoimi plecami słyszy zgrzyt krzesła przesuwanego po wytartym linoleum. Nie znosi patrzeć na niego, gdy je tę kielbasę, zgarbiony nad talerzem

pełnym jedzenia, które wcale nie służy jego sercu ani poziomowi cholesterolu.

Woli posiedzieć w chłodzie czerwcowego poranka i zorientować się, co się właściwie dzieje.

To nadzwyczajne, ile można się dowiedzieć o ludziach, kiedy jest się niemal niewidzialnym. Najwięcej mówi o nich to, czego nie chcą pokazywać.

ROZDZIAŁ 5

WHITNEY

SZPITAL

Rurki wcale nie martwią jej tak, jak zapowiadała Rebecca. Kroplówka, rurka intubacyjna, przewody, taśma, która brutalnie wrzyna mu się w skórę. W ogóle nie zwraca na to uwagi, jest tylko chłopiec. Jej synek. Jego śliczna buzia, policzki, które zawsze pachną świeżym powietrzem. Jego widok przynosi jej ulgę. Jest dla niej całym światem. Puściła dłoń Rebekki i szybko chwyciła jego rękę.

Szpital, gdzie dziesięć lat temu go urodziła, znajduje się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, w budynku, o którym od bardzo dawna nie myślała. Ściany miały tam ten sam mdły odcień zieleni? Zasłony nie były w takie same prążki? Rzadko sięga pamięcią do dnia jego narodzin. Nie snuje wspomnień ze ściśniętym gardłem. Nie robi pamiątkowych albumów, nie notuje skrupulatnie wzrostu, nie przechowuje maleńkich mlecznych ząbków ze śladami zaschniętej krwi. Nie nawiązuje rozmów z kobietami, które licytują się na opowieści o porodzie. Nie lubi tego. Nie lubi tego rodzaju drobiazgów ani miar, ani szczegółów, które najwyraźniej mają ogromne znaczenie dla innych.

Nie jest takim typem matki.

Z narodzin Xaviera bardzo dobrze pamięta jedno: udało jej się wydać go na świat trzema skurczami. Wystarczyły trzy parcia, by rozdzielić ich od siebie do końca życia. Ta myśl wydaje jej się teraz absurdalna, jakby powinna mieć pełne prawo, by włożyć go w siebie z powrotem takim samym nakładem wysiłku. Trzy. Dwa. Jeden. Należy do niej. Stworzyła go. Wyhodowała i wychowała. Powinna umieć go chronić. I chce go mieć z powrotem w środku. Mogłaby zrobić to samo jeszcze raz, ale inaczej. Znowu zacząć od początku.

Pisze jego imię palcem na delikatnych jasnych włoskach na jego przedramieniu. Skóra na łokciu, w miejscu gojącego się zadrapania, wygląda jak wosk. Za kilka dni Xavier znowu się skaleczy. Ciągłe ma jakieś krwawiące rany, których prawie nie zauważa, i Whitney często znajduje krwawe smugi na stole kuchennym albo na dywaniku w łazience.

Przesuwa palcem po jego łokciu, a potem muska odstające skórki przy paznokciu kciuka. Jest czerwony, jak gdyby Xavier go ssał. Ciągłe to robi w nocy? Dzisiaj po prysznicu posmaruje mu ręce płynem. Wcześniej odesła Louise do domu i przejmie nad nim opiekę. Odtąd co wieczór będzie to wszystko brała na siebie – czytanie razem książki, drugą szklankę wody, niekończące się pytania i nauczy się czerpać przyjemność z tych chwil.

Tak myśli tego ranka, jak gdyby miał jeszcze w przyszłości szansę znowu spaść z hulajnogi, wrócić do tego zwyczaju. Jak gdyby ona miała szansę odnaleźć w sobie cierpliwość. I się pohamować.

Wypadki się zdarzają. Tak będą jej mówić ludzie, nawet jeśli uważają, że nie zasługuje na współczucie. Ale nie, wypadek to rozlanie szklanki mleka. Rozcięta warga u małego poszukiwacza przygód.

Ktoś spyta, czy dostała już wiadomość, kiedy może przyjechać mąż. Przypuszczają, że ona nie będzie w stanie odpowiadać na pytania ani podejmować decyzji jako rodzic i opiekun. Być może mają rację.

Jacob. Sprawdzi, czy znowu dzwonił. Telefon wydaje się ciężki. Zawsze ważył tyle co cegła? Przyszła od niego wiadomość. Jest na Heathrow, wciągnięto go na listę rezerwową. Po wylądowaniu przyjedzie prosto do szpitala.

Będzie się cofał w czasie.

Wyobraza sobie, jak Jacob łapie ich syna w momencie upadku. Stęka z wysiłku pod ciężarem jego ciała, gdy Xavier ląduje w jego objęciach.

Pisze do niego wiadomość: *Jedź najpierw do Sebastiana i Thei, sprawdź, czy wszystko u nich i u Louisy w porządku. Oczywiście wcale tego nie zrobi. Będzie błagał taksówkarza, żeby jechał szybciej, nie patrzył na czerwone światła. Whitney nie chce się jednak jeszcze z nim widzieć. Wystarczy, że rzuci na nią okiem i będzie wiedział. Jest tego pewna.*

Nie zwraca uwagi na zalew innych wiadomości i małe czerwone kółko z liczbą „27” na ikonie skrzynki mejlowej. Kiedy na nią zerka, liczba zmienia się na „28”. Ma sześć nieodebranych połączeń od

współpracowników. Świat się budzi i rozpędza, rozlicza z każdej godziny. Umawia spotkania, które wydają się ważne.

Telefon spada na szpitalną podłogę. Nie schyla się po niego.

Po drugiej stronie łóżka znowu pojawia się Rebecca.

Whitney nie podnosi wzroku.

„Co by było, gdyby mnie nie było?”

Zapytał ją o to pewnego popołudnia w samochodzie, dwa miesiące temu. Jechali do dentysty na plombowanie zęba, na które miał go zawieźć Jacob, ale w ostatniej chwili dostał zaproszenie do jakiejś galerii. Whitney w zasadzie miała wolne popołudnie.

„Co by było, gdyby cię nie było?”, powtórzyła jak zawsze, gdy nie chciało jej się zastanawiać nad odpowiedzią. Myślała właśnie o kimś, do kogo zapomniała zadzwonić przed wyjściem z biura. Roztrząsała w myślach, czy wykonać telefon z poczekalni, gdy Xavier będzie siedział na fotelu w gabinecie. Zastanawiała się, czy zna kwoty w budżecie, o które klient na pewno zapyta; mogłaby po zaparkowaniu przeszukać mejle. „Co masz na myśli? Pytasz, gdzie byś był, gdyby nie było cię na Ziemi? Mów trochę jaśniej, Xav”. I nagle, niech to szlag.

Przegapiła wjazd na podziemny parking.

Nie potrafi sobie teraz przypomnieć, co odpowiedział, czy w ogóle się odezwał.

Znowu palcem pisze mu na ręce jego imię.

ROZDZIAŁ 6

REBECCA

Po raz trzeci przegląda wyniki badań laboratoryjnych jednego z pacjentów. Nie lubi, gdy coś ją rozprasza w pracy, ale ma głowę zaprzątniętą Xavierem. I rozmową w korytarzu, gdy Whitney zapytała ją, dlaczego nie ma dzieci. Odpowiedziała słowami, które nigdy jeszcze nie padły z jej ust:

– Niczego tak w życiu nie pragnę jak dziecka.

Czuła, że tym wyznaniem się zdemaskowała. Nie mogła ukryć rozpacz w głosie. Chciała jednak dać Whitney do zrozumienia, że wolałaby być matką, nawet gdyby wiedziała, że tak to się skończy, na OIOM-ie. Chciała jej przypomnieć, że w tym momencie, w czwartek, osiem po drugiej w nocy, wciąż ma syna. Że chłopak żyje. W jej oczach dostrzegła niepokój, kiedy Whitney w zwolnionym tempie mrugnęła i spojrzała w stronę podwójnych drzwi na końcu korytarza. Potem jednak znowu sięgnęła po rękę Rebekki.

Zwykle Rebecca nie pozwala sobie w pracy na refleksje nad kruchością życia. Ta świadomość nie służy jej hartowi ducha. Lepiej jest zakładać, że każde dziecko, z którym zetknął ją los, przeżyje i że jest odpowiedzialna tylko za pewien odcinek czasu, który zapoczątkuje resztę ich długiego i istotnego życia.

Jeżeli jednak dziecko nie przeżyje, będzie odtąd kimś, kto zmienił losy całej rodziny. Jej słowa – „Przykro mi, że muszę to państwu powiedzieć” – wryją się tym ludziom głęboko w pamięć i pozostaną w nich, dopóki sami nie umrą. Stanie się elementem ich historii i tego, jak się załamali. Takie są konsekwencje tej pracy, zdążyła się do tego przyzwyczaić. Potrafi o tym nie myśleć. Dzisiaj jednak jest inaczej. Sprawdza godzinę – osiemnaście po dziewiątej – i zastanawia się, czy jest za wcześnie, żeby jeszcze raz zadzwonić na OIOM i spytać o najświeższe informacje. Niedługo z Whitney spotka się pracownica socjalna, o ile jeszcze tego nie zrobiła.

I wrócą policjanci. Pielęgniarka może im powiedzieć, że wciąż jest zbyt rozkojarzona.

– Przepraszam, że jeszcze raz pytam, ale rozmawiała pani z rodzicami? O podejrzeniu kardiomiopatii?

Rebecca kiwa głową, przeglądając wypis, który położyła przed nią pielęgniarka.

– Naprawdę uroczy dzieciak. Wezwałam też lekarza dyżurnego. Będzie potrzebny laktator, może go pani dla nich znaleźć? Co jest jeszcze dla mnie?

Pociera czoło tuż pod brzegiem tęczowego czepka, po czym z rozmachem naciska dozownik środka dezynfekującego, żeby oczyścić ręce. Musi się ocknąć. Wyrwać się z tego stanu.

Na oddziale ratunkowym zwykle czuje się jak ryba w wodzie, odpowiada jej tempo – tyle niewiadomych, ciągły napływ nowych przypadków. Podczas zmiany wszystko może się zdarzyć i Rebecca dziwi się, jak ludzie wykonujący inne zawody dają radę wstawać rano z łóżka, mając w perspektywie monotonne zajęcia. Niezależnie od tych warunków ona też potrafi odnaleźć w pracy spokój. Wszystko, co nowe, daje jej poczucie równowagi. Nowe dzieci, nowe rodziny, nowe problemy, które w większości wie, jak rozwiązać. Niezbyt poważnie chorzy wracają do domu, inni stają się elementem systemu – przenoszą się z zatłoczonych i pooddzielanych zasłonami stanowisk, przy których pracuje Rebecca, na górę, do innych lekarzy, trafiają na onkologię, neurologię czy nefrologię. Niektórzy być może nigdy nie opuszczą szpitala i kiedy podejrzewa takie zakończenie, przygląda się garści rzeczy z domu, które mają przy sobie. Zmechacone spodnie od piżamy, kurczowo trzymany w objęciach pluszowy miś. Oznaki końca, które rodzice zabiorą później już bez dzieci.

Rzadko dowiaduje się, co się później dzieje z tymi, którymi się zajmowała, chyba że na podziemnym parkingu albo w kolejce po kawę natknie się na rodziców. Nauczyła się perfekcyjnie udawać bez reszty zaabsorbowaną swoim telefonem, gdy idzie przez szpitalny dziedziniec; niełatwo ją rozpoznać bez czepka, gdy ciemne proste włosy opadają jej na ramiona. Ma z tego powodu wyrzuty sumienia, ale dzięki temu wciąż daje radę otwierać podwójne wahadłowe drzwi oddziału ratunkowego gotowa do pracy.

Pielęgniarka informuje ją o dwuletniej dziewczynce czekającej w pokoju numer trzy. Nawracająca wysoka gorączka, apatia, utrata apetytu. Rodzice dziecka siedzą po obu stronach noszy na kółkach, patrzą, jak ich córka skupia uwagę na ekranie trzymanego na kolanach iPada. Kiedy Rebecca wchodzi do pokoju, prostują się, a ona wyczuwa u nich mieszaninę ulgi i napięcia: przyszła lekarka, ale coś nie gra. Przegląda kartę dziecka na monitorze komputera i nagle widzi: 19.05.2017. Data urodzenia pacjentki. Czekala na to. Gwałtownie nabiera powietrza i przysuwa do dziewczynki taboret.

– Lucy? Jestem Rebecca. Mogę rzucić na ciebie okiem, kiedy będziesz oglądać swój serial? To Tygrysek Daniel? – Bierze dłoń dziewczynki i delikatnie szczypie skórę, by sprawdzić poziom nawodnienia, naciska małe płytki paznokci. Odwraca rękę i powoli bada gładką, pulchną dłoń. Wsuwa stetoskop pod tył bluzy piżamy, aby osłuchać płuca. Myśli o sypialni, którą dwa lata temu pomalował Ben. O ślicznej pościeli w kwiaty do łóżeczka. Przesuwa głowicę stetoskopu na pierś dziewczynki i osłuchuje serce. Myśli o pulsującym zlepku komórek, którego odgłos usłyszeli z Benem podczas pierwszego USG. Dziecko kieruje teraz wzrok na nią zamiast na ekran tabletu. Rebecca sięga po zawieszony na ścianie oftalmoskop i przysuwa się bliżej dziecka. Oglądając siatkówkę Lucy, czuje od niej zapach masła orzechowego. Odkłada przyrząd. Dziewczynka przygląda się poszczególnym elementom jej twarzy, nosowi, może tuszowi na rzęsach. Rebecca dotyka jej potylicy. Przesuwa w palcach delikatne ciemne loczki. Dotyka małego płatka ucha. Ciepłego, pyzatego policzka. Drobnego podbródka.

Matka chrząka.

Rebecca się odwraca.

– Chciałabym zrobić badanie krwi, jeżeli państwo nie mają nic przeciwko temu. – Wstukuje do komputera zlecenie. Nazwisko. Datę urodzenia. Cursor na ekranie mruga hipnotycznie. Skończyłaby dwa lata, tak samo jak ona. Byłaby ideałem.

ROZDZIAŁ 7

BLAIR

Aiden pojawił się u stóp Blair. W roku, kiedy oboje skończyli trzydzieści jeden lat, na imprezie u wspólnego znajomego, zorganizowanej w ciasnej kawalerce. Miała już wychodzić. I niewiele brakowało, by nastąpiła na fragment stłuczonej butelki. Aiden wyciągnął rękę, by ją zatrzymać, rzucił się na kolana i podniósł odłamek na swojej szerokiej dłoni – jak szklany pantofelek.

Na jej gust była to zbyt teatralna i groteskowa scena. Gdy jednak wstał z podłogi, zobaczyła, że to taki mężczyzna, jacy nieczęsto na nią patrzyli. Natychmiast się zorientowała. Po jego szerokim uśmiechu, chłopięcej figlarności w oczach, stu dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu. Po minach ludzi, którzy im się przyglądali.

Uwielbiała to uczucie oszołomienia, gdy wyławiał ją spośród innych twarzy w pomieszczeniu i skupiał na niej uwagę jako na tej jedynej, wybranej. Był hałaśliwy, miał tubalny, dudniący głos. Wcześniej czuła się pożądana przez mężczyzn, ale nigdy przez takich jak on. Wobec towarzyskich talentów Aidena z początku była bezbronna, jakby ktoś na oczach wszystkich zdarł z niej ubranie. Nie była przyzwyczajona do tylu par oczu skierowanych na siebie, gdy z nim była, do takiego natężenia dźwięków, do łatwego zawierania znajomości, a jemu przychodziło to zupełnie naturalnie. Miał w sobie magnetyzm. Był niezaprzeczalnie przystojny. Często jej dotykał. Trzymał ją mocno pod ramię, kciukiem gładził jej bark, gdy rozmawiali z kimś innym. Lubiła, gdy ludzie zwracali uwagę na ten gest. Czekwała, aż go zauważą.

Kiedy byli sami, miał w sobie delikatność i czuła się wyróżniona, bo była jedyną osobą, która znała tę stronę jego osobowości. Jego cudowną czułość w niedzielne poranki. Smakowity odgłos, z jakim całował ją w policzek, jak gdyby była pyszna i jak gdyby chciał wyrazić dźwiękiem głębię swojego

uczucia. Wspólne wieczorne kąpiele, salwy chichotów, splątane ręce i nogi w wannie, w której się nie mieścił, mokre włosy w jego oczach.

– Jesteś ze mną szczęśliwa? Tego chcesz? – pytał zawsze, zawsze się upewniał, czy sprostął jej oczekiwaniom. Nie sądziła, by kiedykolwiek przestało mu zależeć.

Kiedy zadzwoniła do matki, by jej powiedzieć o Aidenie, że ma dobrą pracę w sprzedaży, że w urodziny przysłał jej kwiaty do biura, matka milczała. Blair patrzyła na dwadzieścia cztery herbaciane róże w matowym plastikowym wazonie pożyczonym z kuchni dla personelu i czekała, aż się odezwie.

– Halo?

– To chyba nieźle.

Nieźle. Tak zawsze brzmiała odpowiedź matki. Celujące stopnie w szkole to nieźle. Zdobyte stypendium na uczelnię pierwszego wyboru – nieźle. Pierwsza kawalerka wynajęta w mieście za własne pieniądze, z czego była taka dumna – nieźle. Matka z biegiem czasu miała coraz mniejsze oczekiwania i coraz mniej ją interesowało, ale Blair próbowała sobie powtarzać, że nie o nią tu chodzi. Nic z tego, co mówiła, nie wywoływało żywszej reakcji ze strony matki. Zacięła się na jałowym biegu. Blair przypuszczała, że matka przestała cokolwiek odczuwać.

W młodości była inna, pełna życia, lubiła się bawić. Pracowała trzy dni w tygodniu jako sekretarka w firmie ubezpieczeniowej ojca, dopóki córka nie skończyła ośmiu lat. Latem zabierała ją razem z jej młodszym bratem do biura, gdzie budowali fortece pod biurkami i kręcili się na krzesłach, aż dostawali takich zawrotów głowy, że nie mogli ustać. Uwielbiała zapach jej szminki przypominający tempery z pracowni plastycznej w szkole. Uwielbiała dotykać sznurów pereł i słyszeć ich stukot. W drodze do domu włączali radio na cały regulator i Blair na tylnym siedzeniu naśladowała ruchy ramion matki, która podrygiwała na fotelu przed nią.

W którymś momencie matka powoli i niepostrzeżenie zaczęła się wycofywać. Rzuciła pracę, rzadziej się do nich odzywała. Sztywniała w rękach ojca.

Blair nie zdawała sobie sprawy, jakim ciężarem jest dla niej zobojętnienie matki, dopóki nie zaczęła studiować i nie odkryła, z jaką łatwością może oddychać. Wynajdowała wymówki, żeby nie jechać do rodziców, gdy robiły to jej koleżanki. W jej domu panowało napięcie nie do wytrzymania. Ojciec

i matka rozmawiali ze sobą za pośrednictwem Blair, jak gdyby przestali reagować na dźwięk swoich głosów.

Siedząc teraz przy kasie butiku dla maluchów, zastanawia się, czy ona i Aiden rzeczywiście różnią się od jej rodziców. Skoro czeka ich taka przyszłość. Co wieczór serwowane na kolację nieszczęście.

Przygląda się właśnie dwumetrowej pluszowej żyrafie, wycenionej na dwieście czterdzieści dziewięć dolarów, gdy po raz pierwszy tego ranka rozlega się dzwonek nad drzwiami. Chce przywołać na twarz coś w rodzaju uśmiechu, ale widzi wchodzącego Aideną.

Nigdy nie wpada do tego sklepu.

– Co tu robisz?

– Też się cieszę, że cię widzę. Niedaleko stąd umówiłem się z kimś na śniadanie, pomyślałem, że wpadnę.

Podchodzi do półki z drewnianymi samochodzikami wyścigowymi. Gdy patrzy na niego z tyłu, przypomina jej Aideną sprzed dziesięciu lat. Ta sama gęsta fala włosów. Te same szerokie barki. Kiedyś potrafili świetnie się razem bawić. Dalekie podróże i lekcje nurkowania z akwalungiem w basenie. Śpiewanie z playbacku w samochodzie. Kiedyś marzyli o tym, by wtopić się w siebie nawzajem. Gdzie się podziało to poczucie? Było czymś więcej niż rodzicielstwo. Za bardzo oddaliła się od dawnej siebie.

Pokazuje jej samochodzik.

– Dobrze się sprzedają?

– Nie bardzo.

Chichocze.

– Wcześniej dzisiaj wyszedłeś do pracy – zauważa Blair.

– Przecież zwykle wychodzę wcześniej, prawda?

W odpowiedzi unosi brwi. Porządkuje plik papierów dla kuriera. Przyzwyczała się już, że w obecności męża czuje się spięta. Tak właśnie wyglądają stosunki między nimi. Rutyna. I szorstkość. Nie mówią już o niczym prawdziwym. Ich rozmowy polegają na wymianie informacji i detali logistycznych.

– Jadłeś w Egg and Bean?

Kiwa głową.

– Powinienem ci przynieść kawę. Chcesz?

Kręci głową, chociaż ma ochotę. Te uprzejmości ją irytują. Irytuje ją ten jego luz. Chyba czułaby się lepiej, gdyby ciężiej na nich pracował. Gdyby

tak samo przykładał się do obowiązków jak ona do swojej roli, gdy zajmuje się myśleniem, zaopatrzeniem, planowaniem, wykonaniem i znowu myśleniem. Wolałaby, żeby w nocy kręciło mu się w głowie od tego wszystkiego, co musi zrobić nazajutrz, by ich życie toczyło się płynnie, bez przeszkód.

Czy Aiden kiedykolwiek zwrócił na to uwagę? Że całe ich życie toczy się wyjątkowo płynnie? Że są nakarmieni, zadbani, pod prysznicem zawsze mają szampon, w solniczce sól, a rano w urodziny dostają prezenty? Że gdy tylko dopadnie ich choroba lokomocyjna, natychmiast dostają do ręki tabletki przeciw mdłościom. To wszystko jej zasługa. Jej niewidzialna rola. Warta więcej niż pieprzone szesnaście pięćdziesiąt dolara, które Jane płaci jej za godzinę.

Aiden sprzedaje systemy zabezpieczeń informatycznych instytucjom finansowym i chociaż Blair potrafi wyrzucić z siebie tę zbitkę słów, gdy ktoś spyta, to nie bardzo wie, z czym to się właściwie wiąże. Jego zarobki zależą przede wszystkim od prowizji, co oznacza, że niekiedy zarabia naprawdę nieźle, a innym razem nie ma się z czego cieszyć.

Dlatego muszą zachowywać rozsądek. Aiden narzeka na przychodzące co dwa miesiące wyciągi z kart kredytowych, a ona zaraz wpada w furję. Mówi wtedy: „Chcesz, żeby Chloe chodziła do szkoły w dziurawych spodniach? Umiesz mi w ogóle powiedzieć, ile kosztuje bochenek chleba? Ile wydałeś dzisiaj na lunch w biurze? Myślisz, że chętnie wydałam sto trzydzieści cztery trzydzieści sześć dolara, żeby fachowiec obejrzał zmywarę? A może mam odrzucać wszystkie zaproszenia na urodziny? I mówić, że nie stać nas na prezenty?”.

„Dlaczego zawsze się tak złościysz?”, pyta wtedy ze spokojem, który doprowadza ją do szału.

Teraz sprawdza skrzynkę mejlową.

– Przyszedłeś spędzić tu czas ze mną, czy ze swoim telefonem? – Gdy tylko padają te słowa, jest na siebie wściekła, że to powiedziała.

Przeprasza ją, odkłada telefon na ladę. Dobre intencje, z jakimi przyszedł, chyba powoli go opuszczają. To nic nowego: Aiden chce się z nią podzielić dobrym nastrojem, by na chwilę coś ich połączyło, a jej trudno przyjąć tę ofertę. Ciekawe, kiedy porzuci próby poprawiania jej humoru.

– Sklep wygląda wspaniale. – Rozgląda się, być może po to, by uwolnić się od jej spojrzenia. Może przy niej się denerwuje. Blair znowu myśli o fragmencie foliowego opakowania. Właściwie cały czas o nim pamięta. Aiden w ogóle się zastanawia, czy był wystarczająco ostrożny? Nie obawia się, że ona się dowie?

– Przekażę to Jane. – Ale nie przekaze. Sklep wygląda wspaniale tylko dzięki niej. Szkoda, że to spotkanie nie potoczyło się inaczej. Miała okazję spędzić z nim miłą chwilę, ale ją straciła.

Rozlega się dźwięk dzwonka nad drzwiami, do sklepu wchodzi kobieta mniej więcej w wieku Blair, rozgląda się i rusza w stronę regałów w głębi. Blair chrząka, by ponownie zwrócić na siebie uwagę męża, nie może jednak przestać myśleć o tym, co zaprzętało jej uwagę rano. Serce jej wali.

– Mogę cię o coś spytać?

Kiwa głową, zerkając na zegarek. Cierpliwość już mu się wyczerpała.

– Wróciłeś do domu na noc?

Robi osłupiałą minę. Ale to nie jest mina winowajcy. Na ułamek sekundy Blair oddycha z ulgą.

– Oczywiście. Spałem w pokoju gościnnym. Nie chciałem cię budzić.

Odwraca się twarzą do ściany i wkłada zszywki do zszywacza. Wypowiedzenie na głos tego, co nie daje jej spokoju, nigdy nie przynosi spodziewanej satysfakcji. Zawsze czuje się potem gorzej.

Ciekawe, czy Aiden wyjdzie ze sklepu bez słowa pożegnania. Odwraca się jednak do niego i widzi, jak przygląda się jej z rękami skrzyżowanymi na piersi. Telefon tkwi z powrotem w kieszeni.

– Wiesz, Blair, czasem mam wrażenie, że chcesz, żebym cię rozczarował. Jakbyś chciała znaleźć powód, żeby mnie tak nienawidzić.

Ona go mityguje, żeby trochę zniżył głos, i czuje, że się rumieni. Może mu powiedzieć, że to nieprawda. Może się bronić.

Tyle że w jego słowach tkwi ziarno prawdy. Chciałaby go bardziej lubić, ale coś jej to uniemożliwia. A teraz co dzień rano gapi się na strzępek folii, który jej uświadamia, jaka naprawdę jest słaba.

Chce mu powiedzieć, że jej przykro. Że czuje się niewidzialna. I nieważna. Że nie wie już, jak to jest być przez niego kochaną ani czy w ogóle wystarcza jej być kochaną. Nie wie, jak to naprawić, więc radzi sobie najlepiej jak potrafi.

Kiedy Aiden odwraca się do niej tyłem, nie czuje ulgi, tylko bolesny smutek. Mówi z twarzą zwróconą w stronę drzwi:

– Wrócę na kolację o szóstej, może być?

Tak wygląda koniec? Czy teraz była mu winna więcej? Dlaczego znowu to zrobiła? Kiedyś być może posunie się za daleko. I decyzja, czy zostać w tym małżeństwie, nie będzie już należała do niej.

Przez okno wystawowe patrzy, jak Aiden odchodzi z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w chodnik. Czasem wystarcza jego obecność, by była na siebie wściekła.

Kiedy dwadzieścia minut później przychodzi Jane, mówi jej, że nie czuje się dobrze.

I to prawda. Czuje się bardzo, bardzo źle.

Gdy jest w połowie Harlow Street i patrzy na martwy dom Whitney sąsiadujący po przekątnej z jej domem, postanawia, że musi coś zrobić, by poprawić sobie humor. Jediną rzecz, której obiecywała sobie już nigdy więcej nie robić. To jej jedyna słabość. Uważa, że może jej ulec, że to jej się po prostu należy.

Sięga do torebki po klucze.

ROZDZIAŁ 8

MARA

Widok Blair stojącej przez minutę na końcu podjazdu przed domem Loverlych nasuwa Marze podejrzenie, że nie powinno jej tam być. Zdarzało się już wcześniej, że kiedy nikogo nie było w domu, wchodziła tam, otwierając sobie drzwi zapasowym kluczem.

Dochodzi wpół do dwunastej i Mara nie widziała przed tym domem żywej duszy od wczorajszego wieczoru, gdy zaraz po pracy zatrzymał się tam samochód Whitney, a chwilę wcześniej przestało padać. Przez cały dzień nie rozmawiała z nikim i nikt nie odezwał się do niej, jeżeli nie liczyć gderania Alberta, który narzekał na temperaturę w domu, kwaśny zapach w lodówce, piętnastominutowe spóźnienie śmieciarki. Było jednak coś w rodzaju szumu w tle, jej uszu dochodziły przypadkowe dźwięki. Pomachała do wysiadającej z samochodu Whitney, próbując zwrócić jej uwagę. Z samochodu do drzwi wejściowych prowadziło sześć, może siedem kroków, ale ta kobieta nie odrywała oczu od ekranu swojego głupiego telefonu.

W nocy słyszała różne hałasy, pewnie że tak.

Ale to nic niezwykłego, kiedy się mieszka w mieście.

Równie dobrze mógł to być sen i echa czegoś, co zdarzyło się w przeszłości.

Gdy Mara była dziewczynką, miała sugestywne sny. Przez całą noc przebierała nogami, uciekając przed diabłem. Siostry zatykały sobie uszy wacikami, żeby nie budziło ich jej gadanie. Rano opowiadała im przedziwne historie, jak gdyby wydarzenia ze snów były prawdziwe, a wtedy biegły do matki, by powiedzieć jej, że Mara znowu plecie androny. Zwykle tak rzeczywiście było, ale w miarę jak przybywało jej lat, sny stały się czymś więcej niż tylko wytworem nadpobudliwej wyobraźni.

Gdy miała siedemnaście lat, przyśnił jej się przystojny Albert dzień przed ich pierwszym spotkaniem. A potem pojawił się w jej domu w towarzystwie ojca, fachowca od naprawy lodówek. Albert miał się uczyć od niego zawodu, ale przez całą godzinę stał w korytarzu, oparty ścianę z żółtozieloną tapetą, i gadał jak nakręcony, a Mara siedziała na trzecim stopniu schodów ze skromnie skrzyżowanymi nogami. Widziała, że próbuje ją oczarować. Pierwszy raz w życiu poczuła, że potrafi kogoś onieśmielić. Zauważyła, że na koniec każdego zdania stuka zgiętym palcem w ścianę, czasem raz, czasem dwa razy. Młody człowiek w jej śnie poprzedniej nocy robił dokładnie tak samo. Puk, puk, puk. Przeżyła z nim tę chwilę już wcześniej.

Kiedy obudziła się pewnego ranka, była pewna, że właśnie tej nocy zaszła w ciążę. Ledwie zaczęli się modlić o ten cud, a przez całą noc śniło jej się dziecko pływające w błękitnej głębi jej łona, otoczone białą wyściółką, delikatną i strzępiastą jak warstwa stratusa.

Po kolacji nalała Albertowi drinka i mimochodem rzuciła, że powinien zadzwonić do biura podróży i zarezerwować bilety. Zerwał się od stołu i okręcił ją w ciasnej kuchni. Mara stopami przewróciła stos talerzy z niebieskiego szkła. Postawił ją, osunął się na kolana i płakał w jej fartuch, wilgotny po zmywaniu naczyń, a ona delikatnie masowała mu palcami płatki uszu.

Jak większość znajomych marzących o lepszym życiu, zawsze powtarzali, że wyjadą z Lizbony i poszukają szczęścia w miejscu, które daje więcej możliwości. Mara nalegała. Portugalia nie miała nic oprócz rolnictwa, nie było nowoczesnej gospodarki ani handlu, żadnego przemysłu z szansą na szybki rozwój. Wydawało się, że Lizbona została w tyle, odcięta od prosperity reszty świata, w szponach rządu, który nie chciał żadnych zmian. Widząc nudne życie ojca, Albert nie wyobrażał sobie, że miałby dzień w dzień naprawiać stare urządzenia kuchenne, znalazł więc pracę sprzedawcy sprzętu wędkarskiego i w trzy miesiące wyrobił z nawiązką roczną normę. Mara wiedziała, że gdyby nauczył się angielskiego, mógłby nieźle zarobić jako sprzedawca gdzieś w Ameryce Północnej. Oboje przyglądali się fali zamożnych turystów z innych krajów zalewającej latem plaże. Wiedzieli, że istnieje inne życie.

Wszyscy przekonywali Alberta, żeby najpierw jechał do Ameryki sam, znalazł pracę i nawiązał jakieś kontakty, ale on nigdy nie zostawiłby Mary,

a ona nigdy by mu na to nie pozwoliła. Zamierzali wyjechać jako rodzina. Albert odkładał większość każdej wypłaty, ona ograniczyła zbędne wydatki i prawie co wieczór zastanawiali się, dokąd wyruszyć, ślęcząc nad mapami i książkami z biblioteki. Na Zachodnie Wybrzeże. Albo do Massachusetts. A może do Toronto. Nauczyli się podstawowych zwrotów po angielsku i przepytywali się w trakcie późnych zakrapianych kolacji, które kończyły się w łóżku. Byli gotowi.

– Co powiedział lekarz? Masz dużo odpoczywać? Dziecko, dziecko... – Otarł twarz chusteczką, śmiejąc się z niezwyklej przychylności fortuny.

– Nie byłam jeszcze u lekarza.

– No to skąd wiesz?

– Wczoraj mi się przyśnił.

– Mara! – Odrzucił do tyłu głowę i zasłonił sobie oczy. – Na litość boską, kobieto!

– Zaufaj mi, Albert. – Przycisnęła usta do czubka jego głowy.

Wybrali wielobarwną dzielnicę dużego miasta, gdzie podobno osiedlali się Portugalczycy, czynsz był akurat, a domy trochę podupadłe, ale mówiło się o zmianach, jakie musiały nastąpić wobec takiego napływu nowych rodzin, których członkowie sprowadzali ze sobą rodzeństwo i powinowatych. Przy głównej ulicy otwarto restaurację i sklep rybny. Albert mówił po angielsku na tyle dobrze, że udało mu się zdobyć pracę sprzedawcy automatów do napojów u amerykańskiego dystrybutora i dostał służbowy samochód, lśniącego czerwonego forda. Poprosił Marę, by ich nowym kodakiem zrobiła mu zdjęcie, jak opiera się o maskę, a potem wysłał fotografię swoim rodzicom do kraju. Założył konto w banku i zaczęli oszczędzać na swój pierwszy dom. Nie znosili panującego tu zimna i tęsknili za rodzinami, ale wokół nich zawiązywała się nowa społeczność, powstawały kluby parafialne, była piekarnia, przed którą w soboty ustawiała się kolejka, na werandzie znajdowali numer „Correio Português”. Mara chętnie szukała okazji, by rozmawiać po angielsku, była dumna, że uczyła się tego języka, chociaż w nowej dzielnicy rzadko był jej potrzebny.

Wszystko układało się po ich myśli, dopóki nie nadszedł dziewiąty miesiąc, kiedy Mara miała pierwszy sugestywny sen, odkąd zaszła w ciążę.

Wiedziała, że dziecko pod jakimś względem będzie inne niż wszystkie.

Gdy dwa tygodnie później wydała na świat syna, a Albert nerwowo chodził po korytarzu, zamknęła oczy i słuchała ciszy. Ogłuszającej ciszy. Ale wreszcie wrzasnął. Rozpaczliwie i zdrowo.

– Proszę, jaki piękny chłopczyk – zadudnił głos lekarza, który próbował przekrzyczeć przeraźliwy płacz noworodka.

Uniosła głowę, by poszukać wzrokiem syna, ale był już opatulony w rękach pielęgniarek. Żeby się upewnić, musiała zobaczyć go na własne oczy. Później, gdy zrobiła awanturę, zawieźli ją korytarzem do sali noworodków, do jego miejsca w rzędach plastikowych łóżeczek. Wolno rozwinęła kocyk. Położyła dłoń na różowej piersi i podziękowała Bogu. Czowała, że jest w nim coś wyjątkowego.

Albert z dumą zabierał Marcusa do kościoła na rogu, chwalił się nim w każdą niedzielę, jak gdyby nikt wcześniej nie widział żadnego niemowlęcia. Przykładał słuchawkę telefonu do uszka dziecka, kiedy dzwoniли dziadkowie, żeby śpiewać wnukowi. Marcus był najweselszy, gdy Albert trzymał go nad głową i śmigał z nim po całym pokoju. Szczęśliwy tata kupił z drugiej ręki stylowy model starego samolotu i zawiesił na żyłce u sufitu w pokoju dzieciennym.

– Zostanie pilotem, Mara. Mogę się założyć o wszystko.

Ważne miesiące w życiu dziecka minęły bez przygód, więc lekarz lekceważył niepokoje Mary, które wyraziła podczas bilansu trzylatka. Marcus coraz mniej mówił do osób w swoim otoczeniu – z wyjątkiem matki. Bał się innych dzieci w piaskownicy. Zasłaniał sobie uszy, kiedy przejeżdżały samochody dostawcze, gdy trzasnęły jakieś drzwi. Nie chciał jeść niczego mokrego.

– To indywidualna kwestia, pani Alvaro. Nic więcej. Każde dziecko ma swoje fanaberie, niektóre są po prostu wrażliwsze od innych. Niech go pani mniej broni przed bodźcami, to się zahartuje. – Mówiąc to, doktor otworzył drzwi gabinetu. – I proszę spróbować się przy nim bardziej odprężyć. Dzieci wyczuwają zdenerwowanie matki.

Jak gdyby to była jej wina.

Miał z tego wszystkiego wyrosnąć.

Pewnego wieczoru, gdy pocałowała Marcusa na dobranoc, zdobyła się na odwagę, by spytać Alberta, czy kiedykolwiek martwi się o synka. Czy nie wydaje mu się niepokojące, że nie odzywa się do nikogo prócz niej. Że ma

tyle lęków. I jest taki wycofany. Albert niewiele wiedział o dzieciach, ale w kościele inne maluchy w wieku Marcusa wspinały się na ławki w ostatnich rzędach. Rodzice musieli je uciszać podczas mszy i krzyczeć, żeby się zatrzymały, gdy pędziły przez łukowe wyjście w stronę ulicy. Albert na pewno zauważył, że ich syn kulił się na kolanach Mary i wtulał twarz w jej szyję, ilekroć ktoś się do niego odezwał.

Marcus w ogóle nie siadał na kolanach Albertowi.

Chciała pieniędzy, by zabrać chłopca do specjalisty. Mówiąc o tym głośno mężowi, miała mdłości. Zanim odpowiedział, wiedziała już, że jego zdaniem przedstawiła swoje obawy w zbyt oficjalny sposób. Trudno było zignorować objawy. Chciał widzieć w ich synu najjaśniejszy punkt życia, na który tak ciężko pracował, a ona mówiła mu teraz, używając słów, których nie mogła cofnąć: nasz syn nie jest takim dzieckiem.

Wyszedł z pokoju zapalić papierosa i w ciemności podlać ich niewielki ogródek za domem. Razem obsadzili go tej wiosny, a syn przyglądał im się w milczeniu z cienia pod parasolem, niezainteresowany ziemią, robakami, plastikowymi pojemnikami z cebulkami roślin. Właśnie kupili parterowy dom przy Harlow Street, budynek z cegły w kolorze cynamonowym, stojący na wąskiej działce, którą Albert mógł pokonać wszcz w siedmiu krokach. Nad wejściem i oknami od frontu zamontował aluminiowe markizy w żółte i kremowe pasy. Niskie ogrodzenie z kutego żelaza przed domem pomalował nieskazitelnie białą farbą i starannie pielęgnował nową darń. Tamtego wieczoru patrzyła na niego z okna sypialni, gdy w jednej ręce trzymał wąż ogrodowy, a drugą ocierał policzki. Widziała, jak trzęsą mu się ramiona.

Wszędzie zabierała ze sobą Marcusa. Czasem chował się pod siedzeniem w samochodzie i nie chciał wysiąść. Kiedy indziej trzymał się całkiem nieźle, dopóki nie rozległ się głośny szcęk albo gdy fryzjerka w salonie nie pochyliła się, by poczęstować go lizakiem. Wtedy sztywniał i patrzył jak dzikie zwierzę. Nieśmiały – tak mówili o nim wszyscy.

Kiedy skończył pięć lat, już tylko do niej szeptał.

Uwielbiała czuć na uchu ciepło jego oddechu, słyszeć szum powietrza między jego zębami.

– Powiedz mamusi, dlaczego nie chcesz rozmawiać z nikim innym? Czego się boisz?

– Jakbym przez cały dzień był na scenie. – Wisiał jej na plecach, uczepony jej ramion, zawsze blisko niej.

– Na scenie? Co to znaczy?

– Jakby wszyscy oglądali mnie w teatrze. Ale ja nie pamiętam, co ma być dalej. – Znowu ten gorący oddech. – I będą się ze mnie śmiali.

Zdumiewał ją inteligencją, mówił płynnie po portugalsku i angielsku, radził sobie z układankami dla dorosłych i zapamiętywał każde państwo na mapie. Cicho czytał na kolanach Mary, gdy Alberta nie było w domu i nie mógł go usłyszeć, ale szkoła stanowiła trudne wyzwanie. Często lęk okazywał się za silny, by Marcusowi udawało się wytrwać cały dzień. Bóle brzucha i biegunki doprowadziły do jednego wypadku za dużo. Dzieci były okrutne.

Postanowiła, że będzie go uczyła sama w domu.

Stał się z nią bardziej związany niż większość dzieci ze swoimi matkami, chociaż Mara nie miała z czym porównać ich niezwyklej więzi. Nigdy nie pragnęła, by nie plątał się jej pod nogami, nigdy go nie odganiała, nawet gdy się kąpała albo korzystała z toalety. Stał się dla niej jak dodatkowa warstwa skóry. Nie uśmiechał się przy nikim innym prócz niej, ale wiedziała, że jest szczęśliwy. Był szczęśliwy przy niej.

Wiosną, gdy skończył siedem lat, Albert zostawał w pracy do późna prawie każdego dnia w tygodniu. Wracał do domu, gdy syn już dawno spał, a wstawał na długo przed nim. W weekendy najczęściej zajmował się czymś poza domem. Mara trzymała w kuchennej szufladzie kalendarz, w którym zaznaczała znakiem X te dni, kiedy Albert w ogóle nie widział syna. Gdy cały miesiąc wypełniły zamasyście skreślone czarne krzyżyki, najpierw sprawdziła, czy syn śpi, a potem wmaszerowała do salonu. Rąbnęła pięścią w pokrętko na telewizorze i rzuciła mężowi na kolana kalendarz.

– Cztery tygodnie. Przez całe cztery tygodnie ani razu go nie widziałeś. To twój największy dar od życia, a ty nic o nim nie będziesz wiedział.

Patrzył na ekran ponad jej ramieniem. Nieporuszony jak głaz.

– Co się w tobie zmieniło, Albert? Kto ci dał prawo do takiego niezadowolenia?

Jego spokój doprowadzał ją do szału. Potrafił z taką łatwością wszystko ignorować. Ich pięknego syna. Ich okrzepłe małżeństwo. Niebezpieczne miejsce, do którego wyjechali. Tu nie miała żadnego wyboru, nie miała

pieniędzy, rodziny, innych możliwości. Nawet nie mrugnął. Zastanawiała się, gdzie błądzi myślami, jak się nauczył tak po prostu znikać z pokoju. Ona nigdy nie mogła sobie pozwolić na chwilę słabości, ani na moment w ciągu dnia. Nigdy nie była nieobecna duchem. Dla nich, z nimi, wbrew nim.

– Nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię uważałam.

Teraz Mara obserwuje dom Loverlych.

– Co ty tam jeszcze robisz? – Albert przytrzymuje uchylone drzwi z siatką. Jest w swoim bordowym szlafroku frotté, przesiąkniętym zapachem tłuszczu.

– Nic. – Daje mu znak, żeby nie stał w drzwiach i zrobił jej miejsce. Zaskakuje ją widok kielbaski na talerzu. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie zjadł śniadania.

– Nie jesteś dzisiaj głodny?

– Chyba nie – odpowiada, idąc w stronę sypialni.

Mara sprząta z blatu w kuchni, stawia w zlewie jego talerz, moczy patelnię. Wie, że Albert będzie chciał jeszcze kawy, więc wyrzuca rozmiękły filtr i wkłada nowy. Wsypuje zmielone ziarna z blaszanej puszki. Napełnia wodą zbiornik z tyłu. Czeka na bulgot; ekspres nie zawsze działa jak trzeba, ma chyba ze dwadzieścia lat, ale Albert nie chce kupić nowego, dopóki nie będzie pewien, że to przeklęte urządzenie zepsuło się na amen. Próbuje sobie przypomnieć, co zamierzała zrobić tego ranka. Pranie. Pozbierać papierowe samoloty z krzaków za domem, bo jest czwartek.

Albert wchodzi do kuchni, zapinając koszulę palcami przypominającymi kielbaski. Już nie potrafi zacisnąć spuchniętych dłoni w pięści.

– Nastawiłam kawę – informuje go. – Chodź tu, dokończę.

Prycha kpiąco, ale pozwala jej zapiąć dwa ostatnie guziki, choć odwraca wzrok. Od kilkudziesięciu lat nie patrzy na siebie – w każdym razie nie tak jak kiedyś. Mara zastanawia się, czy może Albert za dużo widzi w jej oczach, które dawno temu zmatowiały. A może widzi za mało. Czy ich życie miało być bogatsze? Czy on też czasem płacze z tego powodu? Przygładza włosy na czubku głowy, odchrząkuje flegmę z gardła. Masuje sobie klatkę piersiową. Wkłada koszulę do spodni i siada przy kuchennym stole.

– Gdzie jest?

Mara przysuwa jego pusty kubek w stronę ekspresu na blacie, wskazuje śmietankę na stole i schodzi do suterenu.

ROZDZIAŁ 9

BLAIR

Podchodząc do drzwi domu Whitney, drugi raz sprawdza godzinę. Jeszcze nie ma dwunastej. Przyjaciółka wciąż się do niej nie odezwała, ale ona wie, że Sebastian i Thea zwykle w czwartki są z Louisą na zajęciach w bibliotece. Louisa co miesiąc wywiesza w kuchni harmonogram dla całej rodziny i Blair ma zwyczaj ukradkiem go fotografować.

Dzięki ogromnym oknom od frontu i przestrzeni na planie otwartym może zwykle zobaczyć ze swojego salonu wewnątrz ich domu na przestrzał, a nawet ogród na tyłach. Przynajmniej do południa, bo potem w blasku słońca widzi tylko odbicie własnego sfatygowanego domu.

Czasami w weekendy przygląda się Jacobowi, który przy szerokiej wypisie w kuchni przygotowuje śniadanie. Spodnie dresowe wiszą mu nisko na biodrach. Obserwowała kiedyś, jak Whitney objęła jego nagie ramiona i skubała owoce, które trzymał w palcach. Raz wsunęła mu dłoń do spodni z przodu. Jacob odłożył łypatkę, a ona pieściła go parę centymetrów od rozgrzanej blachy, podczas gdy dzieci w pokoju oglądały telewizję.

Po jej stronie Harlow Street takie rzeczy się nie zdarzają. Bliskość Whitney boleśnie uświadamia jej tę różnicę. Blair i Aiden mieszkają w ciasnym, przypominającym patchwork, wąskim domku, który mieli wyremontować już pięć lat temu. Jej mąż nie wie, gdzie jest gofrownica. Blair w życiu nie przyszło do głowy dotykać go w kuchni. W ogóle nie przychodzi jej to do głowy.

Nie marzy jednak o całym życiu Whitney. Nie chciałaby, żeby praca pochłaniała tyle jej czasu i odbierała ją córce, nie chciałaby ciągle być rozkojarzona. Szukać równowagi, którą tak trudno osiągnąć każdej kobiecie. Wydaje się, że Whitney nawet nie bierze pod uwagę życia w równowadze.

Mimo to Blair jej zazdrości. Chce postrzegać siebie tak samo jak Whitney, chce wiedzieć, jak to jest być jedną z kobiet, które osiągnęły taką pozycję. Odczuwać satysfakcję z właściwie dokonanych wyborów życiowych.

Dostała zapasowy klucz na wypadek sytuacji awaryjnych.

Nigdy jednak nie dochodziło do żadnych sytuacji awaryjnych.

Wchodzi do środka i wstukuje kod rozbrajający system alarmowy. Przekręca za sobą zamek w drzwiach i stoi w śnieżnobiałym korytarzu. Na drucikach jak w galerii wisi nad nią gigantyczny obraz, abstrakcja. Kłębowisko zgaszonych akryli w kolorze błota wydaje się jej równie interesujące jak wymiociny, choć udaje, że jest inaczej. Wciąga nosem powietrze. W domu wyczuwa się sztucznie wyprodukowaną świeżość, to jak zapach nowego auta w salonie samochodowym, czegoś dopiero co rozpakowanego.

Zsuwa buty i rusza w stronę nieskazitelnie czystej kuchni, gdzie lśnią szerokie blaty z czarnego marmuru, wiszą szafki bez gałek, a szuflady zamykają się zupełnie bezgłośnie. Każdy przedmiot jest na swoim miejscu. Na blacie nie stoi żaden dziecięcy kubeczek. W zlewie nie wała się żadna łyżeczka. Błyszczących powierzchni nie szpeci ani jeden odcisk palca umazanego masłem orzechowym. Louisa pewnie zdążyła już posprzątać po śniadaniu. Z ceramicznego walca na wyspie unosi się aromat mięty i cytrusów. Louisa na boku sprzedaje olejki eteryczne. Whitney twierdzi, że boli ją od nich głowa.

Obok dyfuzora leży równiutki plik wczorajszej poczty. Blair przerzuca koperty. Wyciąg z karty kredytowej, do którego chętnie by zajrzała. Czasem zabiera je do domu, licząc na to, że i tak nikt ich nie czyta. Potwierdzenie polisy z firmy ubezpieczeniowej. I kartka pocztowa z zaproszeniem na promocję w domu towarowym, gdzie Blair może tylko oglądać wystawy.

Pociąga za stalowy uchwyt zabudowanej lodówki. Louisa robi zakupy w środy wieczorem. Zawartość półek jest uporządkowana według rodzaju produktów, potem rozmiarów opakowań i daty ważności. Wyjmuje z szuflady zielone jabłko i nadgryza trzy kwaśne kęsy. Resztę wrzuca do pojemnika na bioodpady, zwraca uwagę, że jest pusty – nie ma w nim resztek rozmiękłych płatków śniadaniowych ani szypulek truskawek. Jak gdyby dzieci zupełnie nic rano nie jadły.

Rzuca okiem na wbudowane biurko obok spiżarni. Ma to być miejsce, gdzie dzieci odrabiają lekcje, chociaż nigdy nie widziała siedzącego przy nim Xaviera. Na blacie stoi kubek nowych kredek dla bliźniaków. Blair porusza myszką i czarny ekran komputera ustępuje miejsca okienku do wpisania hasła. Kilka tygodni temu udzieliła Whitney pewnej rady i natychmiast tego pożałowała.

„Przy okazji, masz zabezpieczone wszystkie komputery i urządzenia? I włączoną kontrolę rodzicielską? Są już w takim wieku, że w internecie mogą znaleźć wszystko”.

Często wspomina o sprawach, o których Whitney nawet nie pomyśli. O środkach bezpieczeństwa stosowanych tylko przez troskliwe matki. Whitney nie marnuje energii i nie dręczy się przewidywaniem najgorszego.

Czuje się zawiedziona, że nie może zerknąć do historii przeglądania ani otworzyć prywatnych mejli przyjaciółki. Dobrze jest zobaczyć, co trzyma z dala od służbowego konta, które prowadzi jej asystentka. Raz znalazła potwierdzenie operacji korekty biustu, o której Whitney nie powiedziała jej ani słowa. Najwięcej przyjemności sprawia jej jednak korespondencja z koleżankami. Wiadomości są pisane w pośpiechu, płytkie. Te kobiety mogą tylko marzyć o uwadze i czasie, jakie Whitney ofiarowuje Blair.

Przychodzi tu od ponad roku, co parę miesięcy. Za każdym razem przystaje u dołu schodów w świetle wpadającym przez świetlik w dachu i zadaje sobie pytanie: co zrobi, jeżeli ją przyłapią? Jeżeli ktoś zobaczy ją przez jedno z tych panoramicznych okien, a później spyta o to Whitney? Kilka razy, gdy przechodziła na drugą stronę ulicy, śledziły ją oczy Mary.

Ma przygotowany zestaw odpowiedzi.

Bardzo chciałam siusiu, a drzwi do mojego domu się zatrasnęły.

Myślałam, że wczoraj zostawiłam telefon u ciebie w kuchni.

Mogłabym przysiąc, że słyszałam wasz czujnik dymu.

Wszystkie brzmiały wiarygodnie.

Nie zawsze wchodzi na drugie piętro, gdzie są pokoje Xaviera i Sebastiana. Nie ma tam nic ciekawego, a najbardziej na sumieniu ciąży jej myszkowanie w dziecięcych sypialniach. Dzisiaj jednak, ze względu na poranną sytuację, jest szczególnie zaintrygowana. Najpierw otwiera drzwi Xaviera. Od razu uderza ją dziwna fala chłodu. Okno jest otwarte. Omal nie wchodzi w coś ciemnego, co rozlało się na deskach podłogi. Po zapachu poznaje, że to kawa. Płyn rozbryznął się też na drzwiach i fragmencie

ściany. Białe ucho odłamało się od kubka po wylądowaniu na podłodze. Coraz bardziej zdenerwowana wyobraża sobie, jak wielka złość kazała Whitney cisnąć kawą przez cały pokój. Na podłodze leżą też rzucone byle jak kołdra i poduszka. Wszędzie walają się kartki, ołówki i pisaki, obok pusty portfel. Przy nocnym stoliku piętrzy się sterta złożonych z papieru samolotów. Po chwili jej wzrok przyciąga coś ciemnego – czarne gryzmoły na białej ścianie. Farba. A może tusz. Pokój nagle wydaje się straszny. Jak gdyby oglądała coś, czego nie powinna.

Tego właśnie nie znosi w swojej przyjaciółce – niezadowolenia z dzieci, chociaż wie, że w jej obecności Whitney stara się hamować. Przykro jest słuchać ostrego jak brzytwa tonu, jakim się do nich zwraca, przykro patrzeć na jej frustrację. Widzieć w ich oczach rozgoryczenie, jakie w nich budzi. Blair czuje, jak jej samej serce bije szybciej, gdy Xavier albo bliźniaki wymykają się spod kontroli, jak to dzieci – przypływ energii, kakofonia głosów, wrzask, a potem płacz i wzajemne obwinianie się. Wtedy Whitney wstaje, łapie dziecko za rękę i prowadzi do drugiego pokoju z siłą, jakiej Blair nigdy by nie użyła. Nie podoba jej się, że Chloe jest świadkiem takich scen, gdy przychodzi się tu bawić; cieszy się, że najczęściej na miejscu jest bufor w postaci Louisy.

No i oczywiście pamięta, co się zdarzyło podczas przyjęcia w ogrodzie we wrześniu.

Poranek był taki dziwny, że zastanawia się, czy nie powinna stąd wyjść. Przystaje jednak na pierwszym piętrze przed sypialnią Whitney i Jacoba. Uchyła drzwi, oszołomiona świadomością, że robi coś, czego nie powinna.

Przesuwa palcem po stalowoszarej tapecie z juty. Biała pościel jest starannie podwinięta w nogach łóżka, ale miejsce, na którym spała Whitney, nadal jest wygniecione. To rzadkość – słyszała, jak Louisa mówiła, że zawsze zaczyna sprzątanie od sypialni. Wygląda poszwę i jak zwykle zachwyca się jej jedwabistym dotykiem. Obrzuca pokój badawczym spojrzeniem, nic więcej nie narusza idealnego porządku.

W garderobie ubrania wiszą na drewnianych wieszakach rozmieszczonych w równych odległościach. Whitney ma zbyt dużo strojów, by można się domyślić, w co jest dziś ubrana. Blair muska dłonią poły wełnianych żakietów i rąbki eleganckich sukienek. Kaszmirowe szale leżą złożone równiutko, białe rzeczy na półkach wyglądają jak jeden z gradientów między odcieniami barw w palecie próbek farb.

Ulubiona rzecz Blair zsunęła się z wieszaka i leży na podłodze. Krótki jedwabny szlafroczek z granatową koronką w kwiecisty wzór; o kupnie czegoś takiego nigdy w życiu by nie pomyślała. Wkłada go na swoją bawełnianą bluzkę i legginsy, ściąga paskiem.

W lustrze widzi karykaturę. Whitney w wieku czterdziestu lat wygląda świetnie, mimo że cztery lata temu urodziła bliźniaki. Nosi ubrania, które eksponują plecy, długie i szczupłe nogi, gładką, nieskazitelną skórę. W porównaniu z nią Blair czuje się jak małolata. Ma piegi, które bynajmniej nie dodają jej uroku. Jej ramiona kojarzą się z dmuchanymi rękawkami do pływania, w których brakuje powietrza. Kiedy są razem, Blair trudno oderwać oczy od idealnej Whitney, zwłaszcza gdy przyjaciółka odwraca głowę w inną stronę. Stała się specjalistką od błyskawicznego, łapczywego pochłaniania jej wzrokiem.

Odwiesza szlafrok.

Jacob ma rzeczy w sportowym stylu, jednokolorowe, mało zróżnicowane. Jego koszule zajmują węższy koniec garderoby, dzielą miejsce z torebkami Whitney. Blair unosi do policzka jego czarną bluzę z grubej bawełny. Dotykając jego ubrań, czuje większy niepokój niż w przypadku rzeczy Whitney. Nie sądzi, by pociąg do niego był czymś niestosownym, zważywszy na to, co poczułaby większość kobiet na widok Jacoba. Ale najbardziej pociągające wydają się u niego szczegóły, których inni nie zauważają od razu. Na przykład zarost dwa dni po goleniu, podkreślający linię podbródka. Subtelny dołeczek w policzku, tylko lewym. Milczenie, które świadczy o tym, że woli myśleć, niż mówić.

Odurza ją świadomość, że zdradza i męża, i najlepszą przyjaciółkę, kiedy dotyka rzeczy Jacoba. Wyjmuje z szuflady jego białe slipki i wyobraża sobie jego erekcję wypełniającą obwisłą kieszonkę z lycry. Kropelkę wilgoci, którą zostawiłby na tkaninie. Jej wzrok pada na wiklinowy kosz przeznaczony na brudną bieliznę. Ale Louisa zrobiła pranie.

Otwiera górną szufladę po stronie Whitney. Biustonosze są sztywne i czyste. Kształt wciąż jest idealny, ramiączka napięte. Kładzie dłoń na miseczce, jak gdyby trzymała pierś Whitney.

W drugiej szufladzie leżą majteczki złożone w maleńkie kwadraciki, które tworzą coś w rodzaju bombonierki z kostek czarnego jedwabiu. Blair myśli o bieliźnie, którą ma pod legginsami. Zmechaconej, kiedyś białej.

Wsufa dłoń w głąb trzeciej szuflady, pod drogie apaszki i rajstopy. Wyjmuje miękki niebieski woreczek na buty z dwoma wibratorami w środku. Pierwszy jest mały, sztywny i czerwony, włącza się go jednym przyciskiem, a drugi plastyczny, z ustawianą prędkością i częstotliwością. Blair po kolei przysuwa obydwie do nosa. Czasem na aksamitnie gładkiej gumie pozostaje zapach Whitney. Czasem czuje tylko rozmarynowe mydło z przylegającej do sypialni łazienki.

Patrzy na większy vibrator i wyobraża sobie, jak Whitney wypręża plecy w łuk, wsuwając go w siebie. Leży w ich ogromnym łóżku, a Jacob przygląda jej się z szeszlona na drugim końcu pokoju. Wie, że lubią to robić. Whitney wyznała jej to latem zeszłego roku, pod koniec drugiej butelki wina. Blair była zachwycona, że poznała jej sekret, i ilekroć widziała ich razem, zawsze przypominała sobie ten smakowity szczegół. Liczyła na więcej równie pikantnych opowieści o ich życiu seksualnym, ale gdy ostatnio schodziły na ten temat, rozmowa zamierała, jak gdyby Whitney zdawała sobie sprawę, że powiedziała wcześniej za dużo, chociaż to Blair jest z natury bardziej pruderyjna. Seks z Aidenem to dla niej akt, do którego już nie potrafi się zmusić. Ale tu, w sypialni Whitney, podniecenie przychodzi jej bez trudu. Gładzi kciukiem atłasową gumę większego wibratora, po czym chowa go z powrotem do woreczka.

Następnie otwiera szufladę, w której przyjaciółka przechowuje mniej skromną bieliznę. Bierze z niej granatowe body z koronki, tworzące komplet ze szlafroczkim, który chwilę wcześniej przymierzała. Zauważa, że tkanina ma rozcięcie w kroku. Wkłada w nie palce, wyobraża sobie, jak to samo robi Jacob, i czuje ogarniające ją ciepło. Rozbiera się, zanim zdąży zmienić zdanie. Wsuwa nogi do body, nakłada ramiączka. Wysoko wycięty dół jest za ciasny, a jej piersi za drobne, by wypełnić usztywnione fiszbinami miseczki.

Kładzie się na końcu łóżka i sięga do otworu w koronce. Nie pamięta, kiedy ostatni raz czuła coś podobnego. Nieczęsto się dotyka. Teraz jednak myśli o Jacobie i Whitney razem z nią w sypialni. O Whitney, która patrzy, jak Jacob przysuwa się do Blair. Sami ją zaprosili, chcieli, żeby to dla nich zrobiła. Zasługuje na nich. Budzi w nich pożądanie. Jacob w nią wchodzi.

Parę sekund później prostuje się i wyciąga na wznak. Patrzy w żyrandol z dmuchanego szkła. Śmiałość opuszcza ją znacznie szybciej, niż się pojawiła. Zdejmuje body i starannie układa je z powrotem w szufladzie.

Kiedy myje ręce w łazience obok sypialni, czując pod stopami ciepły marmur, lustro przed nią przypomina jej, co naprawdę zobaczyłby Jacob. Odwraca się od swojego odbicia i poziom endorfin spada do zera. Nigdy nie pozwoliłaby innemu mężczyźnie włożyć palców tam, gdzie przed chwilą były jej własne. Nie pozwoliłaby mu też wtulić twarzy w gąszcz swoich sztywnych włosów i między luźne fałdy skóry. Nawet pocałunek wydaje jej się odrażający. Nie ma pojęcia, kiedy zaszła ta zmiana.

Blair otwiera szafkę za lustrem i przegląda naczynka z grubego zielonego szkła z produktami do pielęgnacji skóry. Regenerujący płyn do demakijażu. Odbudowujące mleczko nawilżające. Wzmacniający krem pod oczy. Rozświetlające i wygładzające skórę serum. Odmładzająca glina do twarzy. Ujędrniający balsam do ciała. Rewitalizujący olejek do ciała.

Bierze opakowanie tabletek antykoncepcyjnych. W całym miesiącu są przegródki z nierozrwaną folią. Kilka tygodni temu wygadała się i przez nieostrożność wspomniała o nich Whitney. W rozmowie pojawił się temat wazektomii. Jacob nigdy by się nie zgodził na taki zabieg.

„Nie boisz się, że zapomnisz wziąć tabletkę?”

Whitney spojrzała na nią z zaciekawieniem. Nigdy nie mówiła Blair, że łyka pigułki.

„Biorę je od tak dawna, że jeszcze nigdy nie zapomniałam”, brzmiała odpowiedź.

Blair odkłada opakowanie na półkę.

Globulki przeciwgrzybicze. Maść przeciwgrzybicza. Dezodorant bez aluminium. Pasta do zębów z wrażliwym szkliwem. Szpulka miętowej nici dentystycznej. Krem na hemoroidy. Krem wygładzający do włosów.

Przezroczysta pomarańczowa fiolka z odklejoną etykietą. Zdejmuje białą zatyczkę i wysypuje tabletki na dłoń, by je policzyć. Zostało tylko sześć. Kiedy odwiedziła dom ostatnim razem, prawie dwa miesiące temu, w fiolce były dwadzieścia trzy pigułki. Lubi wiedzieć, jak często Whitney ich potrzebuje, choć nigdy nie wspominała, że przepisano jej ten środek. Blair poszukała tych pięciokątnych tabletek w internecie i ustaliła, że to ativan. Na stany lękowe. Bezsenna. Problemy ze snem.

Spuszcza wzrok na marmurowe płytki pod stopami. Przypomina sobie kawę rozlaną na podłodze u Xaviera. Czy ostatnio z Whitney działo się coś dziwnego? Czego mogła nie zauważyć? Próbuje przypomnieć sobie kilka

ostatnich spotkań, gdy były razem z dziećmi. Nie widywały się tak często jak wcześniej, bo Whitney miała różne biznesowe kolacje i koktajle.

Patrzy na miseczkę z biżuterią, którą sąsiadka nosi najczęściej, i ze zdziwieniem widzi między małymi prostokątnymi kamieniami jej pierścionek z brylantem o szmaragdowym szlifie oraz grubą złotą obrączkę. Prawie nigdy ich nie zdejmuje, nawet gdy idzie spać. Blair wsuwa je na palec serdeczny prawej dłoni, ale nie może przesunąć ich przez staw.

Wybiera zatem bransoletkę wysadzaną brylancikami. Zakłada ją na przegub i ogląda pod różnymi kątami, jak potencjalny kupiec przed ladą u jubilera. Robi to za każdym razem. Odprawia ten rytuał nie po to, by podziwiać klejnoty, ale by poczuć się inną kobietą. Taką, która ma na tyle pewności siebie, aby nosić drogie rzeczy. Która może kupować drogie rzeczy. Upuszcza bransoletkę do miseczki bez cienia delikatności, z jaką ją wzięła.

Ubiera się i bierze swój telefon ze stolika nocnego Whitney. Sprawdza godzinę na ekranie. Uświadamia sobie, że niedługo wróci Louisa.

Zapomniała jednak zajrzeć do jednego miejsca. Siada na łóżku i wysuwa szufladę spod stolika. Słuchawki. Perfumowana mgiełka do pościeli. Kopytko do odsuwania skórek. To co zwykle. Rozkłada kartkę urodzinową od dzieci, zrobioną przez Louise. Xavier podpisał się, zamiast kropki nad „i” rysując serduszko.

Odkłada kartkę i wsuwa dłoń głębiej do szuflady, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyła. Wyczuwa przedmiot, którego ostatnim razem nie było. Wysuwa go bliżej przodu. To mały woreczek z różowego atłasu, w którym tkwi jakiś chłodny metalowy przedmiot. Otwiera torebkę, wytrząsa go na dłoń.

Klucz. Odwraca przywieszkę na srebrnym kółku i nagle ją poznaje. Breloczek należy do męża Blair. Ma wytłoczone na skórze inicjały. A. P.

ROZDZIAŁ 10

WHITNEY

SZPITAL

Whitney siedzi przy szpitalnym łóżku i stara się obliczyć, który to dzień życia Xaviera. Po długim dodawaniu w pamięci uzyskuje wynik trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt. Lubi odprężenie, jakie daje matematyka. Powtarza sobie w kółko tę liczbę, żeby nie zapomnieć: trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt dni. Ile razy czuła na sobie jego ciężar – na biodrze, na rękach, na plecach? Trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt dni. Ile razy powiedziała mu, że go kocha? Ta liczba wydaje się ważna. Na nagrobkach zamiast dat powinna być wyryta liczba przeżytych dni, myśli, daty nic nie znaczą. Zaraz jednak otrząsa się z wizji mokrego, szarego granitu; to przecież zdrada. Szeptem powtarza liczbę. Chce teraz odliczyć każdy dzień po kolei. Poczuć w ustach ciężar trzech tysięcy sześciuset osiemdziesięciu.

Jeden. Dwa. Trzy...

Dwa dni po narodzinach przywieźli Xaviera ze szpitala do domu, przypiętego w wymoszczonym foteliku samochodowym, obchodząc się z nim tak ostrożnie, jakby był ostrą amunicją. Jacob chciał, żeby Whitney spędziła pierwszy dzień z noworodkiem w łóżku.

– Nic mi nie jest. Urodziłam dziecko, nie przeszłam operacji na otwartym sercu.

Mimo to się upierał. Przyniósł jej kawę, grzanekę i tabletkę advilu, a potem szeroko otworzył okna, by wpuścić do pokoju wczesnowiosenne słońce.

Owinął chłopca kocykiem, nie tyle zamykając go w kokonie, ile opakowując jak paczkę, i delikatnie położył obok niej, a sam rozciągnął się na drugiej połowie łóżka. Dziecko leżało między nimi pod ich badawczym wzrokiem jak przedstawiciel rzadkiego gatunku. Wpatrywali się w synka,

podparci na łokciach. Chłopczyk ziewnął delikatnie, a ich oczy błyskawicznie się spotkały. Ziewnął! Dotknęła jego zlepionych włosów, zawiniętych czubków uszu. Jacob wyszedł, żeby przynieść jej szklanek wody. Kiedy wrócił, czuła się niepoczyszona i nie wiedziała dlaczego. Ujął w dłonie jej twarz, kciukami masował skronie. Podał jej chusteczkę i skinął głową, chociaż nie powiedziała do niego ani słowa. Oboje wiedzieli, że wszystko się zmieniło.

Kiedy przestała płakać – równie szybko, jak zaczęła – poszedł robić zakupy na kolację. Przypomniała sobie wtedy o mejlu od szefa, na który nie zdążyła odpowiedzieć przed wyjazdem do szpitala. Zaczęła rodzić dwa i pół tygodnia przed terminem i jeszcze nie doprowadziła do końca wszystkich spraw, a obiecano jej, że nikt nie będzie jej zastępował. Była dyrektorką w branży doradztwa personalnego. Z perspektywą – w czasie ośmiu do dwunastu miesięcy – rozmowy o wejściu do spółki, taki miała plan. Gdyby nie wypalił, zamierzała założyć coś własnego.

Wiedziała jednak, na czym to wszystko polega, dlatego wołała nie robić sobie zbyt długiej przerwy. Nie chciała siedzieć z założonymi rękami przez kilka miesięcy, obawiając się, że właśnie ktoś zajmuje jej miejsce i zabiera klientów. Czułaby się spokojniejsza, nie wypadając z obiegu, wiedząc, że nie traci pozycji. Potrafiłaby pilnować wszystkiego zdalnie, dopóki po kilku tygodniach nie byłaby gotowa wrócić do biura. Zaczęli z Jacobem rozmawiać z kandydatkami na opiekunkę, ale nie znaleźli jeszcze odpowiedniej osoby. Koleżanki, które miały już dzieci, twierdziły, że jej projekt jest nierealistyczny. „Jasne, wszystkie myślałyśmy, że szybko wrócimy do pracy”. Słyszała ten refren niemal z taką samą częstotliwością co zdanie: „Ależ niespodzianka, nie przypuszczałam, że chcesz mieć dzieci”.

Ona też bardzo długo nie przypuszczała. Ale ledwie przekroczyła trzydziestkę, a zaczęła odnosić wrażenie, że prawie każda kobieta z jej otoczenia jest w ciąży. Nawet koleżanki, które solidarnie trwały w bezdzietności. Każda z nich uważała nowo narodzone dziecko za swoje osiągnięcie i Whitney dziwiła się, że traktują macierzyństwo w ten sposób. Nagle zaczęły patrzeć na nią z góry. Mniej więcej wtedy poczuła presję.

Poza tym nie chciała żałować, że nie urodziła dziecka. Patrząc na sprawę z takiego punktu widzenia, bez trudu podjęła decyzję. A Jacob oczywiście chciał tego, co ona.

Zwlokła się z łóżka i z torby ze szpitala wyjęła telefon. Bateria się wyczerpała. Znalazła ładowarkę. Kucając, by podłączyć ją do gniazdka przy łóżku, skrzywiła się z bólu i poczuła, jak następny skrzep krwi wpada do szorstkiej bawełny między jej nogami. Nie mogła myśleć o tym, co się stało z jej ciałem. Nie chciała nic o tym wiedzieć, niczego dotykać ani czuć. Podczas porodu pielęgniarka poprosiła ją, by sięgnęła w dół i poczuła główkę dziecka, która pokazała się w kanale rodnym, ale na tę myśl omal nie zemdląca. „Wyciągnijcie go już ze mnie. I złóżcie mi już nogi”.

Wpatrywała się w telefon, czekając, aż zniknie ikona baterii i pojawi się ekran startowy. „No, szybciej”. Znajomy skurcz niepokoju, niecierpliwości, by zobaczyć, kto i po co próbował się z nią kontaktować. Ekran się rozjaśnił, a na nią spłynął spokój z trzymanej w ręce komórki. Jej łącza ze światem. Wyświetliła się lista wiadomości, rosła liczba na ikonce skrzynki odbiorczej. Jedno po drugim przychodziły powiadomienia. A z nimi satysfakcja, że czeka ją pochłanianie takiej ilości nieprzeczytanych SMS-ów i mejli.

Nagle przypomniała sobie o dziecku.

Dziecko. Urodziła je. Było przy niej, już na zewnątrz. Cieszyła się z tego bardziej, niż mogłaby się spodziewać. Wszystko wydawało się takie, jak powinno.

Położyła dłoń na wezbranych piersiach, które stwardniały jak kamienie, po czym wróciła spojrzeniem na ekran. Odsunęła się od chłopca, odwróciła twarz w stronę okna, aby owionęły ją podmuchy wiatru. Odpowiedziała na mejl od szefa. Odpowiedziała na drugi. Przewinęła lawinę wiadomości. Napisała do asystentki z pytaniem, co słyhać. Przejrzała informacje, a potem wysłała dużej grupie znajomych zdjęcie ze szpitala, na którym nie było widać *en face* jej przekrwionych oczu i nabrzmiąłych rysów.

Jest! Xavier Wesley James Loverly. Waży 3200 co do grama. Dziecko i matka mają się doskonale i już we własnym łóżku czekają na pierwszy kieliszek szampana.

Odpowiedzi nadeszły całą salwą, ping, ping, ping. Kolejne mejle. Kolejne reakcje. Kolejne pytania w związku z jej odpowiedziami. Czy taki budżet jej odpowiadał? Zgodzi się, żeby przesłali najnowszą propozycję? Czy

mogłaby rzucić okiem na projekt mejla do klienta? Starła się odpowiadać nie bardziej zwięzle niż zwykle. Była potrzebna. Miała autorytet. Nic się nie zmieniło. Sprawdziła notowania giełdowe. Twittera. Przewinęła kolejne nagłówki i przebiegła wzrokiem artykuł o toksycznej męskości. Odpowiedziała na kilka następnych wiadomości. Jeszcze raz sprawdziła skrzynkę mejlową.

– Jestem. Jak on się miewa?

Głos Jacoba z dołu schodów zaskoczył ją. Na moment utkwiała wzrok w suficie i dopiero potem odwróciła się na łóżku, by znowu spojrzeć na dziecko. Przykryła dłonią cały jego brzuszek. Chłopiec pulsował ciepłem. Jacob wsadził głowę do pokoju. Wyglądał, jakby od wyjścia z domu wstrzymywał oddech.

– Patrzyłaś na niego przez ten cały czas?

– Tak.

Skłamała, nawet o tym nie myśląc. Nic nie powinno odwracać jej uwagi od dziecka – ani praca, ani cokolwiek innego. Znajduje się w domu zaledwie od paru godzin, przecież jest prawdziwym cudem, wystarczy spojrzeć! Jak mogła w ogóle oderwać od niego wzrok? Uśmiechnęła się i powiedziała głośno:

– Nie mogę od niego oderwać oczu.

Jacob usiadł na skraju łóżka. Zdjął okulary i przytknął do ust grube czarne uprawki. Co dzień nosił taką samą koszulę, miał ich dziesięć. Dotknęła czarnego bawełnianego rękawa, by przyciągnąć go bliżej. Czuła się przy nim bezpieczna. Chroniona przed samą sobą. I przed możliwością, że ich zawiedzie.

– W sklepie cały czas myślałem, że ten dzień już nigdy się nie powtórzy. Drugi dzień jego życia. Popatrz na jego skórę, jaka jest cienka i różowa. – Uniósł dłoń dziecka i dotknął paznokci, jak wyciętych z papieru. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała u kogoś taki poziom zachwyty i sprawiło jej to ból; chciała poczuć to samo co Jacob. Tyle ją ominęło, gdy siedziała z nosem w ekranie.

Kiedy Jacob wyszedł z pokoju, wyciągnęła rękę z telefonem za krawędź posłania i upuściła go na podłogę. Potem wsunęła komórkę pod ramę łóżka, by nie mogła jej dosięgnąć. Obróciła się do dziecka, chciała dalej towarzyszyć mu w drugim dniu życia. Odrobinę uchylił oczy. Czytała gdzieś, że matka powinna patrzeć na dziecko z autentyczną radością,

równie pożywną i cenną jak mleko. Starła się, jak umiała najlepiej. Wpatrywał się w jej rozjaśnioną twarz i rozciągnięte usta. Był jej dzieckiem, należeli do siebie nawzajem. Nigdy wcześniej nie rozumiała tego poczucia własności wobec dziecka, tego rodzicielskiego egoizmu. Ale tak, teraz był na świecie fragment jej samej, miała go przed sobą.

Ktoś coś mówi, stojąc w otwartych drzwiach za jej plecami w szpitalu dziecięcym, brzmi to jak muzyka, która leci z głośników w domu towarowym. Znajoma melodia, jakaś wersja piosenki, którą chyba już słyszała. Nie zwraca uwagi na to, co ma jej do przekazania ta osoba, udaje, że te sprawy, badania, medyczne skrótory są przeznaczone dla uszu innej matki. Kiwa głową, odpowiada na pytania kilkoma słowami, które wszystko jej ułatwią. Które wszystko naprawią. Chce tylko znowu dotykać każdej części jego ciała.

Palcem, jak ołówkiem, wodzi po jego brwiach, nosie, uchylonej i unieruchomionej szczęce, po spuchniętej szyi, wzdłuż obojczyków. Nie czuje taśmy, rurek, szyny, plastiku. Obrysowuje jego szczupłe barki, cienkie ramię, a potem znowu łokcie. Zatrzymuje dłoń na przedramieniu i je ściska.

Uścisk jest taki znajomy, czuje kość kruchą jak gałąź, którą z łatwością mogłaby złamać. Często go tak łapała? Ściskała mocno jego rękę, przyciągała go do siebie, kiedy nie chciał słuchać, kiedy już pięć minut temu mieli wyjść z domu? Zaciskała palce na tej ręce, kiedy nie chciał popatrzeć jej w oczy, gdy mówiła do niego i pokazywał język młodszemu bratu? Czy rzeczywiście tak szybko ulegała wściekłości, że wykręcała mu rękę do czasu, aż zaprotestował, ale ani ułamek sekundy dłużej?

A teraz zrobiła mu coś znacznie gorszego.

Łapie się barierki łóżka, by odzyskać równowagę. Zsuwa prześcieradło, którym przykryli mu tors, i obsypuje pocałunkami cały tułów, między przyklejonymi elektrodami i przewodami, na brzuchu i bokach, gdzie kiedyś lubił być łaskotany. Wyobraża sobie, że każdy odcisk jej ust poprawia jego stan. Rozwiewa strach i łagodzi ból. Potem przyciąga jego piegowate przedramię do policzka i znowu wacha skórę.

ROZDZIAŁ 11

BLAIR

Breloczek Aideny. Wpatruje się w niego, próbując siłą woli opanować nadciągającą panikę. Dostał go w prezencie od rodziców, w komplecie z portfelem. Od lat nosił na nim klucz do biura. Blair nie wie jednak, czy ma teraz w ręce ten sam, czy inny. Ani skąd się wziął u Whitney. I dlaczego chowa go w głębi szuflady. W mieszkaniu uszytym z różowego atlasu.

Nie ma pod ręką żadnego dobrego wytłumaczenia, tak oczywistego, jak by sobie życzyła. Siedzi na podłodze oparta plecami o łóżko. Do głowy cisną jej się przypuszczenia, co może oznaczać klucz w jej dłoni, i od nich cierpnie jej skóra. To niemożliwe. Niepojęte.

Myśli o skrawku folii aluminiowej. O Whitney i jej nieograniczonej wolności. O tym, jak ostatnio jej unika. O wyrazie jej twarzy, który czasem zauważa, gdy przyjaciółka się jej przygląda. Albo gdy zastanawia się nad zdradą, nad tym, czy jej sumienie to wytrzyma.

„Nigdy się nie dowie. O niczym nie ma pojęcia”. Wyraźnie słyszy, jak mogą brzmieć te słowa wypowiedziane głosem jej męża.

Robi jej się gorąco, upokorzenie wywołuje mdłości. Myśli o Chloe.

Czuje ucisk w klatce piersiowej i ją masuje. Kładzie się na boku.

Nie chce niczego widzieć pod powiekami, najlepiej gdyby nic nie zakłócało czerni, ale teraz szeroko rozchylone uda przytrzymywane dłońmi jej męża należą do Whitney. Wyobraża sobie inny typ kobiety niż ona, kobietę, która przejeżdża na czerwonych światłach, przerywa mężowi służbowe spotkanie. Żąda odpowiedzi. Bez przerwy wydzwania do przyjaciółki, dopóki ta nie odbierze. Wyrzuca ubrania. Pakuje walizki.

Ale ona tylko się kuli. I boi.

Kurczowo trzyma się jednej myśli: czy Whitney zrobiłaby to Jacobowi?

Żałosne, że w stosunku do męża ma większą jasność.

Wcześniej mogłaby zagłuszyć prawdę i jakoś z nią żyć. Upchnąć tę informację z tyłu głowy, bo przecież nikt nie musiał o tym wiedzieć. Oprócz Whitney.

Wracając nudności, musi się jak najszybciej wynieść z jej domu. Na schodach dwa razy traci równowagę.

Może z tym skończyć jeszcze dziś wieczorem, wprosi się do Whitney, gdy sąsiadka wróci z pracy. Jak zwykle zaproponuje jej, by otworzyły białe wino, a gdy będzie nalewać, spyta od niechcenia, czy widziała może klucz, który zgubił Aiden, bo podejrzewa, że upuścił go podczas ostatniej wizyty u nich. Wysłucha logicznego uzasadnienia, uzna, że to jej wystarczy, i wszystko potoczy się dalej, jak gdyby nigdy nic.

Po powrocie do domu wyrzuci strzępek folii.

Spirala lęku nie wpływa najlepiej na jej samopoczucie.

Musi to jakoś rozwiązać.

Zamyka za sobą drzwi Loverlych i odwracając się, widzi Bena, który przygląda jej się z drugiej strony ulicy. W ustach znowu robi jej się ciepło od soku żołądkowego. Biegnie podjazdem, a Ben idzie w jej stronę. Lekko unosi dłoń, jak gdyby chciał zrobić coś, na co powinna się przygotować. Zatrzymuje się i przełyka palącą gorycz.

– Dobrze się czujesz, Blair? – Zwalnia i łagodnym ruchem krzyżuje ręce na piersi.

– Tak, wszystko w porządku. Czemu pytasz? – Osłania oczy przed słońcem. Ben wygląda na zaskoczonego. Odwraca się w stronę domu Loverlych i kręci głową, jakby sam nie wierzył w to, co zaraz powie.

Czas się zatrzymuje. Oczekiwanie na sekret, który zaraz jej wyjawি, jest oszałamiające, upojny ułamek sekundy, kiedy czuje się, że stało się coś złego, ale nie wiadomo jeszcze co. Najgorszy z możliwych scenariuszy. Wypadek samochodowy. Tętniak. Zabójstwo. Dziwaczne myśli, ale na pewno nie chodzi o to, co podejrzewa Blair. Ani o klucz, ani o romans. Ani nawet o przewrócony kubek z kawą w sypialni dziecka. Wiedząc o tym, z przyjemnością wyobraża sobie Whitney w krótkim starciu z przeciwnościami losu. Dzień pracy zostaje zakłócony. Pieniądze odrobinę tracą na znaczeniu. Przebieg jej znakomitej kariery wydaje się nieco mniej pewny. Proste życie Blair okazuje się jednak wcale nie takie złe.

– Przykro mi, Blair... właśnie tam byłaś, wyglądałaś, jakbyś wiedziała. – Milknie. – Stało się coś strasznego.

Dociera tylko do połowy schodów. Opiera się o słupki poręczy. Szuka jakiegoś detalu, na którym mogłaby skupić wzrok. Punkt na pomalowanej ścianie, gdzie widać pociągnięcie pędzla. Cekin w kolorze magenta z pudełka do prac plastycznych Chloe, który przyczepił się do jej skarpetki. Nitka wystająca z brzegu wykładziny na stopniach.

Kiedy minutę temu zadzwoniła z ulicy do Aiden, żeby powiedzieć mu o Xavierze, za długo milczał. Nie chciała analizować jego reakcji, rytmu oddechu, pauz, ale zrobiła to mimowolnie. Najpierw zapytał o Whitney.

– Musisz jechać do niej do szpitala – oznajmił. – Jacob wyjechał, prawda?

Nie wspominała mu wcześniej, że Jacoba nie ma. Ale przecież się przyjaźnili. Czy raczej kolegowali. Może mówił mu, może widział, jak sąsiad odjeżdża z domu na lotnisko.

– Muszę się chwilę zastanowić.

– Blair, ona nie powinna być sama. Musisz jechać, już minęła dwunasta.

– Pojadę, ale tylko... potrzebna mi minuta, żeby to ogarnąć. Boże, jak my to powiemy Chloe?

Tym jednak Aiden chyba się nie martwił. Najwyraźniej martwił się o Whitney. Blair omal mu nie powiedziała o stanie pokoju Xaviera. O rozlanej kawie. Zdążyła się jednak ugryźć w język. Przecież nie może mu powiedzieć, że była w ich domu.

Chce, żeby ten klucz zniknął. Żałuje, że kiedykolwiek istniał.

Może wrzucić go do stawu w parku. Albo do fontanny. Utonąłby i zniknął między monetami wrzucanymi tam na szczęście.

Twarz płonie jej ze wstydu, kiedy myśli o tym, co zrobiła, zanim zajrzała do szuflady w nocnej szafce. Co czuła, przeżywając orgazm na łóżku Whitney. Jakie to było głupie wyobrazić sobie to wszystko w świetle tego, co teraz wiedziała.

Wspina się dalej, chwytając się poręczy.

Nie może dać się wciągnąć w tę spiralę.

Xavier z tego wyjdzie, wyzdrowieje.

Przecież to tylko klucz, powtarza sobie. Kawalek metalu.

A reszta to po prostu wytwór umysłu, który ma za mało do roboty.

ROZDZIAŁ 12

REBECCA

O wpół do pierwszej pielęgniarka oddziałowa, której przypadł dziś dyżur, podczas przerwy na kawę unosi kubek w stronę Rebekki. Ta dziękuje jej, ale wraca spojrzeniem do ekranu komputera, by sprawdzić, jakie wyniki przysły z laboratorium. Przenosząc wzrok z karty na kartę, czuje, że pieką ją oczy, ale ma dyżur aż do wieczora. O tak wczesnej porze zwykle nie walczy jeszcze z pokusą złożenia głowy na biurku. Jest już trzeci rezydent; pielęgniarka przekazuje mu najważniejsze informacje, a Rebecca z ulgą przyjmuje jego pomoc. Musi podtrzymywać opadające powieki, walczyć z paraliżującym wyczerpaniem i przekonać mózg, by wrzucił wyższy bieg. By dotrwał do następnej godziny, a potem kolejnej, dopóki nie pokona zmęczenia i nie przebije się na drugą stronę. Wypija kubek zimnej wody, aby się obudzić, potem napełnia go jeszcze raz z dystrybutora, gdy jedna z matek, którą wcześniej poznała, wkłada do lodówki dla pacjentów dwie torebki ściągniętego pokarmu.

Znowu dzwoni na OIOM, by spytać o Xaviera. Bez zmian. Jego mama wciąż niewiele mówi, udziela krótkich odpowiedzi pracownicy socjalnej, funkcjonariuszowi policji. Porozmawiają z ojcem, gdy tylko się pojawi. Pod koniec dyżuru chce tam pójść i zobaczyć, czy będzie mogła jakoś pomóc Whitney, ale teraz musi wyjść na zewnątrz. Prosi pielęgniarkę, aby ją wezwała, gdyby pojawiła się jakaś pilna sprawa.

Popycha biodrem ciężkie drzwi wejściowe, gdy nagle ktoś woła w jej stronę:

– Przepraszam?! Przepraszam?! – Głos wydobywa się przez ściśnięte gardło. Rebecca odwraca się i widzi kobietę z niemowlęciem na rękach, lekko podrzuca dziecko, jak gdyby powstrzymywała je przed zaśnięciem. – Którędy na SOR?

Rebecca wskazuje jej drogę, ale kobieta wygląda, jakby niewiele z tego rozumiała. Rebecca pyta, czy może dotknąć dziecka, po czym przykładając wierzch dłoni do jego czoła, przesuwa palcem po ciemączku. W porządku, chłopiec jest chłodny i nawodniony. Kładzie dłoń na ramieniu kobiety i upewnia się, że ta patrzy jej w oczy. Ale ona już tylko płacze jak dziecko, próbuje podać niemowlę Rebecce.

– Ja go upuściłam, upuściłam go, gdy schodziłam po schodach. Wiem, że coś mu się stało. – Ludzie patrzą na nie, zwalniają kroku, udają, że nie słuchają. Rebecca bierze od niej dziecko, zagląda mu w oczy, bada skórę głowy w poszukiwaniu guzów. Szuka jakiegoś wolontariusza i zauważa nastolatka w zielonej szpitalnej kamizelce, który rozdaje broszury. Prosi go, by zaprowadził kobietę do rejestracji. Oddaje jej dziecko i kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Wiem, że się pani boi, ale wszystko będzie dobrze. Zajmiemy się tym. Dokładnie sprawdzimy, czy nic mu się nie stało.

Trudne pytania zada jej później. Kto w tym czasie odpowiadał za dziecko? Co się stało tuż po tym zdarzeniu? Jak długo czekała, zanim postanowiła go przywieźć do szpitala? Skupi się na faktach. Ranach. Obrzękach. Złamaniach. Żaden rodzic nie chce się znaleźć z dzieckiem na SOR-ze, ale jej obowiązki polegają na tym, by wyłapać wszystkie sprzeczności i by dziecko było bezpieczne – to wszystko. Przypomina sobie o tym, gdy tylko czuje paskudną chęć oceniania innych. Nie na tym polega jej praca.

Ale czy wystarczająco przycisnęła Whitney? Tak jak zamierzała przemaglować tę kobietę?

Odnawia w pamięci, by zapytać zespół OIOM-u o dalszy ciąg tej historii. Sprawdzić, czy dochowano należytej staranności. To kwestia zgodności z procedurą, nic więcej.

Świeże powietrze oczyszcza jej płuca i Rebecca, co zdarza się jej rzadko, nie chce od razu wracać do pracy. Musi zrobić coś jeszcze.

Czasem wybiera stanowisko do resuscytacji, gdy na dyżurze niewiele się dzieje, albo magazyn na bloku operacyjnym w środku nocy. Tego popołudnia zjeżdża jednak windą do pogrążonej w półmroku piwnicy, w której przechowuje się zapasowy sprzęt. Wybiera pokój na końcu korytarza.

W momencie, gdy zamykają się za nią drzwi, przenika ją strach. Przed tym, czego może nie zobaczyć. Albo przed kimś, kto może wejść i ją przyłapać. Z drugiej strony jest też jednak radosne napięcie i oczekiwanie na uczucie ulgi, choćby ulotne; tak jak zawsze przewycięży niepewność.

Kładzie się na stole z zamkniętymi oczami, podczas gdy aparat się rozgrzewa. Zsuwa górę spodni i wyciska sobie na brzuch zimny niebieski żel. Bierze głowicę i obraca do siebie ekran.

Zlepek komórek ma już rozpoznawalny kształt. Stopy i palce. Głowę. Mózg. Mózg, w którym rozwinię się zdolność obdarzania jej miłością. Płód broni się pod naciskiem sondy, a ona wśród trzasków i szumów nasłuchuje dźwięku, dla którego tu przyszła. I wreszcie słyszy. Bicie serca. Pozwala, by to *pach, pach* wypełniło pokój, dopóki nie zaczyna przypominać odgłosu dalekiej syreny.

Po chwili odwraca wzrok od ekranu. Woli nie zapamiętywać tego kształtu. Lepiej co dzień pracować z założeniem, że to, co według urzędnika żyło, niebawem przestanie żyć. Stanie się materią, którą jej ciało wydali. W ciągłym rozczarowaniu jest przynajmniej jakiś rodzaj poczucia bezpieczeństwa. Zmniejsza się zagrożenie.

Ściera ze skóry żel i wciska ściereczkę do kieszeni. Spuszcza nogi na podłogę i siada, by sprawdzić telefon. Ma serię wiadomości od męża. Dzwoniła wcześniej, żeby powiedzieć mu o Xavierze. „O Boże”, powtarzał. Pyta ją, jak się czuje. Mówi, że ją kocha. Że starają się być lepsi. Starają się wyjść na prostą. Znowu pyta ją o ten wyjazd do Oregonu. Chce ją zabrać do doliny Willamette, zwiedzić na rowerach winiarnie. Wie, że to dla niej ciężki dzień, ale czy w końcu ustaliła termin urlopu w połowie jesieni? Trzeba przecież zarezerwować bilety na samolot.

Dziecko ma się urodzić w październiku. Ale on o tym nie wie.

Rebecca otwiera galerię zdjęć. Znajduje utworzony przez siebie album.

To fotografie nieznanych jej kobiet. Matek, które przez parę ostatnich lat przewinęły się przez oddział ratunkowy. Których dzieci jej zdaniem miały niewielkie szanse na przeżycie. Zaczęła robić im zdjęcia, nie dopuszczając do siebie myśli, co tak naprawdę wyprawia. Szybkie i bezgłośnie pstryknięcie z kąta pokoju, gdy miała robić coś innego, wysłać mejla do któregoś lekarza albo sprawdzić dawkę leku. Przegląda fotografie. Niektóre ukazują twarze z profilu, z przygryzionymi wargami, dłonią przy skroni. Inne są rozmyte w ruchu. Na części z nich kobiety patrzą prosto

w obiektyw. Wszystkie są blade, zmęczone, zgarbione. Żadna z nich nie ma pojęcia, co robi Rebecca.

Za naruszenie prywatności mogłaby wylecieć z pracy i przyrzekła sobie, że je usunie. Na razie jednak potrzebuje tych twarzy, na wypadek gdyby to dziecko też ją opuściło. Jeżeli jej macica nie da sobie rady, a powiedziano jej, że to prawdopodobne. Muszą jej przypominać, że bez względu na to, jak bardzo tego pragnie, macierzyństwo jest najgłupszą rzeczą, na jaką może się zdecydować kobieta. Że to miłość, która nieuchronnie zrani ją bardziej, niż potrafi to sobie wyobrazić. Zdruzgocze ją jak matki na tych zdjęciach, jak Whitney trzy piętra wyżej. Albo będzie wielokrotnie ranić ją przez długie lata, powodując tępy ból serca, towarzyszący jej zawsze i wszędzie.

A jednak bardzo tego chce. Gdzieś po drodze zaczęła tego pragnąć głęboko i rozpaczliwie.

ROZDZIAŁ 13

WHITNEY

ŚRODA

Jest rano, dzień przed tym, jak usiadła obok szpitalnego łóżka, by pełnić rolę przy starszym synu. Whitney stoi w sali konferencyjnej oparta plecami o ścianę i stara się udawać, że bardzo ją cieszy uroczysty brunch na cześć przyszłej matki, jej najcenniejszej menedżerki, która poprosiła o dodatkowe pół roku urlopu macierzyńskiego. Whitney wyraziła zgodę, bo nie chce prowadzić swojej firmy jak mężczyźni stojący na czele konkurencji. Chce wspierać zatrudnione przez siebie kobiety. Chce, żeby ją lubiły. Była jednak rozczarowana, gdy Lauren złożyła tę prośbę. Whitney miała nadzieję, że ta kobieta bardziej ją przypomina.

Podają sobie z rąk do rąk śpioszki niemowlęce i cienkie wzorzyste kocyki. Zostało jeszcze trochę prezentów do rozpakowania, rogalików do zjedzenia i kieliszków mimozy do wypicia dla wszystkich prócz Lauren. W zespole jest kilku młodych ojców, ale ona będzie pierwszą matką, jeśli nie liczyć Whitney, więc kobiety rozmawiają z przejęciem o dzieciach, podpierając się autorytetem z drugiej ręki – przyjaciółki, która dzieli łóżko z bliźniakami, siostry, która urodziła w wannie. Nie podoba jej się, że w życiu kobiety w ten sposób świętuje się tylko dzieci i małżeństwa. Sama nie zgodziła się, by ktokolwiek zorganizował dla niej baby shower. Ktoś puścił w obieg kartkę, na której mają wpisywać życzenia i rady, ale Whitney nie ma żadnych, choć jest matką trójki dzieci. Nie chce przekazać jej nic, co Lauren chciałaby usłyszeć. Píše więc tylko, że będzie za nią tęsknić.

Wraca za biurko, by zastanowić się nad jutrzejszą prezentacją. Od pięciu dni byli gotowi, powtarzali każde słowo, ćwiczili odpowiedzi na hipotetyczne pytania, przygotowywali się do tego spotkania od trzech

miesiący. Lubi tę fazę projektu, szlifowanie ostatnich elementów. Drobnych, ale kluczowych szczegółów. Po cichu powtarza swoje wystąpienie, pamięta o doborze i akcentowaniu słów w odpowiednim momencie. Wyobraża sobie, jakie wrażenie wywrze na drugiej stronie.

Wynik spotkania będzie miał decydujące znaczenie dla przyszłości rozwijającej się firmy doradczej, którą buduje od siedmiu lat. Jeżeli uda jej się przekonać bank do tego przedsięwzięcia, wielkiego zadania w związku z przygotowaniem zmian organizacyjnych w globalnej spółce powstałej w wyniku fuzji, dochody firmy wzrosną ponad czterokrotnie. Dzięki temu wejdą na nowe rynki. Whitney otworzy biuro w Londynie, które przyciągnie największe talenty z konkurencji. To ich przeniesie na inną półkę w przypadku przejęcia firmy, a ona będzie miała na tyle duże udziały, by zachować współwłasność. Poprawi swoją pozycję.

Niczego nie pragnie bardziej niż tego sukcesu.

Po raz czwarty przegląda propozycję budżetu, gdy do drzwi puka Lauren.

– Whitney! To o wiele za dużo, jak zawsze. Jesteś cudowna.

– Zaslługujesz na to.

– Na pewno nie chcesz, żebym przyszła na jutrzejsze spotkanie?

– Nawet o tym nie myśl. Oficjalnie już masz urlop. Ciesz się, idź zrobić sobie jakiś pedicure, korzystaj, póki czas.

Whitney nie rozumie, jak można stawiać znak równości między wolniejszym tempem życia a radością. Obejmując pracownicę na pożegnanie, czuje jednak, jak jej ciało wiotczeje, jak na myśl o opuszczeniu pracy Lauren ogarnia ulga. Mąż menadżerki świetnie zarabia na handlu nieruchomościami komercyjnymi, znacznie więcej, niż Whitney może jej zapłacić, chociaż ta kobieta ma najwyższą pensję w zespole. To całkiem możliwe, że Lauren już nie wróci do pracy. Jest duże prawdopodobieństwo, że kiedy przepchnie dziecko kanałem rodny, jak większość kobiet dojdzie do przekonania, że najważniejsze, co może zrobić w życiu, to coś oddawać. Pokarm. Sen. Poczucie własnej wartości. Im więcej odda, tym bardziej będą ją chwalić. Ofiarna matka. Wystarczy popatrzeć, jak świetnie sobie radzi z dzieckiem. Tak to się zaczyna.

Whitney dobrze wie, że nie każda kobieta podziela jej zdanie, ale najwięcej siły daje niezależność; świat składa się z tych, którzy zazdroszczą, i tych, którym się zazdrości. Na dość wczesnym etapie życia podjęła decyzję, że nie będzie jedną z osób, które utwierdzają obiekty

zazdrości w poczuciu władzy, lecz sama stanie się kimś takim. I każda jej decyzja utwierdza ją w wyborze, by pozostać po stronie, na którą przechyla się szala wagi.

Nie widziała dla siebie żadnej alternatywy, jeśli nie chciała mieć takiego życia jak to, które znała z dzieciństwa. niesprawiedliwość nie schodziła ojcu z ust – niesprawiedliwe były przepisy, niesprawiedliwy był rząd, niesprawiedliwy był świat. Nie rozumiała tylko, dlaczego nic z tym nie zrobił. Dlaczego nigdy nie pojawił się żaden plan, by coś poprawić. Wykonywał dla miasta prace sezonowe, kosił trawę i posypywał drogi solą, ale od czasu do czasu ból w biodrach zmuszał go do pójścia na zasiłek.

„Nie obrażaj ojca”, powiedziała matka i trzepnęła ją w głowę, gdy spytała, dlaczego nie znajdzie sobie innego zajęcia, dlaczego nie mają więcej pieniędzy. A potem pocałowała ją i pomasowała miejsce, w które chwilę wcześniej ją uderzyła. Często zdarzało jej się przeplatać agresję z czułością, jakby to drugie mogło wymazać pierwsze. „Jesteśmy tylko zwykłymi ludźmi, Whitney, staramy się, jak umiemy najlepiej. Kiedyś sama się przekonasz, jak to jest”.

Od prawie dziesięciu lat wstawała codziennie o czwartej rano. Niezwykła pora. O tej godzinie budzi ją rozedrgany umysł, a próby powtórnego zaśnięcia nic nie dają. Nie opłaca się snuć wewnętrznego dialogu, który prowadzi donikąd i tworzy problemy tam, gdzie ich nie ma. Nie opłaca się po prostu być zajętym – dzisiaj wszyscy są zajęci. Opłaca się skupić na celu. Czerpać satysfakcję z władzy i efektywności lukratywnego zajęcia.

Na ogół wychodzi z domu, zanim Jacob i dzieci się obudzą. Louisa przychodzi za piętnaście szósta, żeby spakować dzieciom lunch i nadzorować poranne zajęcia. Whitney stara się zdążyć z powrotem do domu, by powiedzieć im dobranoc, a gdy Jacob wyjeżdża – być na kolacji. Ale wie to, czego Louisa i Jacob jej nie mówią: wszystko toczy się bardziej gładko, kiedy jej nie ma.

Nie jest podatna na społeczne formy podstępu, które budzą w pracujących matkach wyrzuty sumienia. Nie pozwala sobie myśleć, co się dzieje w domu podczas jej nieobecności. Dla niej to kwestia przyjemności, a większą przyjemność sprawia jej praca niż jałowe spędzanie czasu z dziećmi. Te godziny nie przynoszą jej satysfakcji. Nie widzi w sobie kogoś, kto zawiaduje codziennymi zajęciami dzieci, wszędzie im towarzyszy, odpowiada za szkolne papiery i formularze, ubrania na zmianę

i nakładanie kremu z filtrem. Stawia czoło nawałnicy żądań i jęków, ciągłym zmianom zdania, gdy już zrobiła, czego chciały, zgodziła się na to, czego chciały, kupiła im to, czego chciały.

Zamiast długiego przebywania z nimi potrzebuje tylko okienek. Niewielkich regularnych okienek czasowych.

Jest jeszcze sprawa Xaviera. Syn wprowadza napięcie, z którym Whitney sobie nie radzi. Działa na częstotliwości, która kłóci się z jej pasmem. Czasem z jego powodu trzęsie się ze złości, jakby przepływała przez nią iskra elektryczna, i bardzo tego w sobie nie lubi. Niepokoi ją to, że Xavier z taką łatwością staje się zagrożeniem dla sprawowanej przez nią kontroli, z którą czuje się jak ryba w wodzie. Nie wie, skąd się bierze ta złość. Dlaczego stale czai się pod powierzchnią.

Z bliźniakami mają więcej wyrozumiałości dla siebie nawzajem. Relacje z nimi różnią się od jej doświadczeń jako matki Xaviera. Są w naturalny sposób nierozłączni, obsesyjnie wpatrzeni w swoje pyzate, uszczęśliwione buzie, potrzebują siebie nawzajem bardziej niż jej. Jest dla nich matką wędrowną. Opiekunką, która nie jest Louisą. Czasem ma wrażenie, że akceptują jej niedoskonałości, do czego Xavier nie był zdolny.

Oczywiście kocha całą trójkę. Nie zawsze jednak traktuje dzieci najlepiej. A one nie zawsze traktują najlepiej ją.

Z Londynu dzwoni Jacob, więc znowu odrywa się od arkusza kalkulacyjnego. Tam jest trzecia po południu, ale dla niego to nie ma znaczenia, bo podczas podróży nigdy nie dostosowuje się do miejscowej strefy czasowej. Whitney włącza głośnik w telefonie. W jego głosie znowu słychać stres. W tym roku często wyjeżdża w sprawach zawodowych, a te podróże za ocean wywołują w nim niepokój. Opowiada jej o sztuce, którą ostatnio widział, a ona słucha go w typowy dla siebie sposób, czyli wielozadaniowo, odpisując na mejle, które wymagają tylko krótkich odpowiedzi, i równocześnie udzielając mu rad, o które nie prosi.

– Mogę ci przerwać, kochanie? Na momencik? Czy wreszcie poruszyłeś temat wyłączności?

Jacob jest marszandem. Nie ma jednak wszystkich cech wziętego marszanda. Wyjechał na cztery dni do Londynu, żeby rozejrzeć się za dziełami sztuki dla swoich klientów, zamożnych osób, które nie szukają same, ponieważ nie mają na to czasu albo ochoty, ewentualnie ich to nie interesuje. Lubią Jacoba, bo jest intelektualistą, synem dwojga profesorów

nauk humanistycznych z Yale. Gotów jest stawić się, choć niechętnie, w ich bogato urządzonych domostwach i popijając wyborne, dojrzałe wina, nauczyć ich wszystkiego, co powinni wiedzieć o świecie współczesnej sztuki, kondensując w tym celu swój doktorat do dziewięćdziesięciu minut treściwego, ładnie wygłoszonego referatu – w zamian za jedno dzieło, które mogłoby im wystarczyć na najbliższe pięć lat.

Pieniądze w handlu dziełami sztuki nie zależą od dobrego rozeznania w wartości i trendach, jakie Jacob niewątpliwie ma, ani od recytowania przez niego rekordowych kwot sprzedaży w nowojorskich domach aukcyjnych – zna je na pamięć. Główną rolę odgrywają wielkość sprzedaży i prowizja od niej, a on krępuje się wykorzystywać tę wiedzę, mimo czułych korepetycji, których ochotniczo udziela mu Whitney.

Jacob zdaje sobie z tego sprawę. I w ogóle się tym nie przejmuje. Oboje rozumieją, że ona przede wszystkim zaspokaja swoją potrzebę mieszania się w cudze sprawy. To ją złości, ale mąż nie ma takiego głodu sukcesu, pieniędzy i statusu jak ona. Nie pracuje i nie inwestuje jak ona, od piętnastego roku życia, nie skończył studiów menedżerskich, którym Whitney poświęcała wieczory i weekendy, osiągając równocześnie znakomite wyniki na kierowniczym stanowisku, a jednak to raczej on jest najbliższy prawdziwego bogactwa. Whitney zazdrości mu, że tak naturalnie pasuje do tej warstwy społecznej, że został świetnie wychowany do życia w świecie, z którym wolałby nie mieć nic wspólnego. Ma ten przywilej, że nie musi niczego udowadniać. Ona w tym samym miejscu musiałaby udawać. I nawet nie przyznałaby się przed sobą, jak bardzo czułaby się skrępowana.

– Przecież wiesz, co powiem, Jacob. W swoim świecie nie możesz sprzedawać taniej ani więcej niż konkurencja, klientela jest zbyt wybredna. Tu chodzi o robienie szumu, prawda? Trzeba od razu wyjść do klienta z bardziej przekonującą ofertą, bo inaczej już na początku straci zainteresowanie.

Intelekt Jacoba nie stanowi dla niej zagrożenia, bo brylowanie w towarzystwie przy lampce wina to nie jest to, na czym polega jej władza. Ta władza bierze się z jej dochodów. Z jej bezpieczeństwa finansowego. Z wypchanego portfela inwestycji i rozwijającej się firmy przynoszącej ośmiocyfrowe wpływy. To dzięki jej ambicji rodzina ma takie życie, jakie ma, dzięki niej Jacob może przez cztery dni włączyć się po targach sztuki

i nie przywieźć stamtąd nic prócz inspiracji. Dzięki niej stać ich na troje dzieci, dom na podwójnej działce, wielokrotne wyjazdy na wakacje w ciągu roku, opiekunkę na każde skinienie, dzieła wziętych artystów, które wybrał, by zdobiły ich ściany. To jej zasługa. Mimo to chciałyby, żeby Jacob miał większy wkład. Choć raz zdjął z niej część tego ciężaru.

Wie, że większość ludzi wzdryga się na myśl o kobietach takich jak ona, które gonią za fortuną z taką samą energią jak mężczyźni. Nawet jeśli się do tego nie przyznają. To odpychająca cecha u kobiety, gdy chce więcej pieniędzy, niż jest warta w oczach społeczeństwa.

– Radzę ci tylko, żebyś najpierw wydusił z Pearse’a obietnicę trzydziestu procent. Musisz być stanowczy. Znacznie bardziej stanowczy.

W gabinecie pojawia się jej asystentka Grace i kładąc na biurku opracowane kopie prezentacji, mówi coś do niej bezgłośnie. Obok przykleja karteczkę.

– Muszę kończyć, ale zadzwoń jutro, dobrze? Jeżeli będziesz chciał coś obgadać. W południe powinniśmy być już po prezentacji.

„Ach tak, prezentacja”, odpowiada, oczywiście, że o niej nie zapomniał. Już nie może się doczekać, żeby usłyszeć, jak poszło. Jest pewien, że poradzi sobie śpiewająco.

Czasem jednak Whitney zastanawia się, czy rzeczywiście Jacob cieszy się z jej sukcesów tak, jak by chciała. Czy w chwili słabości przynajmniej raz nie miał nadziei, że jej się nie uda. Czasem w jego głosie słyszy napięcie, mimo że wypowiada dokładnie takie słowa, jakie powinien.

– Postaraj się dzisiaj wyjść o ludzkiej porze – mówi do niej.

Whitney nie odpowiada.

– Może nie powinienem wyjeżdżać – dodaje.

Ona sztywnieje i odwraca się tyłem do otwartych drzwi gabinetu.

– Dlaczego tak mówisz? Co masz na myśli?

Jacob milczy.

Nie wie. Jest daleko od domu. Tęskni za dziećmi, czuje się zmęczony. Mniejsza z tym.

Ona nie lubi, kiedy jest taki niekonkretny i ma jakieś mgliste obawy. Zerka na wiadomość od Grace. Składa się z nazwiska i numeru telefonu nauczycielki Xaviera. Nie wspomina o tym Jacobowi. Składa karteczkę i chowa do kieszeni na piersi. Nie chce, by pozostawała w jej polu widzenia.

Mówi mu, żeby nie był niemądry. Że wszystko jest w porządku. Dzieciom nie stanie się nic złego.

Czeka, aż Jacob potwierdzi, że na pewno ma rację. On jednak milczy. A potem wspomina coś o taksówce, że musi lecieć. Mówi mu, że go kocha. On nie odpowiada, potem zatrząskują się drzwi samochodu i już go nie słychać.

Kiedy Whitney się rozłącza, widzi na ekranie iPhone'a wiadomość.

Hej ☺ no i jak, może być dzisiaj wieczorem? O 11?

Odchyła się na oparcie krzesła i rozpina złoty guzik mlecznobiałego żakietu. Próbuje zrozumieć niepokój Jacoba. Nie podoba jej się to uczucie. Stuka telefonem w podbródek. Robi gwałtowny wdech, pisze odpowiedź, a potem przesuwa palcem po ekranie, kasując całą wymianę wiadomości.

ROZDZIAŁ 14

REBECCA

Ledwie wchodzi do klatki schodowej, ogłaszają kod niebieski. Trzecie piętro. Sala 3103. Nie należy do zespołu interwencyjnego, więc dalej przegląda zawartość skrzynki mejlowej, powoli wchodząc po schodach i uważając, by się nie potknąć, gdy nie patrzy pod nogi, ale nagle dociera do niej treść komunikatu – trzecie piętro.

Sala 3103.

Próbuje sobie przypomnieć, w którym jest Xavier, to trzy jeden i coś tam... zero osiem? Jedenaście? Mocno pracując rękami, pędzi na górę, do wyjścia na trzecim piętrze ma jeszcze jeden bieg schodów. Pokój 3103 – to brzmi zbyt znajomo, to musi być on. W korytarzu omal nie tarasuje przejazdu wózka reanimacyjnego, zaraz jednak odskakuje do tyłu, aby ich przepuścić, i idąc za zespołem, który porusza się w miarowym tempie, skręca w prawo za stanowiskiem pielęgniarek. W korytarz Xaviera.

Nie, nie, nie... Siłą woli każe im się zatrzymać, jego sala jest w trzech czwartych długości korytarza, ale biegną za szybko, znajdują się już prawie u jego drzwi, a ona widzi, że są otwarte. Wyobraża sobie siedzącą w rogu pokoju Whitney, której każą natychmiast wyjść i próbują przywrócić akcję serca. Dwaj lekarze mijają ją w biegu, jeden trąca ją łokciem w biodro. Rebecca przystaje.

To sąsiednia sala.

Pochyla się z dłońmi na kolanach. Ma ściśnięte gardło. Zbiera siły. Powinna opuścić to miejsce, jeżeli nie pomaga w reanimacji. Postanawia wrócić później, by zajrzeć do Xaviera.

Nie jest sobą.

Powinna się przespać przez parę godzin, zanim popełni jakiś koszmarny błąd.

Kiedy przemieszcza się między centrum a kompleksem szpitalnym, zwykle jedzie w przeciwnym kierunku niż fala pojazdów. Jej życie płynie w inną stronę niż większości ludzi, zawsze odnosiła takie wrażenie. Lubi patrzeć na wydłużający się sznur samochodów na przeciwległym pasie ruchu. Lubi jechać do domu, by położyć się spać, gdy wszyscy inni są w środku dnia pracy. Wcale nie musi tak często brać dyżurów, ale to dla niej forma odcięcia się od codziennej rutyny, której nie może znieść. Dzięki temu po powrocie do domu nie zjada w ciszy kolacji tylko z Benem, siedząc na ławie obitej zmywalną i plamoodporną tkaniną, produkowaną z myślą o rodzinach, w których są lepkie rączki.

Dzieci w szpitalu są inne. Potrzebują jej, a ona zwykle potrafi je wyleczyć. Odkryła, że trudno jej wychodzić z tego budynku, bo na zewnątrz nie czuje się potrzebna.

Ben jej potrzebuje, ale od kilku lat inaczej niż kiedyś. Może to tylko upływ czasu w małżeństwie, gdy pierwsze uniesienia miłości wolno mijają, przybierają mniej upojną formę. Czuje jednak, że stała mu się mniej bliska, odkąd okazało się, że przyczyną poronień jest co innego niż pech. Odkąd dowiedzieli się, że trafiła im się nieusuwalna wada mechaniczna. Że maszyna, czyli Rebecca, jest zepsuta.

Zna się na statystyce, prawdopodobieństwie, przewidywanych rezultatach terapii. Tej logiki nie można jednak zastosować w biologii rozrodu. Nie ma tu prostych zależności. Nie kwalifikują się jeszcze z Benem do kategorii zerowych możliwości, ale ich szanse na dziecko maleją. Nawracające poronienia. Przez trzy lata. Plemniki bez zarzutu. Trzydziestosiedmioletnie jajeczka. Niegościnna macica o za mało bujnym endometrium. „U pani jest trochę za płaskie”, usłyszała. „Wolimy, żeby było bardziej puchate”. Jej organizm nie reagował tak, jak powinien. W tych słowach słyszy ton rezygnacji.

To nie jest problem, który da się naprawić. „Nie wiemy”, brzmi odpowiedź na większość jej pytań, jak gdyby ta ogromna biała plama w wiedzy medycznej była czymś całkiem normalnym. Jedynym leczeniem, jakie jej zaproponowano, był brak jakiegokolwiek leczenia. Zalecono dalsze próby, jeśli są na nie gotowi, jeśli dadzą radę znieść kolejne rozczarowania. Gdy po ostatniej wizycie lekarz wyszedł z gabinetu, pielęgniarka, młoda kobieta, której jajniki prawdopodobnie uginały się pod ciężarem dobrych lepkich komórek jajowych, a macica musiała

przypominać dojrzały owoc tropikalny, wypowiedziała słowo, które Rebecca najmniej chciałaby usłyszeć: „cud”. Że co dzień są świadkami cudów.

Rebecca jest naukowcem. Nigdy nie wierzyła w sprawczą moc nadziei. Nigdy wcześniej nie wierzyła w cuda.

Podczas pierwszego roku rezydentury na pediatrii jeden z lekarzy powiedział jej, że dla rodziców dziecka w szpitalu najlepsze jest redukcje do minimum różnicy między ich oczekiwaniami a rzeczywistością. Innymi słowy, nadzieja – tak upragniona przez wszystkich – wcale nie była taka dobra. Dla niej miało to głęboki sens. Przez trzynaście lat uczyła się wierzyć w twarde dowody. Podejmować decyzje na podstawie wiedzy o tym, jak funkcjonuje organizm. Ale o swoim własnym ciele prawie nic teraz nie wiedziała.

Parkuje samochód na ulicy przed swoim domem z czterema sypialniami, trzema łazienkami i przedsionkiem, w którym zamontowano jasnożółte haki na ubrania na takiej wysokości, by mogły ich dosięgnąć młode rączki. Zapłacili budowlancowi zadatek trzy i pół miesiąca po pierwszym pozytywnym teście ciążowym. Wtedy mieli jeszcze przywilej pewności.

Ben zapewne robi jej kanapkę na lunch i parzy kawę. Wziął w szkole urlop na ten rok. Jego decyzja zaskoczyła wszystkich, łącznie z Rebeccą. Zawsze uwielbiał uczyć. Uwielbiał dzieciaki. Od lat pracował w gimnazjum dziesięć minut drogi stąd i między innymi dlatego postanowili kupić dom w tej dzielnicy. Podobały im się różny stopień zamożności i zróżnicowanie etniczne mieszkańców, nawet jeśli szkołę opanowała niewielka uprzywilejowana grupa zbyt zaangażowanych rodziców.

Uznał jednak, że chce odpocząć od codzienności, od uczenia tego samego programu rok w rok. Jego kolega założył start-up, opracował aplikację wspierającą rodziców w edukacji domowej i szukał konsultanta dydaktycznego na pełen etat. Ciągłe spłacają dług za studia medyczne Rebekki, a Benowi zaproponowano dwa razy więcej, niż zarabiał jako nauczyciel. Ucieszył się perspektywą, że spróbuje czegoś nowego, więc podpisał umowę na osiem miesięcy i pracował głównie z domu. Zgodził się też w ramach przysługi dla kolegi trenować drużynę softballu

z podstawówki kilka ulic dalej. Zmiana przyniosła mu wyraźną przyjemność.

Rebecca zastanawia się, czy tak naprawdę nie zostawił szkoły dlatego, że trudno mu było stale przebywać wśród dzieci. Za bardzo przypominały o tym, czego być może nigdy nie będą mieli.

To Ben zawsze chciał mieć dzieci.

Poznała go na randce zaaranżowanej w ostatniej chwili przez koleżankę z pracy, która uważała, że Rebecca powinna częściej wychodzić do ludzi i przynajmniej ten jeden raz przebrać się w dżinsy, w których dobrze wyglądała, i buty na obcasach. Minął prawie rok od zakończenia jej ostatniego związku, krótkotrwałego jak wszystkie inne – facet dobrze zarabiał, ale w branży tworzyw sztucznych, i ukrywał uzależnienie od e-papierosów. Nie była zachwycona propozycją, ale gdy koleżanka powiedziała, że Ben jest nauczycielem i naprawdę dobrym człowiekiem, uznała, że nic złego się nie stanie, jeżeli raz pójdzie na późną kolację. Zdziwiła się, gdy wstał zza stołu i wyciągnął do niej rękę. Był wysoki i wysportowany jak ona, wyglądał poważniej niż na zdjęciu, które widziała wcześniej – stał na nim bez koszuli na brzegu jeziora.

Od razu jej się spodobał. Oczarowało ją, jak zgiętym palcem dotykał górnej wargi, przysłaniając usta, kiedy się śmiał. Mówił o swoich uczniach z siódmej klasy z taką dumą, jakby był ich ojcem. Przede wszystkim chciał jednak rozmawiać o niej. O tym, co lubi, a czego nie, gdzie była i dokąd chciałyby pojechać. O jej bieganiu. Pracy. Badaniach. O jej dzieciństwie jedynaczki wychowywanej przez samotną, borykającą się z przeciwnościami losu matkę, która zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zapewnić córce powodzenie w życiu.

Kiedy ich stolik został już uprzątnięty, kiedy śmiali się tak głośno, że zdenerwowali ludzi siedzących obok, kiedy kilka razy patrzyli na siebie przez chwilę, nie odzywając się ani słowem, Ben dał znak kelnerce, że chce zamówić ostatniego drinka. I wtedy zapytał: „Chcesz mieć dzieci?”.

Dopiero przechylając kieliszek, uświadomiła sobie, że nie ma w nim wina. Odstawiła go z powrotem, zdając sobie sprawę z upływających sekund.

„Chyba tak”. A potem, żeby utwierdzić się w tym przekonaniu, dodała: „Tak, chcę mieć dzieci”.

Spuścił wzrok, znowu dotknął palcem ust, na których wykwitł uśmiech. Usłyszał odpowiedź, na którą liczył. Nie miała wątpliwości, że jego zdaniem wszystko między nimi rozwijało się dokładnie tak, jak chciał.

Miała trzydzieści trzy lata. Zawsze wydawało jej się, że jest pewna, czego chce, a czego nie, jednak macierzyństwo uważała za temat dla innych. Nie dla niej. Nie wywoływało w niej silniejszych emocji. Od lat stanowiło to źródło sporu z matką, która pragnęła wnuka. Chciała, by Rebecca poznała takie samo matczyne uczucie, jakie znała ona. I choć Rebecca była wdzięczna matce i nie mogła znieść myśli, że mogłaby ją rozczarować, to nie wyobrażała sobie dziecka w swoim życiu.

Kiedy tamtego wieczoru wracała do mieszkania, bardzo się cieszyła, że głośno wypowiedziała te słowa do Bena. Coś się zaczęło zmieniać. Dostrzegła coś ważniejszego od własnego dobra. Może instynkt macierzyński stale w niej tkwił, tylko nie chciała nasłuchiwać jego głosu. Zagłuszały go ambicja i zaborcza nauka. Próbowwała wchłonąć nieskończoną ilość wiedzy, pracowała mnóstwo godzin. Skąd mogła wiedzieć, co tak długo kryło się w niej pod spodem?

Pomyślała o swojej samotnej matce. O upływających latach i o pocałunku z Benem przed restauracją. Właściwie nie chodziło wcale o sam pocałunek. Chodziło o perspektywy – czasem właśnie tak zaczyna się miłość. Weszła do mieszkania, zadzwoniła do niego z wiadomością, że bezpiecznie dotarła, a potem przegadali jeszcze dwie godziny.

Pobrali się półtora roku później na małej rodzinnej ceremonii w domu na farmie, gdzie Ben wychował się z dwoma braćmi i siostrą. Matka Rebekki prowadziła ją ze świeżo pobielonej werandy domu do ołtarza z bel siana, przy którym stały metalowe wiadra wypełnione setkami słoneczników. Potem było mnóstwo rozmów o dzieciach, które pewnego dnia dołączą do dziewięciorga innych w rodzinie. Rebecca przyglądała się, jak bratanice, siostrzenice, bratankowie i siostrzeńcy Bena ganiają w wysokiej trawie w rdzawym blasku zachodzącego wrześniego słońca, a gdy się odwróciła, zobaczyła, że na tę scenę patrzy też jej matka. Nie mogła dać jej wszystkiego, ale doprowadziła ją do tego miejsca. Rebecca była świetnie wykształcona, szanowana i bezpieczna. Miała życie, na jakie matka nigdy nie mogła liczyć.

Wtedy na werandę wyszedł Ben i stanął obok swojej świeżo upieczonej teściowej. Otoczył ramieniem barki, które dźwigały więcej, niż

którekolwiek z nich potrafiłoby sobie wyobrazić, szepnął jej coś do ucha, a ona parsknęła śmiechem. Oboje spojrzeli na dzieci w trawie. Ben puścił oko do Rebekki, która odpowiedziała uśmiechem, czując, jak od radości tego dnia bolą ją policzki. Gdyby ją poprosił, bez namysłu zrzuciłaby atłasowe pantofelki, pobiegła z nim na łąki i gnała w stronę chylącego się słońca, aż dół sukni poczerniałby od ziemi.

Gdzieś między tymi początkami i obecną chwilą jej brak zainteresowania przerodził się w obsesję, której nie umie wyrazić. Podchodziła do macierzyństwa nieufnie, a potem to się zmieniło. Nie chciała dziecka, a potem o niczym innym nie marzyła.

Najczęściej jednak jest na siebie zła, że stała się zakładnikiem tego rozpaczliwego pragnienia. To chyba jej największa słabość. Nie umie się zdyscyplinować, by przed nim uciec, bez względu na to, jak bardzo stara się skupić na każdej innej stronie swojej osobowości. Na każdej innej myśli.

Kiedy wchodzi do domu, widzi otwarty na stole laptop i leżące obok słuchawki. Ben woła do niej z kuchni.

Przyciąga ją bliżej i dotyka kciukiem czerwonego śladu na czole po przylegającym za mocno czepku. To gest rodzica wycierającego odrobinę keczupu z kącika ust dziecka. W ich małżeństwie pulsuje dzisiaj jakaś zgaszona, stępiona energia. Ben martwi się jej brakiem snu, bólem stopy, martwi się, czy miała okazję zjeść coś w pracy. Przysuwa jej talerz i siada, czekając, aż ona też usiądzie. Opiera brodę o dłoń, a łokieć o blat stołu.

– Co z nim?

– To się może zmieniać z godziny na godzinę, ale na razie nie ma żadnej poprawy. Im dłużej jest w śpiączce, tym mniejsze są szanse wyzdrowienia. Mają mi wysłać wiadomość, gdyby coś się stało.

– Jezu. – Ben kręci głową. Nie mieści mu się to w głowie.

– Wiem. Rano nie mogłam uwierzyć, że to on. Jasne, takie rzeczy zdarzają się przecież co dzień, ale żeby sąsiadom z naprzeciwka, naszym znajomym... To po prostu... to okropne.

– Należę ci wody.

Patrzy, jak mąż krząta się po kuchni. Ten pokaz troski, ciągłe starania, żeby się nią opiekować. Jak gdyby chciał przekonać samego siebie, że

wystarczy mu, gdy będzie dbał o nią, nie o dziecko. Jakby próbował wyciszyć gorycz, która mogła ostatecznie zwyciężyć.

Rebecca wie, że Ben chce ją kochać. Ale miłość potrafi się zmieniać. Opiera się na wyobrażeniu drugiej osoby, a ona już nie w pełni pasuje do tej wizji.

– Może pójdziesz pobiegać – proponuje. Kiedyś biegała bez przerwy. Po długim dyżurze pokonywała całe kilometry, by zrzucić z siebie wszystko, co w niej tkwiło, wątpliwości, czy dobrze poradziła sobie z jakimś przypadkiem, dręczący niepokój, czy nie wysłała do domu dziecka, które powinna zostawić w szpitalu.

– Może – odpowiada. Unosi do ust szklanekę z wodą. Ben odwraca się, żeby wytrzeć dłonie w ścierkę. Robi to trochę dłużej, niż trzeba.

Pyta ją o urlop na wyjazd do Oregonu. Obiecuje mu, że to załatwi.

Pyta, dlaczego nie chce kawy.

Spogląda na nietknięty kubek. Mówi mu, że w szpitalu wypła o jedną za dużo.

Może to teraz robić, okłamywać go bez zająknięcia. Jakby słowa wcale nie padały z jej ust. Jakby żadne z tych łgarstw się nie liczyło, bo zostaną finalnie zaliczone do czasu Przedtem. A Potem wszystko będzie lepsze. Obchodzi ją tylko to, co będzie Potem.

Idzie na górę się przespać, sprawdza, czy ma głośno ustawiony dzwonek. Za niecałe trzy godziny musi wracać, chyba że będzie wcześniej potrzebna rezydentowi. W sypialni zsuwa spodnie, które są za ciasne w pasie. Nasłuchuje, by się upewnić, że odgłos kroków Bena dalej dobiega z parteru. Unosi T-shirt i ogląda swój brzuch w lustrze wiszącym po wewnętrznej stronie drzwi. Nigdy nie udało jej się pokonać granicy stu dwudziestu dziewięciu dni. Niedługo nie będzie już mogła tego ukrywać, za parę tygodni zmiana sylwetki stanie się widoczna, może nawet za tydzień.

Ben nie może dłużej dźwigać ciężaru tak nikłej nadziei. Ale ona nie może bez niej żyć.

ROZDZIAŁ 15

WHITNEY

SZPITAL

Wsusza między zęby czubek palca wskazującego jego prawej dłoni i obgryza paznokiec, a potem odrywa cienki półksiężyc. Trzyma go w ustach między językiem a podniebieniem. Dotyka odsłoniętego paska różowej skóry na czubku palca i zastanawia się, co on teraz czuje. Jej dotyk? Jej obecność? Słyszał ją, gdy mówiła, jak bardzo jej przykro?

Zna tego dziesięciolatka na wylot. Jest częścią niej. Są jednak blisko momentu, kiedy to się zacznie zmieniać. Oddała się od niej, odkąd go urodziła, i wkrótce Whitney poczuje to fizycznie, gdy dziecko przestanie szukać pocieszenia w czułych gestach matki. Niedługo będzie ją kochał mniej niż kiedyś. Potem Whitney zrozumie, że staje mu się obojętna. Będzie się czuł bardziej skrępowany w jej obecności, niż kiedy nie będzie jej w pobliżu. A potem zacznie myśleć o niej rzadziej i chłodniej. Będą się dotykać przelotnie tylko podczas powitania, a na pożegnanie serdecznie poklepie go po szerokim i silnym męskim ramieniu.

Tak to wygląda z synami, prawda?

Jeżeli będzie żył. Jeżeli zapomni, co się stało.

Przesuwa palcem pod jego oczami, jak gdyby chciała mu otrzeć łzy. Kładzie dłoń na masce respiratora zakrywającej mu usta. Wyobraża sobie, że to ona wypełnia jego płuca powietrzem, że tylko ona może go uratować.

Nagle przypomina jej się jego śmiech. W wyobraźni widzi, jak lekko unoszą się jego kości policzkowe, jak napina się szczeka, ale nic nie słyszy. Jaką wysokość ma jego głos? Jak to możliwe, że nie pamięta, jak on się śmieje? Może Jacob? Może Louisa?

Czy on w ogóle śmieje się w jej obecności?

Nie pamięta, żeby sama często się śmiała w dzieciństwie. Przypomina sobie tylko dobiegający przez ścianę z mieszkania obok śmiech z telewizora. Ojciec raz na jakiś czas walił w ścianę, żeby sąsiad ściszył dźwięk, a matka narzekała, że ten łomot jest jeszcze gorszy niż hałas stamtąd, na co on odpowiadał, że jeżeli się jej nie podoba, może odejść, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że nigdy by tego nie zrobiła.

Whitney wiedziała jednak, że w wewnętrznej kieszeni płaszcza matka chowała bilet na autobus. Do wykorzystania w każdy roboczy dzień, bez daty ważności, na dworzec linii krajowych trzy godziny drogi z domu. Do dziś słyszy każde słowo z tej rozmowy, pamięta nawet, że przewidywalność całej sceny dawała jej coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa, gdy ojciec opadał na krzesło z grymasem z powodu bólu w biodrze, który pozbawił go źródła utrzymania. Gdy przypierał matkę do ściany, wypływając z siebie słowa. Potem nucił sobie pod nosem coś Johnny'ego Casha, żeby się uspokoić, nie więcej niż jedną czy dwie zwrotki. Whitney nie przypomina sobie jednak, by któreś z nich się śmiało.

Dlatego być może u Loverlych rzeczywiście za rzadko słyhać śmiech, w każdym razie wtedy, gdy Whitney jest w domu. Wtedy jest dużo jej telefonu, dużo rad i poleceń, dużo płaczu, kiedy czyjeś zachowanie rozmija się z jej oczekiwaniami. Mało za to jest miejsca na spontaniczność. I mało czasu.

Stara się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz się z nim bawiła, układała klocki Lego, grała w szachy czy jakąś planszówkę albo miała w rękach jedną z tych plastikowych wirujących zabawek, które zbiera, ale właśnie zapomniła ich nazwy.

Nie bardzo lubi się bawić. Tak naprawdę nie znosi. Zabawa jest zupełnie bezproduktywna. Nie cierpi plastikowych pojemników pełnych zabawek, nie cierpi siedzieć na podłodze. Nie cierpi wydawać odgłosów samochodu ani udawać pumy. Nie cierpi tej nużącej monotonii. Nie cierpi sprawiać wrażenia radosnej i zaskoczonej, kiedy taka nie jest. Nie cierpi udawać zaciekawienia czymś, co jest nieprawdziwe.

„Pobawisz się ze mną? Kiedy możesz się ze mną pobawić? Pobawimy się po kolacji? Zbudujesz coś ze mną?” Musi zamknąć oczy i przygotować się na fochy i histerię, gdy odpowiada: „Przykro mi, ale teraz nie mogę. Mam do zrobienia jeszcze parę innych rzeczy”.

Zawsze ma do zrobienia coś innego, czy zawsze znajduje sobie coś innego do roboty? Myśli o terminarzu w telefonie, o wypełnionym po brzegi kolorowymi prostokątami kalendarzu, który decyduje o całym jej życiu. Żaden kolor nie jest przypisany do Xaviera ani do bliźniaków. Żaden kolorowy pasek nie wyznacza godziny Zabawy.

Czy kiedykolwiek leżeli razem na słońcu i patrzyli w chmury? Układali razem historie, niemądre piosenki, niemądre słowa? Znali tę jedyną w swoim rodzaju radość, jaką powinni odczuwać?

Nie jest takim typem matki.

Takim jak Blair. Która podejmuje inne decyzje niż ona.

Bierze dłoń Xaviera i znowu przykłada do ust jego paznokcie. Kiedyś bez namysłu zagroziła, że jeżeli dalej będzie bez przerwy je obgryzać, to zacznie codziennie rano nacierać mu palce cebulą, bo coś takiego zapowiedziała jej kiedyś matka. W odpowiedzi nie próbował się jak zwykle usprawiedliwiać. Poprosił ją tylko, żeby przestała o tym mówić. Stwierdził, że obgryzanie paznokci jest czasem jedyną rzeczą, dzięki której czuje się lepiej.

„W jakim sensie lepiej?” Nie miał na to odpowiedzi. Dała mu spokój. Wie, co to znaczy łamać jakiś zakaz, bo dzięki temu zyskujesz coś, czego najbardziej potrzebujesz. Ulgę. Poczucie kontroli.

W pokoju pojawił się lekarz. Nie może go słuchać, nie może udawać, że wie, co ten człowiek do niej mówi. Chce go uciszyć, zasłonić uszy. Odejdź stąd. Odejdź. Wyczuwa zapach alkoholu. A potem lateksu. Ścisła wiotką rękę Xaviera, bo chce się upewnić, że nadal tu jest, że ma tkanki, mięśnie i kości. Że nie istnieje tylko w jej pamięci.

Pamięć. Lekarz wypowiada to słowo dokładnie w tej samej chwili. Pamięć Xaviera. Trauma. Jakiś rodzaj badania. Obrzęk. Padają słowa „kości”, „czaszka” i „ukrwienie”. Mieszanka liczb z ułamkami dziesiętymi.

Otwiera oczy, by go zobaczyć. Słyszała od innych matek, że miewają wizje swojego dziecka w późniejszym wieku, że jakiś wyraz twarzy pomaga im przenieść się wyobraźnią w przyszłość. Czasami zdarza jej się to z bliźniakami. Ale nigdy nie myśli w taki sposób o Xavierze. Zawsze widzi w nim tylko chłopca, którym jest w tym momencie. Buńczucznego, trudnego, wymagającego uwagi. Doprowadzającego ją do ostateczności.

ROZDZIAŁ 16

WRZESIEŃ

OGRÓD ZA DOMEM LOVERLYCH

Czuje znajome pieczenie w gardle, które nie znika, gdy przełyka ślinę – to kwaśny i gęsty smak wstydu. Whitney podnosi się z podłogi sypialni i patrzy na Xaviera, który nie odrywa od niej wzroku. Oboje spoglądają w stronę otwartego okna nad ogrodem, gdzie trwa przyjęcie. Zaciska dłoń na piersiach, jak gdyby została publicznie obnażona, jakby ktoś zdarł z niej ubranie i czuła się naga. Twarz jej płonie, mózg gorączkowo przegląda możliwości naprawy sytuacji.

Może udać, że właśnie chciał połknąć coś trującego.

Może na resztę popołudnia zamknąć się w swojej sypialni.

Może symulować chorobę.

Ale wie, że musi stanąć oko w oko z ogrodem pełnym ludzi, którzy właśnie usłyszeli, jak odzywa się najpotworniejsza strona jej osobowości. Pewnie szeroko otworzyli oczy na taki wybuch wściekłości i zaczęły im walić serca. Kiedy ją zobaczą, poczują żar jej palącego upokorzenia. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego z byle powodu fuka na syna? Przecież to ciastka, tylko ciastka. A on jest tylko małym chłopcem.

Może powiedzieć, że zawinił alkohol. O jeden drink za dużo. Wszyscy mają w dłoniach szkło.

To jednak byłoby za mało, by wytłumaczyć się z tego, co zrobiła.

Złość ustępuje miejsca wyrzutom sumienia. Ujmuje w dłoń umorusaną twarz Xaviera. Czuje mdłości, kiedy kończy się wywołany wściekłością znajomy trans.

– Bardzo przepraszam. Nie chciałam na ciebie krzyczeć. Możesz zostać w swoim pokoju.

Prawdziwy komunikat brzmi: nie schodź na dół. Nie pograżaj mnie jeszcze bardziej.

Zamyka za sobą drzwi.

Idzie do kuchni na nogach jak z waty. Lepiej będzie jak najszybciej mieć to za sobą. Dasz radę, dasz radę. Poszuka Blair, ona na pewno będzie udawać, że to w ogóle się nie zdarzyło. Będzie się zachowywać, jak gdyby nie było powodu do zmartwienia. Widzi Jacoba; zaczerwieniony i zbity z tropu idzie w jej stronę, więc uśmiecha się do niego, starając się ze wszystkich sił, by wypadło to szczerze. Dotyka jego ramienia, czuje, jaki jest spięty. Zapewnia go, że wszystko jest w porządku i porozmawiają o tym później, po czym rusza w stronę ogrodu, a jej długa jedwabna sukienka powiewa za nią z elegancją, której właśnie się sprzeniewierzyła.

Na zewnątrz czuje, jak skrępowani goście unikają spoglądania na nią. Wolno wracają do rozmów, ale toczą je powściągliwie. Przygniata ją wstyd. Staje na tęczach, które córka Blair narysowała na tarasie, i nie potrafi przesunąć stóp. Wie, że musi coś do kogoś powiedzieć, ale nigdzie nie widzi przyjaciółki. Jest jej potrzebna. Tylko ona może trochę naprawić sytuację. Whitney odwraca się do trzech matek ze szkoły, które rozciągają usta w sztucznych uśmiechach. Wykrzywia twarz.

– Bardzo przepraszam za to, co zaszło. Xavi ma ostatnio poważne kłopoty. Problemy ze zdrowiem psychicznym. Nie chcę teraz wchodzić w szczegóły, ale martwimy się o niego. – Urywa. Musi uchylić im rąbka tajemnicy. – Chodzi na terapię behawioralną.

To nieprawda, ale może dojdą do wniosku, że poziom jej gniewu był uzasadniony. A nawet konieczny, jeśli wezmą pod uwagę najgorsze. Pomyślą, że miał w rękach jakieś niebezpieczne narzędzie. Pomyślą, że zamierzał zrobić sobie krzywdę. Zrozumieją jej wybuch, wytłumaczą go obawą, będą jej współczuć. Błagam, niech jej współczują.

I chyba jej życzenie się spełnia, wszystkie zaczynają mówić równocześnie. Oczywiście. Jasne, rozumiemy. Nie musisz przepraszać.

Zapada na chwilę cisza, która wydaje się trwać parę minut. A potem:

– Właśnie rozmawialiśmy o planach miasta. Chcą zbudować nowy plac zabaw, czy sądzisz, że...

Blair ją obserwuje, a Whitney ostrożnie zerka w jej stronę, jak gdyby czuła na sobie jej wzrok. Blair usłyszała jej kłamstwo o Xavierze. Kuca obok dzieci, by ukryć zażenowanie, i choć bolą ją kolana, to nie zamierza się wyprostować. Przygląda kucyk córki, przebiera palcami po ramieniu Sebastiana, żeby zachichotał. Wyobraża sobie, że idzie na górę, by sprawdzić, co z Xavierem, i poprawić mu nastrój, ale wie, że Whitney to się nie spodoba. Dlatego wreszcie podnosi się z kucek, uprzejmie przerywa rozmowę grupce kobiet, proponując, że pomoże uprzątnąć papierowe talerze i kubki. Czy Whitney mogłaby jej przypomnieć, gdzie trzyma worki na śmieci?

Whitney jest wdzięczna za to przemyślane ułaskawienie. Blair doskonale wie, że worki są pod zlewozmywakiem. Pochyla się, bierze na ręce Theę i całuje ją figlarnie trzy, pięć, siedem razy. Obraca w powietrzu dziewczynkę, która wybucha śmiechem. Ma nadzieję, że wszyscy się temu przyglądają. Powtarza to. Thea pyta o Zagsa, bo tak bliźniaki nazywają Xaviera. „Zags jest na górze, nic mu nie jest”, mówi Whitney i stawia córkę na ziemi. Ściszone głosem pyta Blair, czy ona i Aiden mogą zostać, gdy wszyscy goście wyjdą. Wie, że Aiden chętnie wypije z nią jeszcze parę drinków, trochę rozluźni atmosferę. Nie można wykluczyć, że to, co się stało, wzbudziło w Blair niechęć, ale odpowiada, że pewnie. Pewnie, bardzo chętnie zostaną i w ten sposób udają, że incydent był bez znaczenia.

Inne kobiety będą jednak rozmawiać, jak gdyby same nigdy w życiu nie krzyknęły na swoje dzieci.

Jasne, każdy czasem traci cierpliwość, ale szkoda tego chłopaka.

W prywatnych rozmowach będą wracać do tamtej okropnej chwili, podkreślać, jakie to było niespodziewane. Użyją nawet słowa „przerazające”. Whitney jest bowiem typem matki, której inne kobiety zawsze próbują coś wytknąć.

Ona dobrze o tym wie. Zwykle lekceważy ocenę jej priorytetów, bo ta ocena jest podszyta zazdrością. Tego popołudnia na swoim pięknym terytorium sama osłabiła jednak element zazdrości, a ilekroć pomyśli o tej chwili utraty panowania nad sobą, zawsze będzie czuła wstyd.

Blair poznaje po wyrazie twarzy Whitney, że ona zdaje sobie z tego sprawę. Nigdy nie widziała przyjaciółki w tak trudnym położeniu i to sprawia jej fizyczny dyskomfort. Inne matki ze szkoły zaczynają się powolutku wycofywać, mówią o zabieraniu dzieci. Sprawdzają na telefonach godzinę. Blair chce jej pomóc – pomóc im obu – zachwyca się więc wspaniałym występem magika. Cieszy się, jak wszyscy świetnie się bawią. Jakie wspaniałe są deski serów. Z niepokojącą łatwością potrafi zignorować macierzyńskie wykroczenie sprzed chwili. Chwali, podnosi na duchu, może nawet skusi się na jeszcze jednego drinka.

Whitney lustruje gości, sporządzając w duchu listę wszystkich, którzy słyszeli, jak jej odbiło. Twarze, które będą ją dręczyć przez kilka najbliższych tygodni, jeśli tyle będzie potrzebowała, by zrzucić z siebie ciężar wstydu.

Słuchając Blair, kiwa głową i patrzy w stronę Aideny stojącego na przeciwległym krańcu ogrodu i na kobietę, która śmieje się z czegoś, co właśnie powiedział. Spogląda na ogrodzenie, za którym widać poruszającą się sylwetkę Mary, a potem na szeroko otwarte okno sypialni syna, przez które Xavier chyba właśnie wyrżał. Podskakuje, czując na ramieniu dotyk dłoni Jacoba.

Gdy Whitney wzdryga się zaskoczona dotykiem męża, Blair ogarnia zagadkowa obawa, a zaraz potem słyszy za plecami rozbawiony głos Aideny. Próbuje rozpoznać ten ton i płoną jej policzki. Nagle z drugiej strony ogrodzenia dobiega stanowczy trzask tylnych drzwi domu Mary, jak gdyby jego właścicielka dawała do zrozumienia, że dość już usłyszała. Spotykają się spojrzenia Whitney i Blair. Po przyjęciu jeszcze raz wrócą myślami do tych kilku pełnych napięcia sekund, ale żadna z nich nie zrozumie dlaczego. I nie będą rozumieć przez kilka miesięcy, aż do środy wieczorem w czerwcu, gdy wszystko zacznie się sypać.

Dwie godziny później gromada gości w ogrodzie się przeredza, większość małych dzieci odprowadzono już do domów, żeby poszły spać, a sukienka Whitney zsunęła się tak nisko, że Blair widzi rowek między jej piersiami. W pewnym momencie zdjęła biustonosz i pod jedwabiem

wyraźnie rysują się sutki. Jest boso, sandaalki rzuciła na trawnik. Blair poprawia prostą bawełnianą bluzkę. Jest nowa, jej biel wciąż wygląda nieskazitelnie. Wygładza mankiet oliwkowych szortów z zakładkami, które kupiła razem z bluzką. Teraz kojarzą jej się ze strojem, jaki mogłaby włożyć jej matka. Otwarto butelkę dobrej tequili i chociaż nie lubi pić tego trunku bez żadnych dodatków, to przyjmuje szklaneczkę, bo podaje ją Jacob.

Whitney zaprasza Aiden, by usiadł na krześle ogrodowym, został jeszcze trochę i się zrelaksował, a potem prosi Jacoba, żeby dał głośniej muzykę. Gdy jej mąż wraca, stukają się szklankami udekorowanymi wianuszkami z soli, mężczyźni rozmawiają o wyjątkowo deszczowym lecie i poziomie wód w Wielkich Jeziorach, a potem Whitney, znudzona tematem, ciągnie Blair, żeby z nią zatańczyła.

Blair nie chce, sztywnieje i opiera się, przyjęcie ją zmęczyło, a w ogrodzie zostało jeszcze za dużo osób. Na myśl o tańcu rumieni się jeszcze bardziej niż od tequili. Nie cierpi tańczyć i Whitney dobrze o tym wie. Nie cierpi tego uczucia niezdarności i śmieszności. Nie cierpi myśli, że jeśli nie przyłączy się do zabawy, to zostanie uznana za wieczną ponuraczkę. Po jej szyi już wspina się rumieniec.

Ale nie sposób odmówić Whitney. Muzyka brzmi jak w klubie na plaży w Miami. Blair obserwuje ruchy przyjaciółki i stara się nie myśleć za bardzo o tym, co robi jej ciało. To zaczyna działać. Ogarnia ją niespotykane poczucie swobody, nieznaną przyjemność z zabawy. A potem coś zbliżonego do dumy. Cieszy się, że może się jeszcze poczęstować alkoholem, wypija następny łyk. Wyciąga ręce nad głowę, tak jak to robią inni, wykonuje nimi powolne, węzowe ruchy i przechyla głowę na jeden bok. Potem na drugi. Jej oczy zasnuwają się mgłą. Potrafi się jeszcze sama zaskakiwać. Wciąż czuje, że żyje.

Nagle wstaje Jacob i Blair przez chwilę myśli, że może chce z nimi zatańczyć, denerwuje się i gubi rytm. On jednak dotyka bioder Whitney, mija ją i rusza do kuchni. Blair bierze ją za ręce i znowu naśladuje jej ruchy, czując, jak wraca jej pewność siebie. Odwraca głowę w stronę siedzącego na tarasie Aiden, który przygląda im się ze skrzyżowanymi nogami, kładąc dłoń na kostce. Na pewno podoba mu się, że jego zawsze sztywna i spięta żona przynajmniej raz dobrze się bawi. Widzi, że umie się wyluzować. Zaszaleć. Może go to nawet trochę podnieci. Blair stula usta w dzióbek.

Zastanawia się, czy pójdą dzisiaj do łóżka. Mogłaby choć raz przejąć inicjatywę. Wsunąć mu dłoń do majtek, gdy będzie mył zęby. Sama czuje między nogami falę ciepła i znowu jest zaskoczona samą sobą. Unosi oczy, by znaleźć jego wzrok.

Jej mąż wcale jednak nie patrzy na nią. Blair rozpoznaje to szkliste spojrzenie. Świadczy o żądzy. Aiden wlepia wzrok w ciało Whitney, jej biust, odsłonięte plecy. Powoli przesuwa czubkiem języka po dolnej wardze. Blair nieruchomieje. Czuje w piersi palącą tequilę. W ogóle jej tu nie ma – jak zawsze.

ROZDZIAŁ 17

REBECCA

Z drzemki budzi ją odgłos telewizji z salonu na dole. Potrzebuje kilku sekund, by się zorientować, że to dopiero popołudnie, że czeka ją dalszy ciąg pracy. Przypomina sobie obraz Xaviera w centrum urazowym. Ben ogląda wczorajszy mecz baseballu, klaszcze i wrzeszczy, zapominając w emocjach o zawodniczkę regenerującej się na górze.

– No dalej, dalej! TAK!!!

Pewnie ma na głowie czapkę Yankees odwróconą daszkiem do tyłu. I pije piwo light. Umościła się obok niego na kanapie i z głową na jego kolanach poleży jeszcze ze dwadzieścia minut, zanim wróci do szpitala na ostatnie godziny dyżuru.

Najpierw jednak podnosi z podłogi za swoimi plecami iPada i klika na link do forum, który zapisała w zakładkach. Podczas tej ciąży jeszcze się z tym wstrzymywała. Znajduje stronę miesiąca, kiedy ma termin – październik, piękny, rześki październik – i zaczyna przeglądać posty. Selfie robione w biustonoszach i majtkach, rejestrujące każdą zmianę sylwetki, pytania o barwę, zapach i konsystencję upławów, wszystko to ją fascynuje, zawstydzia i emocjonuje, jak za każdym razem, gdy ulegała tej pokusie. Nie zamierza wracać do nałogowego pochłaniania każdego szczegółu, ale dzisiaj pozwala sobie na pięć minut słabości.

Schodząc potem po schodach, znowu słyszy klaskanie Bena. Podskakuje jak oparzony, gdy zza kanapy dotyka jego szyi.

– Obudziłaś się. Telewizor jest za głośno? Jeszcze jedna runda i wracam do pracy, po południu mam w planie kilka telefonów.

Unosi ręce i wyciąga je w jej stronę, chce ją objąć. Rebecca wyobraża sobie, jak by to było, gdyby te ręce brały od niej nakarmione i zmęczone niemowlę. Wyciągnęła się przy nim w blasku ekranu, kładzie mu głowę na kolanach. On trzyma dłoń na jej boku nad biodrem, a ona sztywnieje –

przecież może sięgnąć dalej i przyciągając ją do siebie, poczuć, jak nabrzmiały jest jej brzuch. Ale po tym wszystkim, co się stało, bardzo rzadko jej tam dotyka.

– Musimy przestać starać się o dziecko – powiedział pięć i pół miesiąca wcześniej, kiedy siedzieli w nogach łóżka. Trzymał ją za ręce i bawił się pierścionkami, które od niego dostała. W jego głosie słyszała zmęczenie. Nie chciała tak myśleć. Pokręciła głową – nie, nie będą teraz o tym rozmawiać. Nigdy nie będą o tym rozmawiać.

– Poważnie?

– Chyba już dłużej nie mogę tego robić.

– Czego? Przecież tego chcesz, Ben! Chcesz, żebyśmy mieli dziecko.

Mieli pragnąć tego samego. Tej samej przyszłości, tego samego domu, tej samej rodziny. Przyciągnęła jego dłoń do swoich ust, by poczuł, że jest przy nim, że dotyka warg ukochanej żony. Wpatrywał się w palce u jej stóp. Niemożliwe, żeby mówił serio.

– To za trudne. Dla nas obojga. – Z początku miał bezbarwny głos. – Musimy przyjąć do wiadomości, że to się nam nigdy nie zdarzy. Nie możemy ciągle robić dzieci i je tracić. Żeby to się bez przerwy powtarzało, marzenie i porażka, marzenie i porażka. Jak długo to ma trwać? Kiedy to się skończy, ile jeszcze razy? Sześć? Dziesięć? Piętnaście? Jedno z nas musi podjąć tę decyzję, bo inaczej sami siebie zniszczymy. Nie czujesz, że to już się zaczęło?

– Po prostu się boisz, Ben. Poddajesz się, bo się boisz. Może tym razem trochę odczekamy, co ty na to? Zrobimy sobie miesiąc przerwy i potem na pewno podejdziesz do tego bardziej pozytywnie.

Chciała, żeby usłyszał w jej głosie rozpacz. Bardzo długo milczał, a potem pokręcił głową.

– Czyli już... już dajesz sobie spokój? Nie będzie dziecka? Tak po prostu?

Powiedział, że mu przykro. Że ją kocha. Że musi go zrozumieć. Milczał, gdy pozwoliła mu się objąć. Ale go nienawidziła.

Inna kobieta mogłaby odetchnąć z ulgą. Albo bombardować pięściami jego pierś. Mogłaby wrzasnąć, że nie jemu o tym decydować. Mogłaby go przekonać, że nie powinni się poddawać. Opowiedzieć mu historie z forum o kobietach, które próbują przez długie lata, które słyszą, że to niemożliwe,

i nagle marzenie się spełnia. Magia, to naprawdę jakaś magia, i jeśli nawet ona dała się przekonać, to dlaczego nie on? To słowo – „cud” – towarzyszy jej wszędzie, krąży po szpitalnych korytarzach, jest wypowiedzane szeptem w klinice leczenia niepłodności i wszyscy mówią, że zdarza się każdego dnia, więc gdzie jest jej cud?

Mogła go błagać. Nie widziała innego sposobu.

Rebecca zastanawiała się jednak, czy miał na myśli coś jeszcze, gdy mówił: „To się nam nigdy nie zdarzy”. „Nam”. Chciał przez to powiedzieć, że to się nie zdarzy z jej powodu. Musiał się pogodzić z faktem, że wybrał życie z istotą wybrakowaną. Cztery razy do roku latał przez pół kraju, żeby zobaczyć się z bratankami i siostrzenicami, pomalował już pokój dziecięcy na kolor o nazwie Kalamín. Chciał dziecka bardziej niż z początku ona. A teraz się poddaje? Tak ciężko mu teraz znieść nadzieję? Gdy obsesja i desperacja rozjechały ją jak walec? Powinna być wściekła, ale czuła tylko strach. Nie wyrzucaj mnie, pomyślała. Pozwól mi zostać. Wstydziała się tych myśli, które świadczyły o słabości, nie mogła się ich jednak pozbyć.

Daleko za nimi został obrazek rodzeństwa biegającego w wysokiej trawie przy domu jego rodziców. Obrazek kurtek i ubłoconych butów w przedsionku.

Dlatego zgodziła się, choć słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Przestaną próbować. W tym, co mówił, brzmiał silny głos rozsądku i racjonalna strona jej mózgu, której ufała w każdej innej kwestii, mogła to przyjąć do wiadomości. Mimo to drżała w jego objęciach.

Porażka nie okazała się wytchnieniem, lecz udręką. Ilekroć zostawała sama w sypialni, cicho płakała w poduszkę. Z trudem zmuszała się do odebrania telefonu, gdy dzwoniła jej matka. Z trudem brnęła przez każdy dzień pracy w szpitalu, czując się jeszcze bardziej bezpłodna niż dotąd, choć przecież pod względem biologicznym nic się nie zmieniło. Okazało się, że żywiła większą nadzieję, niż sobie uświadamiała.

W następnych dniach Ben traktował ją z wyjątkową czułością. Był troskliwy i delikatny. Znalazł jakiś sposób, by się trochę rozluźnić. To pewnie uczucie ulgi, ale w miarę jak upływały kolejne tygodnie, pustka znowu stała się namacalna. Rebecca nigdy nie zaznała niczego w rodzaju ulgi. Kiedy Ben był w pobliżu, separowała się od niego – wychodziła z pokoju, wkładała słuchawki, mimo że niczego nie słuchała. Znowu

zaczęła biegać, aby się wyrwać z domu, ale każdy krok na twardym bruku był jak cios przypominający jej, że jest uwięziona w felernym ciele.

Trzy tygodnie później, gdy tępy ból jajnika powiedział jej, że została uwolniona komórka jajowa, co zdarzało się dokładnie co dwadzieścia dziewięć dni – ta regularność miała w sobie coś okrutnego – nie mogła się powstrzymać. Gdy na ekranie telewizora pojawiły się napisy końcowe, odnalazła go pod kocem na kanapie. Znowu odegrała przed nim wygłodniałą samicę. Pragnącą pierwszy raz od dawna jego, nie jego nasienia. Nie kochali się, odkąd jej powiedział, że nie będzie się już starał o dziecko.

– Nie jajczkuję – szepnęła mu uspokajająco do ucha. A potem, jeszcze ciszej i bardziej przekonująco: – Chcę tylko ciebie. Ciebie.

Kiedy skończył, mocno przycisnęła do siebie jego biodra.

Dzień przed zrobieniem testu ciążowego, który miał potwierdzić to, co już wiedziała, zapytała go jeszcze ostatni raz. Jak gdyby ten rozpaczliwy rzut na taśmę mógł zmienić to, co zrobiła.

– Nie zmieniłeś zdania? Na temat starań?

Przygarnął ją do siebie, oparł podbródek o jej ramię. Zanim się odezwał, poczuła, jak z piersi uchodzi mu całe powietrze.

– Nie mogę znowu przez to przechodzić, Rebecca. Martwi mnie taka przyszłość. Chcę to zostawić za sobą. Ty też powinnaś to zostawić za sobą.

Trzask odbijanej piłki, znowu drużyna w ataku zdobywa punkt, a głowa Rebekki podskakuje na kolanach Bena, który klaszcze i mówi do graczy, jakby stał przy bocznej linii boiska. Uspokaja się, nawija na palec wskazujący kosmyk jej włosów. Pochyliła się, by pocałować ją w głowę, i przewija do przodu reklamy.

Powie mu dzisiaj wieczorem. Jutro będzie w ciąży o pięć dni dłużej niż za pierwszym razem. Wcześniej nigdy nie musiała przyznawać się do kłamstwa. Być może zresztą okaże się, że to coś więcej niż kłamstwo. W zależności od rezultatu, to mogłaby być niewybaczalna, niewiarygodna zdrada.

Doktor Rebecca Parry odcięła się od niemądrej kobiety, która od czterech miesięcy ukrywa ciążę przed mężem. I nie powiedziała mu, bo niedługo to kłamstwo może się okazać zupełnie bez znaczenia. Teraz jednak ta druga

kobieta, która na pewno miała stracić to dziecko i ukrywała coś wielkości groszku, potem borówki, potem winogrona, potem śliwki, w końcu odnalazła straconą nadzieję, a kłamstwa nie budzą już wątpliwości. To pociski. Muszę ci coś powiedzieć, Ben. Musisz mnie wysłuchać. Tym razem może się udać. Możemy mieć wszystko.

Dobre odbicie. Macha ręką, pociąga łyk z butelki. A potem odchyła się na oparcie i milknie. Laptop na stole jest zamknięty. Słońce chowa się już za dom, pokój tonie w cieniu, który daje chłód. Rebecca po powrocie do domu coraz częściej zastaje go po południu śpiącego na tej kanapie.

Wie, że Ben nie przeżyje następnej straty.

Nie jest jednak pewna, czy oni przetrwają bez dziecka.

Może przyszła pora na jej cud. Może właśnie ich ocaliła.

Na stole świeci się ekran jej telefonu, przyszła wiadomość od koleżanki z OIOM-u.

Stan Xaviera się pogarsza. Mama nadal nie chce mówić. Możesz pomóc?

ROZDZIAŁ 18

BLAIR

Chodzi po kuchni tam i z powrotem, zastanawiając się, co powinna zabrać dla Whitney do szpitala. Od dwudziestu minut, czyli od telefonu Rebekki, która spytała, czy mogłaby przyjechać, Blair czuje się jak sparaliżowana. Patrzy na drugą stronę ulicy, na dom Loverlych, ale na razie nie może tam wrócić po rzeczy Whitney. Wchodzi na górę i pakuje swój jedyny kaszmirowy sweter, prezent od niej, który zawsze wydawał się za ładny, by mogła go nosić. Bierze małą tubkę pasty do zębów. Zapasową ładowarkę do telefonu.

Wkłada do torby wszystkie przedmioty z tą samą myślą: została okłamana. Wystrychnięta na dudka. Ale teraz Whitney jej potrzebuje. Jeszcze raz do niej zadzwoni, chociaż przez cały dzień nie odbierała telefonu.

Xavier. Przecież to niemożliwe, żeby był nieprzytomny. Siada na łóżku i przyciska do siebie torbę, czując ból w piersi. Chce zobaczyć Chloe. Chce pobiec do szkoły, wyciągnąć ją z klasy i ochronić przed każdym niebezpieczeństwem. Martwi się, bez przerwy się martwi, a oto właśnie powód: ludziom przydarzają się nieszczęścia. Gdy Blair osłania ramieniem dziecko w samochodzie, woła do córki przez całą ulicę, żeby była ostrożna, ma wątpliwości, czy kurczak z grilla nie jest wciąż za bardzo różowy, Whitney opuszcza ręce w uspokajającym geście, jakby uciszała orkiestrę. „Przestań się tak zamartwiać”. Jak gdyby troski Blair były wadą, a nie czymś, co naturalnie wynika z macierzyństwa. Jak gdyby marnowała emocje. Jak gdyby to zupełnie niczemu nie służyło.

W szpitalu Whitney na pewno nie będzie snuła katastroficznych myśli, weźmie sprawy w swoje ręce. Zażąda od lekarzy, by zrobili wszystko, żeby uratować jej syna, i niczego innego nie przyjmie do wiadomości. Whitney

zawsze jest tą silną, dominującą osobą, która dostaje to, czego chce, bez względu na cenę.

Ostatnia myśl budzi w niej niepokój. Blair drżącymi dłońmi zasuwa zamek torby.

Musi teraz oddzielić od siebie te sprawy. Musi spełnić prośbę Rebekki i jechać do szpitala.

Gdy wychodzi z domu, z werandy woła ją Mara.

– Przepraszam, Mara, muszę lecieć, jestem już spóźniona – odpowiada, biegnąc w stronę zaparkowanego przy ulicy samochodu, prawie nie odwraca głowy.

Whitney i Aiden się pieprzą. To oszustwo było niemal nie do pomyślenia. Niemal.

Przestań o tym myśleć, nakazuje sobie w duchu, uruchamiając samochód. Przede wszystkim nie powinna węszyć.

Nie powinna widzieć rozbitego kubka z kawą w pokoju Xaviera.

Ani fiolki z lekarstwem, z której ubyło tyle tabletek.

Wrześniowe przyjęcie w ogrodzie to nie był jedyny raz, gdy słyszała, jak Whitney traci nad sobą panowanie przy Xavierze. Mogło dojść między nimi do kłótni. Albo to wina jakiegoś błędu. Chwili nieuwagi podczas ataku złości.

Kiedy człowiek ma dużo do stracenia, odruchowo kłamie.

Ale oczywiście wypadki też się zdarzają.

Kilka tygodni temu Blair poszła do ogrodu Loverlych, żeby przyprowadzić Chloe na kolację. Whitney właśnie wróciła z biura. Stała i rozmawiała z nią, trzymając w ręce buty na obcasach, które zdjęła. Blair lubiła te chwile, gdy miała okazję wpasować się w rytm jej dnia.

Spytała o urlop, na który Whitney i Jacob wybierali się na jakąś karaibską wyspę, o której Blair nigdy nie słyszała, choć Whitney wspominała o niej, jakby to było miejsce, gdzie co dzień robi się zakupy. Blair koniecznie chciała znać więcej szczegółów – ile kosztują te wakacje, jakie będą mieli pokoje. Czy polecą klasą biznes. Starła się jednak poskromić ciekawość. Wołała nie podkreślać różnic między nimi.

Jednym uchem słuchała Chloe, która była w domu i bawiła się na górze z Xavierem. Skakali na łóżku w jego pokoju i do ogrodu dobiegały radosne piski i chichoty.

Łóżko stało pod oknem.

Blair chciała przerwać Whitney, poprosić ją, by wstrzymała się z następnym wątkiem, i zawołać do Chloe, żeby uważała w pobliżu otwartego okna, ale wtedy jej córka wychyliła się i krzyknęła:

– Hej, mamoo! Przyjdź zobaczyć nasz pokaz gimnastyczny!

– Ona umie zrobić salto i prawie prosto wylądować! Super! – Obok Chloe pojawiły się głowa i ramiona Xaviego.

– NIE WYCHYLAJCIE SIĘ! OSTROŻNIE!

Sekundę później Blair poczerwieniała, słysząc w swoim głosie panikę i uświadamiając sobie, że jak szalona macha ręką.

Kilka razy pytała o to Whitney, bo przecież łóżko stojące pod nieosłoniętym nawet moskitierą oknem na drugim piętrze to gotowy przepis na tragedię. Czy Whitney tego nie widzi? Odparła, że się tym zajmie, założy zamek, choć Blair nigdy nie widziała, by zaprzętała sobie głowę podobnymi głupstwami. Jeśli w domu Whitney coś się zdarzało, pomoc była na wyciągnięcie ręki, Jacob zawsze znajdował rozwiązania, Aiden tymczasem nawet nie dostrzegał problemów. Nie było żadnych list ani popołudni wypełnionych po brzegi sprawami do załatwienia, dzięki którym wszyscy funkcjonowali. Whitney była od dyrygowania, Blair od harówki.

Whitney ledwie uniosła wzrok w stronę dzieci.

– Zamknij okno, Xavi! – powiedziała, zrobiła to jednak obojętnym tonem. Lekceważącym. – Nie bój się. Wie, że powinien uważać.

A potem spojrzała na ekran trzymanego w ręce telefonu, bo wydał krótki dźwięk. Przyszedł mejl, na który czekała. Blair wpatrywała się w twarz Whitney skupionej na wiadomości. Czasami odnosiło się wrażenie, że dzieci w ogóle tu nie ma. Dopóki do tego stopnia jej nie rozdrażniły, że zaczynała na nie fukać.

Zaciska szczęki. Na razie nie może wypytywać Whitney o ten klucz. Może jednak w tych okolicznościach należałoby się zastanowić, jak mały chłopiec wypadł w środku nocy przez okno na drugim piętrze.

ROZDZIAŁ 19

WHITNEY

SZPITAL

Głos za jej plecami mówi, że ma dobrą wiadomość: nareszcie ktoś do niej jedzie i będzie na miejscu za dziesięć minut.

Pada imię Blair. I nie ma w tym nic dobrego.

Przez pierwszy rok mieszkania przy Harlow Street nie znały się zbyt dobrze, wymieniały tylko pospieszne i zdawkowe powitania, gdy zdarzało im się znaleźć równocześnie na ulicy. Wprowadzili się w odstępie miesiąca od siebie: rodzina Loverlych do swojego pięknego domu, który budowano półtora roku, a Parksowie do potrzebującego remontu bliźniaka naprzeciwko. Xavier i Chloe byli jeszcze za mali, żeby naprawdę się polubić.

Kiedy bliźniaki miały dwa tygodnie, Jacob nabawił się okropnej grypy i przez trzy dni nie wstawał z łóżka, nie potrafił utrzymać w żołądku nawet płynów. Opiekunka nie zdecydowała się przyjechać – mieszkała wtedy z babcią, która była słabego zdrowia, i Louisa nie mogła ryzykować, że przywiezie do domu wirusy. Whitney dotąd jakoś sobie radziła, dochodząc do siebie po cesarce i pracując w łóżku, często z jednym z bliźniaków przy piersi. Zamierzała karmić przez sześć tygodni. Nie mogła zrobić tego samego, co z Xavierem, który chciał ssać w nocy znacznie dłużej. Wołała wrócić do pracy. Uciec od mnożącego się potomstwa. Przedtem miała ambiwalentny stosunek do następnego dziecka, ale Jacob miał rację, że rodzeństwo – brat albo siostra – będzie korzystne dla Xaviera, no i tym razem było ich stać na zapewnienie sobie potrzebnej pomocy.

Próbowała odciąć się od przytłaczającej wiadomości o bliźniętach, którą usłyszała od lekarza; wydawały się bardziej pojęciem niż dwojgiem dodatkowych dzieci. Potem przyniosły jej szczególny rodzaj ulgi: mogła

być matką w naturalny sposób rozszczepioną i było to całkowicie zrozumiałe, że nie mogła skupiać się na jednym albo na drugim z taką samą uwagą, jakiej oczekiwano od niej przy Xavierze.

Późnym rankiem po dwóch bezsennych nocach Whitney zdała sobie sprawę, że coś jest wyraźnie nie tak, że ilekroć dzieci próbowały ssać, wszyscy troje skręcali się ze strasznego bólu. Miała nabrzmiałe piersi. Dwa obolałe przeciekające kurki. Bliźniaki krzyczały przez kilka godzin, a Sebastian lekko gorączkował. Jacob zabrał Xaviera do szkoły, a zaraz po powrocie poszedł na górę położyć się spać. Jego połowa łóżka była mokra od potu.

Zadzwoiła do Louisy, żeby ją uprosić, ale usłyszała tylko pocztę głosową.

Z wyczerpania bolały ją twarz i szczeka. Troje dzieci to za dużo. Miała ochotę jedno oddać. Miała ochotę pchać wózek aż do najdalszych granic miasta, gdzie beton styka się z ciemną głębią jeziora. Z każdym krokiem krzywiła się jednak z bólu, bo rana po nacięciu wciąż się sączyła, choć nie powinna, ale tylko świeże powietrze uspokajało bliźniaki na dłużej niż czterdzieści sekund. Liczyła te sekundy. Udało jej się zapakować dzieci do nowego podwójnego wózka i powolutku pchała go tym samym odcinkiem ulicy, od jednego znaku stopu do drugiego i z powrotem, czując, jak pali ją rana po nacięciu. Materiał bluzki tarł o sutki jak o odkryte zakończenia nerwowe.

Znosiła czas upływający w męczarniach, wyobrażając sobie, że śpi, a potem budzi się rano i myśli tylko o sobie. Jest wolna. Mogłaby zostawić dzieci, ale i tak by istniały. Dręczyłyby ją jak duchy. Zawsze już czułaby ich ciężar i nie mogłaby przed nimi uciec, bez względu na to, jak daleko próbowałaby się ukrywać, po ilu dniach, tygodniach czy latach postanowiłaby wrócić, gdyby w ogóle kiedykolwiek wróciła.

Miała wrażenie, że zwymiotuje prosto na chodnik. Potem otrze usta rękawem, położy się na jezdni i zamknie oczy, zostawiając po sobie cuchnącą kałużę, aby wylizał ją pies.

Nie zauważyła, że w jej stronę idzie kobieta z naprzeciwka, zorientowała się dopiero wtedy, gdy dwa czy trzy razy usłyszała swoje imię.

– Przepraszam, pomyliłam imię?

Nie pamiętała, żeby wcześniej przedstawiały się sobie nawzajem. Za kobietą kryła się mała dziewczynka, która trzymała ją za rękę.

– Przeszkadzają ci ich krzyki? – spytała Whitney. – Przepraszam. Nieznajoma parsknęła śmiechem.

– Ależ zupełnie nie! Dobrze pamiętam tamte czasy. Chloe, spójrz, jakie urocze. Bardzo chciała je zobaczyć. – Podniosła córkę i oparła ją o swoje biodro, a Whitney uchyliła kocyk Thei, by mogły zerknąć na jej wykrzywioną wrzaskiem buzię.

– Ach. – Kobieta przyjrzała się uważniej. – Biały nalot na języku. Mają pleśniawkę?

Pleśniawkę?, pomyślała Whitney. Jest w ogóle takie słowo? Może mózg jej szwankuje?

– Wiesz, co to jest? – ciągnęła nieznajoma. – Moja córka to miała. Lekarz będzie musiał wam przepisać środek przeciwgrzybiczy.

Patrzyły wszystkie, jak twarzyczki bliźniaków jeszcze mocniej czerwienieją. Whitney nie mogłaby wykrzesać z siebie energii, by w tym momencie wsiąść do samochodu i zawieźć dzieci do lekarza. Nie mogłaby nawet wrócić pieszo do domu.

– Tak w ogóle to jestem Blair. Mogę? – Postawiła córeczkę na ziemi, wzięła kocyk z dna gondoli, po czym zarzuciła go sobie na ramię. Potem podniosła Theę i delikatnie ją na nim położyła. – I już, skarbie. Czasem im lepiej, gdy nie czują zapachu mamy. Widzisz, Chloe? Małe dzieci lubią, kiedy się je kołysze, o tak.

Whitney nie była płaczliwa. Zasłoniła jednak twarz dłonią i nie znalazła w sobie już ani grama energii, by powstrzymać łzy. Była na siebie wściekła, że tak szybko wpadła w rozpacz. Nic nie potrafiła. Była beznadziejna. Powinna lepiej sobie radzić, przecież została matką już po raz drugi, jest wysoko funkcjonującą, niezwykle uprzywilejowaną trzydziestosześcioletnią kobietą, która ma pomoc na wyciągnięcie ręki. Problem nie polegał na tym, że nie wiedziała, co robić. Po prostu nie chciała tego robić. Już więcej nie chciała.

– Wiesz co? – powiedziała beztroskim tonem Blair. – Nie mamy na ten ranek żadnych planów. Chętnie ci pomożemy, jeżeli pozwolisz.

Blair zdołała uspić Theę i upierała się, że pospaceruje z dziećmi jeszcze przez godzinę, żeby Whitney mogła wrócić do domu i trochę odpocząć. Powierzenie dwojga noworodków nieznajomej, której zostawiła opakowanie mleka początkowego i dwie butelki, mogłoby się wydawać niezbyt mądre. Wiedziała, że Jacob nie byłby zachwycony, ale ta kobieta

była matką, mieszkała po drugiej stronie ulicy i wydawała się niezwykle życzliwa. Whitney nie była w stanie niczym się przejmować. Nie obchodziło jej, czy ta kobieta wyśle jej dzieci wahadłowcem na księżyc. Miała dość. Położyła się na kanapie w salonie, nie zdejmując kurtki ani butów do biegania. Spała cztery godziny, obudził ją dopiero głos Jacoba, który pytał, gdzie są bliźniaki.

Nazajutrz czuła się zakłopotana. Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Przysłała Blair bukiet kwiatów za dwieście dolarów. Blair przysłała po południu, żeby podziękować i zobaczyć, jak czuje się Whitney. Następnego dnia rano lekarz potwierdził, że to rzeczywiście pleśniawki; Blair udzieliła jej wskazówek, jak podać pełną dawkę lekarstwa na ruchliwe języki dzieci. Whitney patrzyła, jak badawczo przygląda się ona bliźniakom. W jej przymrużonych oczach widziała autentyczne zainteresowanie i życzliwość. Był w niej jakiś rodzaj opanowania – w równiutko przyciętej grzywce, kurtce w kolorze wojskowej zieleni, białych płóciennych tenisówkach. Przemawiała do swojej córeczki z ogromną cierpliwością, zadając jej pełne pytania, kucając przy niej, by znaleźć się na wysokości jej wzroku, kiedy czekała na odpowiedzi dziecka. Żadnych pytań retorycznych, żadnego pośpiechu. Whitney pomyślała, że mogłaby tego spróbować z Xavierem. Zamilknąć i słuchać, postarać się naprawdę nim zainteresować. Tak jak to robiła jej nowa przyjaciółka.

Nigdy nie przyjaźniła się z innymi matkami, jak to kobiety miały w zwyczaju. Przy Xavierze brakowało jej na to czasu. Czuła ukłucie żalu, że omijały ją kontakty towarzyskie tego rodzaju, kiedy na przykład szła na służbowy lunch i przy sąsiednim stoliku widziała grupkę matek raczących się sałatkami i winem, podczas gdy dzieci w wieku Xaviera spały u ich stóp w fotelikach samochodowych dla maluchów.

A teraz pojawiła się Blair, wyraźnie spragniona towarzystwa Whitney. W jej obecności było coś ujmującego, czystego i zwyczajnego. Blair była czysta i zwyczajna. Przypominała jej z naprzeciwnika, jak powinno wyglądać macierzyństwo. Whitney cieszyła się na tę przyjaźń.

– Mogę wpaść jutro, żeby ci pomóc? To żaden kłopot. Nie mam nic pilnego do zrobienia.

Ale Jacob czuł się już lepiej i mogła wrócić Louisa.

– A może po prostu wpadniesz na kieliszek wina? Twoja córka po szkole mogłaby się bawić z moim synem, co ty na to?

– Bardzo chętnie. – Blair wzięła od niej Sebastiana i uklękła, żeby Chloe mogła podać mu palec. – Szczęściarz z ciebie, małeńki, że masz taką miłą mamusię.

Whitney uśmiechnęła się, a potem odwróciła od nich.

Nie było w tym żadnego szczęścia.

ROZDZIAŁ 20

BLAIR

Blair stoi sama na szpitalnym dziedzińcu, trzymając dwa kubki latte i czekając na Rebecę, która wysłała jej wiadomość, że mogą się zobaczyć mniej więcej o tej porze. Denerwuje się przed spotkaniem z Whitney. Będzie musiała ją pocieszać i dodawać jej otuchy. Ze względu na Xaviera trzeba odłożyć na bok to, czego się dowiedziała. Jej pomoc jest potrzebna im obojgu.

Zza rogu wyłania się Rebecca i energicznie zaciera ręce. W wyprasowanym białym kitlu i z identyfikatorami na szyi budzi respekt. Dziwnie jest spotkać ją poza Harlow Street. Blair odstawia kawy i obejmuje sąsiadkę.

– Powinnaś przynieść też dla ciebie, nie pomyślałam.

– Nie, nie trzeba. – Lekarka kładzie dłoń na jej ramieniu. – Tak mi przykro. Wiem, jak przyjaźnią się wasze rodziny. Wygląda na to, że nie ma żadnej poprawy. Właśnie mi powiedziano, że niepokojące jest jego ciśnienie krwi. Ciągłe nie reaguje na bodźce.

– Wiesz coś więcej, jak to się stało?

– Jeszcze nie, oprócz tego, że wypadł między ósmą wieczorem, kiedy się położył, a północą, kiedy Whitney go znalazła.

– Boże, taki wypadek, nie do pomyślenia. I to w domu – dodaje Blair, kręcąc głową. Ciekawe, czy takiego słowa wszyscy używają, „wypadek”. Obserwuje Rebecę w oczekiwaniu na jej reakcję, ale ona tylko kiwa głową. A potem daje jej znak, żeby za nią poszła. W windzie i w drodze na OIOM milczy, co pewien czas zerkając na telefon. I nagle, nie podnosząc wzroku, mówi:

– Blair, wiem, że się przyjaźnicie, więc mogę zapytać: czy ostatnio u Whitney wszystko było w porządku? Chodzi mi o jej samopoczucie. Nie zauważyłaś niczego dziwnego, nic cię nie zaniepokoiło?

Blair kręci głową, przygląda się panelom oświetleniowym na suficie. Romans – romans z jej mężem mógł być powodem niepokojów.

– Nie wydaje mi się. – Znowu kręci głową. – Dlaczego pytasz?

– Po prostu sprawia wrażenie zupełnie nieobecnej. Do nikogo się nie odzywa. – Rebecca zerka na nią, po czym przejeżdża jedną ze swoich kart identyfikacyjnych przez czytnik, by otworzyć podwójne drzwi. – Ale czasami zdarza się taki szok. Wydaje mi się, że twoja obecność może jej pomóc.

Przyciszonym głosem rozmawia z lekarzem w rejestracji i wpisuje Blair na listę. Ona tymczasem za mocno łapie kubki, z otworów w przykrywkach wydobywa się piana i ścieka jej na dłonie. Wcześniej przekonywała się, że Xavier wydobrzeje, że to tylko chwilowy kryzys, teraz jednak wszystko wydaje się niepewne. Spogląda w głąb korytarza na zamknięte drzwi, podczas gdy Rebecca przypina do dołu jej bluzy identyfikator gościa. Wszystko jest takie nierealne. Są na piętrze oddziału intensywnej terapii w szpitalu dziecięcym. W jednym z tych pokoi leży Xavier. Blair siada na brązowym krzeselku i czeka.

Przez lata mieszkania przy Harlow Street spędziła z małżeństwem Loverlych i ich dziećmi setki godzin. Towarzyszyła im w wolnym czasie, który wypełnia życie rodzinne, podczas codziennych rozmów, dzięki którym została wtajemniczona w rytm ich tygodni. Wiedziała, co zamawiają na wieczór z pizzą, znała dzwonki wszystkich telefonów, wiedziała, jak się otwiera zasuwkę furtki z bocznej strony ogrodzenia, które pijamy dzieci lubią najbardziej. Dlatego właśnie przyjaźń z Whitney była taka wyjątkowa – dzięki wzajemnej znajomości prozaicznych szczegółów i prywatnych stron życia.

I dlatego ta świadomość – o Whitney i Aidenie – sprawia jeszcze większy ból. W jej oczach wzbierają łzy.

Odblokowuje telefon i przegląda wspólne zdjęcia Xaviera i Chloe. Z podwieczorka, który urządzili razem z okazji urodzin bliźniaków; wszyscy mieli wtedy buzie umorusane sokiem z winogron. Kiedy Xavier był u nich ostatnim razem, przyniósł szachy. Blair zwróciła wtedy uwagę na to, że radość, jaka od niego biła w młodszym wieku, z wolna gaśnie. Spochmurniał, pomyślała, gdy rozstawiał figury na szachownicy.

– Naprawdę lubisz to ze mną robić?

Sceptyczny ton w jego głosie podziałał na nią przygnębiająco.

– Och, Xavi, oczywiście! Bardzo fajnie jest mieć takiego nauczyciela jak ty.

Przez chwilę starał się rozstrzygnąć, czy mówi prawdę, i uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy ona pierwsza to zrobiła. Blair zastanowiła się wtedy, jak on postrzega siebie. Jak zwykle musiał się czuć. Starannie ustawił resztę figur i pionów.

Powoli. Starał się zyskać na czasie.

Telefon w jej ręce wydaje trzy sygnały powiadomienia.

Jak ona się czuje?

Wiadomo coś nowego o X?

Radzisz sobie jakoś?

Blair wpatruje się w pierwszą wiadomość od Aideny i znowu przewracają się w niej wnętrzności. Aby się skupić, musi zająć się praktycznymi zadaniami.

Sprawdzi status lotu Jacoba.

Zaproponuje, że zadzwoni do wszystkich osób, które należy zawiadomić.

Poprosi pielęgniarkę o dostawienie łóżka polowego dla Whitney, żeby mogła się trochę przespać.

Wróci do domu, żeby przywieźć jej miękki koc i poduszkę z pierza; powinna była o tym pomyśleć wcześniej.

– Jeszcze raz dziękuję, że przyjechałaś. – Wzdryga się na dźwięk głosu Rebekki.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. Ben mówił, że to ty pomogłaś Xaviemu, kiedy przywiozła go karetka.

Rebecca krzyżuje ręce na piersi.

– Tak. To był szok, gdy go zobaczyłam.

– Ben na pewno też bardzo to przeżywa. Wygląda na to, że ostatnio bardzo zżył się z Xavim. – Na twarzy Rebekki maluje się zdziwienie. – Mówię o tych godzinach, kiedy w ogrodzie ćwiczyli rzuty.

– Ach, no tak. – Ale Rebecca ma minę, jakby nie miała o tym pojęcia. – Chodź. Zaprowadzę cię.

Włosy z tyłu głowy Whitney są poskręcane od wczorajszego deszczu. To pierwsza rzecz, na którą Blair zwraca uwagę. Dopiero po chwili odrywa wzrok od przyjaciółki i przenosi na Xaviera w łóżku.

W zestawieniu z masą otaczającego go medycznego sprzętu jego głowa wydaje się mała i krucha. Wygląda jak bohater eksperymentu. Twarz ma szarą i napuchniętą, powieki błyszczą, usta lśnią od wazeliny. Przez grzbiet nosa biegnie brązowy plaster przytrzymujący masę przezroczystych rurek. Powietrze jest stęchłe i jałowe, w pokoju panuje półmrok, pada na niego tylko wąty blask górnej lampy. Słychać ciągle pikanie monitorów. W rurce połyskują kropelki jakiejś cieczy. Wydaje się, że w pokoju panują równocześnie spokój i chaos, jest mnóstwo gniazdek elektrycznych, pudełek z rękawiczkami w uchwytach na ścianach, plakietek z ostrzeżeniami, worków pełnych płynów, zawieszonych na ramie łóżka i stojakach. Obok stoi wózek z instrumentami i materiałami, piętrzą się tam oznakowane nalepkami słomki i strzykawki, pojemniki z wodą do wstrzykiwań, chusteczki do dezynfekcji, zaciski. W poprzek monitora pełzną jasne czerwone i pomarańczowe linie, jak reflektory samochodów w nocy.

Whitney się nie rusza. Jej dłoń spoczywa na ręce syna. Długie nogi ma skrzyżowane, na stopy wsunęła klapki. Palce u nóg mają fioletowy odcień. Blair wie, że Whitney nie znosi zimna. Powinna wziąć ze sobą skarpetki. Słyszy, jak za jej plecami Rebecca wychodzi z pokoju.

– Whit – mówi cicho. Ale ona się nie rusza. Jak gdyby w ogóle nie słyszała. – Whit – próbuje jeszcze raz.

Dotyka jej pleców. Whitney otrząsa się, a może dygocze. Blair okrywa jej ramiona kardiganem, który ze sobą przywiozła. Poprawia rękawy, żeby elegancko wisiały. Tak jak życzyłaby sobie przyjaciółka. Kładzie dłonie na jej ramionach i pochyla się, by zbliżyć do siebie ich twarze. By ich policzki się dotknęły. Whitney niczym nie pachnie, jest nieświeża.

Kiedy Blair się odsuwa, żeby spojrzeć na jej twarz, widzi suche, spękane wargi. Balsam do ust, myśli. Balsam do ust i skarpetki. Właśnie to przywiezie jej jutro. Balsam do ust, skarpetki, poduszkę. Mleczko. To mleczko do twarzy z szafki w łazience, które pachnie różami.

Blair zerka na podłogę. Telefon Whitney leży pod krzesłem, ekranem do dołu. Myśli o jej nieprzeczytanych wiadomościach z rana, pełnych pytań,

gdzie jest Xavier. O mejlach z pracy. Wszyscy próbowali się z nią skontaktować.

Nie ma przed sobą kobiety, którą spodziewała się zastać, takiej, która bierze sprawy w swoje ręce, domaga się dodatkowych opinii medycznych, przeszukuje internet przez telefon, by potwierdzić wszystko, co powiedzą lekarze. Wygląda, jakby zapadła się w sobie.

Coś w ciele Xaviera bulgocze i Blair, zanim zdąży się powstrzymać, robi głośny i gwałtowny wdech, Whitney jednak pozostaje obojętna. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby była tak milcząca i odrętwiała. Przecież jest w ciągłym ruchu, zawsze się czymś lub kimś zajmuje, rozważa nowy pomysł.

Ciekawe, czy się modli. Czy błaga jakąś siłę wyższą o uratowanie syna. Blair też nie jest religijna, ale modliłaby się, gdyby w tym łóżku leżała Chloe. Ależ Whitney musi cierpieć. Znowu kładzie jej dłoń na ramieniu.

Ona jednak wzdryga się i pochyla na krześle do przodu, odsuwając się od Blair. Blair wstrzymuje oddech, a jej przyjaciółka kręci głową.

– Wiem, Whit. Przykro mi, że to się stało. Nie mogę w to uwierzyć. – Słowa brzmią nienaturalnie. Nie chce się znowu rozpłakać.

Whitney jeszcze raz kręci głową.

– Nie... nie możesz tu zostać.

Blair wlepia w nią osłupiały wzrok. Rozgląda się po pokoju.

– Chcesz, żebym... wyszła?

Whitney otacza dłońmi twarz, zasłaniając się przed wszystkim prócz syna, i kiwa głową. Wciąga powietrze nosem przez zaflegmione gardło, a potem spokojnie wypuszcza je ustami. Nie chce, żeby ona tu była. Nawet nie ma ochoty na nią spojrzeć.

– No dobrze. – Głos Blair drży. Nie chce się podporządkować. Nie chce przyjąć do wiadomości znaczenia tych słów. – Ale jeżeli mogę coś zrobić...

– Proszę. Idź już.

Blair odwraca się w stronę drzwi. Są najlepszymi, lojalnymi przyjaciółkami. Zaczną krążyć paskudne plotki, wszyscy inni wyciągną pochopne wnioski o tym, co spotkało Xaviera. Czy nie jest potrzebna Whitney? Ma kogoś innego prócz niej?

Nawet w takiej chwili trudno jej spojrzeć w oczy Blair, skoro pieprzy się z jej mężem. Jeżeli sama obecność przyjaciółki przypomina jej o tym, jaka jest obrzydliwa, nie zasługuje na cud, który jest jej teraz tak potrzebny.

Kiedy Blair wychodzi, Rebecca woła ją z korytarza, ale ona idzie coraz szybciej, aż wreszcie biegiem zmierza do windy. Udaje, że nic nie słyszy. Udawanie wychodzi jej najlepiej.

ROZDZIAŁ 21

WHITNEY

ŚRODA

Jest w biurze i rozmawia przez służbowy telefon, gdy pod numer jej komórki znowu dzwoni nauczycielka Xaviera. A potem jeszcze raz. Od tej natarczywości robi jej się nieswojo. Prosi klienta, by chwilę zaczekał, i pośpiesznie odbiera.

– Powinnam cię od razu uspokoić, że to nic poważnego, Whitney, ale Xavier ma nie za dobry tydzień.

Whitney spaceruje po gabinecie, słuchając, jak w okno na dziewiątym piętrze zaczyna bębnić deszcz. Nie za dobry tydzień. A jak wygląda dobry tydzień? Przecież dopiero środa. Poprzedniego dnia był sprawdzian z matematyki. Uczył się z Louisą. Kiedy wczoraj wieczorem wróciła do domu, wszystko było z nim w porządku – jak zwykle był zmęczony po całym dniu i naburmuszony. Nie mówił nic, co mogłoby ją zaniepokoić. Louisa o niczym nie wspominała.

– Na lekcjach jest coraz bardziej milczący, wycofany. A dzisiaj rano, podczas przerwy, doszło do incydentu z wyzwiskami ze strony innych dzieci. Możemy cię zapewnić, że nie tolerujemy takich zachowań.

Whitney pyta, które to były dzieci. Zrobiło jej się gorąco, czuje ucisk w żołądku, szarpie zwilgotniałe pod pachami rękawy marynarki, ale nauczycielka nie może powiedzieć, kto to był. Zapewnia tylko Whitney, że z dziećmi przeprowadzono rozmowę. Sprawa została załatwiona.

– Za parę tygodni zaczyna się przerwa wakacyjna i mam taką sugestię, żeby popracować nad wzmocnieniem przyjaźni Xaviera w grupie rówieśniczej. Dobrze byłoby mu znaleźć tego lata kolegę czy dwóch do wspólnej zabawy. Żeby mógł zacząć szóstą klasę dobrze przygotowany społecznie. Mogę ci przysłać nazwiska kilkorga rodziców...

Ale nie. Whitney nie chce nazwisk rodziców. Nie chce wysłuchiwać zawołanej krytyki. Doskonale rozumie, co ta kobieta stara się jej powiedzieć: twój syn nie ma kolegów. Jest fujarą. Zostało niewiele czasu, żeby poprawić jego położenie. Czy ona myśli, że Whitney nie zdaje sobie z tego sprawy? Sądzi, że tego nie dostrzega? Przecież to jej dziecko. Jest jego matką.

Ścisła ją w gardle. Nie chce, żeby głos zdradzał jej emocje. Wiedziała, że nie będą zadowoleni z tej zakichanej szkoły publicznej, przy której upierał się Jacob. Szkoła za nic nie bierze odpowiedzialności. Xavier zasługuje na coś lepszego. Do września znajdzie mu prywatną placówkę, do której chodzą sympatyczniejsze dzieci, podzwoni jutro po południu, zwróci się do każdego, kto ma wobec nich jakiś dług wdzięczności, a ona będzie gotowa przekazać darowiznę w każdej wysokości. Jego wyniki w nauce nie są wystarczające, żeby go przyjęto, ale jakoś to załatwi.

Dziękuję nauczycielce. Zapewnia, że jest bardzo wdzięczna za telefon. Chce od razu tam pojechać i zabrać go z klasy, byle dalej od tych pieprzonych gówniarzy. Wyobraża sobie, jak dziewczynki nabijają się z niego w stołówce, kiedy je z otwartymi ustami – mówił jej kiedyś, że czasem pokazują go sobie palcami i szepczą, a on nie wie dlaczego. Tysiące razy przypominała mu, żeby zamykał buzię podczas jedzenia. Serce jej się kraje na myśl, że mu tak dokuczają. Że przez nich czuje się odrażający.

„Nazwiska kilkorga rodziców”. Wraca pamięcią do tamtego grilla we wrześniu. Inne matki piątoklasistów od tamtego wieczoru prawie w ogóle się do niej nie odzywają. Została wyrzucona z plotkarskiego czatu. To boli. Czekala na jakieś zaproszenie, spodziewala się, że jedna z nich wyciągnie do niej rękę. Ale od tamtej pory cisza.

Potem myśli o tym, co tego dnia powiedział jej przez telefon Jacob. Że nie powinien był wyjeżdżać do Londynu. Jak gdyby sądził, że bez niego sobie nie poradzi. Rzadko wyraża opinię na jej temat, ale dla niej to żadna tajemnica. Poznaje ją po jego chłodnym milczeniu, kiedy ona traci cierpliwość w stosunku do dzieci, a on przygarnia je do siebie i chroni ramionami, unikając jej wzroku, jak gdyby w tych chwilach wołał, by jej tam nie było.

Jak gdyby uważał, że nie można jej zaufać.

Na wszelki wypadek powinna odwołać plany na dzisiejszy wieczór.

Z rozmachem odkłada telefon na biurko.

Przed drzwiami gabinetu Grace unosi dwa palce. Do ostatniego spotkania tego popołudnia zostały dwie minuty. Bierze swój terminarz, notatnik, telefon. Na ekranie pojawiła się pozioma rysa, biegnie w poprzek zdjęcia, które zrobiła w zeszłym roku na plaży, przedstawia Jacoba i całą trójkę dzieci. Mają włosy skręcone w loki od słonej wody. Zostawia telefon na biurku. W tym momencie nie będzie myślała o swojej rodzinie.

ROZDZIAŁ 22

MARA

Mara nauczyła się niezłe czytać z ruchu warg. To umiejętność samotnych osób. Ale gdy wcześniej Ben rozmawiał z Blair na podjeździe, tuż po jej wyjściu z domu Loverlych, był odwrócony do niej tyłem, a ona zasłoniła usta dłonią. Chyba w szoku. U sąsiadów coś się stało, miała więc dobre przeczucie. Złości się tylko, że gdy przygotowywała Albertowi coś na ząb, przegapiła odjazd samochodu Rebekki – to był klucz do zagadki.

Powinna wyjść na godzinę, żeby przestać zaprzętać sobie tym głowę, bo inaczej to pytanie będzie ją dręczyć przez cały dzień. Pójdzie po ziemniaki na kolację, przy okazji rozprostuje nogi. Problem jednak w tym, że jeżeli wyjdzie, znowu może coś przegapić, a przecież nikt nie wpadnie do niej później, żeby opowiedzieć, co się dzieje. Lepiej zostać. Dokończy pranie w suterenie, a potem wyjdzie na werandę i zaczeka, aż wszyscy wrócą do domów.

Składając wyprane rzeczy, wraca wspomnieniem do czasów, gdy była uwiązana w domu z innego powodu. Ze względu na rodzinę, która jej potrzebowała. Przez lata odgrywała rolę sędziego w ringu, w którym stanęli źle dobrani przeciwnicy. Tylko jeden z nich potrafił wymierzać ciosy, chociaż żaden nie stanowił zagrożenia fizycznego. Ale może właśnie dlatego uderzenia były gorsze. Znacznie trudniej było jej chronić syna przed słowami Alberta. Przed poczuciem, jakie w nim wzbudzały.

Dzisiaj nie pamięta, jak to było, gdy dławiała ją odpowiedzialność. Wieczny obowiązek. Dotyka szyi, myśląc, jak trudno było czasem oddychać. Jak kłuło ją w piersi. Pociąga fałdę obwisłej skóry, jakby nie wierzyła, że może należeć do niej.

Wtedy też siadała na werandzie, gdy czuła, że już za wiele tego wszystkiego. W środku nocy, kiedy spali, opatulą się szlafrokiem i zapalała papierosa z paczki Alberta. Pierwsze zaciągnięcie się dawało jej

coś w rodzaju przyzwolenia. Mogła zaspokoić kaprysy najobrzydliwszej strony swojej natury, której nie dopuszczała do głosu, gdy słodki oddech syna łaskotał ją w ucho albo gdy czuła zapach resztek kremu w kącikach jego ust. Nigdy nie kłamała, mówiąc innym, że taki syn to dla niej prawdziwe dobrodziejstwo. Że rozświeciła jej życie. Daje poczucie spełnienia.

Była też jednak inna prawda, która przez te wszystkie lata piekła ją jak ogień, prawda, której nigdy nie wypowiedziała na głos. Że czuła złość. I żal. Za to, że jej syn ma takie potrzeby, a nie inne. Za to, że jest dla niego taką matką, a nie inną. Kiedy o tym teraz myśli, smutek ściska ją za gardło. Pamięta ogrom zmęczenia od codziennego dźwigania tego nadwyrężającego jej odporność ciężaru, od konieczności, by się nie poddawać, obdarzać go miłością i pilnie nasłuchiwać jego głosu przypominającego szmer wiatru w gałęziach drzew.

To wtedy przestała patrzeć Albertowi w oczy. Bała się tego, co może w nich dostrzec. W odróżnieniu od niego nie mogła pozwolić sobie na taki luksus, by stać się nieczułą jak kamień.

Jej miłość do Marcusa miała taką siłę, że mogła ją rzucić na kolana. I czasem osuwała się na lakierowane sosnowe deski werandy. Czasem miłość, gniew i poczucie niesprawiedliwości sprawiały jej taki ból, że czuła, jakby na szyi zaciskały jej się czyjeś dłonie. Starła się ich dotknąć. Nigdy nie próbowała odnaleźć ulgi w płaczu.

Wolnym krokiem wspina się po schodach, wynosząc z sutereny kosz ze złożonym praniem, który opiera o obolałe biodro. Potem stawia go na blacie w kuchni przy schodach. Zauważa, że w ekspresie nie ma dzbanka, czuje jednak wyraźny aromat kawy. Odwraca się. Na linoleum leży Albert w kałuży brązowej cieczy, która przesiąka mu przez spodnie.

Kuca i przykłada mu dłonie do głowy. Jest przytomny, ale patrzy na nią niewidzącymi oczami. Mara uderza go w policzki, nie wie, co robić. Widzi, że górna połowa jego ciała jest sztywna. Po omacku próbuje po coś sięgnąć, próbuje coś zrobić, ale nie ma pojęcia co. Rzuca się do telefonu w pokoju obok.

– Karetkę do mojego męża. Leży na podłodze w kuchni, nie może mówić.

Nie bardzo słyszy, co mówi dyspozytor, radzi, żeby z nim została, sprawdziła oddech, ale górę bierze panika i Mara zupełnie nie rozumie, co ma robić. Odkłada słuchawkę na stolik i wraca do męża.

– Albert? Słyszysz mnie? Zaraz przyjedzie karetka. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Zwilża ścierkę kuchenną i ociera mu pot z czoła. Klęczy przy nim na kolanach, które przeszywa artretyczny ból, kładzie sobie jego głowę na podołku. Słyszy dobiegający z sąsiedniego pokoju głos ze słuchawki, ale brzmi za słabo, by mogła cokolwiek zrozumieć. Próbuje sobie przypomnieć, czy odkąd zadzwoniła pod 911, minęło kilka minut czy kilka sekund. Kiedy usłyszy zbliżające się syreny? Czy drzwi wejściowe są zamknięte na klucz, czy nie? Uda im się wnieść nosze po tych schodach, zmieszczą je w drzwiach? Są wystarczająco szerokie? Sami go stąd wyniosą?

Powieki opadły mu niżej. Przykłada mu dłoń do ust, potem zbliża palec do nosa i nie jest pewna, czy coś czuje. Nie jest pewna.

Jej myśli przeskakują od szumu w słuchawce telefonu, przez ciężar jego głowy na jej kolanach, do zapachu kawy. Już nigdy nie zaparzy ani jednego dzbanka. Zamyka oczy i nie otwiera ich, dopóki nie usłyszy syren. Wpatruje się w drzwi i czeka, aż coś się stanie. Rozlega się pukanie, potem wchodzi i podłoga drży pod ciężarem ich wielkich czarnych butów, które zmierzają w jej stronę. Odsuwa się od Alberta, wycofuje się do rogu kuchni, pełznąc po podłodze jak ślimak. Nie wie, jak odpowiadać na pytania. Nożyczkami rozcinają mu koszulę i przykładają do piersi elektrody. Marze przychodzi do głowy, że porwie jego koszulę na ścierki do sprzątnięcia, jak robi z ich wszystkimi zniszczonymi ubraniami. Po wyjściu ratowników kwadraty flaneli wchłoną rozlaną kawę.

Wydaje się, że stoją nad nim parę godzin. A potem parę minut. W kuchni panuje spokój, którego nie rozumie, nie ma prawie żadnego zamieszania. Jakby robili to od niechcienia. Odsuwają się. Jeden z ratowników pyta, czy w domu jest ktoś jeszcze. Mara kręci głową. Nikogo nie ma.

– Ma pani kogoś, kto mógłby teraz pomóc? Dzieci albo...

– Nie – odpowiada Mara. – Nie mam rodziny.

– Może ktoś z sąsiadów?

Kręci głową.

Stają blisko siebie, aby nie słyszała ich rozmowy. Jeden chyba próbuje przekonać kolegę do tego, co mają teraz zrobić, wskazuje na siedzącą na podłodze Marę, rozgląda się po kuchni. Nagle Mara czuje się bardzo skrępowana, jak gdyby wyczuli jej samotność. Jakby w poplamionym blacie, stoliku z dwoma krzesłami, pustych drzwiach lodówki bez zdjęć i magnesów zobaczyli nędzę ich wspólnego życia. Drugi z ratowników wychodzi na ulicę i mówi do radia zawieszzonego na piersi. Pierwszy klęczy obok Mary opierającej się o szafkę z szufladami.

– Nic już nie możemy zrobić. Przykro mi. – Nie zdejmuję niebieskich rękawiczek. Przedramieniem ociera czoło. Mara kiwa głową. Mężczyzna pomaga jej usiąść na krześle. – Możemy zadzwonić po medyka sądowego, a potem będzie pani musiała załatwić formalności w wybranym domu pogrzebowym. Będą musieli przyjechać po pani męża. A to może trochę potrwać. Prawdopodobnie cały dzień. – Znowu rozgląda się po kuchni, spogląda na kałużę na podłodze. – Albo zabierzemy go do szpitala, najlepiej Sinai. Tam mogą wszystko załatwić. Właściwie nie powinniśmy go transportować w tej sytuacji, ale jeżeli to pani pomoże...

Lekarz sądowy. Albert w zaplamionych spodniach stygnie na kuchennej podłodze. Mara zastanawia się, czy go czymś przykryją, jeżeli tu zostanie. Czy ożyje. Czy zacznie śmierdzieć. Czy to wszystko naprawdę się dzieje.

Mówi, że szpital to najlepsze wyjście.

Ratownik pyta, czy chciałaby z nimi pojechać, czy najpierw zabrać jego rzeczy.

– Chyba wolałabym zostać.

Drugi ratownik wraca z noszami, które bez trudu mieszczą się w drzwiach. Poruszają dźwigniami i ściągają pasy zabezpieczające. Nie patrzy, kiedy go zabierają. Siedzi przy kuchennym stole i znowu nasłuchuje, czy nie włączą syren, odjeżdżając, ale nie robią tego. Był tu, żył. Załedwie trzydzieści pięć, czterdzieści minut temu. Lodówka ciągle szumi. Okno w kuchni jest otwarte i do środka wpada echo hałasów miasta. Alberta już nie ma, a ona jest jedynym świadkiem jego końca. To wszystko wydaje się niewiarygodnie nijakie.

Zupełnie inne niż wtedy, gdy straciła syna.

ROZDZIAŁ 23

REBECCA

Stoi przed drzwiami pokoju Xaviera, przygląda się Whitney z synem i zachodzi w głowę, dlaczego Blair wyszła stąd w takim pośpiechu. Leo, pielęgniarz, który zwykle pracuje z nią na SOR-ze, w tym tygodniu został skierowany na oddział intensywnej terapii. Właśnie kończy dyżur. Stoi obok niej, wolno wcierając w dłonie płyn do dezynfekcji. Rebecca lubi Leo. Gdy pierwszy raz zaszła w ciążę, zauważył, że zaczęła odstawiać na bok kawy, które jej przynosił, i stały tak, dopóki nie wystygły.

Dwa dni po pierwszym poronieniu wróciła do pracy z wkładkami w biustonoszu, które miały wchłaniać wodnistą wydzielinę z sutków, a on przywitał ją tak samo, jak robił to od wielu tygodni. „Jak się macie z dzidziusiem?”. Patrząc na swoje palce wstukujące hasło do komputera, tylko pokręciła głową. Nie, proszę, nie pytaj mnie o to. Nie, dzidziusia już nie ma.

Próbowała się powstrzymać przed zmarszczeniem czoła. Sądziła, że nic jej nie będzie. Leo łagodnym gestem położył jej dłoń między łopatkami i postarał się, by już nigdy nikomu nie musiała wspominać, co się stało. To był ostatni raz. Nie usłyszała więcej ani słowa na ten temat. Miał jak najlepsze intencje.

Jej koledzy i koleżanki ze szpitala być może zauważyli późniejsze ciążę, ale nikt się nawet nie zająknął, więc jak mogła o tym mówić? Jak mija mi dzień? Świetnie. Ale wczoraj byłam w ciąży, a dzisiaj nie jestem. A u ciebie wszystko w porządku? Zasada trzech miesięcy milczenia ogranicza język nadający się do rozmowy o tego rodzaju stracie. Ciążę nie powinny mieć znaczenia, a przynajmniej nie takie, żeby z ich powodu wszyscy wokół niej czuli się niezręcznie.

Teraz przed drzwiami pokoju Xaviera Leo mówi jej, że z tego, co słyszał, niedługo powinien wylądować samolot Jacoba.

– Myślą, że mógł skoczyć?

Przy ostatnim słowie ścisza głos. Skoczyć. Spaść. Stracić równowagę. Rebecca nie jest pewna, co biorą pod uwagę. Xavier nie jest już jej pacjentem, więc trzyma się na dystans. Owszem, chłopiec ma dziesięć lat, a dzieciom tragiczne wypadki przydarzają się częściej, niż można by przypuszczać. Ale zdarza się, że rodzice kłamią. Bronią się, bo uważają, że dostali nauczkę na całe życie.

Słyszała dobiegające z tego domu krzyki i wrzaski. Poza tym zeszłej nocy nie było Jacoba. Rebecca zastanawia się, czy policja w korytarzu na SOR-ze zgodziłaby się przyjść później, gdyby blada matka z twarzą ukrytą w dłoniach wyglądała inaczej, gdyby nie było po niej widać, że należy do osób uprzywilejowanych. Kiedy Rebecca uspokajała gestem pielęgniarkę i robiła pełne współczucia miny, policjanci skinęli głowami i wycofali się w głąb korytarza. Uznali, że rzeczywiście, to przecież może poczekać.

– Wydaje mi się, że to był po prostu wypadek – mówi do Leo. – Chłopak nie mógł zasnąć. Badał ograniczenia grawitacji. – Prawdopodobnie właśnie tak było. Nie ma żadnego potwierdzenia w faktach, by snuć inne domysły.

Wracając na SOR, dzwoni do Bena. Informuje go, że nie nastąpiła poprawa. Od zespołu nie usłyszała żadnej pozytywnej wiadomości. Whitney ciągle się nie odzywa. Jakby już była w żałobie. Rebecca ma ponaddziesięcioletnie doświadczenie w szpitalu i wciąż trudno jej zrozumieć, jak rodzice to przeżywają.

– Ben, jesteś tam? – Wydaje jej się, że straciła zasięg. Nie słyszy jego głosu.

– Tak, tak, jestem.

Rebecca myśli o ich bezdzietności. Jak zawsze. Nigdy go nie pyta: Codziennie przychodzi ci to do głowy? Odwracasz wzrok, kiedy mijasz huśtawki w parku? Słyszysz mój płacz spod prysznicy, gdy co rano czekasz, aż zagrzeje się woda?

Mówi jej, że ją kocha.

Odpowiada mu, że musi kończyć.

ROZDZIAŁ 24

BLAIR

Od drzwi wejściowych dudni głos Aiden, który woła Chloe, ale dziewczynka już wcześniej zerwała się z krzesła, gdy tylko usłyszała szcęk zamka. Blair podgrzewa talerz z jedzeniem, starając się nie irytować, że sos będzie glutowaty. Są rzeczy znacznie ważniejsze niż nieudana kolacja. Co kilka minut sprawdza telefon, czekając niecierpliwie na wieści o Xavierze. Albo na wiadomość od Whitney z przeprosinami – i wytłumaczeniem, dlaczego ją odprawiła, innym niż to, które kładło się cieniem na każdej myśli Blair.

Czuje na sobie ciężar klucza, który leży w jej szufladzie na górze.

Ze względu na wieczór z Chloe na kilka najbliższych godzin musi odłożyć wszystko na bok. Jest mistrzynią ukrywania wewnętrznych konfliktów i zachowywania pozorów, potrafi się świetnie maskować, myśląc o Aidenie jak najgorzej. Po jego wizycie w sklepie tego ranka liczy na jakiś reset. Zazwyczaj łatwo odpuszcza.

Teraz jednak unika z nią kontaktu wzrokowego. Skupia się wyłącznie na Chloe. Uzgodnili, że do jutra nie powiedzą jej, gdzie dzisiaj był Xavier, bo może rano będą mieli więcej informacji. Bombarduje córkę pytaniami, jak minął jej dzień. Uwielbiają energię, którą czerpią od siebie nawzajem. „A potem... a potem...” Chloe zawsze chce dodać coś jeszcze. Aiden kocha być obiektem jej nieustannego entuzjazmu. Uwielbia te łatwiejsze role.

Chloe kaszle, a ojciec błyskawicznie odsuwa krzesło.

– Zaraz dam ci wody – mówi. – Tatuś się tym zajmie.

Blair stoi tuż obok zlewu. Czuje, jak mąż okrąża ją, bierze plastikowy kubeczek, sięga do kranu. Nalewa wodę dopiero wtedy, gdy jest zimna, tak jak Chloe lubi.

W marcu lecieli do Meksyku. Nie dostali trzech miejsc obok siebie, więc Blair siedła z córką w rzędzie za Aidenem.

Przez dwie godziny zabawiała ją grą w karty i zgadywankami. Gdy do lądowania zostało trzydzieści minut, Chloe spytała, czy mogłaby usiąść z tatą. Zamienili się miejscami i Blair wreszcie zamknęła oczy. Jakiś czas potem ocknęła się, słysząc za sobą radosny głos Aiden: „Proszę bardzo, kochanie. Tatuś potrafi załatwić, prawda?”.

Pomyślała o stewardesie, która włożyła małą pizzę do mikrofalówki. Podeszła do nich, wsunęła jego kartę do terminalu. Blair miała ochotę odwrócić się i wetknąć głowę między fotele. Nie. Niczego nie załatwiasz. Zdrzemnąłeś się i grałeś w pokera na telefonie, nie spakowałeś nic oprócz swojej walizeczki. Nie dbasz o nią! To ja dbam! Ja wszystko robię. Ty zamówiłeś tylko pieprzoną pizzę z menu pokładowego!

Nie odwróciła się jednak. Patrzyła jedynie na swoje odbicie w czarnym ekranie zamontowanym na oparciu fotela przed nią. Nie było sensu. Mieli przed sobą sześć dni wakacji. Słuchała kiedyś podcastu, w którym terapeuta mówił, że partner powinien uspokajać nasz system nerwowy. Nigdy nie przestawała o tym myśleć – że wystarczy obecność Aiden, by wstrzymała oddech.

Chloe pije letnią wodę przy stole kuchennym. Blair stawia talerz na podkładce przed mężem.

– Mamo, nie przywitasz się z tatusiem? – Ton głosu Chloe wyraźnie się zmienił.

Blair czuje się skarcona. Przez lata jej własna matka z zamachem stawiała przed ojcem talerze z zimnym kurczakiem. Co wieczór kolacji towarzyszyło właśnie takie napięcie.

– Oczywiście. – Uśmiecha się. Pochyla się, by pocałować Aiden w nieruchome usta. – Jak ci minął dzień, skarbie?

– Wspaniale. – Nie patrzy na nią. Przysuwa krzesło bliżej stołu i uśmiecha się do Chloe, która utkwiała wzrok w matce. Potem wracają do swojej rozmowy. Blair sprząta z blatu i słucha.

Nie chce toczyć życia, w którym nie będzie już mogła ich podsłuchiwać. Chloe inaczej się śmieje, gdy Aiden jest w domu. Częściej śpiewa. Bardziej się wygłupia.

Staje jej przed oczami scena – być może z ich przyszłości. Pakuje niedużą torbę. Rozlega się pukanie do drzwi mieszkania, kiedy on przychodzi po

córkę. Ona musi patrzeć na jego nowy strój, nową fryzurę. We framudze drzwi ponurego mieszkania jak w ramach obrazu musi patrzeć na szczęście, jakie znalazł bez niej. Drzwi są wyposażone w solidny zamek ryglowy – kobiety sprawiają sobie takie, gdy dochodzą do wniosku, że nikt ich nie ochroni. Przytłaczające powtórki chronicznej samotności, głucha cisza trwająca długie godziny, kiedy ona wcale nie chce być sama. Kiedy Chloe wraca od niego, jej rzeczy do prania mają inny zapach. Ostrożnie odpowiada na jej wścibskie pytania. Co ludzie o niej pomyślą. Jak mizernie będzie się czuła.

Nie bardzo wie, czy będzie się złościć mniej niż teraz.

Wołają ją. Chcą jej opowiedzieć żart, który właśnie wymyślili. A potem Chloe prosi o lody z posypką.

Blair podstawia łyżkę pod gorącą wodę i słucha, jak negocjują, ile rund wisielca zdążą rozegrać przed pójściem spać. Na oknie nad zlewem osiada para. Blair zręcznie nakłada łyżkę lodów do różka. Dekoruje tęczową posypką.

Usta jej męża na sutku Whitney. Fala podniecenia na widok zaciśniętej ciemnej szpary między jej pośladkami, gdy pieprzy ją od tyłu. Gdy przychodzi czas powrotu do domu, nie chcą się rozstawać. Blair budzi w nich więcej litości niż poczucia winy. Widok jej rozciągniętych dzinsów. Obwisłych piersi pod bluzką. Malującej się na twarzy nieświadomości.

Podaje lody Chloe i przygotowuje porcję dla Aideny.

Kiedy wstawia pudełko z powrotem do zamrażarki, zauważa leżący na blacie telefon męża. Odwraca się do nich plecami.

Ilekcio wstukuje do telefonu jego hasło, serce wali jej jak młotem. To nie jest żadne przyjemne uczucie. Połączenie lęku i niecierpliwego wyczekiwania. Nie chce znaleźć niczego, co na zawsze wryje się w jej pamięć. Nie chce, żeby to była ostatnia sekunda ich dotychczasowego życia. To straszne, a zarazem uzależniające, nie potrafi sobie tego wyperswadować.

Szybko przewija listę, szukając imienia Whitney w wysłanych wiadomościach, potem w mejlowej skrzynce nadawczej, aplikacji komunikatora i rejestrze ostatnich połączeń. Na pewno dzwonił do niej albo pisał, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. W telefonie są jednak tylko niewinne pogawędki z kolegami.

Odkłada aparat z powrotem na blat i odciąga materiał bluzy od wilgotnych pach. Ulga na razie działa znieczulająco.

Woła ją Chloe. Blair musi do nich wracać. Przypada jej kolej w grze.

Próbuje jeszcze raz. Staje za Aidenem i kładzie mu dłonie na ramionach. On pociąga ją niżej i ich głowy znajdują się teraz na tym samym poziomie. Ociera się policzkiem o jej twarz, drapiąc ją całodniowym zarostem, który lekko pachnie płynem po goleniu. Częstuje ją lodami, unosząc rożek do jej ust. Blair czuje, że Chloe uważnie im się przygląda. Niemal podejrzliwie. Liże lody.

Czy Chloe przeczuwa, że jej świat chwieje się w posadach? Czy pewnego dnia obudzi się i nie będzie już czuła się tak bezpiecznie jak przez ostatnie siedem lat? Myśli o jej czystym i podatnym na wpływy sercu. Nie, Blair nie może jej tego zrobić. Za nic. Jest jej winna więcej i zapłaci za to każdą cenę.

Jedno i drugie może istnieć równocześnie, spokój i gniew. Rozpacz i miłość. Cmoka Aideną w kącik ust. Potem jeszcze raz. W oczach córki widzi zadowolenie i pochyla się nad kartką z wisielcem.

ROZDZIAŁ 25

REBECCA

Jest dopiero siódma wieczorem, ale musi się gdzieś położyć. Po kilku godzinach stania czuje sztywność w plecach. Każdy najdrobniejszy ból budzi w niej niepokój. Znikaj, znikaj. Mówi rezydentowi na swojej zmianie, że wraca za dwadzieścia minut, i znajduje dyżurkę, w której może odpocząć.

Zamykając oczy, Rebecca czasem ją widzi. Tę pierwszą. Według aplikacji w tygodniu, w którym ją opuściła, miała wielkość granatu, chociaż w jej rękach wydawała się większa. W macicy mierzą długość od czubka głowy do pupy, jak gdyby wątłe nóżki dziecka, w pełni uformowane, co do kosteczki, z dziesięcioma małymi palcami u stóp, nie miały jeszcze znaczenia. Myśli o ręczniku, którym ją owinęła, brudnym od makijażu zmytego z twarzy kilka godzin wcześniej, po dziewiętnastogodzinnym dyżurze. Przypomina sobie tamten moment, gdy dziecko z niej wyszło. Fizyczne doznanie przesuwania się wypukłości przez ciało. Nie potrafi zapomnieć tego uczucia.

Nie wybrali jeszcze imienia. A odkąd ją zobaczyła, nic nie było już takie, jak powinno. Trudno wybrać ulubione imię, jeśli nigdy nie będzie można go wymówić.

Nie chce myśleć o tym teraz, w środku dyżuru.

Na tym jednak polega natura poronienia. To nie jest jednorazowe zdarzenie, nie coś, co się dokonało i skończyło. Poronienie trwa i trwa, prześladowuje kobietę na jawie i we śnie, potem zdarza się, że na kilka błogich ułamków sekundy zapomina się o wszystkim i mózg cieszy się na narodziny dziecka, dopóki sobie nie przypomni, że dziecka nie ma już od wielu dni czy nawet tygodni. Widzi wsiąkającą w pościel krew, czuje nieznajomy zapach. Następują wizyty u lekarzy, na których ją dźgają, by sprawdzić, czy wyrzuciła z siebie wszystko, bo jeśli nie, to pozostałości

tamtego życia mogłyby ją zabić. Będzie myśleć o sobie jak o naczyniu, które potrafi z siebie tylko wylewać i nigdy już nie zazna przyjemności napełnienia.

Gdy zdarzyło się to pierwszy raz, Rebecca leżała w łóżku i nie czuła nic prócz palącej złości. Została podstępem pozbawiona tego, co przez niemal osiemnaście tygodni uważała za swoje. Nie wiedziała, jak bardzo pragnie dziecka, dopóki się okazało, że nie może go mieć. Nie miała jednak komu wykrzyczeć swojej wściekłości w twarz, nie miała kogo przekonać, że powinna odzyskać to, co jej się należy. I kiedy gniew okrzepł w smutek, myślała tylko o swojej matce. Jak strasznie trudno będzie jej powiedzieć, że dziecka już nie ma.

Ben z początku był zdruzgotany, ale potem nabrał otuchy. Pech, rzucił jakby mimochodem za pierwszym razem. Nie udało się, spróbujemy jeszcze raz. Jak powtórzenie uderzenia na polu golfowym.

Drugi płód wylądował w sedesie w morzu tkanek. Śniło jej się, że w korytarzu ciemnej porodówki wystają z niej ręce i nogi dziecka, gdy ze snu wyrwały ją skurcze. W ciągu następnych godzin przybrały na sile i częstotliwości, gdy w koszuli nocnej kucała pod prysznicem, dopóki nie poczuła, że to już.

Potem leżała mokra na zimnych płytkach posadzki i dopiero Ben przyszedł i zaniósł ją z łazienki z powrotem do łóżka. Poprosiła, żeby nie spuszczał wody w sedesie, a on pokręcił głową na znak, że nie zamierza.

Kiedy zasnął, Rebecca wyłowiła płód z różowej wody. W dotyku przypominał złotą rybkę. Pogłaskała palcem ten śliski załączek życia. Włożyła go do plastikowej torebki śniadaniowej i wcisnęła pod umywalkę, na piramidę rolek papieru toaletowego, a potem czuwała do rana. W tamtym tygodniu pracowała na dzienną zmianę. Wzięła prysznic, ubrała się, a kiedy wstawało słońce, wyniosła torebkę do pustego ogrodu za ich nowym domem, ogrodu, który miał się wkrótce wypełnić trójkołowymi rowerkami i zabawkami do piaskownicy. Przy ogrodzeniu z sosnowych desek, które były jeszcze białe i pachniały lasem, wykopała tak głęboką dziurę, jak się dało, i włożyła do środka torebkę z płodem. Przysypała ją ziemią, mocno udeptała, a potem pojechała do pracy, zaciskając na kierownicy toyoty priusa brudne od ziemi dłonie. W szpitalu wyszorowała je w stalowej umywalce na pustym bloku operacyjnym.

Trzecie dziecko straciła w toalecie dla personelu podczas pracownitego dyżuru, w tej samej fazie ciąży co drugie. Poszło szybko, jak wypróżnienie, jak gdyby jej organizm zaczął się przyzwyczajać do usuwania życia, które nie było jej własnym. Poczowała skurcze dzień wcześniej, ale były lekkie, więc wmówiła sobie, że to zmęczone plecy, nadwyrężony mięsień. Przez dwie, może trzy godziny wierzyła, że to prawdziwy powód jej złego samopoczucia.

Włożyła krwawą masę zawiniętą w papier toaletowy do woreczka na próbki, który wzięła z magazynu, i wsunęła do kieszeni białego kitla. Wróciła do stanowiska pielęgniarek zapytać, gdzie jest teraz potrzebna. Skierowano ją do pokoju numer 11. Odsunęła zasłonę, ale nie mogła się uśmiechnąć.

– Słucham. – Włożyła do ucha jedną oliwkę stetoskopu. – Kiedy zaczęła się ta gorączka?

Rano w drodze do domu wstąpiła do kliniki płodności i czekała na parking, aż otworzą. Chciała, by zbadali płód. Wyniki nie wykazały żadnych nieprawidłowości genetycznych. Życie miało szansę przetrwać, tyle że nie w jej ciele. W domu od razu wyszła do ogrodu i utkwiała spojrzenie w miejscu, gdzie pogrzebała pierwszy płód.

Ben zobaczył, jak wchodzi tylnymi drzwiami, spytał, dlaczego była za domem. Nie odpowiedziała. Wyjęła bochenek chleba, podeszła do lodówki i chwyciła pierwszy sztuciec, jaki wpadł jej w ręce. Próbując rozsmarować widelcem masło migdałowe na kromce, obliczała w myślach, kiedy następny raz może zajść w ciążę. Do jajeczkowania mogło dojść już za piętnaście dni, to technicznie możliwe, mogła codziennie badać się testem owulacyjnym. Dni między stratami dzieci a ewentualnymi następnymi próbami są długie i puste. Nie mają dla niej żadnego znaczenia.

Ben znowu zapytał, co robiła za domem. W odpowiedzi tylko pokręciła głową. A potem zrobiła to jeszcze raz. Jakby chciała stamtąd wytrząsnąć kamienie milowe, które znowu jak głupia naniosiła w kalendarzu: koniec września, kiedy urodzi się dziecko, pogoda idealna na spacer. Grudzień, święta na farmie i chodzenie po zaśnieżonych polach i łąkach z innymi dziećmi, ich maleństwo opatulone w nosidełku na piersi. Luty, powrót do pracy na trzy, może cztery dni w tygodniu. Lipiec, pierwsze rodzinne wakacje na wybrzeżu z jej matką. Długie drzemki pod parasolem w towarzystwie babci. Pulchne stóпки w fali przypiływu.

Ben odsunął ją od blatu i wyjął jej z ręki widelec.

– Dziecko?

Nie mogła się zmusić do odpowiedzi, ale on już wiedział. Bezgłośnie rozplakał się z twarzą wtuloną w jej szyję, ona jednak nie mogła płakać razem z nim. Nie znalazła w sobie żadnego uczucia.

Za czwartym razem Ben tylko pokiwał głową, gdy pokazała mu pozytywny test ciążowy. Nie miało to już nic wspólnego z radosnym cudem. Każdy dzień przynosił zagrożenie, żyli na ostrzu noża. Modliła się, by czas płynął szybciej.

Do osiemnastego tygodnia zostało im dwanaście dni, gdy na papierze toaletowym zobaczyła plamę. Łyzeczkowanie macicy zaplanowano niecały tydzień później, w najwcześniejszym możliwym terminie, i przez te pięć dni miała obolałe piersi, trawiło ją zmęczenie ciążą. Organizm był zdezorientowany, a może nie mógł zmusić się do kapitulacji.

Chciała się tego pozbyć. W ciągu kilku dni nie umiała myśleć o niczym innym. Nie mogła się doczekać widoku wenflonu w ręce, błogiej nieświadomości w sali operacyjnej. Nierozpoznawalnych przymrużonych oczu między czepkiem a maseczką, zimnej stali narzędzi, oślepiających świateł, ostrego zapachu jodiny. Usunięcia co do jednej wszystkich nierozwiniętych komórek. Ulgi, że tym razem nie musi oglądać tego, co w niej rośnie.

– Jesteś taka spokojna – powiedział do niej cicho Ben, poprawiając się na krześle w poczekalni przed salą operacyjną. Chodziło mu o to, że nie płakała, chociaż powinna. Jak na przykład kobieta dwa rzędy przed nimi. – Chyba dlatego, że jesteś lekarką i przyzwyczyłaś się do tych rzeczy.

Nie. Po prostu tyle razy mierzyła się z rozczarowaniem, że była przygotowana. W wyobraźni przeżyła już tę chwilę.

W milczeniu skinęła głową. Tak, moje zimne medyczne serce jest przyzwyczajone.

Nie miała ochoty o tym mówić, chciała za to krzyżeć. Nie było jednak dokąd pójść, nie znała takiej przestrzeni, która pomieściłaby jej gniew.

W dniach po każdym poronieniu Ben był wyjątkowo milczący. Nigdy nie pytał, co się stało z dziećmi, które opuściły jej ciało. Dlatego nie musiał liczyć ich w myślach jak ona: jedno w ogrodzie, dwoje w pojemnikach na odpady medyczne i jedno na dnie szuflady w komodzie w małej plastikowej torebce od pracownika krematorium.

Straciła te płody. Podobnie jak obraz samej siebie, jaki zaczęła sobie tworzyć, gdy w niej rosły. Jako matki. Kogoś nowego. Kochała tę kobietę – tę, którą chciała zostać.

ROZDZIAŁ 26

WRZESIEŃ

OGRÓD ZA DOMEM LOVERLYCH

Aiden przenosi wzrok z piersi tańczącej Whitney na kubełek z lodem, który Jacob stawia na stole. Blair jest załamana. Porusza się coraz wolniej, w miarę jak ulatuje z niej energia. Osuwa się tyłem na kanapę na tarasie i chrząka. Nie znosi w nim tego, że zawsze patrzy na atrakcyjne kobiety tak samo, jak kiedyś na nią, prawdopodobnie wyobrażając je sobie nago. To prostackie. Wyciąga szyję, by poszukać wzrokiem Chloe i Xaviera, zyskać na czasie, żeby z jej twarzy zniknął wstyd. Pod powieki cisną jej się łzy.

Aiden chyba wyczuł zmianę jej nastroju. Daje jej znak – chodź, usiądź mi na kolanach. Jakby mieli po kilkanaście lat. Jakby byli zakochani. Jakby Blair była kobietą, z którą chce się pieprzyć. A pieprz się. Ma ochotę powiedzieć mu to głośno. Ale Jacob i Whitney oboje teraz na nią patrzą, więc posłusznie do niego podchodzi. Sztywnym ramieniem otacza jego szyję, myśląc, jak go nienawidzi. Ma nadzieję, że łzy nie spłyną jej po policzkach.

Do Whitney i Jacoba podchodzi kobieta, którą Blair zauważyła wcześniej, wysoka i gibka, w komicznych ogromnych okularach przeciwsłonecznych i szortach, które krojem przypominają majtki. Pyta o catering. Aiden najwyraźniej wyczuł jej obecność, kiedy wcześniej weszła do ogrodu, jak pies wietrzący zapach – uniesiony podbródek, głowa lekko przechylona w lewo, odwrócona uwaga. Czy ktoś jeszcze dostrzega w jego twarzy głód, który ona zawsze widzi?

Tak właśnie wyglądało małżeńskie życie Blair. W ciągłym pogotowiu. Nauczyła się wszędzie zauważać niebezpieczeństwo. „Przesadzasz”, mówił jej. „Chyba oszalałaś”.

„Nie jestem twoim ojcem”.

Whitney jest nadmiernie wylewna wobec tej kobiety, która jest dziewczyną kolegi Jacoba ze studiów. Nie mieszkają w okolicy, więc Blair niepokoi ta infiltracja sąsiedzkiego grilla i fakt, że mimo późnej pory tych dwoje ciągle tu jest. Podejrzewa, że wprosilili się na przyjęcie. Dziewczyna jest młoda, lekko wstawiona i mówi bardzo głośno, a jej makijaż za mocno połyskuje, być może nawet brokatem. Taki makijaż chciałyby mieć Chloe. Blair spogląda na nią z poczuciem wyższości. Wygląda na to, że Jacob też czuje się przy niej niezręcznie – odwrócił się do niej tyłem – a Blair cieszy się, że znalazła w nim bratnią duszę i że tandeta budzi w nim podobny niesmak jak w niej.

Nasłuchuje, ale dociera do niej za mało słów, by mogła zapomnieć o wściekłości na człowieka, któremu właśnie siedzi na kolanach. Pali ją w gardle. Pieką ją oczy. Ma ochotę uderzyć Aideną w twarz, w świeżo ogolony, pachnący policzek; ma ochotę kopać go w krocze, dopóki starczy jej sił.

Gdy jego dłoń zsuwa się na jej plecy, wygina się w łuk, cofając się przed dotykiem.

– Nie.

Nie pyta jej, co się stało.

Blair znowu rozgląda się za Chloe. Dziewczynka stoi z Xavierem przy ogrodzeniu, wreszcie wyszedł ze swojego pokoju. Rozmawiają z Marą, która przez szpary między sztachetami podaje Chloe fiołki, żeby ozdobiła sobie nimi włosy. Blair w innych okolicznościach wkroczyłaby do rozmowy, by dać wyraz swojej wszechwiedzy na temat dzieci, ale teraz się powstrzymuje.

Myśli o tym, co Rebecca powiedziała jej i Whitney dwie godziny wcześniej, tuż przed wyjściem. Pokazała w stronę ogrodu Mary, przysunęła się bliżej i przyciszyła głos.

– Nie przyjdzie? – spytała.

– Dzieci i hałas po naszej stronie płotu to dla niej za dużo. No i tyle zabawy – dodała Whitney. Blair zachichotała. – Jak myślicie, kiedy sprzeda dom?

Rebecca jednak tylko skrzywiła usta i odwróciła od nich wzrok, po czym wychyliła resztę wina z kieliszka. Blair widziała, jak przedtem przyglądała się grupkom matek, gdy obsługa z firmy cateringowej bez końca dolewała im wina.

– Nie jestem pewna, ile wiecie o Marze. Ale mieli z Albertem syna. Wychowali go w tym domu. Z tego, co wiem, dość młodo umarł. – Umilkła na chwilę. – Miał kilkanaście lat.

Blair zerknęła na Whitney. Nie wiedziały. Whitney się nie odezwała, ale zmienił się wyraz jej oczu, gdy popatrzyła w stronę ogrodu Mary.

– Wiesz, jak to się stało?

Rebecca pokręciła głową.

– Nigdy nie mówiła.

– Jezu – szepnęła Blair. – I nigdy nie chcieli przeprowadzić się z powrotem do Portugalii?

– Pytałam ją, czy chciałaby kiedyś stąd wyjechać. Tylko oni z całej rodziny tu wyemigrowali – powiedziała Rebecca. – U siebie w kraju mogliby wygodnie żyć za to, co zarobią na sprzedaży. Przypuszczam, że z tym domem wiąże się za dużo wspomnień o synu. Może trudno im je zostawić.

Whitney, która zawsze miała na wszystko odpowiedź, która przez całe popołudnie działała na pełnych obrotach, uniosła tylko dłoń do obojczyka. Blair dotknęła jej ramienia.

– Trochę inaczej się teraz na nią patrzy, prawda? – dodała Rebecca. Blair wydawało się, że słyszy w jej głosie ton krytyki. Oczywiście, że miały dla Mary dużo empatii, mimo że nie przesiadywały z nią na werandzie i nie gawędziły jak ona. W końcu jesteśmy z Whitney matkami, pomyślała Blair. Rebecca nie może jej przecież rozumieć tak jak my.

Mara odeszła od ogrodzenia, Chloe siedzi na trawie i plecie wianek, skręcając ze sobą łądygi kwiatów. Blair zsuwa się z kolan Aideny, patrzy na nią i zastanawia się, czy nie powinna podejść do płotu i się przywitać. Przynajmniej tyle.

– Hej, wszystko w porządku? – Whitney wsuwa jej do ręki drinka, ale ona nie może już więcej pić. Wylewa alkohol do umywalki w łazience, żeby przyjaciółka nie widziała. Spróbuje znaleźć pilota do głośników na zewnątrz i ściszy tę cholerną muzykę; bliźniaki powinny już położyć się spać. Wolałaby, żeby Whitney włożyła biustonosz. Tęskni za domem, a przecież dzieli ją od niego nie więcej niż siedemnaście kroków. Chce, żeby Aiden wyszedł już z tego ogrodu. Żeby naprawił odpływ w podłodze

w pralni, wyczyścił ich grill, a potem usiadł z Chloe przy ostatnim z zadań domowych na ten weekend. Chce znowu zobaczyć w nim coś przyzwoitego. Coś, co mogłoby ją uspokoić.

Blair nie odpowiedziała na pytanie Whitney, ale ona chyba nie zwróciła na to uwagi. Odwraca się i szuka wzrokiem tamtej kobiety, dziewczyny ze skrzącymi się policzkami, żeby napawać się przewagą, do jakiej czuje się uprawniona na tym terytorium – ale wcześniej dostrzega Jacoba i Aiden, którzy też patrzą na tę kobietę. Przyglądają się, jak wsuwa palec pod brzeg króciutkich dżinsowych szortów i wyciąga materiał spomiędzy krągłych i jędrnych pośladków. Palec zostaje pod spodenkami o sekundę za długo i centymetr za daleko, by tego nie zauważyć. Aiden lekko się obraca, zmienia pozycję ciała, więc Blair nie może nic odczytać z ruchu jego warg, ale Jacob szczerzy zęby w uśmiechu z jakiejś niewątpliwie pikantnej uwagi.

Odwraca wzrok. Jakiś spokojny i racjonalny głos mówi do niej: to małżeństwo się skończy. A potem myśli o tym, jak by się czuła, gdyby Aiden umarł. Z jaką ulgą odetchnęłaby, gdyby odszedł z tego świata, a nie tylko od niej.

ROZDZIAŁ 27

MARA

Drzwi wejściowe nadal są otwarte po wizycie ratowników i z werandy słyszy telefon, który znowu dzwoni w salonie. Słońce się obniżyło i światło dzienne stało się przyćmione. Dzwonili do niej przez cały dzień. Przypuszcza, że ze szpitala albo z kostnicy. Pewnie chcieli, żeby podjęła jakieś decyzje i coś zapłaciła. Myśli o portfelu Alberta, o banku, o tym, co teraz trzeba zrobić. Będą chcieli, żeby odebrała jego wilgotne ubranie. I zegarek. Jak długo może z tym zwlekać? Co zwykle robią, kiedy nie ma do kogo zadzwonić?

Siedzi tu już od wielu godzin, aby się przekonać, jak smakuje samotność. Zauważa Bena dopiero wtedy, gdy staje tuż przed nią.

– Jak się masz? – pyta mężczyzna. Nie czeka jednak na odpowiedź. – Pewnie się zastanawiasz, co się dzieje.

Z ciałem mojego męża?, myśli. Z jego duszą? Czy wierzę jeszcze, że stanie przed bramą niebios?

Ale nie, chodzi mu o to, co się zdarzyło po sąsiedzku. O chłopca. Mówi, że w nocy wydarzył się jakiś wypadek. Wspomina o Rebecce w pracy i o ojcu, który leci z Londynu, i jeszcze coś o operacji mózgu. Nie ma pojęcia, że Albert nie żyje. Że dzisiaj odwiozła go karetka. Tę drobinę czasu można wytrzeć jednym ruchem gumki na końcu ołówka. Mara tylko kiwa głową. Myśli o noszach, przez które jej kuchnia wydawała się maleńka jak w domku dla lalek. Wreszcie Ben jakby odfrunął z werandy i skierował się do swojego domu. Mara nie pamięta, co do niego powiedziała.

Biedne dziecko.

A potem uświadomiła sobie, że rano zapomniała zajrzeć do ogrodu i sprawdzić, czy nie ma papierowych samolotów, chociaż mogły być

wilgotne od mokrej nocnej ziemi. Nie wolno jej o nich zapominać. Są dla niej ważne.

Wyciąga przed siebie ręce. Drżą.

Chce zejść na dół, do sutereny. Do dawnej sypialni Marcusa.

Pociąga za sznurek przy lampce nocnej. Zawsze zostawiał ją zapaloną, chociaż mówiła mu, żeby ją wyłączał ze względu na rachunki za prąd. Ale gdy zasnął, lubiła schodzić na dół, by popatrzeć na jego twarz. Czasami śpi tutaj, gdy w nocy jest niespokojna i w kółko o nim myśli. Wyobraża sobie, jak mogłaby wyglądać jego sześćdziesięcioletnia twarz.

Urządziła Marcusowi pokój w suterenie, kiedy skończył trzynaście lat. Miała nadzieję, że fizyczna odległość od Alberta pomoże złagodzić jego lęki. Albert nawet nie widział tego pokoju. Było słychać tylko tupanie na górze, kroki przypominające odgłos bębna, który przyspieszał jej synowi puls, kiedy pod kołdrą czytał komiksy. Na komodzie wciąż stoją modele samolotów, ściany są pomalowane farbą w kolorze błękitnego nieba. Nigdy nie sprzątała w szufladach tej komody. W szafie jest pudło z jego ulubionymi rzeczami: paroma bibelotami, kulą z gumek recepturek, książką *Wielka tajemnica lotniska* z serii o braciach Hardy. Przez długie lata w pudle tkwił również kolekcjonerski model samolotu, to była jedyna rzecz, którą oddała.

W dzieciństwie uwielbiał samoloty i co dzień pytał Marę, kiedy będzie mógł naprawdę wzbić się w powietrze. Kiedy miał dziesięć lat, postanowiła, że polecą do kraju, choć koszt tej podróży był niedorzecznie wysoki. Od lat rozważała tę możliwość, ale jeśli już mieli wydać tyle pieniędzy, wolała poczekać, aż będzie w odpowiednim wieku, by to zapamiętać. Postanowiła, że nie spyta Alberta, lecz po prostu go poinformuje. Ich rodzice się starzeli, matka męża zachorowała na raka, którego nie mogła się już pozbyć, więc Mara wiedziała, że niechętnie, ale się zgodzi.

Pewnego wieczoru położyła fakturę z biura podróży na kuchennym stole obok jego talerza z szynką w glazurze, a razem z nią numer agenta, do którego należało rano zadzwonić w sprawie płatności. Albert złożył fakturę, włożył do tylnej kieszeni i powiedział, że się tym zajmie.

Mara wypełniła całą walizkę prezentami dla ich rodzin. U krawca mieszkającego przy tej samej ulicy zamówiła ładną sportową marynarkę dla Alberta, bo wiedziała, że będzie chciał się pokazać krewnym w eleganckim

stroju. On jednak nawet jej nie przymierzył. Wyczuwała jego niechęć do tej podróży i wiedziała, że to nie ma nic wspólnego z kosztem biletów na samolot. Nie powinien mieć żadnych trudności z tłumaczeniem ludziom, dlaczego ich syn wydaje się inny: nie różni się od pozostałych dzieci w tym wieku, ale nie rozmawia z nikim prócz swojej matki. Ma swoje lęki. Nie dolega mu nic, co należałoby naprawić, wyleczyć albo ukryć.

Kiedyś podsłuchiwała, jak podczas rozmowy przez telefon ze swoją starszą siostrą Albert użył słowa „ograniczony”. Nie wiedziała, czy sam na to wpadł, czy ktoś mu to podsunął, ale to w ogóle nie odpowiadało rzeczywistości. Słowo odnosiło się raczej do widoczności podczas mgły, nie do jej wrażliwego, spostrzegawczego synka. Nikt nie słyszał tego, co do niej szeptał, więc nikt nic o nim nie wiedział. Nie mieli pojęcia, kim jest.

Mary nie obchodziło już, co Albert sądzi o Marcusie. Nie obchodziło jej niczyje zdanie na jego temat. Nie mogła się doczekać, by zabrać go na pokład samolotu. Nigdy wcześniej nie wyczekiwał niczego z taką niecierpliwością, a ona z radością patrzyła na to ożywienie.

W sobotę rano przed wylotem obudziła się wcześniej, żeby umyć włosy i nakręcić je na wałki. Zapakowała mały prezent, który kupiła synowi na podróż: jego własny mały model samolotu z napisem „American Airlines” na boku. Wiedziała, że mu się spodoba. Położyła paczuszkę obok jego miski z płatkami i się ubrała. Gdy dochodziła dziewiąta, potrząsnęła Alberta za ramię i powiedziała mu, że powinien wstać i się ogolić, że za pół godziny przyjedzie taksówka, a on jeszcze nawet nie spakował swoich rzeczy, że ona zaraz obudzi syna na śniadanie. Albert obrócił się na drugi bok i mruknął, żeby zasunęła z powrotem zasłony.

– Ale przecież musimy być na lotnisku przed...

Gdy tylko wybrzmiały te słowa, wiedziała, że nie wsiądą do samolotu. Nie była nawet pewna, czy ma bilety. Zmienił zdanie. Nie mógł pojechać do kraju.

Kiedy godzinę później zwałował się z łóżka, piła kawę i czekała na niego przy stole w kuchni. Ich syn był w innym pokoju, naburmuszony bawił się samolocikiem. Gdy mu powiedziała, że wyjazd został odwołany, spytał, czy coś się stało z silnikami odrzutowymi, bo nie przychodził mu do głowy żaden inny powód, dla którego nie mogliby wsiąść do samolotu.

– Zadzwoń do nich wszystkich – syknęła do Alberta. – Powiedz im, dlaczego nie przyjeździemy.

Nawet nie próbował jej okłamywać. Nie miał na tyle przyzwoitości, by wymyślić jakiś pretekst.

Tego dnia wieczorem, wracając do domu, potknął się w progu i przedziurawił łokciem siatkę w oknie. Nie pytała, gdzie był. Nigdy nie widziała go tak pijanego. Marcus siedział w salonie i bawił się układanką na podłodze. Wstała, żeby zaprowadzić go do sypialni, gdzie mogła zamknąć drzwi. Miała złe przeczucia. Albert zatrzymał ją jednak ruchem ręki i ruszył przodem.

Bełkotał synowi podłe słowa prosto w twarz, z wściekłością dźgając czerwonym nosem miękkie policzki Marcusa, pryskając cuchnącą śliną na jego wątlą szyję. Nigdy w życiu nie chciałaby więcej usłyszeć takich słów. Nie miała innego wyjścia, niż wmówić sobie, że one w ogóle nie padły.

Zaniosła syna do sypialni i tuliła z całej siły, żeby przestał się trząść. Albert ruszył za nimi i stanął w drzwiach. Zasłoniła synowi uszy i błagała męża, żeby wyszedł.

– Szepczecie do siebie przez cały dzień jak małe dziewczynki. To przez ciebie jest taki, Mara. Zupełnie go zepsułaś.

Nazajutrz rano syn nie chciał z nią w ogóle rozmawiać. Przysunęła ucho do jego ust, głaskała go po plecach, zachęcała, żeby powiedział, co chciałby zjeść na śniadanie.

– Wyszedł na cały dzień, jesteśmy sami. Powiedz mamusi, dobrze się czujesz?

Wiedziała jednak, że nie czuje się już dobrze. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Miała już świadomość, że ostatni raz słyszała, jak mówi. Pokręcił tylko głową. I nie wyszeptał już do niej ani jednego słowa, nigdy więcej.

ROZDZIAŁ 28

WHITNEY

ŚRODA

W drodze z pracy do domu, gdy deszcz z wolna ustawał, dzwoniła do Jacoba trzy razy. Na pewno nie śpi, ale nie odbiera telefonu. Zatrzymuje się na podjeździe. Sięgając do klamki, by otworzyć drzwi samochodu, zerka we wsteczne lusterko i widzi Blair, która wyrzuca worek z kuchennymi odpadkami do kubła z boku domu. Nie unosi jednak wzroku i nie zauważa blasku czerwonych tylnych świateł auta Whitney.

Oddycha z ulgą, gdy Blair, nie patrząc w jej stronę, wraca do domu. Ma dziś za dużo na głowie. Jutrzejsze poranne spotkanie i prezentację. Szkolne problemy z Xavierem. Blair zostawiła otwarte drzwi wejściowe, pewnie zamierza jeszcze wynieść kolejne worki ze śmieciami z kuchni. Whitney czeka.

Rozmowa z sąsiadką jest dla niej zazwyczaj chwilą wytchnienia. Blair przywraca jej równowagę. Przypomina ciepłe mleko. Pomaga zwiększyć liczbę godzin, kiedy to Whitney przyjmuje rolę matki. Czasem jednak wzbudza w niej nieopisaną zazdrość. Ten jej ujmujący sposób bycia. Radość, jaką w naturalny sposób daje jej Chloe, synergia łączącego je uczucia. Czasem wydaje jej się, że Xavier jest prezentem od kogoś, kto jednak powinien znać ją lepiej; przeznaczonym dla kobiety, która w niczym jej nie przypomina. Niekiedy serce ją boli, że nie została zrozumiana.

Wyłącza silnik i z podjazdu obserwuje w lusterku dom Blair, czekając, aż sąsiadka skończy wyrzucać śmieci i zamknie drzwi. Myśli o ich rozmowie z zeszłego tygodnia. O Aidenie, z którym tak rzadko się ostatnio widuje. Blair zarzuca temat swojego małżeństwa jak przynętę i chce o tym rozmawiać – choć właściwie nie. To próżny trud. Ale Whitney zwykle jej ulega, aby Blair niczego nie podejrzewała.

Wie, że przyjaciółka mówi półprawdy, kiedy sonduje, czy jej małżeńskie problemy wywołują skrepowanie, a potem nieodmiennie się wycofuje. W pewnym sensie satysfakcjonuje ją samo to, że jest wobec Whitney prawie całkiem szczerą. Chce, żeby były nawzajem swoimi powierniczkami, ale woli, by Whitney nie zobaczyła, jaka jest naprawdę.

Drzwi otwierają się szerzej i Blair ponownie pojawia się ze śmieciami. Odchyła pokrywę i wciska worki głębiej, żeby zrobić więcej miejsca. Whitney stara się pozostać nieruchomo, żeby nie włączyły się światła, kiedy czujnik wykryje ruch.

W ciągu czterech lat ich znajomości Blair się zmieniła. W krótkim czasie stała się jej bliską przyjaciółką, bliższą niż ktokolwiek od czasów studiów, bliższą niż którakolwiek z kręgu dobrze ubranych kobiet, z którymi łączy ją sprawy służbowe. No i od września nie utrzymuje już kontaktu z matkami ze szkoły. Mimo to czuje, że w ciągu tych czterech lat Blair nieco się wycofała. Whitney widzi, jak ona się rozgląda po ich świetnie urządzonej domu, jak łapczywie chłonie jej rozmowy z Jacobem. Gdyby miała być wobec siebie szczerą, to nie chciałaby stracić nic z dynamiki tego układu między nimi. W tej przyjaźni ma przewagę, jak w większości sfer swojego życia. I potrzebuje jej, choć nie jest z tego dumna.

Inna przyjaciółka mogłaby zmusić Blair do wyznań. Na pewno nic cię nie gryzie? Z Aidenem wszystko w porządku? Inna przyjaciółka mogłaby położyć dłoń na kolanie sąsiadki i przekonywać ją, że może jej powiedzieć wszystko. Twierdzić, że w życiu kobiet w ich wieku przychodzi taka chwila, gdy zdają sobie sprawę, że nie chcą już tego, czego dawniej pragnęły, tyle że jest już za późno. Bez względu na to, czy się do tego przyznają, czy nie.

Whitney nie ma jednak miejsca na takie zadania w napiętym terminarzu swojego życia.

Poza tym są inne ryzykowne sprawy.

Sprawy, które skomplikowała sama Whitney.

Poprawia się w fotelu za kierownicą. Znowu dzwoni do Jacoba. Poczta głosowa. Pisze do niego wiadomość. Chce go poinformować, że jest już w domu. Skończyć w lepszym tonie. Uspokoić go.

Blair jeszcze kilka razy naciska pokrywę kubła. Drzwi domu zatraskują się za nią i Whitney jest już bezpieczna.

W holu wieszka trencz i nasłuchuje, gdzie są dzieci i Louisa. Późno chodzą spać, zwłaszcza bliźniaki. Whitney chce ciszy, chce spokoju, by móc pomyśleć. Chce zobaczyć zmęczone dzieci w piżamach. Ale już po paru sekundach jest otoczona, czuje na nodze ich dłonie, na twarzy ma grudki plasteliny i słucha relacji o stłuczonych kolanach, które wyglądają na stuprocentowo sprawne. Louisa przywołuje bliźniaki, ale nie chcą dzisiaj jej słuchać, chcą, żeby matka poświęciła im całą uwagę, żeby mówiła rzeczy w rodzaju „Och, brawo!” albo „Ależ jesteście dzielni!”, albo „Tak, wygląda dokładnie jak teropod!”. Whitney tymczasem zastanawia się, jak wyglądałby pusty dom. I myśli o jutrzejszym porannym spotkaniu. O swoich planach na ten wieczór. Powinna je odwołać. Powinna.

Do kuchni wchodzi Xavier w skarpetkach do połowy zsuniętych ze stóp.

– Te skarpetki są brudne. Zdejmij je, proszę.

Nie zwraca na nią uwagi. Ona pochyla się, by je podciągnąć, ale on nie chce podnieść stóp, a gdy Whitney łapie go za kostkę, wydaje z siebie skowyt rannego zwierzęcia. Zrywa z niego te skarpetki. W jednej jest dziura na palcach, więc wyrzuca je do śmieci.

– Co ty robisz? To moje skarpetki!

Czuje ucisk w piersi.

– Jak było w szkole?

– Wiedziałaś, że masz pęknięty telefon?

Wyjmuje mu komórkę z ręki i widzi, że ostatnia wiadomość do Jacoba została odczytana. Nie dostała jednak odpowiedzi. Nie odpisał ani nie oddzwonił. Kładzie telefon na blacie. Zdejmuje celofan z talerza, który zostawiła jej Louisa. Kątem oka widzi bliźniaki na białym dywanie w salonie obok, gdzie nie powinny być z niebieską plasteliną w rękach.

– W szkole stało się coś, o czym chcesz porozmawiać?

Znowu bierze jej telefon i wciska paznokiec w pęknięcie ekranu.

– Możemy przed spaniem zagrać w szachy?

Zastanawia się, gdzie jest Louisa.

– Przepraszam, nie dzisiaj.

– Proszę.

– Xavier, już późno.

– Kiedy tata wraca? Tęsknię za tatą.

– Nie będzie go jeszcze przez dwa dni.

– No dobrze, w takim razie Lou zagra ze mną w szachy.

– Powiedziałam, że jest późno. Musisz iść spać.
– Ale to ona powiedziała, że chce zagrać ze mną w szachy.
– Xavier.
– Naprawdę tak powiedziała, naprawdę chce.
– Jest po prostu dobrze wychowana.
– Wcale nie.
– Owszem, jest.
– Przynajmniej jest dla mnie miła.
– Ja też. Ale jest późno.
– Wcale nie. Nie jesteś dla mnie miła. – Głos mu się łamie. Whitney unosi wzrok i widzi, że syn powstrzymuje płacz. – Bardzo mnie nie lubisz.

Wolałaby, żeby wrzeszczał jak opętany, że jej nienawidzi. Wolałaby, żeby wpadł we wściekłość jak wtedy, gdy miał trzy lata. Na widok łagodnego wyrazu jego twarzy, który towarzyszył tym słowom – „bardzo mnie nie lubisz” – ściska ją w żołądku. Myśli o rozmowie telefonicznej z nauczycielką. O tym, że sposób traktowania dziecka na zawsze je zmienia.

– Xavi, kochanie, chodź do mnie. – Wyciąga rękę, żeby przyciągnąć do siebie jego głowę.

Ale wtedy czuje na brzuchu dłonie, które ją odpychają. Odpycha ją od siebie i przyciska do uchwytu lodówki. A potem odwraca się i ręką zatacza łuk nad wyspą. Szklana misa z owocami chwieje się i spada na podłogę, pomarańcze toczą się jak bile. Xavier kopie banana, z pękniętej skórki wydobywa się mazisty miąższ. Rozdeptuje owoc bosą stopą, obryzgując lepką masą nogawkę jej spodni.

Impuls przeszywa ją jak iskra i Whitney instynktownie wyciąga ręce, żeby go złapać. Xavier robi unik.

– Chodź tu do mnie, w tej chwili!!! – Rzuca się, by chwycić go za ramię, ale jest szybszy i błyskawicznie ucieka na drugą stronę wyspy. Czuje, jak wściekłość dławi ją w gardle. – Ostrzegam cię!

U jej stóp nagle pojawia się Sebastian, przerażony płacze i owija się wokół jej nogi ubrudzonej miąższem banana. Whitney bierze go na ręce i przyciska do kołującego serca. Przygląda mu włosy. Całuje go.

– Nie lubię, jak krzyczysz na Zagsa – kwili jej do ucha, wypełniając je wilgotnym oddechem. – Tatuś mówił, że nie będzie już krzyczenia.

Xavier posyła jej wściekłe spojrzenie i wychodzi z kuchni, wołając Louise, która na pewno wszystko słyszała z sąsiedniego pokoju i pewnie myśli, że Whitney dopiero weszła do domu, nie spędziła z nimi długich godzin i nie ma prawa dusić się od samej ich obecności. Thea leży na podłodze jak rozgwieżdża, wzywa krzykiem matkę. Gniew kłuje Whitney między łopatkami i pełźnie wyżej, zaciska się na jej szyi. Nie może być z dziećmi. Nie może tego dzisiaj zrobić. Stawia syna na podłodze, ale on wpija się w nią wszystkimi kończynami, jego palce przyklejają się do niej jak przyssawki. Odczepia od siebie płaczącego chłopca. Wychodzi, znowu słysząc krzyk Thei. Idzie z laptopem do swojego pokoju, byle dalej od nich wszystkich.

ROZDZIAŁ 29

BLAIR

Aiden wsadza głowę do pokoju Chloe, gdy Blair czyta jej przed snem.

– Wychodzę na trochę, dobrze?

Blair wraca spojrzeniem na stronę w książce. Wszystko w niej staje na baczność, jakby w pokoju, zamiast męża, pojawiło się zagrożenie.

– Dokąd idziesz, tatusiu?

– Spotkać się z ludźmi z pracy, kochanie. Dzisiaj mój kolega Lin był u nas ostatni dzień.

Chloe sadowi się wygodniej w zagięciu ręki Blair. Czeką, aż matka wróci do czytania, ale ona nie potrafi. Jak może wychodzić na spotkanie towarzyskie w taki wieczór, kiedy dziecko ich przyjaciół leży na OIOM-ie? Właśnie wziął prysznic, wyczuwa też płyn po goleniu. Może wcale nie zamierza spotykać się z kolegami. Ciekawe, czy Jacob już dotarł do szpitala. Albo czy Whitney jest sama i czeka tam na Aideną.

Czuje się jak wariatka. A może odzywa się do niej jeden z tych szeptów? Wyobraża sobie, jak kiedyś wróci pamięcią do tej chwili i będzie się wstydzić własnej głupoty.

Aiden dalej stoi w drzwiach pokoju Chloe. Czeką, żeby powiedziała mu: „Baw się dobrze i nie wracaj za późno, okej?”. Blair tymczasem jest tylko w stanie czytać słowa, które ma przed oczami w książce. Aiden jej przerywa:

– Poradzicie sobie? Przepraszam, to pewnie nie jest najlepsza pora z powodu... – Wskazuje brodą na Chloe. – W każdym razie zadzwoń, gdyby były jakieś wiadomości.

Ona wpatruje się w książkę.

Kiedy słyszą szcęk zamykanych drzwi, Chloe patrzy na matkę.

– Jesteś zła na tatusia?

– Zła? Oczywiście, że nie. Czemu tak myślisz?

– Zawsze jesteś zła na tatusia. Już go nie kochasz.

Blair otwiera usta, udając zaskoczenie.

– Chloe! Przecież to nieprawda i dobrze o tym wiesz. Bardzo Kocham tatusia. To moja ulubiona osoba na świecie, oprócz ciebie.

Chloe odwraca wzrok i spogląda na książkę.

– Aha. Jak tam sobie chcesz...

– Skarbie, wszystko jest w najlepszym porządku. Nie martw się, proszę.

Na drobnej twarzączce Chloe maluje się jednak powątpiewanie. Ona wie. A Blair właśnie jej powiedziała, że się myli. Że nie powinna ufać intuicji, kiedy podpowiada jej coś przykrego. Nie, Kochanie, udajemy. Tak właśnie wygląda życie kobiety.

Blair z trudem przełyka ślinę i znajduje miejsce, gdzie przerwała czytanie.

Podjęła te wszystkie decyzje – o małżeństwie, urodzeniu dziecka, o takim życiu – jak wszyscy inni. Patrząc w przyszłość z nadzieją. Wierząc, że jest inną kobietą niż jej matka. Że może być całkiem szczęśliwa.

Kiedy Blair miała jedenaście lat, pewnej soboty w lecie pojechała z ojcem do dziadków. Matka nie chciała im towarzyszyć, ale jej to nie przeszkadzało; lubiła odwiedzać różne miejsca tylko z ojcem. Gdy wyjeżdżali z domu, matka była w kuchni, gdzie zdejmowała części palników z kuchenki i zanurzała w zlewie. Blair zauważyła, że ociera oczy rękawem, ponieważ na dłoniach miała żółte gumowe rękawiczki pachnące cytryną. Ciemne ślady na bluzce mogły pochodzić z czarnego osadu, który zebrał się pod pierścieniami palników. A może płakała. Blair minęła biegiem kuchnię i na pożegnanie zawołała do matki spod drzwi.

Niedaleko parterowego domu dziadków, w drodze powrotnej do domu, ojciec zatrzymał kombi przed niewysokim, zaledwie dwupiętrowym budynkiem wielorodzinnym z cegły koloru ostrej musztardy. Z małego kwadratowego okna jakaś kobieta krzyknęła, że za momencik zejdzie. Ojciec zostawił kluczyk w stacyjce, nie wyłączył silnika i powiedział Blair, żeby niczego nie dotykała. Kobieta otworzyła drzwi do budynku i ojciec zniknął w środku.

Blair czekała na niego, przygryzając paznokcie. Odpięła pas i położyła się na rozgrzanym winylowym siedzeniu z tyłu, udając, że leży naga w kabine żaglówki. Z Ianem Mackenzie z szkoły, który posiadał chyba nadludzką

umiejętność przejrzenia jej na wylot. Wsunęła sobie rękę między nogi i zaczęła się rytmicznie ścisnąć pod bielizną.

Kiedy ojciec z powrotem usiadł za kierownicą, cały samochód się zakołysał. Wyjął zapalniczkę i dmuchnął dymem w odbicie swojej twarzy w lusterku wstecznym.

– Jak chcesz, możesz usiąść z przodu.

Nigdy nie pozwalał jej jeździć z przodu. Pachniał lakierem do włosów jej cioci, ale to nie było mieszkanie cioci.

Pół godziny później zachciało jej się siku, nie chciała go jednak prosić, żeby zatrzymał się przy jakiejś toalecie. Odkąd ruszyli z parkingu pod tamtym budynkiem, nie odezwał się ani słowem, ale nagle powiedział:

– Twoja matka to dobra kobieta. Wiesz o tym, prawda? – Głos mu się zmienił. Musiała obserwować ruch warg, by sprawdzić, czy naprawdę padają z nich te słowa. – Sporo potrafi znieść. Dużo więcej, niż powinna.

Pociągnął nosem. Ona też pociągnęła nosem, jakby to nie było nic takiego. Jakby ludzie nieustannie pociągali nosami. Jakby nawet nie zauważyła, że ojciec płacze.

Zrobiło jej się gorąco, bardzo gorąco, więc uchyliła okno. Chciała już być w domu z matką. Dobrą kobietą. Chciała jeść grillowany ser przy stole w kuchni, gdy matka będzie przygotowywać zapiekankę i słuchać dobiegających z pomieszczenia obok głośnych dialogów z powtórki *Żaru młodości*. Chciała rozciągnąć się na dywanie w pokoju gościnnym i przyglądać się, jak prawa stopa matki wciska pod biurkiem pedał maszyny do szycia.

Kiedy przyjechali, obecność matki nie podziałała na nią jednak tak, jak oczekiwała. Nie miała ochoty być dla niej miłą. Nie chciała mieć w nozdrzach zapachu lakieru do włosów tamtej kobiety.

– Dlaczego dzisiaj nie pojechałaś? Do babci? – zapytała.

Matka westchnęła. Zatrzasnęła drzwiczki piekarnika.

– Och, sama nie wiem.

Odwróciła się do niej tyłem. Położyła rękawice kuchenne na laminowanym blacie i stała, dopóki nie usłyszały szumu spuszczonej wody w toalecie w głębi korytarza. Do kuchni wszedł ojciec Blair, zapinając pasek spodni. Dotknął ustami szyi matki i mocno przytrzymał ją za ramiona. Zawsze mówił do niej „cukiereczku”, chociaż nie znosił cukierków. Nie znosił niczego, co było za słodkie. Powiedział, że kolacja

ładnie pachnie. Że jest głodny. Blair patrzyła, jak matka sztywnieje. Jak obraca głowę w inną stronę, w bok od niego, i powoli zamyka oczy. Dobra kobieta.

ROZDZIAŁ 30

WHITNEY

SZPITAL

W jej śnie młodszy Jacob próbuje wyłączyć piszczący czujnik dymu. Jak cyrkowiec balansuje na stojącym na jednej nodze krześle w kuchni w ich pierwszym domu i majstruje przy przyciskach na górze, żeby hałas ucichł, zanim dziecko za wcześnie ocknie się z drzemki. Syczy do niego, żeby się pospieszył. Ma jeszcze dużo do zrobienia. Musi skończyć tyle rzeczy, zanim dziecko znowu się na niej położy, żeby ssać z piersi i znowu wystawiać ją na próbę. Szarpie za krzesło, na którym stoi. Czuje zapach pasty do zębów.

I wtedy się budzi.

Otwiera oczy na szpitalnym krześle i widzi, że wokół rolety w oknie, na które patrzy, nie ma już obwódki światła. Jedna pielęgniarka przemywa usta Xaviera gąbką w miętowym kolorze, a druga zmienia ampułkę z lekiem w popiskującej pompie infuzyjnej. Albo w pompach. Możliwe, że są tu trzy takie urządzenia, a może dziesięć czy pięćdziesiąt. Whitney nie chce na nie patrzeć. Udaje, że pielęgniarki tu nie ma, i przygląda się badawczo dłoni Xaviera. Jego skóra jest gorąca od wtłaczanych do żyły płynów. W poprzek igły naklejono brązowy plaster, przypomina jej te, które dostawała jako dziecko w szkole i po których skóra lepiała się jej potem jeszcze przez wiele dni.

W środę wieczorem, zanim jeszcze rzucił przez kuchnię miską z owocami, miał rację. Czasem go nie lubiła. Czasem wołała, żeby był innym dzieckiem. Trudno dokładnie określić, co i jak chciałaby w nim zmienić albo kiedy poczuła taką chęć. W każdym razie wiedział.

Na krześle naprzeciw niej wisi płaszcz, którego wcześniej tam nie było.

Uświadamia sobie, że to płaszcz męża. Już tu jest.

Wsufa głowę między kolana. Ktoś stawia pod jej twarzą plastikową miseczkę w kształcie nerki i Whitney przez kilka minut słuwa sokiem żołądkowym, aż wreszcie wstrząsają nią torsje. Nic nie wypływa. Dostaje mokry ręcznik zalatujący środkiem odkażającym, żeby wytarła sobie podbródek.

Czuje, że do sali wszedł Jacob, i zamyka oczy, gdy dłonią dotyka jej karku. Zawiodła go, myśli. Zawsze wiedziała, że tak będzie.

– Nie śpisz.

Ale jest bardzo zmęczona. Unosi głowę i kiedy zanurza się w znajomym brzmieniu jego głosu, po raz pierwszy wydaje jej się, że może uda jej się to przeżyć. Wrażenie mija jednak równie szybko, jak się pojawia. Czeką, żeby ją zwymyślał. Żeby roztrzaskał jej coś na głowie, jak na to zasługuje. Kopnął ją w czaszkę. Żeby pękła i żeby krew pociekła jej po czole, między oczami, czerwony strumyk po grzbiecie nosa. Chce, żeby choć raz potraktował ją brutalnie. Chce poczuć, jak to jest.

Błaga go o to w duchu.

Ale oczywiście Jacob nigdy nie zrobi jej krzywdy. Przecież ją uwielbia. Jest mu potrzebna. Ostrożnie otacza ją ramionami, jakby to nie ich syn, lecz ona była krucha i bliska śmierci. I może naprawdę jest. Czuje na szyi ciepło jego oddechu pachnącego kawą, a potem wilgoć łez i śluzu, drżenie piersi przytulonej do jej pleców. Unosi dłoń, by musnąć jego włosy, i wydaje jej się, że w koszuli został zapach zastalego powietrza z samolotu.

Gdy Jacob przestaje płakać, powoli podchodzi do krzesła naprzeciwko niej i siada. Sięga po drugą dłoń Xaviera i jego obrączka dzwoni o ramę łóżka. Ten brzęk wytrąca ją z równowagi – spogląda na swój palec, gdzie światełka aparatów mrugających na tle bladej skóry chłopca powinny odbijać się w brylantach, które Jacob dał jej trzynaście lat temu.

Zawsze śpi z obrączką i pierścieniem. W środę wieczorem jednak je zdjęła.

Nie było nawet sekundy, by pomyśleć o czymś tak oczywistym, zanim pojechała do szpitala, by sprawdzić, czy jej syn żyje.

Ciekawe, czy mąż to zauważy.

Ciekawe, czy myśli o oknie w sypialni. Czy choć przez ułamek sekundy wierzył, że to było coś tak niewinnego jak niedomknięte oszklone skrzydło plus niespokojny chłopiec, który nie mógł zasnąć, nieszczęśliwy i zupełnie nieprawdopodobny wypadek.

Prosił ją, żeby przestała tak krzyżeć. Pytał ją wcześniej: „Whitney, czy ty się w ogóle słyszysz? Wiesz, jak dzieci to odbierają?”. Ale jest dla niej zbyt wyrozumiały, jakby tylko on potrafił dostrzec, jaka naprawdę jest delikatna. I jak niewiele trzeba, by doprowadzić ją do ostateczności.

Zastanawia się, o co spyta mąż, o co może ją oskarżyć, ale właśnie w tym momencie mówi do niej:

– Przykro mi. – Zwiesza głowę, wbijając podbródek w pierś, jak gdyby chciał się schować w sobie, zniknąć. – Ciągle myślę, że gdybym tam był...

Gdyby tam był, nic by się nie stało. Xavier byłby bezpieczny. Nie chodzi mu dokładnie o to. Ale faktem jest, że była tam Whitney, a jego nie było. I faktem jest, że ich syn powoli gaśnie w szpitalnym łóżku. Jego koniec nie jest kwestią miesięcy czy dziesiątków lat, lecz godzin.

Myśli o tym, co Xavier napisał na ścianie.

Myśli o tym, co stało się tuż przed tym, jak jej syn wypadł przez okno.

I w tym momencie znowu zaczyna wymiotować.

ROZDZIAŁ 31

REBECCA

Kiedy zajmuje się kilkoma ostatnimi pacjentami, nie czuje się sobą. Wyczerpał jej się zapas energii. Wszystko wydaje się nierealne.

– Przepraszam, proszę powtórzyć, jakie leki przyjmuje?

– Może mi pani przypomnieć historię jego choroby?

To przez Xaviera, przez Whitney, przez Blair, która wyszła taka zdenerwowana, ale przede wszystkim z powodu rozmowy z Benem, którą chciała przeprowadzić po powrocie do domu. Mogłaby poczekać, odłożyć ją na kilka dni. Kiedy jednak dochodzi do tragedii, człowiek często zmienia punkt widzenia. Może w kryzysowej sytuacji będzie gotów się przełamać i wybaczyć jej to, co zrobiła. Minął osiemnasty tydzień. Już za sześć tygodni dziecko stanie się na tyle silne, że lekarz będzie mógł walczyć o jego uratowanie. Wreszcie mogą mieć nadzieję. A nawet czuć wdzięczność. Przypomni mu, że ich sąsiedzi właśnie się modlą, aby ich dziecko przeżyło.

W sklepiku, zanim go zamkną, kupuje parę kapci. Gdy staje przed drzwiami sali Xaviera, żeby dać je Whitney, spotyka doktor Menlo, która właśnie stamtąd wychodzi. Mówi Rebecce, że martwi ją głębokość śpiączki. Niepokoi się, że mózg może być uszkodzony bardziej, niż początkowo sądzili. Szanse na wyzdrowienie maleją z każdą godziną, bez żadnych pozytywnych oznak. Zaczekają jeszcze przez noc na jakąkolwiek poprawę, a potem prawdopodobnie będą musieli przystąpić do operacji.

Rebecca puka do drzwi pokoju. Whitney z Jacobem się obejmują.

– Przykro mi. Bardzo, bardzo mi przykro – mówi.

Jacob informuje ją, że kręci mu się w głowie. Ma jeszcze jedno pytanie do doktor Menlo. Prosi Rebeccę, by posiedziała z Whitney, a on pójdzie poszukać lekarki.

Sąsiadka nie ruszyła się z krzesła, na którym usiadła tego dnia rano. Rebecca kładzie kapcie na podłodze u jej stóp i siada na krześle po drugiej stronie Xaviera. Myśli o rozbieżności, o której mówił tamten lekarz, gdy była rezydentką, o rozziwieniu między oczekiwaniami a rzeczywistością. Gdy rodzic może tylko czekać, różnica coraz bardziej się kurczy. Wkrótce nie ma już w ogóle miejsca na nadzieję.

Pompa wydaje sygnał ostrzegawczy, skończył się antybiotyk. Rebecca ucisza urządzenie i znowu czuje nerwowy trzepot w brzuchu.

– Jestem w ciąży.

Nie chce mówić tego matce, która właśnie traci dziecko, ale słowa padają same, zanim zdąży je powstrzymać. Przyznaje się w zamian za jej bezbronność. W tej sali została wtajemniczona w wiele poufnych spraw.

– Parę dni temu poszłam na badanie krwi i pielęgniarka, która wypełniała formularz, zapytała, ile razy wcześniej byłam w ciąży. Pokazałam jej rękę. Pięć palców. Pięć. – Rebecca milknie. Pochyliła się i patrzy na Xaviera. – A potem spytała, ile mam dzieci. Patrzyłam, jak wpisuje do rubryki zero, i pomyślałam sobie, no ładnie. Mam to czarno na białym, ostateczny wynik. Pięć do zera.

Przygląda się Whitney, która ugniata palce syna, jakby były zrobione z plasteliny.

– Ludzie lubią mówić, że można być matką na wiele sposobów. Jak gdyby to miało być coś w rodzaju pocieszenia dla takich kobiet jak ja. – Rebecca wstaje. Dotyka stopy Xaviera pod kocem. – Wcześniej pytałaś mnie, dlaczego nie urodziłam dziecka. Chciałam, żebyś wiedziała.

Słyszysz, jak Whitney powoli i spokojnie nabiera powietrza.

– Rebecca... – Przez chwilę milczy i w końcu unosi twarz. – Przykro mi.

To jedyny raz w ciągu trzech lat, kiedy ktoś powiedział tylko to i nic więcej – „przykro mi” – nie dodając żadnych rad ani nie racząc jej banałami. Nie spodziewała się, że prostota tego stwierdzenia tak bardzo ją poruszy. Chrząka i pokazuje na Xaviera.

– Mam nadzieję, że w nocy wszystko się poprawi. Zadzwoń jutro, żeby spytać.

Do sali wraca Jacob i daje Rebecce znak, by wyszła na korytarz. Pyta, czy pójdzie z nim do bufetu, skąd chciał przynieść dla żony coś, co w końcu by zjadła.

W drodze na dół Rebecca powtarza mu wszystko to, czego na pewno dowiedział się już od doktor Menlo. On chyba rozumie, ale chce to usłyszeć jeszcze raz od niej. Prosi, żeby powtarzała, jakby nie umiał niczego zapamiętać. Dotyka oprawek okularów, myśli, zadaje jej pytania, na które trudno jej odpowiadać. Zamawia bajgla dla Whitney i kawę dla siebie, a potem siadają na ławce na dziedzińcu.

– Nie ma twardego snu. Czasem się budzi. Raz, gdy miał pięć czy sześć lat, zobaczyliśmy, jak lunatykuje.

Stara się racjonalnie wytłumaczyć coś, co jest irracjonalne. Rebecca patrzy na powoli pustoszejący dziedzińiec, personel szpitalny wracający do domu, do swoich rodzin. Rodzice człapią w kapciach do bufetu, bez apetytu przeglądają menu i z pustymi rękami wracają na górę.

– Kiedy przyjechałem, od razy zadali mi parę pytań – ciągnie jak w oszołomieniu. – O Xaviera. I o to, jak otwiera się okno w jego pokoju. – Porusza ręką, jakby przekręcał kłamkę, przypominając sobie działanie mechanizmu. – Była też pracownica socjalna. Mówiła, że to po prostu wymogi procedury. Że musi się upewnić, czy nie ma powodu niepokoić się o bezpieczeństwo Xaviera w naszym domu. – Stuka palcem w plastikową pokrywkę kubka z kawą. – Na samą sugestię o mojej żonie... robi mi się niedobrze. Oczywiście, że był z nią bezpieczny. I z nami.

– Oczywiście – powtarza Rebecca. Może myśli tylko o oknie, jak wysoko nad ziemią się znajduje, o tym, że nigdy go nie zabezpieczają.

– No i co teraz? Na zawsze będziemy już napiętnowani w jakimś systemie? Tak to działa? Przecież z obrażeń powinno wynikać, że po prostu stracił równowagę i spadł, może po wczorajszym deszczu było ślisko. Mogą obejrzeć uszkodzenia czaszki, zmierzyć wysokość i tak dalej, prawda? Lekarze powinni umieć oceniać takie rzeczy, przecież to kwestia fizyki. Nie ma powodu niczego kwestionować. Tak im zresztą powiedziałem. Jesteśmy dobrą rodziną, dobrymi ludźmi.

Rebecca kiwa głową. Zastanawia się, czy Jacob brał pod uwagę scenariusz, w którym Xavier budzi się i przypomina sobie, co się stało. Skutkiem obrażeń głowy i niedotlenienia mogą być krótkotrwałe kłopoty z pamięcią, ale może też ją odzyskać. Jacob wpatruje się w ziemię. Otwiera usta. Chce coś jeszcze dodać, ale się waha. Powinna go zachęcać: Jacob, jeżeli masz coś do powiedzenia o tym, co się mogło stać, jeżeli chcesz coś

wyznać, to słucham. Przełyka ślinę przez ściśnięte gardło, chrząka. On jednak z obojętną miną bierze brązową torebkę.

– Powinienem już chyba wracać do sali. Spróbuję ją namówić, żeby to zjadła. Ciągłe nie zgadza się odejść od jego łóżka. Nie wiem nawet, czy chociaż raz skorzystała z toalety.

Dołączają do strumienia pieszych i Jacob milczy. Przyciska za niego guzik przywołujący windę.

– A jak bliźniaki?

– Powiedziałem im, że na parę dni wybieramy się z Xavierem w podróż. Poprosiłem Louise, żeby do weekendu zabrała je do siebie. Zastanawiałem się, czy w naszym domu nie pojawi się policja, miałem wizję, że jest otoczony żółtą taśmą... – Jacob urywa. Odwraca się od Rebekki, patrzy w przeciwną stronę. – Ciągłe się zadręczam i układam w głowie, jak im to powiem, gdy będą się musiały dowiedzieć, że Zagsa nie ma, jeżeli sytuacja...

– Skupiaj się na najbliższej godzinie. – Dotyka jego ramienia. – Gdybyśmy z Benem mogli pomóc, po prostu powiedz.

Z niepokojem patrzy, jak wjeżdża szklaną windą na górę. Te założenia, że policja zagrozi taśmą miejsce zdarzenia... Ale jest w szoku, nie rozumuje logicznie. Ona zresztą też nie. Chce jechać do domu. Do Bena. Kiedy siedziała z Whitney, wysłał jej wiadomość. Chciał wiedzieć, czy może mu przekazać coś nowego. Dzwoni do niego, gdy wraca na SOR po swoje rzeczy.

– Jest duży obrzęk. Ale niewiele zrobią w nocy. To gra na przeczekanie, ale nie wiem...

– Boże...

Przeciąga kartę identyfikatora przez czytnik.

– Jest już Jacob. Udało mu się wcześniej wylecieć z Heathrow.

– A Whitney?

– Nie odzywa się ani nie je. Nie chce nawet na sekundę odejść od Xaviera. Przecież to ona znalazła go nieprzytomnego w ogrodzie. To traumatyczne przeżycie.

Mówi mu, że niedługo się zobaczą. Myśli o tym, co wcześniej powiedziała Blair – o Benie ćwiczącym rzuty z Xavierem. W jej obecności stara się nie wspominać o dzieciach, nie chce jej przypominać, jak bardzo

chciałby spędzać czas z własnym synem. Nie mówi o wszystkim, z czego musi rezygnować w imię tego małżeństwa.

Musi mu dzisiaj powiedzieć.

Otwierając podwójne drzwi, żegnając się z pielęgniarką w recepcji i odpinając pager, by skasować wiadomości, znowu myśli o zniechęceniu Whitney. Nie daje jej to spokoju. I nagle, jakby dostała obuchem, rozumie, widzi to jak na dłoni: stłuczona przed chwilą szyba, miliony drobniutkich odłamków, które jeszcze nie spadły na podłogę, i uświadamia sobie, że doskonale zna położenie Whitney, która ze wszystkich sił broni się przed tym, co nieuniknione.

ROZDZIAŁ 32

REBECCA

Unosi głowę znad kierownicy i w żółtym blasku latarni widzi Bena, który zagląda w okno samochodu, zawsze zakurzone po postoju na podziemnym parkingu szpitala. Uśmiecha się do niej. Wróciła do domu, ma wolne następane czterdzieści osiem godzin, a on nie ma pojęcia, czego się od niej dowie. Otwiera drzwi auta i przyciąga ją do siebie.

– Dobrze się czujesz?

Rebecca kiwa głową. W kuchni widzi, że przygotował jej późną kolację, ale nie ma ochoty nic jeść. Bierze tylko prysznic, lecz zanim wejdzie do kabiny, czeka, aż zacznie płynąć gorąca woda. Ledwie się zamoczyła, a słyszy pukanie, czuje, jak para w powietrzu przepływa w stronę otwieranych drzwi. Po drugiej stronie zaparowanej szyby majaczy jego sylwetka.

– Mogę się przyłączyć?

– Za chwilę wychodzę. – Odwraca się tyłem do szyby.

– Pewnie jesteś wykończona.

W żyłach pulsuje jej adrenalina. Nie może pozwolić, żeby zobaczył, jak zmieniły się jej sutki, a sylwetka nie pozostawia żadnych wątpliwości co do jej stanu.

– Powiedziałem Marze, co się stało. Przez cały dzień siedziała na werandzie.

– Pytałeś, czy coś słyszała zeszłej nocy?

– Wyraźnie była w szoku. Nic nie wiedziała – mówi Ben.

Patrzy, jak podchodzi do kabiny prysznicowej. Odwraca się.

– Jakie twoim zdaniem są szanse, że on z tego wyjdzie?

– Niedługo musimy zobaczyć jakąś poprawę, bo inaczej jest mało prawdopodobne, żeby zupełnie wyzdrowiał. – Nie łagodzi prawdy banałami, jak starałby się to robić ktoś inny. Ale wszystko może się

zdarzyć. Dzieci są odporne. W pediatrii nieraz dzieją się cuda. – Zdaje się, że lekarzy przesłuchiowano.

– Policja?

– Rutynowa procedura. Chcą wiedzieć, czy dziecko umrze. Bo jeżeli tak, to muszą sprawę potraktować inaczej... – Płucze włosy nadal odwrócona do niego tyłem. Spogląda na swoje ciało, zastanawiając się, co by powiedział, gdyby ją w tej chwili zobaczył. Gdyby wyszła, położyła sobie na mokrym, gorącym brzuchu jego dłoń i przytrzymała. Czy mógłby ukryć tęsknotę, którą na pewno wciąż w sobie nosi? Skrywa ją ze względu na nią.

– Blair mówiła dzisiaj, że ćwiczyłeś z Xavierem rzuty.

– Tak, raz czy dwa.

Zakręca wodę. Ze słów Blair wynikało, że były to regularne treningi, ale ludzie zwykle mówią o swoich wrażeniach, nie o faktach. Potrzebny jej ręcznik, żeby się nim okręcić, ale Ben pewnie się spodziewa, że wyjdzie spod prysznicza jak zwykle i wyschnie, rozmawiając z nim, a potem nasmaruje się balsamem. Wysuszy ręcznikiem włosy.

Wyciąga rękę. Drugą mocno przytrzymuje drzwi kabiny. Zastanawia się, czy będzie się z nią drażnił... „A czemu dzisiaj taka wstydliva?” Nie przestaje mówić. Dalej o rzutach w ogrodzie.

– Myślałeś, że to zrani moje uczucia, kiedy się dowiem, że spędzasz czas z małym chłopcem?

Milczy przez chwilę.

– Chciał się dostać do drużyny softballu, więc dałem mu parę wskazówek. Ostatecznie nie przyszedł na testy, chyba wiedział, że jeszcze za wcześnie. Miałem wyrzuty sumienia, ale jeszcze gorzej byłoby go odrzucić. – Wzdycha. – W każdym razie to nie było nic ważnego.

Rebecca w głębi szafy trzyma małą rękawicę baseballową. Kiedyś tuż przed zamknięciem sklepu, w którym pracuje Blair, poszła tam, żeby kupić prezent pielęgniarce, która urodziła dziecko. Gdy miała już naręcze praktycznych rzeczy – śpioszków i kocyków – zobaczyła kosz małych rękawic, które miały naszyte pośrodku piłeczki. Dzień wcześniej robiła sobie test ciążowy, a nie wpadła jeszcze na pomysł, jak powiedzieć o tym Benowi. Blair starannie zapakowała rękawicę w bibułkę z resztą prezentów, ale po powrocie do domu Rebecca ją wyjęła i położyła na poduszce Bena. Wieczorem zaczekała, aż pójdzie się położyć. Wziął małą rękawicę i popatrzył na nią.

Naprawdę? Pociągnął ją na łóżko i śmiali się, jak nigdy potem im się już nie zdarzało. To miało miejsce zaledwie trzy lata temu, ale w jej pamięci byli wtedy nastolatkami. Dojrzałymi, oszołomionymi i napalonymi.

Kiedy wychodzi spod prysznic, nie ma go już w łazience.

ROZDZIAŁ 33

REBECCA

Przez godzinę przewraca się z boku na bok, a potem bezszelestnie wstaje z łóżka, uważając, by nie zbudzić Bena. Jest trzecia rano. W domu jest za ciepło. Na dole przestawia pokrętko termostatu i w ciemnościach nalewa sobie szklankę wody. Myśli o Xavierze. Z wieszaka przy drzwiach bierze kurtkę Bena i wsuwa stopy w jego buty do biegania.

Na podjeździe stoi samochód Jacoba. Otula się szczelnie kurtką i szybkim krokiem przecina ulicę, ciągnąc za sobą sznurowadła. Podchodzi z boku do posesji Loverlych. Otwiera skobelek w bramce i krzywi się, słysząc szcęk metalu. Bramka jest cięższa, niż się spodziewała, więc łapie ją, zanim zdąży uderzyć o ogrodzenie.

Powoli przechodzi wzdłuż bocznej ściany domu, zmierzając do ogrodu.

Nie jest pewna, po co właściwie przyszła, dlaczego zakrada się na prywatny teren. Czuje się intruzem bardziej, niż przypuszczała. Księżyc przykrywają dziś chmury, Rebecca wyteża wzrok, patrząc na ciemny trawnik. Włącza latarkę w telefonie, by dokładniej obejrzeć trawę, jak gdyby mogła znaleźć w niej odcisk ciała chłopca. Z miejsca, gdzie stoi, biegną cienkie linie, prawdopodobnie pozostawione przez kółka noszy z karetki. Pod ogrodzeniem leży futbolówka. Stoi niski pomarańczowy pacholek. Na trawniku bieleje mokry papierowy samolot. A na betonowym tarasie, tuż przy tylnym wyjściu, leży przewrócony kieliszek z odłamaną nóżką.

Podnosi go i zbliża do nosa, nie mając wątpliwości, jaki zapach poczuje.

Cofa się o kilka kroków i spogląda w okno sypialni na drugim piętrze. Utrzymując wzrok na tej wysokości, przesuwają się odrobinę w prawo, stając w miejscu, w którym prawdopodobnie wylądował Xavier. Kiedy patrzy z dołu, wydaje się, że to strasznie wysoko.

Czy dziesięciolatek ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, ile wytrzyma jego ciało? Potrafi zrozumieć, do czego jest ono zdolne, a do czego nie? Czy ktokolwiek to rozumie? Że potrafi stworzyć nowe życie, w ciągu kilku sekund zregenerować dziesiątki milionów własnych komórek, a jednak jest niezwykle kruche? Jak to się stało, że przez dziesiątki lat zajmowała się swoim życiem i pracą jak gdyby nigdy nic i ta rażąca sprzeczność nie uderzyła jej tak jak teraz?

Opuszcza brodę, zagląda przez szklane drzwi do ciemnej kuchni. Widzi własne rozmyte odbicie, swoje dłonie zaciśnięte na piersi, lekko falującą na wietrze kurtkę. Opuszcza wzrok na miejsce, gdzie rośnie w niej nowe życie. Czuje jakiś rodzaj więzi z Whitney. Może chodzi o macierzyństwo. Co ją tu przyciągnęło?

Słyszy głosy na ulicy, trzaśnięcie drzwi samochodu, który chwilę potem odjeżdża. Wychodzi z ogrodu w narzuconym kapturze, z nisko pochyloną głową. Widzi, jak drzwi domu Blair zamykają się i w środku zapala się światło. Przez szparę między zasłonami obserwuje, jak Aiden idzie przez pokój dzienny. Patrzy w telefon i stuka w klawisze na ekranie. Potem zdejmuje koszulę i pada na kanapę.

Kiedy Rebecca przekracza próg sypialni na piętrze swojego domu, wyczuwa, że Ben nie śpi. Wślizguje się do łóżka i przysuwa się blisko męża.

– Słyszałem drzwi na dole – mówi Ben.

– Wyszłam naprzeciwko, do ich ogrodu. Zobaczyć, gdzie spadł.

Czeka, aż spyta ją o powód, on jednak milczy.

– Wydaje mi się, że próbował zrobić sobie krzywdę. Może chciał coś udowodnić. A może nie chciał dłużej żyć. Nie sądzę, żeby to był dziwny wypadek. – Mówiąc to, coś sobie uświadamia i raptownie siada. Przeczucie. Wsuwa dłoń pod koc i kładzie sobie na brzuchu. – Nie mam dowodów, żadnego konkretnego, zresztą wiesz, że to nie w moim stylu. Ale miałam takie wrażenie, kiedy byłam w sali z nią i z Xavierem. Miała w sobie taki... głęboki smutek, jakby nie mogła czegoś wykrztusić. Raczej coś w rodzaju żalu albo wyrzutów sumienia. – Pociera czoło i nagle czuje się wyczerpana. – Nie wiem, czy to, co mówię, ma jakiś sens.

Ben obraca się na wznak, ona też. Znajduje jego dłoń i całuje palce. On przesuwa się na nią, przyciska usta do jej szyi, próbuje jej smaku, przysysa

się do jej chłodnej skóry. Czuje już na sobie jego twardość. Nie pragnęli się tak od dawna, przez te lata kalendarzyków, badań i krwi.

Coś się dzisiaj zmieniło. Oddaje mu się, gdy jej ciało osłania ciemność. Powoli uwalnia się od nawracających myśli, ale znowu przed oczami staje jej trawa, w której pewnie leżał Xavier. Drżąca ręka Whitney w jej dłoni. Jej zepsuta macica. Sto dwadzieścia dziewięć dni, które upłynie jutro. Ciepło krwi między jej nogami. Ma go już w sobie, czuje, jak ją wypełnia. Myśli o sondach, którymi dźgają ją w przychodni, sprawdzają, jak głęboko uda im się je wepchnąć. Z bólu wygina się w łuk na stole do badań, tłumi jęki. Nagle czuje wilgoć, prawdziwą wilgoć, i panika wraca z całą siłą. Ale jego dłonie unieruchamiają jej ramiona, słyszy, jak powietrze świszczuje przez zaciśnięte zęby. Sama wstrzymuje oddech za każdym razem, gdy się w nią wbija, znacznie mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Jak gdyby był wściekły. Myśli tylko o jego penisie umazanym krwią, o skąpanej w czerwieni pościeli. O swojej reakcji na ten widok.

Kładzie dłonie na jego piersi i odpycha go od siebie. Wyślizguje się z niej. – Coś się stało? – Ben stara się zapanować nad oddechem.

Wzdryga się, czując na twarzy krople jego potu.

Dotyka lepkiej wewnętrznej strony ud i w ciemności unosi palce do nosa, szukając znajomej metalicznej woni. Czuje, że Ben kładzie się obok.

Wszystko w porządku. Wszystko gra. Nie ma krwi. Obraca się w jego stronę, odnajdują nawzajem i ściskają swoje dłonie. Przed chwilą błądziła myślami gdzie indziej, on też.

Musi wierzyć, że nie stanie się nic złego.

Ben przewraca się na bok, ona przysuwa się do niego. Chce poczuć na rosnącym brzuchu ciepły dotyk jego pleców, żeby uwierzyć, kim się stają.

ROZDZIAŁ 34

WHITNEY

SIEDEM MIESIĘCY TEMU

Whitney siedzi przy biurku i czyta październikowy szkolny raport z postępów w nauce. Louisa znalazła go w plecaku Xaviera i przysłała jej zdjęcie.

Poniżej średniej. Poniżej średniej. Poniżej średniej. Prawie w każdej linijce raportu. Potrzebuje znaczącej pomocy w wykonywaniu zadań. Potrzebuje codziennego przypominania. Nie spełnia wymagań. I chyba najgorsze: Brakuje mu motywacji. Nie jest dumny ze swojej pracy.

Nic z tego nie jest zaskoczeniem. Zatrudnili korepetytora. Zgodzili się, żeby zapisał się do kółka szachowego ze starszymi uczniami, to miała być dla niego możliwość zyskania większej pewności siebie. Świetnie radzi sobie z matematyką i abstrakcyjnym myśleniem, rozpoznawaniem wzorców. Cała reszta sprawia mu ogromne trudności.

Whitney o tym wie, ale dostaje mdłości, widząc czarno na białym dowody tych niepowodzeń. Musi być dla niego surowsza, mimo tego, co sądzi Jacob. On go broni. Martwi się, że Whitney za bardzo się czepia Xaviera, że zbyt krytycznie mówi o nim przy innych. Być może ma rację i być może Whitney za bardzo wyolbrzymia jego słabe punkty, bo to pomaga jej sprecyzować własne oczekiwania wobec niego, ale wystarczy zajrzeć do tego raportu. To jest dowód. Czuje, że kończy się czas, kiedy może uformować z Xaviera dziecko, jakie chciałaby w nim widzieć, zamiast dziecka, jakim jest.

Kiedy zamierza wyjść z biura, do gabinetu zagląda Grace i pyta, czy widziała mejla. Nie widziała, ale ściszony głos Grace i jej dłoń zaciśnięta na krawędzi drzwi mówią jej, że widok tego mejla raczej nie sprawi jej przyjemności.

I rzeczywiście. Dostała ukrytą kopię wiadomości, która jest krótka i oficjalna. Przedsiębiorstwo telekomunikacyjne wylało klientkę. A jeśli klientka została wylana, to następna w kolejności będzie firma Whitney. Na jej biurku leży oferta wartej pół miliona dolarów strategii zaangażowania pracowników i klientka obiecała jej, że podpisze ją do końca roku kalendarzowego, a Whitney wiedziała, że tak nietypowa zwłoka musi coś oznaczać. Od czterech lat ta firma na jej liście klientów robi największe wrażenie, uzasadnia wysokość pensji całego zespołu i jest jej bardzo potrzebna.

Patrzy na mejl i zastanawia się, do kogo jeszcze w tej firmie mogłaby zadzwonić, z kim ma na tyle dobre stosunki. Kto prawdopodobnie zajmie miejsce klientki. Może jest jeszcze jakaś szansa, jeżeli zadziała z wyprzedzeniem. Mogłaby poprosić o spotkanie, podkreślić znaczenie wszystkiego, co dla nich zrobili, przedstawić zmodyfikowany projekt, zredukować oczekiwania finansowe. Przegląda mejle, by znaleźć ostatnią korespondencję z dyrektorem, którego poznała na jakimś przyjęciu charytatywnym, zaślinionym i odrażającym typem, którego nazwiska nie potrafi sobie przypomnieć, gdy sama klientka przysłała jej następną wiadomość, tym razem przeznaczoną wyłącznie dla niej.

Jest jej bardzo przykro. Wolałaby, żeby dla firmy Whitney skończyło się to inaczej, ale powiedziano jej, że wypowiadają wszystkie kontrakty na usługi konsultingowe. Skontaktuje się z nią dział zamówień. Proponuje, żeby po świętach umówiły się na lunch.

Pierdol się. Nic innego nie przychodzi Whitney na myśl, więc mówi to do ekranu, choć zdaje sobie sprawę, że powinna mieć więcej przyzwoitości, powinna jej odpowiedzieć, wyrazić współczucie, napisać, że na pewno czekają ją lepsze i ważniejsze przedsięwzięcia, podziękować jej za setki tysięcy dolarów wynagrodzenia. Ale w tym momencie daje upust złości.

Te powody frustracji – beznadziejne wyniki dziecka w szkole, strata klientki, która była kurą znoszącą złote jaja – to wymówki, na które powoła się później, kiedy przez moment poczuje taką potrzebę.

Wysłała zdjęcie raportu ze szkoły Jacobowi, który wyjechał na dwa dni na Manhattan, gdzie otwiera się jakaś galeria. Nie dodaje do fotografii żadnego komentarza.

Zatrzymując samochód na podjeździe, widzi dzieci przez wysokie okna od frontu. Bliźniaki gonią Xaviera po salonie, skacząc po jej drogim stoliku

ze szklanym blatem, Thea ściska w ręczce coś ciemnego, może brownie. Louisa chyba dała za wygraną. Whitney powinna wejść do środka, pozwolić opiekunce pójść wcześniej do domu, ale po plecach przebiega jej nieprzyjemny dreszcz i usztywnia jej szyję, gdy w wyobraźni słyszy: „Mamusiu, zejdź na dół! Jestem głodna! Sebastian mnie uderzył! Daj chusteczkę! Zags nie chce się podzielić!”.

Nie potrafi. Zostanie na podjeździe i będzie patrzyła w ekran telefonu. Zaciąga hamulec i w tym momencie w lusterku wstecznym widzi jakąś postać – to Blair. Blair, dzięki której praca znika. Blair uważająca jej krnąbrnego syna, który tak słabo radzi sobie z nauką, za kogoś niezwykłego. Blair, która na pewno będzie miała ochotę na kieliszek wina. Ożywia się, jakby włączono jej prąd, wyskakuje z samochodu i mówi, że właśnie o niej myślała. Za plecami sąsiadki chowa się Chloe; chce się zobaczyć z Xavierem.

– Wejdź i go poszukaj, Chloe, biegają po domu z Louisą. – Whitney nigdy nie wchodzi do domu Blair. Dziś jednak patrzy na drugą stronę ulicy, myśli o chaosie panującym za jej drzwiami i pyta: – Masz coś przeciwko temu, żebyśmy tym razem poszły do ciebie?

Otwierają wino z miejscowej winiarni, o której Whitney nigdy nie słyszała. Nie jest schłodzone, ale to jedyny alkohol, jaki Blair ma w domu. Whitney rozgląda się po pokoju dziennym i nie potrafi sobie przypomnieć, kiedy była tu ostatni raz. W domu Blair jest coś staroświeckiego i kojącego. Są tu kanapa z pokrowcem i fotele do kompletu. Telewizor stoi na starej sosnowej ławie, którą sąsiadka własnoręcznie pomalowała na biało. Zasłony są uszyte z bawełny przypominającej dziecięcą pościel, tak cienkiej, że wszystko przez nie widać.

Podchodzi do regałów, na których Blair ułożyła poziomo książki, aranżując grzbiety kolorystycznie, a także starannie rozmieściła zdjęcia w ramkach w kolorze różowego złota i maleńkie sukulentki w doniczkach. Bierze fotografię Chloe, Aideny i Blair, zrobioną prawdopodobnie ostatniego lata. Blair i Chloe mają identyczne urocze piegi. Stykają się głowami i nie wiadomo, gdzie kończą się włosy matki i zaczynają włosy córki, opadają jedną falą. Aiden stoi za nimi opalony i uśmiechnięty. Wygląda na młodszego o jakieś dziesięć, piętnaście lat. Jest w nim coś

szczególnego. Whitney nie może się oprzeć wrażeniu, że ten mężczyzna nie pasuje ani do nich, ani do chwili uwiecznionej na zdjęciu.

– Wrzucę trochę lodu. – Blair stoi za nią i podaje jej kieliszek, spogląda na tę samą fotografię, odrobinę za długo, by można to nazwać przelotnym zerknięciem. Nic nie mówi. Odwraca się tyłem do pokoju, przeprosza za bałagan, mimo że panuje idealny porządek. Whitney zapewnia ją, że dom wygląda dobrze, wygląda świetnie. Bierze następne zdjęcie, przedstawiające rodziców Blair, i próbuje odnaleźć jej rysy w kształcie ich nosów, konturze twarzy, postawach ciała, gdy tak stoją z dłońmi na karku konia, który patrzy prosto w obiektyw aparatu.

– Rzadko mówisz o swojej mamie – zauważa Whitney. – Jaka ona jest?

– Moja mama? Zastanówmy się. – Unosi wzrok w stronę w załamania, gdzie sufit łączy się ze ścianą, jak gdyby nigdy wcześniej o tym nie myślała. – Bardzo zwyczajna. Lubi szyć. Ogląda dużo seriali.

Whitney nie może powstrzymać śmiechu.

– To tyle? Boże, mam nadzieję, że moje dzieci pewnego dnia będą potrafiły powiedzieć coś więcej. Jaka to kobieta? Na czym jej zależy?

Blair przysłania twarz dłonią i też się śmieje.

– Och, po prostu jest... sama nie wiem. Pusta. – Śmiech cichnie. Blair wypija łyk wina.

– Dlaczego?

– Wydaje mi się, że coś się w niej zmieniło, gdy miałam osiem czy dziewięć lat. Wcześniej była pogodniejsza. Szczęśliwsza. Bawiłyśmy się, laskotałyśmy i tak dalej. Ale w końcu ona i tato przestali ze sobą rozmawiać i atmosfera stała się... napięta. – Odwraca wzrok od Whitney. – Może tato kogoś miał. – Kręci głową. – Zresztą nie wiem. Może nie. – Chrząka, prostuje się. Whitney czeka, ale Blair wyraźnie się usztywnia. Nic więcej nie powie.

– Moja mama chyba zastanawiała się nad tym, czy nas zostawić, gdy byliśmy mali. Na pewno chciała odejść od taty, ale chyba też od nas, dzieci – mówi Whitney, przesuwając palec wokół brzegu kieliszka. Nigdy wcześniej nikomu się z tego nie zwierzała.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie, tyle że... szczerze mówiąc, czasem żałuję, że tego nie zrobiła.

– Ależ, Whit, to by było traumatyczne zdarzenie. Zmieniłoby całe twoje życie.

– Jej też. A tak w wieku siedemdziesięciu lat ledwie funkcjonuje. Wydaje się, jakby miała dwadzieścia lat więcej. Wiesz, że ciągle siedzi w tym smętnym mieszkaniu, w którym się wychowaliśmy? Nie chce się wyprowadzić. Pewnie czeka, aż mój ojciec umrze.

– Pomyśl o tym, kim się stałaś. I jakie masz teraz życie w porównaniu z czasami dzieciństwa. Wiem, że niewiele miała, ale dzięki temu, że została z wami, coś od niej otrzymałaś, prawda? Takie poczucie stabilności dobrze wpływa na człowieka.

Whitney kręci głową. Nie chce opowiadać Blair, jak ojciec zwracał się do mamy. Czasem sądziła, że mama wołała, aby cierpieć z bólu i był bez pracy, bo wtedy nie mógł już wszędzie za nią chodzić i syczeć jej do ucha. Ledwie stał.

– Nie, czuła się uwięziona i udawała – wyjaśnia Whitney. – Zawsze o tym wiedziałam. Przez całe lata chowała w kieszeni bilet na autobus, jakby któregoś dnia zamierzała wyjść niby po zakupy, ale tak naprawdę doszłaby do dworca.

– Nigdy nie zrozumieć kogoś, kto chciałby w taki sposób zostawić rodzinę.

– Przecież nie każda z nas musi się poświęcać dla macierzyństwa, prawda? Przyjmujesz nową rolę w życiu. To jest nieodwracalna decyzja, która mnóstwo w tobie zmienia. Wiem, że nas kochała, czułam to. Ale myślę, że marzyła o tym, kim mogłaby zostać, gdybyśmy nie byli jej kamieniem u szyi. To nie dla wszystkich jest łatwe. Nawet kiedy ci się wydaje, że tego chcesz.

Blair unosi brwi i rozgląda się po pokoju.

– Rozumiem. Ale kiedy postanawiamy zostać matkami, wiemy, że to się wiąże z bezinteresownością, prawda? Stawiamy dzieci na pierwszym miejscu, nawet jeżeli to trudne. Staramy się podejmować słuszne decyzje, bez względu na wszystko. A potem wyrastają na szczęśliwych ludzi, którzy są dobrzy dla innych. W końcu właśnie to jest najważniejszego. Niczego innego nie chcę.

Żartujesz sobie ze mnie?, myśli Whitney. Naprawdę mamy patrzeć na to tylko z tej strony? Jak gdyby przesadą było pragnąć czegoś więcej dla siebie. Jak gdyby matki musiały wykonać obowiązkową normę

bezinteresowności i dopiero wtedy, zatroszczywszy się o wszystkie potrzeby dzieci, mogły pomyśleć o czymś jeszcze.

– Oczywiście, że każda matka chce, aby jej dzieci były szczęśliwe. Chodzi mi po prostu o to, że kobieta zupełnie się w tym zatracą. To w pewnym sensie coś w rodzaju... dobrowolnej śmierci.

Blair nie odpowiada. Cisza staje się zbyt ciężka.

– Zresztą, pieprzyć to. Przecież to nie jest coś dla słabych ludzi, prawda?
– Whitney pociąga tęgi łyk, chcąc pozbyć się napięcia. Blair próbuje się zaśmiać, ale brzmi to chrapliwie i nieszczerze; sięga po butelkę, by dolać im wina. Whitney wie, że zaraz zmieni temat rozmowy. Zacznie mówić o ich wspólnych planach na Wigilię, o fondue, które zjedzą z dziećmi, o identycznych kapciach, jakie zamówiła dla wszystkich.

Blair jednak milczy. Podwija nogi.

– Jak raport Chloe ze szkoły? – Whitney sądzi, że przyjaciółka chciałaby usłyszeć to pytanie.

– Wszystko w porządku – odpowiada, ale to ogólnie powiedziane. Chloe ma znakomite wyniki z każdego przedmiotu. – A u Xaviego?

– Nie za bardzo w porządku. W tym roku zatrudniliśmy korepetytora, ale... sama nie wiem.

– Korepetycje wymagają czasu, w końcu jednak pomogą. Z odpowiednim wsparciem da sobie radę. I z odrobiną cierpliwości. Takie zdolne z niego dziecko. I takie dobre.

Mówi, jakby była ekspertką. Jakby Whitney trzeba było przekonywać o możliwościach jej własnego syna. Jakby Blair mogła zrobić dla niego coś, czego ona nie potrafi.

Ma ochotę już iść. Czuje działanie wina, jest głodna i chce sprawdzić telefon, który zostawiła w torebce.

– Skoro o tym mowa, powinnam iść i zmienić Louise. Zaraz przyślę Chloe do domu.

– Dobrze, lada chwila powinien wrócić Aiden.

Obejmują się, a gdy Whitney się odsuwa, nie puszcza dłoni Blair.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście – odpowiada przyjaciółka po króciutkiej chwili wahania.

Whitney zastanawia się jednak, czy nie powinna zostać. Mogłaby jej powiedzieć, że rozumie ją lepiej, niż przypuszcza. Że chciałaby, aby Blair miała schowaną w jakiejś kieszeni swoją wersję biletu jej matki. Jako

możliwość wyboru. Ale ona nigdy nie kupiłaby biletu na autobus. Nigdy nawet nie przyszłoby jej to do głowy.

Prawda daje wolność, myśli już w progę, patrząc, jak sąsiadka wielokrotnie płucze kieliszki nad zlewem. Przez kłamstwo człowiek tylko cierpi.

Wychodzi z domu ze szpilkami w ręce, czując przez nylon chłód chodnika pod stopami. Słyszy za plecami trzaśnięcie zamykanych drzwi samochodu.

– Słyszałem, jak zabroniłaś synowi chodzić po dworze bez butów.

Obraca się gwałtownie. Widzi, jak się do niej uśmiecha.

Mimo alkoholowej mgły rozpoznaje tę chwilę. Od niej wszystko może się rozwinąć w jedną albo drugą stronę. Balansuje na krawędzi czegoś, co może być powodem zażenowania, ale jeszcze nie dowodem winy. To tylko słowa, zamieniają ze sobą parę słów, nic więcej. Rozmowa trwa kilka sekund. To jeszcze nic, co pociągałoby za sobą wyrzuty sumienia. Nic. Nic, czego nie powinna robić matka.

– Nigdy nie wypiliśmy tego drinka, prawda? A kiedyś powinniśmy, to przecież miałoby sens.

Zerka na jej dom. I na swój.

Na tym mogłoby się skończyć, ktoś coś proponuje, ale nie następuje ciąg dalszy. Wszystko pozostaje w sferze możliwości, jak bilet autobusowy w kieszeni płaszczka matki.

ROZDZIAŁ 35

BLAIR

PIĄTEK

Jest za piętnaście siódma rano dzień po wypadku Xaviera, ale to nie o nim myśli Blair tuż po przebudzeniu. Zatrząskuje drzwiczki szafki, aż dzwonią naczynia w zlewie. Od godziny gotuje się ze złości. Chloe, kończąca śniadanie przy stole w kuchni, unosi wzrok znad wykreślanki, w której szuka słów. Następną szafkę Blair zamyka delikatnie.

Córka woła w stronę pokoju dziennego, gdzie on ciągle leży na kanapie:

– Tato? Mama chce, żebyś już wstał.

Wtacza się do kuchni i nalewa sobie szklankę wody.

– Dzień dobry, moje kochane. – Mierzwi Chloe włosy i wskazuje na słowo w wykreślanke. – Cięty. Zobacz: C-I-E-T-Y.

– Gdzie? – Chloe przygląda się z uwagą, a on przekornie uśmiecha się do Blair, ale ona odwraca się od niego. Mąż staje za nią i kładzie dłoń na jej ramieniu. Chce ją ugłaskać. Kiedy bierze sobie kawę, Blair czuje od niego alkohol.

Gdy zasnęła o drugiej, jeszcze nie było go w domu. Wysłała do niego siedem wiadomości. Gdzie jesteś. Już późno. Gdzie jesteś. Samochód Jacoba pojawił się przed domem o jedenastej, więc Whitney była w szpitalu sama. Blair katowała się przypuszczeniami. Przykryła głowę poduszką i błagała mózg, by zapanował nad kotłującymi się myślami.

Dłużej już nie może.

– Na górę. – Tylko tyle potrafi mu powiedzieć.

Siada na brzegu łóżka i czeka na niego. Pewnie się spodziewa, że żona będzie wyrzucać z siebie potoki irracjonalnej wściekłości, którą zachowuje specjalnie dla niego. Blair zastanawia się, ile mu powiedzieć. Jak daleko się

posunąć. W końcu ma tylko skrawek opakowania z folii aluminiowej i klucz. No i długie godziny szykowania się na najgorsze. Nic więcej.

Nie ułożyła żadnego planu. Nie ma pojęcia, co zrobi, gdy usłyszy od niego: tak, dałem jej ten klucz, jest do mojego biura, gdzie się pieprzymy. A to kawałek opakowania po prezerwatywie, którą zużyłem. Dłużej nie mogę cię okłamywać. Skończyliśmy?

Rozciąga się na łóżku obok niej i kładzie jej dłoń na krzyżu.

– Czekasz na przeprosiny i jestem ci je winien. Przepraszam, że wróciłem tak późno.

– Gdzie byłeś?

– Powinienem zadzwonić. Z pubu poszliśmy do domu Lina i wyciągnął żetony do pokera. Nie zorientowałem się, że już tak późno. – Delikatnie gładzi jej plecy.

– Nie odpowiedziałeś na żadną z moich wiadomości.

– Nie wyjmowałem telefonu, zobaczyłem je dopiero po wyjściu. Przepraszam.

Patrzy na jego dłonie, które teraz leżą na jego piersi, jak gdyby chciał uciąć sobie drzemkę. Zastanawia się, czego te dłonie dotykały. Jak łatwo niektórym przychodzi kłamstwo.

Schodzi do salonu i podnosi spodnie, które zostawił na podłodze. Sprawdza wszystkie kieszenie po kolei. Karty kredytowe, kluczyki od samochodu, telefon. Nie ma żadnego rachunku z pubu. Wpisuje do telefonu hasło i przegląda wiadomości. Nie ma nic z zeszłej nocy. Nawet rozpaczliwych SMS-ów. Wszystkie skasował.

Nigdy wcześniej nie usuwał jej wiadomości. Esemesowy łańcuszek to coś w rodzaju dodatku do ich małżeństwa. Kronika przeżytych razem dni. Blair zawsze jest pierwsza, u góry ekranu. Zawsze widzi ją na początku.

Gdy wraca do sypialni, Aiden wygląda, jakby spał.

– Dlaczego skasowałeś moje wiadomości?

– Co ty wyprawiasz?

– Odpowiedz.

– Nie mam pojęcia dlaczego. Po prostu skasowałem.

– Żeby nie zobaczył ich ktoś inny?

– To nie były miłe wiadomości. W ostatniej kazałaś mi się odpieprzyć. Myślisz, że chciałem je zachować?

Blair podchodzi do komody i wyjmuje klucz. Kładzie go na dłoni i przysuwa mu tuż pod nos.

– To mój klucz. Gdzie go znalazłaś?

Sięga po niego, ale Blair zaciska dłoń w pięść. W jego głosie słyszy wyraźny ton cierpliwości, którego się nie spodziewała, jak gdyby robił wszystko, by zachować spokój. Znowu ostrzega samą siebie. Nie będzie mogła tego cofnąć. Myśli o Chloe siedzącej na dole nad wykreślanką. Może odprowadzić ją do szkoły, a potem posegregować pranie według kolorów. Może wyjąć z zamrażarki mieloną wołowinę, żeby zdążyła się rozmrozić na kolację. Dzień może trwać dalej w nietkniętym porządku.

– Miała go Whitney – odpowiada.

– Whitney? Dlaczego? – Podpiera się teraz łokciem. Pociera zarost na policzkach. Białka jego oczu są różowe.

– Ty mi powiedz dlaczego.

Wtedy parska śmiechem. Opada na wznak. Kpi z jej niepokoju. Ma się jej teraz zrobić głupio.

– Może znalazła na siłowni? Zdawało mi się, że tam mogłem go zgubić. Nie wiem, to ty jesteś detektywem. Sama ją spytaj.

Serce tłucze jej się w piersi, gdy Aiden próbuje rozładować atmosferę.

– Ona nie chodzi już do tej siłowni. Dlaczego po prostu nie oddała ci tego klucza, jeżeli naprawdę go znalazła?

– Nie wiem, do czego zmierzasz, Blair. Bo na przykład zapomniała? To klucz do tylnego wejścia do mojego biura. Ale i tak już bezużyteczny, bo kiedy go zgubiłem, trzeba było wymienić zamek.

Wychodzi z sypialni i bierze prysznic.

Idzie za nim. Ma ochotę wybiec z domu, zostawić go z Chloe, brudnymi naczyniami po śniadaniu, pustą lodówką, gorą prania, nudą, rutyną. Z ciężarem w żołądku, który czuła od tygodni, odkąd znalazła skrawek opakowania po prezerwatywie. Chce, żeby przekonał się na własnej skórze, jak to jest tonąć w tym wszystkim. Chce go pozbawić łatwości, z jaką płynie przez życie, spokoju, który tak zwyczajnie odnajduje. Chce zerwać zasłonkę prysznica z delikatnych plastikowych haczyków, przestawić temperaturę wody, żeby popłynął ukrop, chce wsunąć palce w jego włosy łonowe i wyrwać je wszystkie.

Szarpie winylową osłonę.

– Masz romans?

Czeka, czując pulsowanie w całym ciele. Czeka.

ROZDZIAŁ 36

REBECCA

Rano budzi ją drgnienie materaca obok niej. Najbliższe dwa dni ma wolne. Czeka w łóżku na zapach kawy, którą parzy Ben. Na dole otula się szlafrokiem, staje przy blacie i patrzy, jak wyjmuje z lodówki składniki na śniadanie. Ciekawe, czy myśli o zeszłej nocy, czy się zastanawia, dlaczego go odepchnęła. Może wyczuł, że chce coś przed nim ochronić? Coś podejrzewa?

– Ben.

Unosi głowę, uśmiecha się do niej. Pyta, jak jej przyrządzić jajka.

– Jestem w ciąży.

Nie odrywa oczu od pudełka, które właśnie otworzył.

Wydaje się, jak gdyby każda sekunda jego milczenia coraz bardziej go od niej oddalała. Ale Ben się nie porusza. Wolałaby, żeby stłukł jajko. Żeby roztrzaskał całe pudełko. I powiedział jej, że oszalała. Cokolwiek, byle nie karał jej taką ciszą.

– To już dziewiętnasty tydzień. O pięć dni dłużej niż kiedykolwiek przedtem.

Wbija wzrok w punkt na kuchennej podłodze. Chce mu powiedzieć, że też się boi, że czasem czuje się jak potwór rzucający płodami o ścianę, by sprawdzić, który z nich się przyklei, ale proszę – tym razem się udało. Chce mu powiedzieć, że jej przykro, ale musi to zrobić.

– Twierdziłaś, że znasz swój cykl, że nie potrzebujemy prezerwatyw. – Zahacza opuszki palców o blat. – To nie było...

– Powinieneś chcieć tego dziecka tak samo jak ja.

– Nie chodzi o to, czego chcę.

Wzdryga się na dźwięk ostrego tonu.

– Chodzi o to, ile da się wytrzymać. A ty nie przyjmujesz tego do wiadomości! Liczysz na jakiś cud. Nie jesteś... nie jesteś już sobą!

– Jest szansa. Jest nadzieja.

Przy ostatnim słowie głos jej się łamie i czuje się taka bezradna, jak jej się to od dawna nie zdarzało. Bardziej niż podczas godzin spędzonych w poczekalniach, podczas nocy na zimnych płytkach podłogi, kiedy pomagał jej zmywać z siebie krew. Jest już zmęczona własną odpornością. Racjonalnym rozumowaniem, jakiego oczekuje się od lekarki. Pieprzyć statystykę, której stała się elementem. Pieprzyć prawdopodobieństwo szczęśliwego zakończenia. Owszem, to nauka, to biologia, to kwestia komórek. Jej ciało jest fizycznie zdolne do utrzymania życia lub nie. Ale jest też kobietą, która chce na nagiej piersi poczuć ciężar wijącego się noworodka. Chce doświadczyć fanatycznego oddania. Chce pewnego dnia odnaleźć siebie w gestach dziecka i doznać szoku, że ta cudowna istota należy do niej. Uważa, że zasługuje na tę szansę, bez względu na to, co jest racjonalne, rozsądne czy prawdopodobne.

Ben wydaje przeciągłe westchnienie, a ona nie chce dłużej być z nim w tym samym pomieszczeniu, skoro mąż nie może unieść głowy i powiedzieć tego, co ona chce od niego usłyszeć. Czeka.

Potem się odwraca, powoli wchodzi na górę i skręca do pokoju, który z taką czułością i starannością pomalował trzy lata temu, kiedy się zastanawiał, kim będzie ich dziecko. Rebecca tęskni za swoim pierwszym dzieckiem, które trzymała w rękach, chociaż nie wie, kim była ta dziewczynka. Nie zna jej głosu ani uczucia, jakie wywołuje jej spojrzenie. Ani jej miłość. Dziewczynka jest nieokreślona. Nieuchwytna. Pokój jest pusty, czeka. Rebecca kładzie się na środku drewnianej podłogi, aby patrzeć, jak światło poranka zmienia kolor ścian.

ROZDZIAŁ 37

BLAIR

Aiden nie otwiera oczu. Nadstawia twarz pod wątły strumień wody z ich starego prysznica. Tego poranka ma jej dość. Postanawia ją zlekceważyć. Nie zamierza okazać jej szacunku i zaprzeczać.

– Słyszałeś, o co py...

– Tak, słyszałem! A odpowiedź oczywiście brzmi: nie! Ja pierdolę, już samo twoje pytanie mnie obraża. – Gwałtownym ruchem zasuwa zasłonkę. Blair patrzy na plamki pleśni przy brzegu, których nie udało jej się wywabić. Czeka, żeby jej powiedział: Nie przenoś na mnie problemów, które miałaś z tatusiem. Nigdy nie zrobiłby tego, co on. Tego jednak nie dodaje.

Blair idzie do pokoju Chloe. Poprawia i wygładza pościel na jej łóżku, podnosi z podłogi koszulę nocną. Czuje ucisk w piersi, pali ją twarz. Jest zmęczona wszystkim, każdym uczuciem, każdą myślą. Tym, kim się stała. Słucha, jak cichnie szum wody, jego mokre stopy plaskają na czystych płytkach w łazience. Chce, żeby jej poszukał. Żeby wyciągnął do niej rękę, pod którą mogłaby się wsunąć. Żeby znowu wszystkiemu zaprzeczył i zrobił coś, by ją pocieszyć.

Przypomina sobie, jak drżały mu ręce, gdy stali przed ołtarzem. Albo jak z trzyletnią Chloe skubał borówki na końcu uliczki, gdzie mieszkali jego rodzice, a potem przez wiele dni chodzili z fioletowymi plamami na palcach. Myśli o wilgoci wypełniającej piętro, kiedy bierze prysznic przy otwartych drzwiach, jak przez to wszystkim skręcają się końcówki włosów. O zapachu jego skóry, który wsiąkł w poduszki i czuje go nawet po zmianie poszewek. O słodkiej kawie, jaką przygotowywał dla niej co dzień rano, z dodatkową łyżeczką cukru i za dużą porcją śmietanki. O potoku powszednich szczegółów wspólnego życia, które wydawało jej się czymś pewnym i trwałym i kiedyś w zupełności wystarczało.

Nie potrafi rozstrzygnąć, co to oznacza, że w końcu zdecydowała się zagrać z nim w otwarte karty. Uwolniła z klatki niebezpieczne zwierzę i choć zagrożenia nie ma już w pobliżu, to wie, że gdzieś się przyczało. I wróci.

Chce, by wszystko zostało wyjaśnione. Definitywnie i ostatecznie. Nie może jednak w tym momencie zapytać o to Whitney.

– Czemu płaczesz?

Blair nie usłyszała kroków. Odwraca się od drzwi, żeby Chloe nie zobaczyła jej twarzy.

– Wracaj na dół – rzuca ostrym tonem.

– Chciałam tylko...

– Chloe, daj mi chwilę. Proszę cię, idź już.

Ale córka nie odchodzi. Ramionami otacza ją w pasie i przytula. Blair myśli o tym, kiedy pierwszy raz jej matka wydała jej się mała. Smutna. I słaba.

– Ale czemu płaczesz, mamusiu?

– Nie płaczę. Nic złego się nie stało. Przed wyjściem skończ swoją wykreślankę. – Blair ociera twarz i się uśmiecha. Rzuca na łóżko poduszkę w kształcie tęczy i klepie Chloe po pupie. Ściąga jej włosy w kucyk, wiąże go gumką i jak najwyższym głosem mówi: – No i jak, wszystko gra? To chodź.

Ale gdy zbiega na dół, czuje na sobie wzrok córki, która na moment przystaje na szczycie schodów.

Kiedy Aiden wchodzi do kuchni, Blair pomaga Chloe znaleźć słowo CHANUKA. Unika jego wzroku, gdy płucze łyżeczkę, której wcześniej użył, zamyka karton śmietanki, który zostawił otwarty, wyciera krople na blacie.

Przy stole Blair bierze Chloe na kolana. Zanim wyjdzie do szkoły i wpadnie w wir plotek, muszą jej powiedzieć o Xavierze. Przyciska dłoń do piersi dziewczynki, aby poczuć bicie serca, na jej karku czuje zapach wczorajszego potu z placu zabaw. Przypomina sobie, jak trzymała w dłoni jej jedwabistą główkę ważącą tyle co grejpfrut, dającą radość i nadzieję, jaką przynosi nowo narodzone życie. Potem Chloe odsuwa się od niej.

Dzięki Bogu, że to nie jej coś się stało.

– Możecie mi powiedzieć, co się dzieje? Z Xavim?

Aiden siada przy stole i głaszcze ją po policzku.

– Xavi miał wypadek – mówi. – W środę w nocy wypadł z okna sypialni. Musi trochę poleżeć w szpitalu, dopóki nie wydobrzeje.

– Aha. – Chloe milczy. Spogląda na Blair. – Ale jak wypadł?

– Dokładnie nie wiadomo. To było w nocy i nikt nie wie, co się stało.

– Aha. – Opuszcza nisko podbródek i wbija wzrok we własne kolana. Blair przygarnia ją do siebie. Nie chciała jej tego mówić. Nie chciała jej martwić.

– Będzie zdrowy, kiedy lekarze go wyleczą?

– Oczywiście, że będzie, kochanie. Wszystko będzie dobrze, wiesz? – Matka całuje ją w głowę, a Aiden tylko na nią patrzy. Ona posyła mu znaczące spojrzenie, żeby nic nie mówił.

– Dlatego płakałaś na górze?

Blair nie patrzy na Aiden. Kiwa głową.

– Napiszemy do niego kartkę? I damy mu ten stary samolot, który tu zostawił? Najbardziej go lubił, pewnie będzie chciał się nim pobawić w szpitalu.

– Jesteś dobrą przyjaciółką, Chloe. – Blair ją całuje. – Ubierz się, to jeszcze przed lekcjami wybierzemy jakąś kartkę w drogerii, co ty na to? Zdamy, jeżeli zaraz wyjdziemy.

Kiedy córka wychodzi z kuchni, Aiden głośno wzdycha. Blair wstaje i zaczyna chodzić tam i z powrotem.

– Miałaś już dzisiaj jakieś wiadomości? – pyta ze spokojem, który wydaje się jej dziwny po tym, co od niej usłyszał.

– Nie.

Nie powiedziała mu o wczorajszej reakcji Whitney w szpitalu. Mówiła tylko, że nie radzi sobie tak dobrze, jak można się było po niej spodziewać. Że przyniosła jej coś do jedzenia. Aiden przegląda gazetę, ale nie wyciąga z niej jednego działu, jak to zwykle robi. Rzuca ją na stół i wypija łyk kawy. Blair opiera się o blat i go obserwuje. Zastanawia się.

Aiden podchodzi do niej, otacza ramieniem jej szyję. Na chwilę przykładła do niej wargi. Zostawmy już tamte bzdury, mówi do niej. Zawsze umie to zrobić, zawsze przebacza.

Tego ranka jest jednak inaczej. Podchodzi do niej, przygląda się, jak jej pierś w przyspieszonym tempie unosi się i opada. Dolewa jej kawy, potem

odrobinę sobie, w ciężkiej ciszy. Drapie się w podbródek, którego kontur Blair potrafi nakreślić z zamkniętymi oczami. Pociera szyję, na której tak często się uwieszała. Niektóre części jego ciała traktuje prawie jak własne i mimo że nie pociąga jej już jak kiedyś, a najczęściej nawet nie budzi jej sympatii, to czuje się jego zaborczą właścicielką. To jej podbródek. Jej szyja. Jej pogwizdujący mąż.

Być może znaleźli się w środkowej fazie małżeństwa, na etapie słabnących, ambiwalentnych uczuć.

Aiden idzie na górę przygotować się przed wyjściem do pracy. Blair czeka na Chloe i rozgląda się po kuchni, patrząc na stół, z którego nikt nie posprzątał, na wygniecione poduszki na kanapie, gdzie spał.

Myśli o pewnym wieczorze z początków ich związku. Po pracy poszli na kolację. Wciąż badali swoje upodobania, szukali wspólnych tematów do rozmowy i miejsc, do których mieliby ochotę chodzić. Pamięta, że słuchając go, pomyślała, że nie wie już, co to jest samotność. Przestała zazdrościć trzydziestokilkuletnim koleżankom, które jedna po drugiej zamykały się w kokonach swoich związków, jeśli widziały przed nimi przyszłość. W końcu ona też zobaczyła swoją przyszłość. Nie musiała się już bać, że nigdy nie zdobędzie tego, na czym jej tak bardzo zależało: dziecka, ładnego domu, przyjemnego życia. Wytoczyła już swoją drogę zawodową i nie musiała z niej rezygnować. Osiągnęła pełnoletność w latach dziewięćdziesiątych, gdy na sztandarach była siła kobiet, dziewczyny miały prawo mieć wszystko i zostać, kim sobie życzyły. Była zdecydowana korzystać z tego prawa, w odróżnieniu od matki.

Gdy kelnerka zabrała ich talerze, Aiden pod stolikiem położył dłoń na jej kolanie. Pomyślała o bólu podczas wczorajszej depilacji woskiem. O seksie, który będą uprawiać w nocy. Na kolację wybrała lekki posiłek. Sięgnęła pod stół, ujęła jego dłoń i dotykali nawzajem swoich paznokci, palców. Spytał ją, co chce robić następnego dnia.

– Nie wiem. Zrobić zakupy. Może iść na jogę, a potem nadgonić jakieś rzeczy z pracy.

– A może chciałabyś coś obejrzeć? – zaproponował.

– Coś?

– Dom. Zobaczylibyśmy go razem.

Zaśmiał się na widok jej zaskoczenia i zachwytu. Uniósł kieliszek, ona trąciła go swoim. Miała wrażenie, jakby coś wygrała. Jego? Życie, które

zapowiadało się na szczęśliwe? Zrozumiała już, dlaczego zamówił szampana. Czuła się wniebowzięta. I zakochana. Odetchnęła z ulgą. A potem widelczykiem rysowała wzorki w musie czekoladowym na stoliku między nimi.

Zastanawiała się głośno, na jaką dzielnicę będzie ich stać za obie pensje. Na ile sypialni będą mogli sobie pozwolić. Kiedy mówiła, kiwał głową, a gdy podniosła wzrok, z wyraźną przyjemnością patrzył na coś za jej plecami. Zlizła czekoladę z widelczyka i uniosła go, patrząc na lśniące zęby sztucca i jego niewidzące oczy w tle. Nie chciała się odwracać, by sprawdzić, na co patrzył. Ale mimo wszystko to zrobiła. Kobieta wyglądała na rozbawioną, mówiła coś do koleżanki, przysłaniając usta dłonią, a potem zerknęła w stronę ich stolika, żeby jeszcze raz na niego popatrzeć. Natknęła się na wzrok Blair. A kiedy ta odwróciła się do Aiden, chrząknął. Nabrał ostatni kęs deseru i powiedział do niej:

– Czyli jutro. Umówiłem nas na dziesiątą.

W tym momencie czegoś się o nim dowiedziała, choć wolałaby, żeby to nie była prawda. Ale gdy ludzie bardzo czegoś pragną, są gotowi podjąć ryzyko. Na niektóre rzeczy uczą się nie zwracać uwagi. To przecież było tylko spojrzenie. Kochała go. Był tym jedynym, a przynajmniej tym, którego wybrała. Podjęła już decyzję, że chce z nim przeżyć życie. Sprawy zaszły tak daleko.

ROZDZIAŁ 38

BLAIR

Po wyjściu z domu widzi Marę, która stoi w koszuli nocnej na werandzie. Chloe macha do niej, pędząc na hulajnodze obok jej domu, a Blair zastanawia się, dlaczego Mara jeszcze nie jest ubrana, to do niej niepodobne. Woła do Chloe, żeby zaczekała, po czym przebiega przez ulicę i uchyla żelazną zardzewiałą furtkę.

– Słyszeliście z Albertem, co się stało u Loverlych? W nocy ze środy na czwartek? – Poranne słońce świeci jej w oczy, więc przysłania je, żeby widzieć Marę.

– Słyszałam – mówi Mara.

Blair czeka na ciąg dalszy, zawsze jest jakiś ciąg dalszy. Podąża spojrzeniem za jej wzrokiem na podjazd przed domem Loverlych, stoi tam samochód Jacoba, ale zasłony w oknach są zasunięte, w domu nie widać oznak życia. Mara zaciska usta.

– Hm, w takim razie... – Blair cofa się o kilka kroków, tym razem Mara w ogóle nie próbuje podtrzymać rozmowy. – Damy ci znać, gdyby były jakieś wieści.

Przyspiesza kroku, żeby dogonić Chloe, i przecina Harlow Street, idąc w stronę drogerii. Jest jeden z tych wiosennych dni, kiedy wszyscy tryskają beztroskim optymizmem, ale ona nie potrafi pozbyć się ciężaru z żołądka. Powodem jest Xavier. Ale także klucz, o który nie może zapytać Whitney. I reakcja Aideny, który tego ranka trochę za szybko odpuścił.

Nie jest niczego pewna.

Zatrzymują się na światłach. Zanim zdąży się powstrzymać, pytanie samo pada z jej ust.

– Chloe, muszę cię o coś spytać. Widziałaś kiedyś, jak Whitney złości się na Xaviego, kiedy mnie nie było? Była na niego tak naprawdę zła?

Słowa brzmią w jej uszach jak zdrada. Przecież to jej najlepsza przyjaciółka. Nie będzie mogła cofnąć tej decyzji. Na dnie wyrzutów sumienia tkwi jednak pragnienie, by usłyszeć o niej coś kompromitującego. Uznać, że ma obowiązek przekazać to dalej.

Wbijają wzrok w chodnik, a Chloe się zastanawia.

– Nie wiem.

– Nie wiesz, czy nie chcesz mi powiedzieć?

Chloe dźga chodnik gumowym czubkiem buta. Dalej się zastanawia.

– Nigdy nie widziałam, żeby się wściekała. Tylko tamten jeden raz, na przyjęciu w ogrodzie. I jeszcze wtedy, jak przyniosłyśmy ciastka.

Dzień przed Bożym Narodzeniem poszły tam z puszką ciepłych ciastek prosto z piekarnika. Chloe chciała je zostawić na stoliku w korytarzu, żeby mieli niespodziankę, napisała liścik od elfów Świętego Mikołaja i przykleiła do pokrywki. Cichutko weszła do środka, lecz zaraz odwróciła się do Blair ze zdumieniem w szeroko otwartych oczach. Ona też to usłyszała. Wrzask dziecka w głębi domu i groźny pomruk Whitney. A potem głuchy łomot. Trzask. I płacz.

Blair wyciągnęła Chloe na zewnątrz. Cicho zamknęła drzwi i postawiła blaszankę na wycieracze pod progiem. Ogarnął ją ten sam nieznośny lęk co wtedy na grillu, strach, że wchodzi z butami w cudze sprawy. Wolałaby tego nie usłyszeć. W domu opadła na kanapę i przyciągnęła córkę, by usiadła obok. Przypomniała jej, że czasem dorośli tracą cierpliwość. „Ale nie ty”, zauważyła Chloe. „Ciebie nigdy nie trzeba się bać”. Blair bąknęła coś o tym, że każdy miewa gorsze dni. A potem to samo wmówiła sobie.

Chloe wpatruje się teraz w chodnik. Blair wie, że nie mówi jej prawdy. Bardzo dobrze poznała już swoją córkę, zna każdą jej minę, każdy nawyk, dlatego wie, że coś ukrywa. I robi to, co w jej przekonaniu powinna robić grzeczna dziewczynka.

W drogerii zostawia ją, by przejrzała kartki z życzeniami powrotu do zdrowia, a sama patrzy na półkę z prezerwatywami w części aptecznej. Jest większy wybór, niż pamiętała. Prażkowane, z wypustkami, z żelami rozgrzewającymi albo przedłużającymi seks – to świat, z którego już nie korzysta. Wyobraża sobie, jak czyjaś dłoń ciasno rozwija lateks na fiucie Aideny.

Z kieszeni wyjmuje róg opakowania z folii aluminiowej. Jedno po drugim otwiera pudełka marki, którą kiedyś kupował Aiden. Szuka tego samego

odcienia zieleni, takiego samego karbowania na brzegu, ale znajduje coś podobnego tylko w kolorze śliwkowym. Wyjmuje z pudełka rząderek prezerwatyw i porównuje fioletowe opakowanie z oddartym skrawkiem folii. Zgadza się waga i faktura. Oderwany róg ma takie same wymiary.

Mogłaby sprawdzić stronę internetową producenta i poszukać innych wariantów tego rodzaju. Mogłaby spytać kogoś, kto tam pracuje, czy są dostępne inne, mniej popularne czy limitowane wersje. I co potem? Będzie w tym samym miejscu, w którym tkwi od miesiący. Będzie szukać kolejnych dowodów, a później kolejnych usprawiedliwień.

Wraca do Chloe, która nie może się zdecydować na żadną z trzech kartek. Chce wyjść, nie kupując niczego. Powoli dociera do niej, co się stało z Xavierem. Blair kuca przy niej i ujmuje w dłonie policzki córki.

– Kochanie, wszystko w porządku? Powiedz mi, jak się czujesz.

Ona krzywi twarz i Blair już wie, że zaraz popłyną łzy.

– Chcę do domu. Nie chcę dzisiaj do szkoły.

– Przykro mi, że tak ci smutno. Rozumiem cię, naprawdę. To zupełnie normalne, że tak się czujesz, jest przecież twoim najlepszym przyjacielem. Chcesz, żeby wyzdrowiał, prawda?

Chloe łka w jej dekolt, starając się stłumić szloch. Blair zamyka oczy. Nie powinni jej jeszcze mówić, kiedy wciąż jest tyle niewiadomych.

– Właśnie o to chodzi. On już nie jest moim najlepszym przyjacielem. – Odrywa się od matki, próbując złapać oddech. – W środę rano na przerwie powiedziałam mu różne brzydkie rzeczy. Naprawdę bardzo brzydkie, aż rozpłakał się przy wszystkich. A potem Hayden Ross rzucił mu batonikiem w twarz. Żałuję, że mu nie pomogłam, śmiałam się razem ze wszystkimi, a potem on się schował w toalecie. Wczoraj, kiedy szłyśmy do szkoły, chciałam go przeprosić, a teraz nie mogę.

– Och, Chloe, chodź.

Przytula jej głowę i teraz do niej dociera. W środę. A w nocy zdarzył się wypadek. Xavier uwielbia Chloe. To jego jedyna prawdziwa przyjaciółka, ale ona ma jeszcze innych znajomych. To musiało go załamać.

Nie czas jednak na prawienie morałów. Ucisza ją, a potem zbliża usta do ucha dziewczynki:

– Teraz się tym nie martw, dobrze? – Całuje ją. Ociera jej łzy z twarzy i bierze ją za rękę. – Chodź, zapłacimy za to, a potem idziemy do szkoły.

– Zaniesiesz mu kartkę i samolot? I przeprosisz go ode mnie? Powiedziałam mu, że jak umrze, to nikogo to nie będzie obchodziło, i że powinien zniknąć.

Nikogo to nie będzie obchodziło, gdyby umarł. Zniknął. Blair składa te słowa w głowie, potem jeszcze raz i jeszcze raz, dopóki nie może już bardziej ich zmniejszyć. Później patrzy przed siebie na ekspozycję arkuszy papieru do pakowania prezentów i kokardek ze skręconych wstążeczek, ale przed oczami ma jeden obraz. Samotnego Xaviera, który wychyla się przez okno sypialni. I też nic go nie obchodzi, czy umrze.

ROZDZIAŁ 39

WHITNEY

SZPITAL

Widzi swój telefon w dłoni Jacoba. Znowu jest w szpitalnej sali, pachnie pastą do zębów. Pewnie jest rano. Mówi coś o SMS-ach od jej asystentki, która przysłała trzy wiadomości, ale z powodu blokady ekranu nie może ich jej przeczytać. Chce zerknąć? Chce, żeby w jej imieniu zadzwonił do biura? Spotkanie, dzisiaj rano było to ważne spotkanie. Może im przekazać, co się stało Xavierowi i że przez kilka dni Whitney będzie nieosiągalna. Nie odpowiada mu, nie ma ochoty myśleć o pracy. Jacob czeka. Nie jest pewien, czego chce żona. A potem podejmuje za nią decyzję. Informuje ją, że na chwilę wychodzi na korytarz, żeby zadzwonić do Grace, i zaraz wraca.

Ale wtedy Whitney wyrywa mu telefon z ręki. Wciąga do płuc zastałe szpitalne powietrze, lecz nie wypełnia ich tak, jak należy. Z całej siły zaciska palce na komórce i chce, żeby Jacob się cofnął, żeby wyszedł z pokoju. Bo Grace nigdy nie pisze SMS-ów, pisze tylko mejle.

W jej telefonie pod imieniem Grace kryje się ktoś inny.

Prosi Jacoba, żeby zszedł na dół po kanapkę dla niej. Chyba w końcu zaczęła odczuwać głód. W jej głosie słychać za duże napięcie; Jacob przez chwilę milczy. Potem rozgląda się za portfelem, cieszy się, że wraca jej apetyt, ale ona wie, że on jej nie wierzy.

Po jego wyjściu odblokowuje ekran i czyta trzy wiadomości.

Przepraszam. Za wszystko.

Muszę się z tobą znowu zobaczyć.

Ona już się chyba domyśla.

ROZDZIAŁ 40

REBECCA

Wciąż leży samotnie na podłodze w pustym pokoju dziecięcym. Dręczy ją jakieś pragnienie, którego z początku nie umie określić, a później z piorunującą siłą dociera do niej, czego chce. Zobaczyć się z matką.

Kiedy pyta, czy mogłaby wpaść do niej późnym rankiem, głos matki w słuchawce jest dźwięczny i pełen nadziei. Rebecca nie spotykała się z nią tak często, jak powinna. Jej obecność przypomina jej o relacji, na jaką sama chyba nie może liczyć. Zwykle rozmawiają na inne tematy, mówią o polityce, jej pracy, zarządzie kondominium, którego członkiem matka niedawno została, ale doskonale wie, że obie myślą o jej płodności.

Przed wyjściem wyjmuje z szuflady w szafce nocnej jeden z kieszonkowych terminarzyków. Cienki i sfatygowany, ma prawie tyle lat co ona i był upominkiem od banku, w którym matka zakładała swój pierwszy rachunek oszczędnościowy. W okienkach kalendarza ciasnym, pochyłym charakterem pisma notowała wszystko to, co robiły razem. **Zwiedzanie darmowej części muzeum. Praca nad głoskami od „A” do „M”. Ćwiczenie dodawania na nowym liczydło (2 dol. w Goodwill!). Oglądanie przedszkoli.** Z biegiem lat okienka w każdym następnym terminarzu wyglądały jak kadry z życia innej rodziny – nie ubogiej, samotnej matki i jej czupurnej córki. **Trzeci egzamin z fortepianu, zdany! Krajowe mistrzostwa w debacie. Wniosek o pożyczkę na studia złożony. Dzień powitania studentów pierwszego roku. ZROBIŁA TO!**

Tysiące okienek w osiemnastu kalendarzykach, przymus, by zapisywać wszystko, co robiła. Kiedy skończyła medycynę, matka podarowała jej tę kolekcję w tekturowym pudle na dokumenty, a kilka z nich Rebecca trzyma w szafce obok łóżka. Przechowywała je z pietyzmem, bo były wyrazem miłości matki i dowodem jej wysiłków, by zapewnić córce życie, jakiego

sama nigdy nie miała. Ale te okienka stanowiły też szczegółowe wyliczenie wszystkiego, co dostała przez całe życie.

Teraz być może w końcu będzie mogła dać matce wnuka.

Na ten pomysł wpadła pod prysznicem. Wręczy jej ostatni terminarzyk i wskaże okienko, które sama dorysuje – z terminem porodu.

Dzięki matce poczuje się lepiej przez tych kilka godzin, które spędzi u niej w kuchni.

Zatrzymuje się na targu po piwonie, a potem jedzie przez całe miasto, by dotrzeć do autostrady. Telefon leży na fotelu pasażera obok kalendarzyka i Rebecca co kilka minut sprawdza, czy dostała wiadomość od Bena. Wyobraża sobie, że gdy po południu wróci do domu, zastanie go przy stole w kuchni, gotowego do rozmowy. Gotowego, by jej wybaczyć. Kiedy dziecko będzie w niej rosło, Ben odzyska straconą nadzieję. Ten czas ledwie będą pamiętać. Odtąd wszystko się zmieni.

Włącza radio i nareszcie czuje, że się rozluźnia.

Czterdzieści minut później skręca w zjazd prowadzący do domu matki. Zwalniając przed pierwszymi światłami, poprawia się na siedzeniu. Gorąco jej w dzinsach, powinna była włożyć sukienkę, poci się nawet mimo włączonej klimatyzacji. Opuszcza szybę i wystawia twarz na świeże wiosenne powietrze. Zastanawia się, czy nie zatrzymać się i nie kupić dwóch kaw. Na następnych światłach znowu poprawia się w fotelu i tym razem czuje wyraźniej ciepłą wilgoć w majtkach. Odciąga dzinsy w kroku. Ogarnia ją lęk wywołany podejrzeniem, które samo się narzuca. Ale zawsze jest na skraju paniki, zawsze czeka na następną klęskę. Skupia z powrotem uwagę na drodze i zielonym świetle. Muska palcami gładkie płatki piwonii na fotelu obok.

Parkuje przy Starbucksie i wysupłuje z torebki portfel. Znowu wzbiera w niej fala paniki, która wzbudza w niej złość na samą siebie. Podnosi się zza kierownicy, wsuwa palce do bielizny, po czym czeka na uspokajający widok przezroczystej wydzieliny.

Kręci jej się w głowie.

Palce są szkarłatne i lepkie.

ROZDZIAŁ 41

WHITNEY

SZPITAL

W myślach odtwarza w kółko przebieg nocy ze środy na czwartek. Bez końca. Wstyd jak zimny robak wpełza jej do gardła i wywołuje mdłości. Na samą myśl o tym, co zrobiła.

Kiedy Louisa wieczorem wyszła, Whitney zaparzyła kawę, żeby nie zasnąć. Zamierzała wysłać SMS-a, by wszystko odwołać. Woląa skupić się na przygotowaniach do spotkania zaplanowanego na następny ranek. Potem jednak poszła na górę, by zajrzeć do pokoju Xaviera.

Zobaczyła, że poruszył się w łóżku, powieki drgały mu za bardzo jak na kogoś pogrążonego we śnie. Wymówiła głośno jego imię. Powtórzyła je bardziej stanowczym tonem. Chciała, żeby przeprosił za wybuch złości w kuchni. Chciała zakończyć tę historię jakimś pozytywnym akcentem. Chciała go przytulić.

Obrócił się na wznak, oparł na łokciach i przyzwyczał oczy do światła padającego z korytarza. Potem spojrział na ścianę za nogami swojego łóżka, poniżej plakatów z samochodami wyścigowymi retro. Wyglądał, jakby wodził po czymś wzrokiem.

Odwróciła się, by sprawdzić, na co patrzy.

Drukowane litery na ścianie były ogromne, równe i starannie zapisane czarnym jak smoła tuszem.

Marker leżał na podłodze.

Unosi teraz głowę znad jego piersi, by spojrzeć na niego w blasku monitorów, na rozchylone usta i szarą, pozbawioną życia skórę. Żadnego ruchu. Żadnego drgnienia. „Co by było, gdyby mnie nie było?”, spytał ją parę miesięcy temu w samochodzie.

A teraz go nie ma. Whitney znowu czuje ucisk w piersi, musi przycisnąć do niej dłonie, żeby zelżało napięcie. Ma w sobie pustkę. Ma wrażenie, że każda jej myśl grzęźnie w błocie.

Zastanawia się, co jako pierwsze przyjdzie mu do głowy, jeżeli otworzy oczy i ona będzie nad nim stała, poruszając ustami. Co zapamiętał. „Jestem tu”, będzie do niego mówiła, „Byłam tu cały czas, ani na chwilę cię nie zostawiłam”.

W wyobraźni widzi, jak odwraca od niej twarz. Woli zobaczyć ojca, szuka go wzrokiem.

W sali jest za mało powietrza. Próbuje odetchnąć i się krztusi. Lada chwila wróci Jacob z kanapką. Jacob, którego okłamała, który od niej odejdzie. Który być może już nigdy nie pozwoli jej zobaczyć dzieci. Straci ich wszystkich. Wyobraża sobie, co Xavier mu powie, jeśli przeżyje, jeśli będzie mógł mówić, jeśli będzie potrafił wydobyć z siebie słowa, które dźwięczą mu w myślach. Jeśli w ogóle będzie zdolny do myślenia.

Wszyscy wokół niej stale o tym mówią – o jego funkcjonowaniu, jego możliwościach umysłowych, jeśli się obudzi – mówią rzeczy, których nie chce przyjąć do wiadomości, o ciśnieniu, które miażdży jego mózg. Być może już nigdy nie będzie tym samym Xavierem co kiedyś, być może nie będzie miał łatwego życia, a wszystko przez nią. Nigdy nie była dla niego odpowiednio dobrą matką i nie zmieni się to teraz, gdy będzie jej najbardziej potrzebował. Nie nadaje się do tego. Znowu go zawiedzie.

Kładzie dłoń na jego ustach, na skrzyżowaniu rurek. Przesuwa drżącymi palcami po głównym przewodzie, do miękkiego harmonijkowego odcinka podłączonego do respiratora, który utrzymuje go przy życiu. Zerka na drzwi. Nie ma nikogo.

Opanowuje ją myśl, która wreszcie obiecuje ulgę, więc chce utrzymać to uczucie, za nic w świecie nie może wypuścić go z rąk. Instruuje się: zrób to. Nikt się nie dowie. Tak będzie najlepiej. Już i tak go zniszczyła. Zniszczyła go na długo przed nocą ze środy na czwartek.

Zamyka oczy i ściska palcami rurkę.

Odcina mu dopływ powietrza.

ROZDZIAŁ 42

REBECCA

Jest do tego stopnia zdesperowana, że przestaje panować nad myślami i daje im zupełną swobodę. Powodem krwawienia może być przecież coś innego. Łożysko. Uszkodzenie endometrium. To może być po prostu plamienie, a potem krew przestanie się sączyć. W czasie jazdy trzyma przed sobą dłoń, nie chce niczego dotykać. Przenosi wzrok z drogi na palce i z powrotem.

Wielokrotnie badała już ten problem na forach ciążyowych. Inne kobiety krwawiły i nic złego ich nie spotkało. Kurczowo trzyma się tej myśli, pędząc autostradą do domu. Jeżeli zatrzyma ją patrol, powie, żeby się odpieprzyli. Pokaże im zakrwawione palce. Nigdy nie prowadziła z taką brawurą. Jeszcze bardziej przyspiesza.

Panika atakuje dopiero na Harlow Street, kiedy złudzenia się rozwiewają. Zaciąga hamulec i wali pięścią w kierownicę. Znowu wsuwa palce do majtek i czuje więcej świeżej krwi.

Skurcze jeszcze się nie zaczęły, ale wie, że niedługo poczuje pierwsze lekkie klucie.

Myśli tylko o fioletowym, półprzezroczystym dziecku, które z niej wyjdzie. Głowa i ciało będą już proporcjonalne. Będzie pępowina. Zaczątki rzęs i brwi. Nie chce znowu trzymać go w dłoni ani leżeć na podłodze w łazience.

Ma jednak do wyboru albo łazienkę, albo SOR. Tam nie traktują priorytetowo osób w takiej sytuacji jak ona. Każą jej cierpieć i krwawić w poczekalni, dopóki nie zwolni się miejsce, a potem jakiś rezydent bez doświadczenia w stracie ciąży będzie za wolno zadawał pytania o obciążenia rodzinne i czy przyjmowała taki albo inny zastrzyk. Wreszcie, jeśli będzie miała szczęście, jeżeli znajdzie się miejsce, zostanie przeniesiona na porodówkę, gdzie zobaczy toczące się po korytarzach

ogromne brzuchy w koszulach nocnych w kolorze mocno rozwodnionego atramentu, uspokajające się długimi i głośnymi oddechami. Być może dadzą jej łóżko i tam usłyszy dobiegający z sąsiedniej sali szalony i szczęśliwy śmiech kobiety, która właśnie pozna swoje krzyczące dziecko, a Rebecca będzie leżała w pustym pokoju i słuchała.

– Dobrze się czujesz?

Głos Mary przez szybę samochodu brzmi jak z oddali. Rebecca próbuje wysiąść z auta, ale nie może wstać. Mara kładzie jej dłoń na plecach i naciska na nie, by jej głowa znalazła się między kolanami.

– Głęboko oddychaj. Już dobrze.

Rebecca czuje swój zapach, mieszaninę potu i krwi. Na tkaninie spodni ciemnieje duża plama.

– Twoje dziecko? – pyta Mara. Zaciska usta, czekając, aż Rebecca przytaknie. Mara wymawia to w szczególny sposób „twoje dziecko”, jak gdyby poświadczająca, co w sobie nosi.

Rebecca zamyka oczy i kiwa głową. Sąsiadka pomaga jej wstać, prowadzi ją po schodach do drzwi. Wciąż ma na sobie koszulę nocną.

– Twojego męża nie ma – mówi Mara. Słowo „męża” brzmi w jej ustach gorzko. Patrzy ponad ramieniem młodszej kobiety przez korytarz w stronę kuchni w głębi domu. Sprawia dziwne wrażenie, jakby rozumiała, co niepokoi Rebeccę.

– Dam sobie radę, Mara, możesz iść. To nie jest mój pierwszy raz.

– Wiem, że nie pierwszy, biedactwo.

Delikatnie ujmując dłoń jej podbródek i ten pełen czułości gest sprawia, że Rebecca ma ochotę się rozkleić. Powieki się zaciskają i wypływają spod nich łzy. Zostawia Marę przed drzwiami i powoli wspina się na piętro do łazienki. A potem siada na sedesie, wpatruje się między swoje nogi i obserwuje wąską smugę szkarłatu w wodzie, która wije się jak nitka dymu z komina.

ROZDZIAŁ 43

WHITNEY

SZPITAL

Wstrzymuje oddech i tłumi jęk, myśli „nie, nie, nie”, ale robi to, czeka na piszczący alarm, czeka, żeby ktoś wszedł i oderwał jej dłoń od rurki z powietrzem. Żeby uratował go przed matką.

Zaczyna liczyć. Przychodzi jej to z ogromnym trudem. Liczby zlewają jej się w głowie w jedną masę.

To jedyne wyjście. Czuje, że ulga jest tuż-tuż, przyspiesza kroku, by ją dogonić, jeszcze chwila i się z nią zrówna.

– Wszystko w porządku?

Whitney tłumi krzyk zaskoczenia i puszcza rurkę. Wpatruje się we własną dłoń.

Pielęgniarka pociąga łańcuszek włączający górne światło i szybko podchodzi do łóżka z drugiej strony, a ona kręci głową i szuka odpowiednich słów.

– Chyba coś się zaczęło psuć, próbowałam naprawić.

– Nic się nie stało – mówi pielęgniarka, ale sprawdza rurki, połączenia, patrzy na monitor i poprawia klips na jego palcu. Whitney ma zawroty głowy, zastanawia się, czy ją stąd wyprowadzą, czy ją aresztują. Powinni ją aresztować. Nie jest przy niej bezpieczny, nigdy nie był.

Drży tak gwałtownie, że pielęgniarka musi się domyślać.

– Nic mu nie jest? – pyta Whitney.

– Hm?

– Czy nic mu się nie stało?

Kobieta uspokajająco kręci głową, przyciska palec do ekranu pompy infuzyjnej i mruczy coś pod nosem, powtarzając liczbę, sprawdzając kartę,

sprawdzając jeszcze raz liczbę. Ogląda rękę, w której tkwi wenflon. A potem wychodzi.

Wtedy rozlega się chrząknięcie Jacoba. O Boże, myśli Whitney.

Siedzi na krześle w głębi sali z tyłu.

Nie słyszała, jak wchodził. Kiedy wszedł? Co zobaczył?

Przytrzymuje się barierki łóżka Xaviera i wbija wzrok w podłogę. Twarz jej płonie. Przecież by ją powstrzymał, myśli. Nie pozwoliłby jej zrobić tego, co zamierzała.

Czasem jednak odnosi wrażenie, że poddaje ją próbie. Sprawdza, do czego jest zdolna się posunąć, a potem pojawia się, obserwuje, ratuje, by znowu jej przypomnieć, kim powinna być.

– Może na trochę stąd wyjdiesz – mówi. – Musisz się zdrzemnąć. I zobaczyć się z bliźniakami, tęsknią za tobą i Zagsem. Ja z nim zostanę.

Whitney kręci głową i nie odrywa oczu od syna. Nie zostawi go. Jacob nie może jej do tego zmusić. Zaciska dłoń na barierce. Nikt jej stąd nie ruszy, nie pozwoli na to.

Kilka minut później słyszy szelest dżinsów Jacoba, który zdejmuje nogę z nogi i wstaje. Bez słowa wychodzi z sali. Nie przyniósł jej nic do jedzenia.

Naprawdę przed chwilą to zrobiła? Patrzy na swoją rękę. Może jednak nie. Może jest tak zmęczona, że ma halucynacje. Nie wie, kim była ta kobieta.

Myśli o SMS-ach, o pytaniach zadawanych w kółko przez policję, o tym, jak niewiele brakuje, by wszystko straciła.

Sięga do łóżka, by namacać dźwignię do opuszczania bocznej barierki. Przesuwa ciało syna najwyżej o dwa centymetry. Najpierw biodra, potem powoli tułów, a potem delikatnie unosi mu głowę. Klęka na łóżku i rozciąga się obok syna. Odwraca się twarzą do niego i kładzie rękę na jego piersi, pod magistralą rurek i przewodów, przytulając do niego drżący policzek. Nie obchodzi jej, czy to dozwolone. Nie obchodzi jej, czy łamie jakieś procedury bezpieczeństwa. Będzie leżała w łóżku z synem, dopóki ktoś nie wyniesie stąd jej lub jego.

W wyobraźni widzi, jak siedzą razem na podłodze jego pokoju i Xavier opowiada jej wszystko, co wie o szachach. Whitney siedzi po turecku, tak jak on. A potem zadaje mu pytania. Robi notatki, żeby czuł się ważny. Na kartce do drukarki pisze ostrzeżenie NIE PRZESZKADZAĆ! TRWA

LEKCJA Z EKSPERTEM! i nakleja ją na drzwiach sypialni. W ten sposób spędzają razem na podłodze godzinę i po raz pierwszy ona zwraca uwagę na każdy drobiazg. Na jego szeroko otwarte oczy, kiedy się zastanawia. Na gesty podpatrzone u nauczyciela, na minę dorosłego, z jaką kiwa głową, kiedy ją chwali. Na nowe słowa, których używa. Na staranny ruch, z jakim odgarnia grzywkę przysłaniającą mu oczy niczym firanka.

Wtedy przypomina sobie chwilę sprzed lat, szczególne uczucie, jakie ogarnęło ją pewnego zupełnie zwyczajnego dnia. Xavier miał pięć miesięcy. Była zmęczona. Leżała na podłodze w jego pokoju, na puszystym wełnianym dywanie, i patrzyła na rozjarzoną mleczną szklaną kulę pośrodku sufitu, kiedy ściągała laktatorem pokarm do cieniutkiej torebki, którą zamierzała oznaczyć datą i włożyć do zamrażarki. Cały czas miała w nozdrzach zapach wazeliny, nie mogła się go pozbyć. Miarowy szum silniczka urządzenia, które miała w ręce, działał na nią usypiająco. Nagle odniosła wrażenie, że lampa nad nią wygląda jak księżyc. Pokój wydał jej się całym światem i był za mały. To wszystko było za małe, nawet ukochane dziecko, które w pokoju obok usypiał właśnie jego ojciec. Pomyślała wtedy – zawsze będę potrzebowała czegoś więcej.

Słyszy aparaturę. On ciągle żyje. Nie zabiła go. Nigdy by tego nie zrobiła. Przez błogi ułamek sekundy w stanie zamglonej jawy nie czuje nic, dopóki znowu jak fala nie wróci wspomnienie o tym, co zrobiła. Chce z powrotem pogрузić się w nieświadomości snu, ale nie pozwala jej na to głos Jacoba. Potem słyszy też inne osoby. Czuje silny zapach kawy i otwiera oczy, by sprawdzić, czy za roletą w oknie świeci słońce, czy przespała cały dzień, czy tylko piętnaście minut, ale w tej sali trudno wychwycić rytm dnia.

- Tak, wynik jest pozytywny, ale to zwykle postępuje powoli.
- Na razie wstrzymamy się z operacją.
- Mamy krytyczny moment.

Jacob obiecuje im, że ją obudzi, dziękuje, że tym razem przymknęli oko na złamanie zasad. Pielęgniarka za jej plecami z brzękiem zmienia ampułki leku, otwiera i zamyka zaciski na rurkach. Whitney czuje zapach lepkiej taśmy medycznej, woń zdezynfekowanych dłoni manipulujących nad jej głową.

Jej ucho wypełnia oddech Jacoba. Coś się stało. Mówi, że Xavier próbował otworzyć oczy, kiedy spała przy nim w łóżku. Że pewnie poczuł jej obecność obok siebie. Dotyka wargami twarzy Xaviera i całuje, całuje, dopóki mąż nie chwytą jej za ramiona i nie odciąga od syna.

ROZDZIAŁ 44

WHITNEY

OSIEM LAT TEMU

Gdyby miała dokładnie określić moment, którego tak pragnie, to wskazałaby ten, gdy w nią wchodzi. Ta uległość. Mam cię, jesteś we mnie, poddałeś się. Wie, że to zwierzęce. Zęby drapieżnika na karku ofiary.

W jadącej do góry hotelowej windzie myśli o tym, w jaki sposób jak najszybciej przejść do tego punktu, czy poprosić go, by usiadł w nogach łóżka i patrzył, a ona w ten sposób uniknie dotyku szorstkich opuszek palców na swojej skórze, teatralnego zdejmowania bielizny. Nic z tego jej nie interesuje, chociaż oni na pewno sądzą, że tak, sądzą, że w ten sposób zapracowują sobie na część, która rozgrywa się później. Ale ją podnieca sama możliwość – gdy udziela sobie zgody.

Jest w podróży służbowej do Paryża. To jej ostatnia noc w mieście.

Obrączkę i pierścionek trzyma w hotelowym sejfie.

Telefon kładzie na nocnej szafce, ekranem do dołu, z wyłączonym dzwonkiem.

Ma bieliznę, którą rezerwuje sobie na te okazje, tak aby nie mieszać przyjemności.

Ich oddech pachnie oliwkami z baru, w kieszeniach marynarek mają serwetki koktajlowe. Skarpetki czy usztywniacze kołnierzyków, które od czasu do czasu u niej zostawiają, wyrzuca je do kosza po ich wyjściu, a potem myje twarz, nakłada róż na policzki, szoruje zęby raz i drugi, płucze usta miętowym płynem. I już, już po wszystkim, pozwala sobie uwierzyć, że to naprawdę takie proste.

Tyle że tym razem o siódmej rano ktoś puka do jej drzwi akurat w chwili, gdy nakłada na sutek lejek laktatora. Ma wrażenie, że lada moment piersi jej eksplodują.

Spała tylko cztery godziny.

To mąż. Zupełnie niespodziewany mąż. Przyleciał do Paryża nocnym samolotem, zrobił jej niespodziankę, jedną z tych, których przygotowanie wymaga tygodni układania planów i potajemnego organizowania opieki nad dzieckiem. Ma w rękach kubeczki z espresso na wynos.

Kiedy stuloną dłonią dotyka jej na łóżku, jest jeszcze spuchnięta i wilgotna między nogami. Pewnie myśli, że to z jego powodu. Podobnie jak rumieniec na jej twarzy i łomot serca, gdy przytula twarz do jej piersi.

Później zamawiają śniadanie do pokoju i rozmawiają o swoim dziecku. Dziecku, za którym w ogóle nie tęskniła, dopóki w korytarzu przed jej pokojem hotelowym nie pojawił się mąż. Nago, ocierając się stopami, oglądają filmiki ze swoim dzieckiem. Pierwsze chlapanie się w płytkiej części basenu ich budynku, kwaśna mina po pierwszym skosztowaniu musu jabłkowego. To wszystko ma większe znaczenie, niż rodzice przypuszczają.

Wodzi za nim wzrokiem, gdy chodzi po pokoju, a skoro w tej chwili się nie dotykają, pozwala sobie na kilka sekund grozy. Co by było, gdyby to nie był nocny lot. Gdyby wylądował poprzedniego dnia wieczorem. Dzwoni po kogoś, żeby zabrał wózek z naczyniami. Przerzuca hotelowe czasopisma na biurku obok telefonu.

– Co to jest?

Wśród pism jest liścik. Napisany na kartce z bloczku do notatek, jaki zawsze można znaleźć w hotelu.

Nikt nigdy nie zostawiał jej liścików. Nawet nie pomyślała, żeby sprawdzić.

– Pokaż.

Najlepiej, jak potrafi, udaje zaskoczenie. A nawet rozbawienie. Siada na łóżku, odzyskuje równowagę, bo czuje, że jej ciało rozpada się na kawałki. Ma wrażenie, że unosi się nad nim i nad sobą. Żeby się przyglądać z innego miejsca.

Nie patrzy na nią. Oddziera karteczkę z prostokątnego bloczka i rzuca w jej stronę. Papier frunie jak w zwolnionym tempie i ląduje przy wzniesieniu jej stóp pod kołdrą.

W wiadomości nie ma jej imienia. Mogła być przeznaczona dla każdego.

Było zajebicie. Możemy zostać w kontakcie?

Pod spodem jego numer telefonu i imię.

– Wygląda na to, że poprzedni gość nieźle się bawił – chichocze. – Ale, cholera, przez taki liścik ktoś może mieć kłopoty. Naprawdę! Można by pomyśleć, że pokojówka zostawiła go tu specjalnie, dla jaj.

– Może. – Bierze folder o sieci hoteli, ale zaraz odkłada z powrotem.

Na pewno przyszła mu do głowy taka możliwość. Podnosi z podłogi dzinsy, otrzepuje je, wyciąga pasek ze szlufek. Milczy. Nie rozpakowuje się. Zwykle lubi się rozpakowywać.

Whitney wyczuwa, że są bliscy punktu krytycznego. Musi mówić.

– Popołudnie mam wolne, jest tylko spotkanie o jedenastej, a potem lunch.

– To dobrze.

– Moglibyśmy pójść na spacer, wypić drinka na jakimś tarasie i pogapić się na paryżan.

– Pewnie.

Zerka na ekran swojego telefonu. Przychodzi obsługa, żeby zabrać wózek z naczyniami po śniadaniu. Ona idzie pod prysznic, gdzie się pochyla i opiera łokcie o kolana.

Gdy wychodzi z łazienki owinięta w ręcznik, liścik leży na nocnej szafce obok jej telefonu.

Dopiero wtedy przychodzi jej na myśl, że mąż mógł zadzwonić pod ten numer.

Musi się tego pozbyć, jak najszybciej.

Ale wtedy coś pojmuję. Jacob położył tam ten liścik nie bez powodu. Przekonaj mnie, że się mylę, mówi do niej karteczka.

Siada na łóżku obok niego. Jacob czyta coś w telefonie z podłożoną pod głowę ręką.

– Dlaczego położyłeś tutaj tę kartkę? – pyta go. – To obrzydliwe. Zastanawiam się, czy przed nami tego pokoju nie zajmowała prostytutka.

Robi zde gustowaną minę, potem zrywa się z miejsca, udając bez troskę. Zgniatą karteczkę, wrzuca do kosza na śmieci pod biurkiem. Ma przed sobą tylko jedną drogę, nigdy nie miała innej. Otwiera drzwi szafy i wzdycha.

– Krótki rękaw? Wiesz, jaka ma być dzisiaj pogoda?

Jacob unosi wzrok, ale jej nie odpowiada.

ROZDZIAŁ 45

WHITNEY

SZPITAL

Pielęgniarka pyta, czy chciałaby pomóc.

Czuje pod palcami mokrą myjkę, a potem jej dłoń zostaje zanurzona w misce z ciepłą wodą. Widzi też kostkę mydła Ivory. Powinna wiedzieć, co robić. Jest jego matką.

Ale myślami jest gdzie indziej.

Ma w sobie jego palce. Czuje, jak ją pieści i nie może odsunąć od siebie tego obrazu, nawet gdy patrzy, jak pielęgniarka ostrożnie zsuwa szpitalną koszulę z ciała jej syna.

W uchu jego gorący oddech. Mówi mu dokładnie, co ma powiedzieć, a on to powtarza. Stara się nie czuć tego, co czuje wtedy, gdy to się dzieje. Pielęgniarka instruuje ją, by namydliła myjkę.

Kupuje Jacobowi bilety na samolot, żeby mógł wybrać się na targi sztuki, wystawy, do miejsc, gdzie będzie musiał spędzić kilka dni. Stara się, by to wyglądało jak przysługa. Jacob zamyka ją w swoich ramionach, powtarzając, że jest najlepszą żoną na świecie. Że jest jej wdzięczny. Przed wyjazdem na lotnisko przytula ją dłużej niż zwykle.

Pielęgniarka unosi rękę jej syna i daje znak, by podeszła bliżej. Wyciska wodę z myjki.

Kiedy kończą, zawsze sprząta chusteczkami z pudełka, które trzyma w szopie, takimi samymi, jakimi wyciera dzieciom nosy. Nie zawsze usuwa wszystkie ślady i wie, że czasem na podłodze szopy albo na krawędzi półki zostaje trochę spermy, a rano Louisa i dzieci wchodzą tam po swoje samochodziki, skakanki, końcówkę do zraszacza.

Pielęgniarka trzyma teraz jej dłoń i pokazuje, co robić, jak trzema łagodnymi ruchami umyć go pod pachą.

Myśli o nim, gdy przeżywa orgazm z Jacobem w łóżku, gdy Jacob powtarza jej imię i mówi jej, jaka jest piękna. I że ją kocha. Ona też go kocha, tak bardzo, że to, co zrobiła im wszystkim, mogłoby ją zabić.

Znowu ma dłoń w ciepłej wodzie, a pielęgniarka unosi teraz dolną część koszuli i każe jej bardziej namydlić tkaninę.

Na długo przed nim byli inni, krótko po narodzinach Xaviera. Miała w sobie inne palce, inne głosy szeptały jej do ucha. Pojedyncze przypadki, które potrafi z dużą biegłością zapomnieć, podobnie jak rysy twarzy i kolorystykę luksusowych pokoi hotelowych. Wszystko wymazuje do czysta. Nigdy nie podaje swojego nazwiska, nie z obawy, że mogliby ją namierzyć, ale dlatego, że to nazwisko Jacoba i nie umiałaby się zmusić do jego wypowiedzenia.

W tym nigdy nie chodziło o Jacoba, nawet wtedy.

Chodzi o jej potrzebę, by się od niego uwolnić, odłączyć od nich wszystkich. Oderwać się od obowiązków, oczekiwań, które od lat dźwiga na barkach. Od trojga dzieci, do których wychowania nie bardzo się nadaje. Którym zawsze będzie sprawiać zawód, bez względu na to, ile będzie miała pieniędzy i jak bardzo by się nie starała.

Kiedy korzysta z tej małej furtki zapewniającej jej swobodę, wydaje jej się, że to wszystko da się przeżyć, a nawet jest całkiem znośne.

Oczywiście to nie jest żadna swoboda.

Pielęgniarka mówi do niej, podkreśla cudowną odporność dzieci, ich przekornych młodych organizmów. Mówi o nadziei, której jako matka nie powinna tracić. Gdy przy nim leżała, drgnęły jego powieki i być może znowu się one poruszają, jeżeli wyczuje obecność spokojnej i kochającej istoty. Może nawet otworzy oczy. Whitney chce jej wpakować myjkę do ust, chce zostać sama z synem, bez dźwięczącego w tle cudzego głosu. Czuje jednak na ramieniu dłoń pielęgniarki.

Nie ma w tym żadnej lekkomyślności, jaką kojarzy się z romanssem. Nigdy nie jest lekkomyślna. To, co robi od dziewięciu miesięcy, jest zamierzone. Są ryzyko i zysk, okłamuje dobrych ludzi, zagraża porządnym rodzinom i to przynosi jej wstyd. Ogromny wstyd. Mimo to zawsze, za każdym razem, czuje, że warto.

Głód stawał się jednak coraz większy. Pragnienie, by ją podniecał, budziło się w niej wtedy, gdy nie powinno. Zaczynała się niepokoić, kiedy przez cały dzień ani razu nawet jej nie mignął, gdy jego widok nie

przypominał jej, że jeżeli zechce, będzie mogła to znowu poczuć. Czy chodziło konkretnie o niego? Może było to prostsze: nie jest mężem, który jest od niej lepszy, nie ma wobec niego bezustannych obowiązków, więc nie będzie mu wiecznie sprawiać zawodu. Nie jest do niej przyspawany jak kawał żelastwa.

Przyjemność stała się nałogiem. Nie miała już nad nią kontroli, absolutnie żadnej.

Teraz bije się w pierś. I odtwarza w pamięci noc ze środy na czwartek.

Pielęgniarka mówi, że przyniesie jej kubek wody, że powinna się o siebie zatroszczyć. Żeby mieć siły. Że jest potrzebna rodzinie. Prowadzi ją z powrotem na krzesło po drugiej stronie Xaviera. Ona jednak nie chce dotykać ustami styropianowego kubka. Nie chce być silna. Dawniej czuła się silna. Czuła się niezwyciężona, mocno trzymała stery. Ale już tego nie chce. Woli się poddać.

ROZDZIAŁ 46

WRZESIEŃ

OGRÓD ZA DOMEM LOVERLYCH

Z gości zostali tylko Aiden i Blair. Nie ma już ludzi z firmy cateringowej. Bliźniaki leżą w łóżkach. Blair pomaga Whitney sprzątać z wyspy w kuchni i pakować resztki jedzenia, które podskubują. Milczą, co rzadko im się zdarza.

Do kuchni wchodzi Chloe i Xavier. Chłopiec zdejmuje folię z deserowego półmiska, wkłada palce między misternie ułożone owoce i szuka ananasa. Chloe chowa się pod ramieniem Blair i wtula twarz w pierś matki.

– Proszę nie dotykać jedzenia, Xavier – mówi Whitney.

– Chcesz zagrać z nami w szachy? – Chłopiec zwraca się tylko do Blair. Whitney odrywa jego rękę od owoców. W odpowiedzi burczy pod nosem, a ona go ucisza. Wyciera mu palce ścierką do naczyń. Zabiera kieliszek wina, który stoi niebezpiecznie blisko krawędzi wyspy. Xavier zawsze robi coś, czego ona nie chce, więc woli na to nie patrzeć, woli być ślepa na te wszystkie rzeczy, które ją irytują.

– Chętnie bym z wami zagrała, Xavi, ale robi się późno. – Blair dotyka jego włosów, a on ma zawiedzioną minę. Gładzi go po ramieniu i próbuje pochwycić jego spojrzenie. Kiedy jej się udaje, uśmiecha się figlarnie, a jego twarz znowu się rozpromienia. Whitney patrzy na nich, zastanawiając się, czy Blair kiedykolwiek ma chwilę wahania. Czy wrzeszczy. Krzyczy.

– Pożegnaj się, Xavier. I pod prysznic – mówi, ale syn nie zwraca na nią uwagi.

– Wiesz, że najdłuższa partia szachów miała dwieście sześćdziesiąt dziewięć ruchów? Ale może to było sześćset dwadzieścia dziewięć –

zwraca się do Blair, ale kiedy znowu się odzywa, patrzy na Whitney, która przekłada owoce na mniejszy talerz i unika jego wzroku. – Kiedyś zagrałem partię, która miała jakieś sto dwadzieścia ruchów. Nauczyciel w naszym kółku mówił, że nigdy nie widział takiej długiej.

– Brawo. Możesz przyjść do nas w przyszłym tygodniu i udzielić mi następnej lekcji?

Kiwa głową, wsadza palce w lukier na minibabeczkach i oblizuje opuszki. Zwykle nie jest tak gadatliwy. Whitney przygląda mu się w milczeniu. Chce, żeby Blair już sobie poszła.

– A wiedziałaś, że najdłuższy lot samolotu z papieru trwał dwadzieścia dziewięć i dwie dziesiąte sekundy? To był model Star Fighter. Sam kiedyś taki złożyłem. Trzeba ścisnąć mu nos, o tak. – Kciukiem i palcem wskazującym szczypie w nos Chloe, która chichocze, a potem trzepie go po ręce.

– Xavier, powiedziałaś, na górę.

– Chloe, możesz powiedzieć tatusiowi, że powinniśmy już iść? – Blair całuje ją i klepie po pupie, a potem wzdycha z zadowoleniem, jak gdyby na przyjęciu nie było żadnych nerwowych chwil. Whitney robi się głupio przez tę maskaradę, czuje się, jakby Blair okazywała jej litość.

– Będziemy udawać, że to się w ogóle nie stało? – pyta Whitney.

Jej słowa wywołują u Blair szok. Nie potrafi znaleźć odpowiedzi. Przecież właśnie coś takiego robimy dla siebie nawzajem, prawda? Przymykamy oko. Chronimy wzajemnie swoją godność. Jak śmiesz mi to robić, myśli Blair, jak śmiesz mnie upokarzać? Jest w szoku, że Whitney w taki sposób chce rozmawiać o tym, jak Aiden się na nią gapił. Nigdy wcześniej nie dochodziło między nimi do spięć i zakłopotanie tą sytuacją niemal ją obezwładnia. Odwraca się i spogląda za dom na ogród, by sprawdzić, czy mąż się nie zbliża. By się upewnić, że Chloe ich nie słyszy.

Ale w tym momencie Whitney wyjaśnia:

– Mówię o tym, jak wrzasnęłam na niego na górze. Kompletnie mi odbiło. Okropnie to brzmiało, prawda?

Blair głęboko oddycha. A więc chodzi o te krzyki. Whitney ma ręce skrzyżowane wysoko na piersi, jak gdyby przyznawała, że wybór garderoby na grilla z sąsiadami rzeczywiście nie okazał się najszcześniejszy,

najwyraźniej w końcu opuszcza ją odwaga. Blair zakręca wodę nad zlewem i wyzima ścierkę do naczyń. Nie chodzi o to, że Whitney potraktowała go tak okrutnie. Chodzi o to, że wszyscy to słyszeli.

– Posłuchaj, nie możesz się tym zadrećzać. Ludzie zapomną, że coś takiego w ogóle się zdarzyło.

– Nie zapomną.

– Xavi już zapomniał, przed chwilą był w świetnym nastroju. – Wie, że to zaboli, gdy wspomni, jaki wesoły jest w jej towarzystwie.

Przyjaciółka przyciska dłoń do czoła.

Blair może twierdzić, że krzyki dobiegające z jego pokoju nie brzmiały wcale tak strasznie, może jej to wmawiać tak długo, aż ona da się przekonać. Może kłamać, by poprawić jej samopoczucie. Ale myśli o jej prowokacyjnie wyeksponowanym idealnym biuście, o rachunku za catering, który zapłaciła, nie patrząc nawet na kwotę, o tym, jak Whitney porwała ją do tańca, chociaż wie, że ona tego nie lubi. Postanawia nie ułatwiać jej zadania.

– Powiedziałaś coś o Xavim matkom ze szkoły. Że ma ostatnio poważne problemy ze sobą i chodzi na terapię behawioralną. To prawda?

Whitney odstawia tacę z przebranymi deserami. Wysuwa szczękę, a Blair żałuje, że w ogóle poruszyła ten temat. Doszło do krępującej manifestacji złości. A potem padło kłamstwo na temat jej syna.

– Musiałam coś powiedzieć. Już i tak mają mnie za kiepską matkę.

– Wcale nie. Wiedzą, że masz mnóstwo spraw na głowie. – Chwila wahania. Mogła ją dalej pocieszać. Powiedziała jednak: – Chciałam się tylko upewnić, czy naprawdę wszystko z nim w porządku. Czy nic w jego zachowaniu cię nie martwi. Może ma z czymś trudności albo...

– To było tylko niewinne kłamstwo. Przecież wiesz, że nie dzieje się z nim nic złego.

Blair po raz pierwszy myśli: czy naprawdę wiem? Wiem, że z Xavierem wszystko jest w porządku? Whitney naprawdę sądzi, że nic mu nie jest? Myśli o tym, jak musiał się czuć, kiedy skupił się na nim jej gniew. Jak często się to zdarza. I jaki to miły i spokojny chłopiec, kiedy przychodzi do jej domu bez matki.

Whitney chce coś powiedzieć, gdy z ogrodu nadchodzą Aiden i Jacob.

– Świetna impreza, Whit, dzięki. – Aiden dotyka jej ramienia i na dobranoc całuje ją w policzek. – Mam coś w sam raz dla ciebie, butelkę

tequili za trzysta dolarów, prezent od klienta. Musisz koniecznie spróbować. Przyniosę.

– Jasne, kiedy tylko zechcesz. – Ale uwagę Whitney zaprzęta w tej chwili folia spożywcza. Nawet nie patrzy na Aiden. Chloe ciągnie ojca w stronę drzwi.

W kuchni Whitney posyła Blair ostatnie spojrzenie, które mówi: myślałam, że jesteś po mojej stronie. Myślałam, że mogę liczyć na twoją pomoc. Blair nie przyznałaby się, że to nie jej wściekłość ją martwi, ani nawet kłamstwo o Xavierze. Trudno jej się otrząsnąć po swobodzie, z jaką skłamała. Z jaką łatwością te słowa padły z jej ust.

Blair wychodzi z rodziną z kuchni, gdy słyszy przyciszony głos Whitney:

– Jest coś jeszcze.

Whitney ogląda się przez ramię w stronę drzwi wejściowych, przy których Aiden rozmawia z Jacobem, a Chloe wiąże buty. Stamtąd ich nie usłyszą. Opiera dłonie o biodra i przygryza dolną wargę, co wywołuje tylko większe zdenerwowanie Blair. Otwiera usta, a jej oczy zdradzają, że to, co ma do powiedzenia, tym razem budzi w niej litość. Że przyjaciółka też ma powody do niepokoju. W tej sekundzie ciszy Blair wie, że nie chce tego usłyszeć. Ma straszne przeczucie, że będzie to dotyczyło Aiden. Przerywa jej, zanim padnie pierwsze słowo.

– Powinnam już iść, Whit. Przepraszam.

Whitney zamyka usta. Blair spodziewa się, że będzie zła, ale najwyraźniej przyjęła to z ulgą. Kiedy w najbliższych dniach będzie odtwarzać w pamięci ostatnią imprezę, właśnie ta ulga będzie ją martwić najbardziej. Zanim przyjaciółka wraca do swojej rolki folii spożywczej, Blair czuje jej wzrok na swoich oliwkowych szortach, ich przepastnych kieszeniach, pogniecionych mankietach. Po powrocie do domu wrzuca spodnie do pojemnika na śmieci stojącego przy bocznej ścianie domu.

ROZDZIAŁ 47

BLAIR

Blair siedzi na ławce przy drzwiach wejściowych, mając w rękach kartkę od Chloe i należący do Xaviera plastikowy model samolotu. Sądziła wcześniej, że Whitney mogła być zamieszana w to, co stało się z jej synem, ale być może odpowiedzialność za to ponosi jej własne dziecko. Nie jest pewna, czy może jechać do szpitala, wiedząc, co zrobiła córka. W telefonie googlowała wyrażenia, które wydawały się niewiarygodne: „Czy dziesięcioletek może popełnić samobójstwo?”. „Liczba samobójstw wśród dzieci poniżej dwunastego roku życia”. Ucisk wędruje po czaszce od potylicy w stronę skroni. Przecież jest taki mały. Teraz jednak to widzi – było w nim coś mrocznego. Zawsze towarzyszył mu jakiś smutek. Między innymi z tym Whitney nie umiała sobie poradzić: z jego kwaśną miną, nerwowością. Lękiem.

– Trzymała się, kiedy ją zostawiłaś przed szkołą?

Staje nad nią Aiden z marynarką zawieszoną na palcu wskazującym; jest już spóźniony do pracy.

– Chyba tak. Napiszę mejla do nauczycielki, nie jestem pewna, ile wiedzą w szkole. – Splata na kolanach drżące dłonie. Nie może się zmusić, by powtórzyć to, co Chloe powiedziała jej w drogerii. Trzeba to jakoś opanować i rozwiązać. A jeśli Xavier umrze? Nie mogą przez następne lata dźwigać takiego brzemienia winy, jeżeli będą o wszystkim wiedzieć dzieciaki w szkole, nauczyciele. Rodzice. Nie dopuści do tego. Musi zadziałać z wyprzedzeniem, zanim wszyscy rozstrzygną, dlaczego to się stało. – Chyba znowu pojedę do szpitala, zobaczyć się z Whitney.

Przygląda się, jak Aiden krzywi twarz, pochylając się nad butami. Czeka na jego reakcję na imię sąsiadki, ale nic nie mówi. Przez całą ostatnią godzinę Blair ani razu nie myślała o tym, że mogą się pieprzyć. Nie jest pewna, czy żałuje, że pokazała mu klucz, czy nie.

– Mogę cię o coś spytać? – mówi wolno. Chce zostawić sobie czas, by się wycofać. Ale chodzi o jej rodzinę. O córkę. – Nie wydaje ci się dziwne, że nikt nie mówi o tym, jak Xavier wypadł z okna? Dlaczego o tej porze jeszcze nie spał, i to pod takim oknem? I czy naprawdę był sam?

Aiden wzdycha i zawiązuje sznurowadła.

– Nie wiem, naprawdę nie zastanawiałem się nad tym. Pewnie zadawali jakieś pytania w szpitalu i uznali, że był to zwykły wypadek. Gdybanie nic nam nie da, prawda?

Blair otwiera kartkę i czyta wiadomość od Chloe. *Kocham Cię, Xavi. Chcę się z Tobą przyjaźnić na zawsze.*

– Ale gdybyś miał zaryzykować. Odgadnąć.

Opiera przedramiona na kolanach, ale nie unosi twarzy. Namysła się, lekko kiwając głową.

– Sugerujesz, że wyprowadził Whitney z równowagi.

Blair milczy. Gdyby Aiden miał romans z sąsiadką, w tym momencie prawdopodobnie chciałby się od niej odciąć, skoro jej świat znalazł się na krawędzi chaosu. Nie mógł już polegać na jej dyskrecji, nie wtedy, gdy groził jej kryzys. Romans musiał się zakończyć. Może widok klucza wytrącił go z równowagi. Może uznał, że czas chronić siebie. I może to podziała na korzyść ich rodziny.

Blair chce, aby mówił, by zaczął opowieść, którą mogliby rozbudowywać, aż zaczną ją traktować jak prawdę. Potrzebna im inna teoria niż ta, w której główną rolę odgrywa Chloe. Coś, co Blair mogłaby niepostrzeżenie i delikatnie podsuwać każdemu, kto zapyta. Niebawem zaczną się zalew wiadomości, już na to czeka.

– Wypadki się zdarzają – naciska go dalej. – Ale to się raczej nie trzyma kupy. W domu nie było Jacoba, a Louisa na pewno już wróciła do siebie. Czyli gdyby się obudził i nie mógł zasnąć... Jeżeli trudno jej było z nim wytrzymać... Grał jej na nerwach. Złościł ją. Mogła po prostu... stracić panowanie nad sobą.

Mogła wspomnieć o rozbitym kubku z kawą w pokoju Xaviera, ale wówczas musiałaby mu powiedzieć, że u nich była. Chce zobaczyć wyraz jego oczu, lecz Aiden wbija wzrok w podłogę.

– To dość poważne podejrzenie.

Blair nie odpowiada. On się namysła, jak gdyby przymierzał się do jakiejś hipotezy.

– Chyba znasz ją lepiej niż ktokolwiek inny – mówi wreszcie. Znowu się zastanawia. – Na pewno nie można tego wykluczyć. Ale gdyby tamtej nocy rzeczywiście doszło do czegoś takiego, Whitney nikomu się do tego nie przyzna, tego możemy być pewni. Będzie się z tego wykręcała kłamstwem.

Słuchając go, Blair czuje narastające pulsowanie w skroniach. Zamyka oczy. Czuje, że Aiden ma własne powody, by poprzeć jej przypuszczenia. Od tej sugestii robi się jej niedobrze, ale właśnie tego potrzebuje. Żeby mogli z niepokojem wspomnieć o tym Rebecce. I kobietom w szkole, które będą chciały wiedzieć więcej. Dociekliwym sąsiadom.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Słuchaj, nie chcę o niej mówić źle, zwłaszcza teraz. Ale ona zawsze stawia na pierwszym miejscu siebie, prawda? Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? – Aiden wzrusza ramionami. – A jeżeli Xavier nie przeżyje, to... nikt nie będzie kwestionował jej wersji.

– Aiden. – Taka lodowata zjadliwość nie jest w jego stylu. Kiedyś uważał Whitney za ideał, który nie mógłby zrobić nic złego. Coś się zmieniło. I chociaż ona tego chce, to ten przejaw braku lojalności budzi pewien niepokój. Blair przypomina sobie pozbawioną życia twarz Xaviera w szpitalnym łóżku. Jeśli przeżyje, być może będzie musiał mierzyć się z niepełnosprawnością.

– Przykro mi, wiem, że to nieprzyjemne, ale sama spytałaś. Zwykle podchodziłem z rezerwą do jej wersji wydarzeń. Tylko tyle ci powiem. – Znowu się pochyła, by zawiązać drugi but. Bierze aktówkę. Już na progu z powrotem się do niej odwraca. – Naprawdę myślisz, że powinnaś dzisiaj iść do szpitala? Zdaje się, że wczoraj było to dla ciebie trudne. Zostań w domu i spróbuj przez jakiś czas o tym nie myśleć.

Zdradza go twarz. Wczoraj nalegał, żeby od razu jechała do Whitney, a teraz chce, by trzymała się od niej z daleka. Przekonuje ją, że jej przyjaciółka notorycznie kłamie. Że jest zła. Jego policzki są zaczerwienione bardziej niż zwykle. Ma wilgotne czoło. Blair patrzy na kratkę nawiewu, przez którą na korytarz wpada chłodne powietrze, patrzy na zjeżone włoski na swoich zziębniętych rękach. Wie, że musi się z nią znowu zobaczyć.

ROZDZIAŁ 48

MARA

Widząc pył unoszący się spod kół samochodu Blair, Mara przypuszcza, że nadeszła zła wiadomość. Jeżeli sąsiadka pojechała do szpitala, to pewnie się zdziwi, kiedy zobaczy, kto jeszcze tam jest. Choć jak większość spraw, o których warto wiedzieć, nie powinno to Mary w ogóle interesować. Te kobiety z pewnością nie czynią najmniejszego wysiłku, by zainteresować się jej sprawami.

Krzyżuje nogi w kostkach i ręce na piersi. Tego ranka na werandzie czuje chłód, ale nie może się zmobilizować, by się ubrać, umyć zęby, coś przegryźć. Od wczoraj nie umie się na niczym skupić. Ciekawe, ile czasu im to zajmie, aż zauważą, że jej mąż umarł. Nie znały Alberta, podobnie jak nie znają jej, ale gdyby ich relacje były bliższe, jak wszyscy uznałyby go za miłego człowieka. Był pracowity. W trakcie rozmowy zadawał wszystkie pytania, które należało zadać. Sześćdziesiąt dwa lata małżeństwa, mówiłyby z niedowierzaniem. Powtarzałyby tę liczbę, próbując sobie wyobrazić, jak to jest spędzić z kimś taki kawał czasu; Mara zdziwiłaby się, gdyby któraś z nich przekonała się o tym osobiście.

Wszyscy będą woleli myśleć, że w chwili, gdy rozsypał się na podłodze w kuchni, została sama ze złamanym sercem.

Jego okrucieństwo było niewidoczne.

Ludzie rzadko są tacy, jak się nam wydaje.

Czasem ci dobrzy dopuszczają się najgorszych rzeczy.

Wczoraj, gdy siedziała na kanapie w suterenie i zabierała się do składania ostatniej kupki prania, usłyszała, jak Albert woła ją z kuchni.

– Na litość boską, nie może zaczekać parę minut? – mruknęła pod nosem.

Dwa razy mówiła mu, że zamierza zrobić pranie. Nie mogła przecież wejść po schodach na samą górę, żeby sprawdzić, czego chce, potem

z powrotem na dół, by dokończyć składanie, a potem znowu na górę z pełnym koszem. Będzie musiał poczekać na to, czego akurat mu się zachciało.

Zawołał do niej jeszcze raz. Dwa razy. Trzy. Przerwała składanie z jego żółknącym podkoszulkiem w dłoniach. Potem usłyszała, jak coś uderza w stół w kuchni, odbija się z brzękiem od metalowej nogi krzesła, na koniec rozległ się głuchy łomot, jakby coś upadło na podłogę.

Serce w niej zamarło. Siedziała bez ruchu i wpatrywała się w stertę ubrań. Dobiegł ją inny dźwięk, jęk, pomruk, a potem chyba jej imię. Po chwili nie miała wątpliwości, że słyszy swoje imię. I chyba mamrotaną pod nosem modlitwę. Wydawało jej się, że kątem oka dostrzega sylwetkę Marcusa przy jego starym kuchennym krześle w kącie; Albert upierał się, że nie muszą go już stawiać przy stole. Postać była ulotna jak dym. Mara gwałtownie obróciła głowę w stronę schodów i nasłuchiwała.

Wzięła leżący na kolanach podkoszulek i złożyła na dwa. Potem na cztery. Usłyszała tupnięcie w podłogę, być może jego stopy. Drżącymi rękami położyła złożony podkoszulek na chybotliwym stosie ubrań. I sięgnęła po granatowe spodnie dresowe Alberta. Wygładziła je. Przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło. Złożyła spodnie. Karetka. Będzie musiała wezwać karetkę. Złoży jeszcze tylko jedną rzecz. Nie będzie już więcej szukać sylwetki Marcusa, nie pozwoli wodzić się za nos wyobraźni.

Wzięła następny podkoszulek Alberta, odbarwiony pod pachami i przy szyi. Wyszło jej w ustach, nie ma już czego przełykać, gdy patrzy na wyblakłą prążkowaną bawełnę. Przez lata myślała o możliwości takiego zdarzenia. Wyobrażała sobie, co wtedy będzie czuła. Złożyła podkoszulek. Sięgnęła po następny. A potem jeszcze jeden. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

– Pójdę już na górę – szepnęła w końcu, kiedy była pewna, że hałasy nad nią ustały. Kiedy nie miała wątpliwości, że będzie za późno. Wstała i poczuła słabość w nogach. Oparła kosz o biodro i wolnym krokiem ruszyła przez suterенę w stronę schodów. Mogłaby przysiąc, że czuła obecność Marcusa.

– Nie wiem, co się stało. Przyszłam z dołu i zobaczyłam go na podłodze. Byłam w szoku – skłamała ratownikom. – Choruje na serce.

Gdy zostawili ich na chwilę samych w kuchni, żeby się z nim pożegnała, gdy leżał już na noszach, przybliżyła usta do jego ucha, tak jak robił jej

Marcus, zanim Albert uciszył jego szepty. Powiedziała mu jedyną rzecz, którą od kilkudziesięciu lat chciała mu powiedzieć.

– Nienawidzę cię za to, jak go traktowałeś. Zawsze wolałam, żebyś to ty umarł.

ROZDZIAŁ 49

BLAIR

Pokazuje identyfikator dla gościa w recepcji i wchodzi do korytarza, w którym jest sala Xaviera. Pielęgniarka, która wczoraj miała dyżur, informuje ją, że Jacob właśnie wyszedł, żeby posiedzieć parę godzin z bliźniakami. Denerwuje się bardziej niż wcześniej, gdy jechała do szpitala z niezłomnym postanowieniem, że ustali, o co tu naprawdę chodzi. Szepty, które tak doskonale ignoruje, teraz nie dają jej spokoju. W samochodzie dodawała sobie pewności. Coś wiedziała. Mogła zaufać intuicji. Klucz, sposób, w jaki wczoraj potraktowała ją Whitney, wysiłki Aideny, kiedy próbował ją przekonać, że sąsiadka ciągle kłamie.

Teraz jednak Blair wpatruje się w drzwi szpitalnej sali i to przekonanie słabnie. Wciąż brzmia jej w głowie słowa Chloe. Poczucie winy przygniata ją do ziemi jak ciężka peleryna. Wchodzi powoli, zastanawiając się, czy Whitney znowu każe jej wyjść. Siedzi na tym samym krześle, otulona swetrem, który Blair przyniosła jej wczoraj, wciąż głaszcze kciukiem dłoń Xaviera. Nie podnosi wzroku.

W sali jest więcej aparatów niż poprzednio, więcej torebek z płynem, który w niego sączą. Nad sercem ma przyklejoną gazę, wystają z niej dwie cienkie białe rurki, drugi koniec jednej z nich znika w otworze w szyi. Wygolono mu fragment włosów. Wygląda, jakby go prawie nie było. Blair zapomniała o spuchniętych powiekach i plastikowym usztywnieniu karku. Przykłada palce pod oczy, by zatamować łzy. Siedząc na krześle po drugiej stronie łóżka, sięga po jego ciepłą, bezwładną dłoń.

„Nikogo nie będzie to obchodziło, gdybyś umarł”.

Już wygląda, jakby umarł.

Kręci jej się w głowie.

Ma zaledwie dziesięć lat, ale był mądrzejszy niż dzieci w jego wieku. W tym roku szkolnym nie był sobą. Wiądnął i kurczył się, podczas gdy jej

córka rozkwitała. Wycofał się i Chloe zaczęła tworzyć więzi z innymi dziećmi. Blair ogarnia fala ogromnego wstydu. Wychowywała ją, by była dobra i życzliwa, ale gdzieś po drodze poniosła porażkę.

Przysuwa usta do ucha Xaviera.

– Chloe wcale tak nie myślała – szepcze. – Bardzo cię przeprasza.

Puka pielęgniarka, żeby powiedzieć, że lada chwila przyjdzie chirurg. Blair wstaje i wyciera twarz. Nie może spiskować przeciwko Whitney – nie może robić z niej czarnego charakteru w tej historii, skoro za to, co się stało, być może należy winić jej własną córkę. To nie w porządku. Przecież nie jest kimś, kto tak robi.

Ale Whitney musi dać jej powód, by przestała wyobrazać sobie najgorsze rzeczy o niej i Aidenie, by przestała obsesyjnie rozmyślać o kluczu. Wszystko jedno, co to będzie.

– Zrobiłam coś nie tak? – pyta. Głos jej drży. – Czy chodzi o Chloe?

Whitney wreszcie odrywa wzrok od Xaviera. Patrzy na ścianę obok Blair.

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać, Blair, prosiłam cię, żebyś...

– Chodzi o to, co Chloe zrobiła na przerwie?

Odpowiada jej upiorne milczenie.

– Daj spokój, Whit, przecież za dobrze się znamy. – Blair sięga po jej dłoń. Chce nią potrząsnąć, obudzić ją, uszczypnąć, żeby wreszcie zaczęła mówić, zakończyć to idiotyczne napięcie między nimi, ale ona wyrzywa rękę.

– Proszę cię, Blair. – Patrzy na nią zirytowana. Kręci głową, na moment zamyka oczy, tak jak w chwilach, gdy dzieci ją denerwują. Kieruje wzrok na syna.

Blair czuje się upokorzona. Myliła się – wcale tak dobrze się nie znają. A ona dla Whitney niewiele znaczy.

Nielojalność pewnie nie była dla niej niczym trudnym.

Klucz, który znalazła w szufladzie w domu sąsiadki, tkwi w kieszeni jej kurtki. Granat z wyjętą zawleczką. Wyjmuje go i podsuwa Whitney pod nos, kilka centymetrów od jej twarzy.

– Skąd to masz? – pyta.

Whitney wolno kieruje spojrzenie na breloczek Aideny. Patrzy na inicjały. Znowu ma nieruchomy wzrok. A potem przechyla głowę na bok, jak gdyby właśnie przyszło jej coś na myśl. Coś w końcu wyrwało jej umysł

z zacisków imadła. Dopiero teraz Blair zdaje sobie sprawę, za co sama będzie musiała odpowiedzieć.

Whitney unosi głowę.

– Mogłabym cię spytać o to samo.

ROZDZIAŁ 50

REBECCA

Krwawienie zaczęło się przed trzema godzinami, a skurcze jeszcze się nie pojawiły, mimo to wzięła trzy naproxeny. Chciałaby przenieść się do miejsca, gdzie nie będzie nic czuła. Balansuje na krawędzi snu i wyobraża sobie, że leży na stole operacyjnym i rozcina się skalpelem, a potem wywala wnętrzności i rzuca wszystkie części układu rozrodczego na metalowy wózek, który kopniakiem posyła w głąb sterylnej sali. Narzędzia, stalowa miska w kształcie nerki spadają z brzękiem na podłogę, macica rozbryzguje się jak balon z wodą. Budzi ją właśnie odgłos tego plaśnięcia.

Otwiera oczy, widzi lampę na szafce nocnej, pustą szklankę po wodzie, kieszonkowy kalendarz. Przypomina sobie dopiero po trzech czy czterech sekundach. Nie chce przeżywać tego, co ją czeka.

Potem nie będzie już więcej szans. To koniec. Ostateczne pożegnanie z nadzieją, które jest krzyczącą niesprawiedliwością. Obraca się na brzuch i wtula twarz w poduszkę.

Na dole chodzi po kuchni tam i z powrotem, potrąca przedmioty, krzesła, pojemnik na śmieci. Rzuca klucze przez całe pomieszczenie. Czeką na ból w dole pleców, bo oszołomienie wywołane środkami przeciwbólowymi właśnie mija. Jej mózg wie, co się święci, więc ciało jest napięte i wyczerpane. Pod językiem zbiera się ślina, którą wypluwa z głową zwieszoną nad zlewem.

Ben nie wysłał jej żadnego SMS-a, nie zadzwonił. Dochodzi południe. Rebecca krzywi twarz z żalu, że powiedziała mu o ciąży. Cztery i pół godziny za wcześnie. Wali pięścią w drzwiczki szafki.

W każdej chwili mógł wrócić do domu i powiedzieć, że to poczuł – że odżyła w nim nadzieja. Nigdy nie mieli większej szansy. Że jej wybacza i jest wdzięczny, że nigdy się nie poddała, że miała rację i cuda naprawdę się zdarzają. A ona padnie na kolana.

Podchodzi do okna w salonie, trzymając się za krzyż, żeby wypatrywać męża. Na wietrze miga jej plama koralowego rózu – bawełniana koszula nocna Mary. Jest na schodach. Nie poszła do siebie. Rebecca otwiera drzwi, ale Mara prawie się nie odwraca, kiedy do niej mówi.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest.

– Dziękuję. Naprawdę możesz iść. Zostawiłaś otwarte drzwi. – Wydaje jej się, że słyszy dzwonek telefonu Mary. – Albert jest w domu? To twój telefon dzwoni? – Ale Mara sprawia wrażenie, jakby nie słyszała. – Niedługo wróci Ben, naprawdę wszystko w porządku.

– Ben pojechał do szpitala. Słyszałam, jak mówił do taksówkarza, kiedy odjeżdżał. – Pokazuje na ulicę.

– Do szpitala? – Rebecca myśli o oddziale ratunkowym, dokąd pojechali za pierwszym razem. Nie rozumie, skąd Ben wie, że znowu traci dziecko. I dlaczego pojechał do szpitala bez niej. Niczego nie rozumie.

– Do szpitala, w którym pracujesz – uściśla. – Tam gdzie jest ten chłopiec z domu obok. I jego matka.

Rebecca analizuje jej wyjaśnienia. Pewnie Ben pomyślał, że została wezwana na konsultację. I pojechał jej szukać.

Ale Mara szczególnym tonem wypowiedziała słowa „jego matka”. I uniosła przy tym brwi. I ugniała kciukiem wewnątrz drugiej dłoni.

Mara znowu na nią spogląda. Rebecca patrzy, jak pierś tej kobiety powoli unosi się i opada w głębokim, długim oddechu.

Nie zamykając drzwi, odwraca się i widzi jego laptop na stole kuchennym. Nigdy wcześniej nie naruszała jego prywatności. Nie miała powodu. Ale otwiera komputer i klika na ikonę programu pocztowego. W okienku wyszukiwania wpisuje imię Whitney i wciska ENTER.

Whitney Loverly (brak tematu) 2 listopada 2018

Jeden mejl. Tylko jeden. Wyobraża sobie, co w nim przeczyta: Mógłbyś wystawić nasze śmieci, kiedy nas nie będzie? Odbierać naszą pocztę?

Cześć! Jeszcze raz dziękuję za nową rękawicę, bardzo mu się podoba. Wolalabym, żebyś pozwolił mi za nią zapłacić. Jeżeli Rebecca pracuje

dzisiaj wieczorem, a ty szukasz towarzystwa, wpadnij znowu na drinka. Chciałam przy okazji spytać – może lepsze będą SMS-y? W.

ROZDZIAŁ 51

BLAIR

Dopiero na szpitalnym parkingu, kiedy z furią przetrząsa torebkę w poszukiwaniu kluczyków do samochodu, zdaje sobie sprawę, że zapomniała dać Xavierowi kartkę od Chloe i plastikowy model samolotu. Córka zapyta o to od razu, gdy tylko przestąpi próg domu. Poza tym prezent zrobiłby dobre wrażenie. Przesuwa kciukiem po wyblakłej kalkomanii z napisem „America Airlines” na boku pożółkłego kadłuba. Właścicielem tego samolotu musiał być kiedyś mały Jacob. Postanawia zostawić model przed drzwiami.

Z korytarza zagląda do sali, sprawdza, czy jest tam jeszcze chirurg. Widzi tylko Jacoba odwróconego plecami do drzwi. Pewnie minęła się z nim w korytarzu.

Wyciąga rękę, by wierzchem dłoni dotknąć policzka żony. Whitney odsuwa się od niego. Ale Jacob znowu próbuje, tym razem ona się nie porusza. Włosy przysłaniają jej twarz, zaczynają jej dygotać ramiona. Płacze – pewnie wizyta Blair wytrąciła ją z równowagi. Jacob przesuwa rękę na jej kark i gładzi go kciukiem, ona coraz bardziej zbliża głowę do jego piersi, jak gdyby w końcu przestała się opierać i pozwoliła się pocieszyć. Jego dłoń wślizguje się do wycięcia w bluzce. Wtedy Jacob spogląda w stronę drzwi.

Blair odsuwa się od szyby, ale zanim zdąży odwrócić oczy, zostaje przyłapaną na gapieniu się... na Bena. On wbija wzrok w podłogę i szybko porusza ustami. Mówi coś do Whitney. Jakby w panice. Whitney odwraca się tyłem do niego i do drzwi. Ben przechodzi do drugiej części sali, gdzie Blair nie będzie go widzieć.

Zaskoczona stawia model samolotu na podłodze i kładzie obok kartkę. Nie do końca pojmuje, czego właśnie była świadkiem, ale wie, że dotyczy

to ich wszystkich i z każdą sekundą z coraz większą mocą dociera do niej, co tu się dzieje.

Uderza w przycisk windy, odtwarza w pamięci obraz Bena dotykającego twarzy i szyi Whitney. Intymność tego gestu jest bardziej szokująca niż cielesne wizje, którymi od tygodni się katuje. Znowu łomocze pięścią w guzik i drzwi wreszcie się otwierają. Konsekwencje tego, co widziała, wirują jej w głowie tak szybko, że trudno je wszystkie ogarnąć. Ofiarami są tu Jacob i Rebecca. Nie ona. Klucz nie ma żadnego znaczenia.

Aiden. Aiden miał rację, gdy mówił, jaka jest Whitney. On nie jest ideałem, ale ciągle wybacza jej to, jak go traktuje, bo ją kocha. Nigdy nie odwracał się od rodziny. Nie zrobiłby jej czegoś takiego. Może zerkał, może fantazjował, ale nie głąskałby innej kobiety po twarzy z taką czułością, jaką właśnie widziała. Jest zupełnie inny niż tych dwoje. Po tym, czego przed chwilą była świadkiem, nigdy nie czuła się pewniejsza. Ma ochotę zgiąć się wpół w windzie i płakać z ulgą.

Rozlega się dzwonek. Poziom czwarty, parking.

Chce się znaleźć jak najdalej od tego, co się dzieje w tamtej sali. Od tego wstydu. Od tego ohydneho niesmaku, który pozostał jej w ustach. Wszyscy będą musieli udawać, że w ogóle jej tam nie było.

W samochodzie nie potrafi przekręcić kluczyka. Adrenalina przestała działać i czuje ucisk w piersi. Cała drży. Pochyliła się, z całej siły naciska palcami skronie, a gdy unosi głowę, z jej gardła wyrывa się potworny dźwięk. Tylko raz przekonała się, że jest zdolna wydać z siebie taki wrzask, kiedy wydawała na świat Chloe. Krzyk wypełnia wnętrze samochodu tak długo, jak pozwalają jej płuca, czuje się oderwana od siebie, rozplątana, staje się wszystkim, czym nigdy nie wolno jej być. Echo jej głosu wibruje w niej jeszcze długo po tym, jak przestała go słyszeć.

Spogląda na otaczające ją ciemne i puste samochody. Jest wyczerpana.

Wydaje się, że wszyscy myślą tylko o sobie. Kiedy podjęła jakąś decyzję, kierując się wyłącznie własnymi potrzebami, tylko dlatego, że czegoś chciała? Kiedy postawiła swoje dobro ponad dobro rodziny? Zaryzykowała jej szczęście w imię swojego? Nigdy, bez względu na cenę, jaką musiała za to zapłacić. Nigdy nie była tak samolubna, lekkomyślna ani okrutna. Jest matką. Żoną. Jest dobrym człowiekiem.

Wali pięścią w szybę. Zdarła sobie gardło.

Do dziś ma ofertę wynajmu mieszkania z biura nieruchomości, mimo że od dawna jest nieaktualne. Leży zwinięta w rulon w głębi szuflady ze szpargałami w kuchni. Kilka dni po tym, jak ją otrzymała, miała spotkanie w banku, a potem wizytę u prawnika, w jednej z tych dużych kancelarii, które udzielają dwudziestominutowych porad za darmo. Musiała poznać to uczucie. I co dzień wraca do niego pamięcią. Żeby po prostu wiedzieć.

Ale kim byłaby bez swojego dzisiejszego życia, jeśli nie matką, żoną? Kim jest?

Wydmuchuje nos i sprawdza godzinę. Musi zrobić zakupy na kolację. Potrzebuje jeszcze papierowych worków na zielone odpady z ogrodu, bo jutro będzie odbiór. Te prozaiczne obowiązki nigdy się nie kończą. Bywa, że dni upływają jej tylko na nich. Głęboko oddycha, nadyma policzki i wypuszcza z nich powietrze. Prostuje się. Zapina pas. I wreszcie uruchamia silnik.

ROZDZIAŁ 52

BLAIR

CZTERY MIESIĄCE TEMU

Kiedy zamierza się pani wprowadzić? Pierwszego marca?

Szybko kręci głową. Nie podoba się jej to pytanie, za dużo w nim pewności.

– Nie wyznaczyłam sobie daty. Mogę się dostosować.

Przesuwa palcem po blacie z laminatu i otwiera pustą szafkę z półkami wyłożonymi kwiecistą tapetą. Mieszkała tu samotnie starsza kobieta. Niewykluczone, że również tu umarła. Zastanawia się nad zapełnieniem szafek jedzeniem, jakie tylko ona lubi. Można by się pozbyć kilkunastu przeterminowanych puszek, nieużywanych przypraw, nietkniętych płatków śniadaniowych i paczki starych pianek Marshmallow.

Kładzie dłoń na szybie w oknie głównego pokoju mieszkania, bo tak zwykle się robi. Nie jest pewna, chodzi chyba o sprawdzenie, czy z pomieszczenia nie ucieka ciepło. W ramie okna jest dźwignia, która pozwala na wpuszczenie do środka świeżego powietrza przez szparę szerokości piętnastu centymetrów, mogłaby czuć chłodny powiew przez całą noc, gdyby nie mieszkała z Aidenem. On zawsze się domaga, żeby w sypialni było ciepło.

Prysznic jest zainstalowany nad płytką wanną. Osłania ją przesuwana tafla nieprzezroczystego szkła, a prowadnica jest zapchana czarnym brudem. Z pleśnią da sobie radę. Potrafi wyczyścić lustro. Mogłaby ewentualnie zmienić lampki nad umywalką, bo te pasują raczej do motelu.

Jest tu szafa z zostawionymi wieszakami. Myśli o dorosłych dzieciach, które po śmierci starszej pani być może sprzątały mieszkanie z należących do niej rzeczy. Zdejmuje jeden z wieszaków i wącha, spodziewając się zapachu śmierci. Samotności. Kwiatowych perfum. Ale nic nie czuje.

W tej szafie znalazłyby się jej nowe ubrania, pod spodem czekałby tylko jeden kosz na pranie. Czasem przez cały dzień nosiłaby strój, którego nie zobaczyłby nikt prócz niej.

Spogląda na miejsce, gdzie stanęłoby łóżko, i wygląda na to, że z trudem zmieściłoby się tam podwójne. Świadomość, że taka możliwość mogłaby się spełnić, działa na nią uspokajająco. Zresztą to łóżko i tak jest za małe. Nigdy nie miała miejsca na kogoś nowego w życiu. Czuje się samotna, dojmująco samotna, choć jako matka i żona nie powinna. Ale przecież ta samotność byłaby inna. Dobrowolna i uzasadniona.

Z drugiego pokoju jest lepszy widok, wystarczy, żeby przekonać do tego mieszkania córkę, której życie zamierza wywrócić do góry nogami. Prawie widać stąd nadbrzeże. Prawie zobaczą stąd żaglówki, kiedy robi się cieplej. To prawie tak, jakby wszystko z naszą rodziną było jak dawniej, prawie takie życie, jakiego dla ciebie chciałam, myśli. Kiedy wyobraża sobie Chloe w tym pokoju, popada w cklivość.

– Pani kanapa się tu zmieści? Ma pani składaną? – Agentka z rękami splecionymi z tyłu ciemnozielonego zakietu krąży po pokoju, wbijając w parkiet obcasy botków jak paliki w ziemię.

– Nie wiem, co mam – odpowiada Blair. I mówi prawdę.

Przez twarz agentki przemyka cień litości, jak gdyby była już świadkiem takich sytuacji. Jak gdyby doskonale wiedziała, co Blair tu robi, że nie będzie prowizji, że ta kobieta zwijająca broszurkę w rulon tylko poddaje się próbie. Widać to po tym, jak stoi na środku mieszkania i obraca się jak przestraszone dziecko w tłumie, szukając dorosłego, który ją tu przyprowadził. Poza tym za mało pyta o czynsz. Nie próbuje nawet negocjować.

W windzie obydwie milczą.

– Skontaktuję się z panią – mówi Blair w nijakim holu budynku.

– Oczywiście.

Blair rozgrzewa samochód i czeka, aż puls jej się uspokoi. Czuje się szczęśliwa i wyzwolona, nie pamięta, kiedy ostatni raz tak jej szumiało w głowie. Mogłaby pojechać do banku i założyć własne konto. Skorzystała z darmowego kalkulatora na stronie adwokata specjalizującego się w sprawach rozwodowych, by ocenić, ile Aiden musiałby jej miesięcznie płacić, i mogłoby wystarczyć. Z trudem. Próbuje sobie wyobrazić, że tu mieszka. Są w separacji, sprzedają dom. Martwi się o pieniądze. Jest

samotną matką, pracuje codziennie. Czy to jest wolność? Przypomina sobie, co kilka miesięcy temu powiedziała Whitney, gdy wpadła na kieliszek wina. O matce. I bilecie na autobus, który przez lata chowała w kieszeni. O ucieczce. Nie mogła przestać o tym myśleć. Chciała się przekonać, co się czuje, mając taką możliwość. Wpatruje się w broszurkę, którą ściska w ręce.

Czuje się przede wszystkim głupio. Ogarnia ją olbrzymia tęsknota za przeterminowaną zupą w puszkach w jej szafce kuchennej, za ścinkami zarostu w umywalce, które mąż zostawia po goleniu, za dotykiem pod stopami wykładziny na schodach, której nie cierpi, za odgłosami, kiedy on wraca do domu. Za Chloe leżącą między nimi w łóżku. Za znaną im codziennością. Tak się właśnie dzieje, gdy zaczyna fantazjować o rozstaniu – zawsze wraca. Do bezpiecznego życia na drugim planie.

Wyjmuje z torebki telefon i dzwoni do matki.

Próbuje jeszcze raz. I kolejny. Matka już bardzo rzadko odbiera komórkę. Przynajmniej wtedy, gdy dzwoni Blair, by poinformować ją, co słyhać u Chloe i Aideny i podzielić się wszelkimi nowinami. Nigdy nie próbuje dzwonić pod numer stacjonarny, żeby nie odebrał tato.

Chce już dać za wygraną, gdy słyszy chrząknięcie matki.

– To ja – mówi Blair. Głos więźnie jej w gardle. Z trudem przełyka ślinę.
– Dawno nie dzwoniłam. Chciałam spytać, co u ciebie.

Matka prosi, żeby chwilkę zaczekała, a ona widzi w wyobraźni, jak przemierza dom i wychodzi do ogrodu, żeby jej ojciec nie słyszał rozmowy. Przykłada telefon z powrotem do ucha i wzdycha.

– To było chyba w Święto Dziękczynienia – odzywa się matka, ale nie ma wątpliwości, że córka to wie. Blair spogląda w sufit samochodu i chce jej powiedzieć, że telefon działa w obie strony.

– Hm, tak, byliśmy zajęci. A ja czuję się... trochę nieswojo. – Żałuje tych słów, gdy tylko je wypowiada. Obie czują się ze sobą swobodnie tylko na odległość. Czasem zastanawia się jednak, czy matka ma jej za złe, że ułożyła sobie życie, które wygląda na szczęśliwe. Może udałoby im się ocalić coś między nimi, gdyby zrozumiała, że Blair ma z nią więcej wspólnego, niż jej się wydaje.

– Mhm – bąka matka. – Zawsze bardzo szybko się stresujesz. U Chloe wszystko dobrze?

Blair po chwili wahania informuje ją, że córka pracuje nad swoim pierwszym projektem z przyrody. Że dwa razy w tygodniu chodzą z Aidenem pływać i że uczy się wszystkich stylów.

– W takim razie cieszę się, że wszystko w porządku.

Blair czeka na pytanie, dlaczego czuje się nieswojo. Ale ona już zmieniła temat i opowiada o okazyjnej cenie za bilet na pociąg, którym pojechała do swojej siostry, do jej domu szeregowego, którego zarządca myje zewnętrzne szyby wszystkich okien i zajmuje się roślinami w skrzynkach.

Potem matka mówi, że musi kończyć. Blair wie, że nie potrafi już wymyślić żadnego innego niewinnego tematu do rozmowy. Żadna z nich nie wspomina o ojcu.

Rzuca telefon na fotel obok i patrzy na wysłużone wejście do budynku.

Kiedy wraca do domu, Aiden pyta, gdzie są torby, i przez ułamek sekundy przypuszcza, że mąż wie, gdzie była. Że jest gotów spakować do tych toreb jej rzeczy, a na stole w kuchni będzie leżała duża szara koperta z dokumentami sporządzonymi przez adwokata. Nie będzie mogła dłużej nazywać tego domu swoim, Aidena mężem, a stworzona przez nią rodzina naprawdę się rozpadnie.

– Torby z zakupami – wyjaśnia Aiden, gdy Blair milczy. – Przecież pojechałaś do sklepu, prawda? – Wrzuca coś do ust. Chyba nerkowce. Ostatnie. Czeka, żeby napełniła słoik, uzupełniła zapasy wszystkiego, czego potrzebują.

I choć tej nocy zaśnie z nadzieją, że znajdzie w sobie odwagę, by zmienić się w inną kobietę, silniejszą niż jej matka, to obejmuje go, przekonując się w duchu, że wszystko będzie dobrze. Że te fazy przychodzą i odchodzą, więc niebawem znowu jej przejdzie. Takie życie wystarczy. Aiden sztywnieje; głaszcze ją po plecach. Już się nie całują. Nie pamięta jego pocałunków.

– Zapomniałam portfela – mówi tylko.

ROZDZIAŁ 53

WRZESIEŃ

OGRÓD ZA DOMEM LOVERLYCH

Whitney ma zsunięte do kostek koronkowe majtki i zasłania twarz dłońmi. Mają obcy zapach rąk, które ścisnęła przez całe popołudnie. Odtwarza w pamięci swój powrót do gości sprzed piętnastu minut. Odwracali od niej oczy. Wyraz pogardy na twarzy Jacoba, którego znowu zawiodła. Broni się przed upokorzeniem, ale przegrywa, wstyd pali jej skórę, w uszach ciągle huczy jej z wściekłości. Xavier od niej odskoczył. Skończyła sikać, ale nie może się ruszyć, nie może wyjść z toalety. Opiera łokcie o kolana i wczepia palce we włosy. W jej oczach wzbierają łzy, ale musi ocalić makijaż, zostało jeszcze parę godzin i...

– O cholera, przepraszam – słyszy czyjś głos.

Pospiesznie próbuje się zasłonić. Nie ma zwyczaju zamykania się w łazience we własnym domu. Podciera się, szybko stara się zetrzeć rozmazany tusz pod oczami i ma nadzieję, że kiedy otworzy drzwi, nie będzie już za nimi osoby, która wpakowała się bez pukania do łazienki. Ale jest. To Ben.

– Bardzo cię za to przepraszam, Whitney. Mógłbym oszczędzić sobie wstydu i wrócić do ogrodu, ale wyglądałaś... wszystko w porządku?

Whitney wygładza sukienkę na biodrach i zbywa jego troskę zniecierpliwionym cmoknięciem. Oczywiście, że wszystko w porządku, jak najlepszym, a czy on dobrze się bawi? Ma ochotę na jeszcze jednego drinka? Próbował już miniburgerów? Poprawia bransoletki na przegubie i usiłuje przybrać beztroski wyraz twarzy. Wreszcie Ben nachyla się i powstrzymuje szeroki uśmiech.

– Naprawdę nie stało się nic wielkiego – mówi. – Mniej więcej w tej samej chwili królik magika zaczął trochę świrować. Nie byłaś jedyną

atrakcją.

Whitney osłania oczy.

– O Boże – mamrocze, potem bąka słowa przeprosin, ale oboje się uśmiechają. Odsuwają się na bok, by przepuścić kogoś zmierzającego do toalety. Wtedy przypomina sobie, że tego popołudnia czuła na sobie wzrok Bena. Zanim jeszcze wrzasnęła na Xaviera. Gdy trzymał rękę w tylnej kieszeni spodni Rebekki, na jej pośladku.

– Podobno trenujesz szkolną drużynę softballu? Wiosną Xavier chciałby się do niej dostać, ale nie jest szczególnie uzdolniony sportowo. – Unosi brwi, chce sprawiać wrażenie łagodniejszej niż w rzeczywistości. Ben zachowuje się przy niej trochę nerwowo, a jej się to podoba. Podoba się jej, że na niego działa.

– Chętnie poświęcę mu trochę czasu, zanim zrobi się zimno, poćwiczymy z piłką. Możemy popracować nad jego techniką, zanim zacznie się starać o miejsce w drużynie.

– Byłoby miło z twojej strony. Sport to nie jest mocna strona Jacoba, ale nie mów mu, że to powiedziałam. – Czuje taką potrzebę, więc dodaje: – To dobre dziecko. A ten incydent na górze... to była moja wina.

Łatwiej jej zdobyć się na szczerość wobec niego niż wobec tych kobiet w ogrodzie. Ben kręci głową, bąka, że to zrozumiało, że na pewno nikt o tym nie będzie pamiętał. Patrzą na siebie, patrzą sobie prosto w oczy i Whitney czeka, aż sytuacja zacznie ich krępować.

Myśli o tym, co wiosną powiedziała jej o Xavierze Mara. Zostawiła przed ich domem naręcze pięknych gałązek bzu ze swojego krzewu. Może chciała w ten sposób o sobie przypomnieć. Następnego dnia Whitney wstąpiła na jej werandę, żeby podziękować.

„Przy okazji, gdyby Xavi za bardzo sobie pozwalał i myszkował przy ogrodzeniu, po prostu mu tego zabroń”.

Mara cmoknęła, lekceważąc jej obawy, a kiedy Whitney odwróciła się, żeby opuścić werandę, powiedziała:

„Twój syn przypomina mi małego milczącego chłopca, którego kiedyś znałam. Ma coś takiego w oczach...”

Ugryzła się w język, jakby się zorientowała, że powiedziała za dużo. Nie podniosła wzroku znad aksamitek, kiedy przesuwiała na słońce donicę z terakoty.

Whitney wraca do tego pamięcią, rozmawiając z Benem o swoim chłopcu. Oczy Bena wydają się jej znajome. Są podobne do oczu jej syna. Marze chodziło o smutek? To zobaczyła w oczach Xaviera?

– Na pewno nic ci nie jest? – Dłoń Bena wędruje na jej ramię.

– Już mi lepiej, bo powiedziałaś mi o króliku.

Znowu uśmiechają się do siebie, on ze wzrokiem skierowanym w podłogę, ona patrząc na chłopięcy kosmyk włosów na jego szyi. Żadne z nich nie odchodzi. Żadne nie proponuje, żeby wrócić do ogrodu. Dzięki, że przyszedłeś. Dzięki za zaproszenie.

– Przyjmę twoją propozycję pomocy Xaviemu przy ćwiczeniu rzutów. – Zerka na ogród, gdzie Rebecca prosi barmana o wodę, a Jacob daje magikowi napiwek.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Jeżeli potem mogę liczyć na zimne piwo.

– Może coś mocniejszego. Ale jasne, tak zrobimy.

Wolno kiwają głowami. Uśmiechają się powściągliwie. Potem jego policzki różowieją, rozchylają się usta. Jakby chciał powiedzieć coś jeszcze.

Znacznie później będzie stale wracać do rozmowy z Benem przed drzwiami toalety. Tamtej nocy, gdy nie spała i leżała obok Jacoba, który trzymał na kolanach rozjarzony ekran. Pod prysznicem nazajutrz rano, gdy miała przed sobą bite osiem godzin spotkań. Następnego wieczoru, gdy stała w kuchni po powrocie z pracy, jeszcze w garniturze, i słuchała, jak Xavier miarowo kopał w nogę stołu, siorbiąc z miseczki roztopione lody, a ona czuła na plecach coraz większy ciężar życia, aż wreszcie walnęła dłonią w blat stołu i znowu dała się ponieść wściekłości.

ROZDZIAŁ 54

REBECCA

Z trzaskiem zamyka laptop Bena.

Jej mózg w końcu zaczyna działać na wyższych obrotach. *Wpadnij znowu*, napisała w mejlu Whitney. Ben nigdy nie wspominał, że był u Loverlych na drinku. Wieczorami byli po prostu rodziną, która mieszka naprzeciwko. Wpatruje się w inicjał, którym podpisała wiadomość. *W*. Wydaje się to zbyt intymne. I zbyt poufale jak na kobietę, którą ledwo się zna.

Patrzy na stopy poruszające się po deskach podłogi z białego dębu, jak gdyby należały do kogoś innego. Wraca do otwartych drzwi i zwraca się do Mary po imieniu. Wiedziała o ciąży. I o pozostałych. Czekala przed domem, żeby jej to powiedzieć.

Mara siedzi na schodach przed drzwiami. Nie odwraca się.

– Mówiłam ci, że miałam syna, który umarł. – Mara milknie na chwilę. – Nie powiedziałam tylko, że mogłam temu zapobiec. To była moja wina. I codziennie o tym myślę.

Rebecca kuca obok niej, dotyka jej ramienia.

– Och, daj spokój. To było dawno temu.

Mimo to Mara kładzie dłoń na jej ręce i ją gładzi.

– W takim momencie nie powinnaś słuchać o moich problemach. Chciałam ci tylko powiedzieć, że choćby nie wiadomo jak źle się wszystko układało, znajdziesz w sobie siłę, żeby żyć dalej, nawet się nie spodziewasz, jak wielką. Spotkasz coś na swojej drodze właśnie wtedy, gdy będzie ci potrzebne. – Wskazuje na swoje sfatygowane wsuwane buty na niższym stopniu schodów werandy. – Ale musisz zaczekać. Musisz być cierpliwa.

Poklepuje dłoń Rebekki i z trudem się podnosi. Rebecca ją przytrzymuje. Chce jej podziękować, powiedzieć coś miłego, ale Mara woli tego nie

słuchać. Zeszła już po schodach i wraca do siebie na drugą stronę ulicy, a ona powoli wchodzi do salonu i patrzy na laptop.

Od uczucia ciężkości rozchodzącego się od kości łonowej po kręgosłup robi jej się niedobrze. Skręca się, by umknąć przed tym ciężarem, lecz nie potrafi. Idzie do toalety, zakrywając usta, żeby nie wymiotować, gdy zaczynają nią targać skurcze. Klęka na płytkach i zwiesza głowę nad chłodną krawędzią sedesu. Próbuje złapać ostatni oddech między wątpliwościami a pewnością, ale wtedy jej usta wypełniają się kwaśnym smakiem i przestaje się bronić.

ROZDZIAŁ 55

BLAIR

Po powrocie do domu z zakupami na kolację i papierowymi workami na zielone odpady klęka w ogródku od frontu i próbuje wyrwać odporne korzenie kolczastych chwastów, rozważając w duchu, dlaczego nie zauważyła tego wszystkiego wcześniej. Romansu Whitney z mężem Rebekki, stopnia jej egoizmu. Trudno jej przyznać, jak bardzo ją uwielbiała. Ilu rzeczy zazdrościła jej w życiu. To straszne, że tak bliska przyjaźń jak ich może równie szybko zgasnąć. Koniec jest bolesny, a mimo to zwyczajny. Jej życie bez Whitney niewiele się zmieni, inaczej niż w przypadku, gdyby rozpadło się jej małżeństwo i wszystko wywróciłoby się do góry nogami.

A jednak strata przyjaciółki trafia w bardziej czuły punkt. Dotyka ją osobiście. Jak śmierć. Więż między nimi pozwalała im występować w roli lepszych wersji siebie, a teraz Whitney zabrała tę przestrzeń i wszystko, co w niej było, chociaż nie należało to tylko do niej. Blair całymi garściami wyrzywa zielsko. Dlaczego ona im to zrobiła? Blair będzie za nią tęsknić. Ale Whitney musi się zmierzyć z innymi problemami, myśli, wpychając chwasty do papierowego worka i przełykając ślinę, by pozbyć się guli w gardle. Blair będzie dla niej tylko odpryskiem katastrofy, relacja z nią pójdzie w niepamięć.

Może to i lepiej, jeśli wziąć pod uwagę to, czego się dowiedziała. W tym momencie przypomina sobie o kluczu, który wciąż tkwi w jej kieszeni. O wyjaśnieniu, którego nie usłyszała.

Zerka na zegarek. Niedługo powinna odebrać Chloe ze szkoły. Spogląda na drugą stronę ulicy i widzi, że Jacob rozsunał zasłony od frontu. Kiedy osłania oczy przed słońcem, dostrzega go, jak krząta się po kuchni, może przygotowując coś do jedzenia dla Whitney, żeby zawieźć jej do szpitala. Pewnie już odesłała stamtąd Bena, chociaż nie wygląda na to, by wrócił do domu.

Wie, że powinna tu zostać, z kolanami pograżonymi w ziemi. Nie powinna się już nigdy zbliżyć do domu Loverlych.

Ale nigdy jeszcze nie miała takiego przyływu odwagi.

Myśli o tym, jak Jacob muska palcami talię żony, kiedy go mija. Z jakim naciskiem wypowiada jej imię, jakby mówił o kimś z rodziny królewskiej. Whitney na nic takiego nie zasługuje. Blair może ją tego pozbawić w ciągu jednej krótkiej rozmowy. W dziejach ich przyjaźni szala jeszcze nigdy nie przechyliła się tak bardzo na jej korzyść. Nigdy nie czuła takiej władzy.

Wstając z ziemi w ogródku, widzi nadarżającą się okazję. Zdejmuje rękawiczki i po chwili uświadamia sobie, że idzie podjazdem przed domem Jacoba na nogach, które lada chwila mogą odmówić jej posłuszeństwa.

Otwiera drzwi i ją przytula. Czuje na jego szyi aromat drzewa sandałowego. Kiedy się od niej odsuwa, Blair nie odrywa dłoni od jego ramion.

Gdy się odzywa, w uszach rozbrzmiewa jej echo własnego głosu. Mówi, że jej przykro, że nie może uwierzyć w to, co się stało. Pyta, jak dzisiaj miewa się Xavier, jak szpital określa jego stan, jak gdyby w ogóle tego dnia tam nie zaglądała. Jacob mówi jej o drganiu powiek, o zauważonych drobnych, nieznaczących ruchach. Że to może być dobry znak albo złudna nadzieja. Że zaplanowano operację. Właśnie zobaczył się z Theą i Sebastianem, ale zamierza wrócić do szpitala. Odkąd odebrał telefon, nie zmrużył oka. Whitney nie chce nic jeść.

Blair myśli jednak tylko o tym, co zaraz padnie z jej ust:

Mam ci coś do powiedzenia i wiem, że to nie jest odpowiedni moment...

To tylko z szacunku dla ciebie i chyba powinienes wiedzieć...

Mam nadzieję, że mi to wybaczysz, Jacob, ale nie mogę tego przed tobą ukrywać...

Proste. Jak skok do zimnego jeziora. Zrób to i się nie zastanawiaj, tak poradziłaby Chloe. Policz do trzech i skacz. Niech się wszyscy dziwią, co potrafisz.

Otwiera usta, przerywa mu, mówi głosem, który brzmi jak cudzy.

– Jacob, muszę... Jest coś...

Znowu kładzie jej dłoń na ramieniu. Ścisną. Blair myśli o tym, jak grzebała w jego najbardziej prywatnych rzeczach, przykładała do nosa jego majtki.

– Wiem. Powinniśmy pogadać – mówi. Jego twarz oblewa się rumieńcem.
– Nie chciałem, żeby musiało dojść do tej rozmowy. Przykro mi. Policji to chyba wystarczyło, ale ludzie mogą ci zadawać pytania. I będą krążyć plotki. A my chcielibyśmy mieć nadzieję, że, hm... wyjaśnisz różne wątpliwości.

Blair kiwa głową, bo Jacob chce, by rozumiała, o co mu chodzi, bez konieczności wypowiedzenia tych słów. Nie bardzo jednak wie, co on ma na myśli. Najwyraźniej czuje się nieswojo. Czyżby w tej sprawie węszyła policja? Whitney przyznała się do czegoś? Zobaczyli rozbity kubek i rozlaną kawę w pokoju Xaviera? Albo gorzej, rozmawiali ze szkołą i dowiedzieli się o incydencie z udziałem Chloe? Na pewno to zrobią – to tylko kwestia czasu, o ile w plotkach nie pojawią się poważniejsze podejrzenia.

Wciąż ściska jej ramię.

Blair bąka coś – oczywiście, nie ma potrzeby o tym wspominać. Zawsze mogą na nią liczyć. Próbuje się uśmiechnąć. Jacob pochyla się, by znowu ją przytulić, a ona czuje, jak jego dłoń wolno sunie po jej plecach, w miejscu, gdzie jest zapięcie biustonosza. Myśli o tamtej chwili, gdy dotykała się w jego łóżku na górze. Przypomina sobie dłoń Bena głaszczącą szyję Whitney w szpitalu.

– Jak Chloe przyjęła tę wiadomość?

Odsuwa się, by sprawdzić, jaką ma minę. Zaakcentował imię Chloe? Zdawało jej się?

– Wszystko z nią w porządku... To znaczy, oczywiście jest bardzo przybita. Podrzuciłam do szpitala kartkę, którą napisała. Dzisiaj rano.

– Aha. – Wygląda na zaskoczonego, a ona przypomina sobie, że z tego, co wcześniej mówiła, wynikało, że nie była dzisiaj w szpitalu. – Musieliśmy się minąć.

– Pewnie tak. – Wzrusza ramionami, chociaż ma wrażenie, że o ułamek sekundy za późno.

– To grzeczna dziewczynka. Jego najlepsza przyjaciółka. – Kiwa głową z poważną miną. Zbyt poważną. Na twarzy wciąż ma rumieniec.

Blair wydaje się, że potrafi czytać w jej myślach, więc chce się wyrwać z jego mocy. Nie umie odnaleźć w sobie tej brawury, która ją tu przywiodła; ma wręcz poczucie jakiegoś zagrożenia. Czyżby to rzeczywiście było zagrożenie? Jacob wie, jak Chloe potraktowała jego syna?

Ogarnia ją fala ulgi, że utrzymała język za zębami. To, co wie o Whitney i Benie, może zyskać na wartości, jeżeli na razie zachowa to dla siebie. Na wypadek gdyby musiała chronić własną rodzinę przed plotkami.

Wolnym krokiem przecina ulicę i wraca do domu, starając się zrozumieć, co Jacob właśnie zrobił. I odgadnąć, co jeszcze wie. Jego żona popełniła zgubne w skutkach błędy. Może na swój sposób jest równie słaby jak ona. Czuje na sobie wzrok Mary, który odprowadza ją do samych drzwi, nawet gdy Jacob woła do starszej kobiety i biegnie przez ogród w stronę jej posesji.

Wyjmuje z torebki telefon, otwiera czat grupowy matek ze szkoły i zaczyna pisać.

Nie jestem pewna, czy wiecie. U Loverlych zdarzył się wypadek.

Czyta tekst. Kasuje ostatnie zdanie. Pisze jeszcze raz.

Zdarzył się incydent z udziałem Whitney i jej syna. Dam wam znać, kiedy dowiem się czegoś więcej. Wszyscy jesteście wstrząśnięci, zwłaszcza Chloe.

Wciska WYŚLIJ i wraca do chwastów.

ROZDZIAŁ 56

WHITNEY

SZPITAL

Denerwuje się aż do powrotu Jacoba. Mąż podchodzi do niej od tyłu i przytula policzek do jej twarzy w miejscu, którego wcześniej dotykał Ben. Whitney zastanawia się, czy tak jak ona czuje zapach Bena w sali. Zaciska powieki i czeka, żeby zauważył jakąś zmianę, by rzucił jakąś niewinną uwagę, która zacznie kiełkować i rosnąć w jego głowie, dopóki wszystko, co mu zrobiła, nie stanie się jasne. Zastanawia się, kiedy Jacob oderwie jej dłonie od twarzy i w końcu powie: Popatrz na mnie, musisz być ze mną szczerą.

On jednak mówi do Xaviera, jak gdyby chłopiec go słyszał. I może naprawdę słyszy. Przemawia czułym głosem jak ze snu. Wkłada mu do ręki mały zabawkowy samolot. Mówi mu, że Thea i Sebastian bardzo za nim tęsknią. I że bardzo chcą z nim pobiegać pod zraszczem, kiedy wróci do domu. Ale słowa sprawiają ból. Nadzieja sprawia ból i Whitney wie, że oboje to czują.

Odwraca się do niej. Kim jest w jego oczach? Do czego jego zdaniem jest zdolna? Chce mu powiedzieć, że nigdy w życiu nie próbowałyby mu odcinać tlenu. Chciała się tylko przekonać, jakie to uczucie. Jakie to by było uczucie. Jak człowiek stojący na gzymsie wysoko nad ulicą. Z wysuniętymi naprzód stopami. Patrzący w dół.

Jacob mówi jej tylko, że jeszcze raz spotkał się z chirurgiem. Postanowili zaczekać z procedurą do jutra. Takiego używa słowa, „procedura”. Jak gdyby zamierzali coś przyciąć, docisnąć albo wyregulować. Ale oni otworzą mu czaszkę. Usuną mu kawałek ciała. Blok operacyjny został zarezerwowany z samego rana. Muszą podpisać formularze zgody.

Nie chce, żeby mówił coś więcej. Nie jest w stanie myśleć o jego odsłoniętym mózgu. Ostrzu narzędzia chirurgicznego. Przecież tam jest wszystko, jego myśli, uczucia, osobowość. To mózg decyduje o tym, kim jest, kogo tak bardzo chciała zmienić. Teraz jednak chce ich odegnąć, oderwać ich ręce od jego ciała, chce, żeby wszyscy dali jej synowi spokój. Jeśli ma umrzeć, to niech nie umiera w ich rękach, otwarty i dźgany narzędziami.

Mogą na przykład popełnić błąd. Wystarczy nieostrożny ruch ręki. Który uszkodzi pamięć Xaviera. Wtedy wszystko ujdzie jej na sucho. Nikt się nie dowie, co zrobiła. Kim jest.

To tylko mikroskopijny przebłysk wspomnienia, ale ohydny.

Jacob podciąga ją z krzesła, mówi jej, że nie może tak długo nie spać, chce stanąć razem z nią, kołysać się z nią, chce, żeby coś do siebie czuli. Whitney myśli o wszystkim, o czym on nie wie. Wcześniej nie uważała tego za kłamstwa. To były prywatne decyzje i miała prawo je podejmować, bo zaspokajały jej wewnętrzną potrzebę, inną niż potrzeby Jacoba. Życie, jakie ma, w zupełności mu wystarczało; dobrze sobie z nim radził. Ale ona nie, ona chciała czegoś więcej. Czuć na ciele spojrzenie innych oczu. Podniecenie utwierdzało ją w przekonaniu, że nie jest taka jak inne matki. Inne matki nie mogą nic takiego robić.

Wzięła na siebie odpowiedzialność za to, by nigdy się nie dowiedział. Wszystkie te środki ostrożności, zasady, które sobie narzucała, przypominały reguły bezpieczeństwa, jakich należało przestrzegać, kiedy wypływało się żaglówką; owszem, łódź może się wywrócić, to zawsze możliwe przy niespodziewanej zmianie wiatru, ale prawdopodobnie da się tego uniknąć, jeżeli żeglarz wie, co robić.

Potem za każdym razem była lepszą matką. Może czasem to odczuli? Że bywały dni, kiedy bardziej się cieszyła na ich widok? Jeżeli tego potrzebowała, tego jedyne drobiazgu, to chyba jednak można jej wybaczyć?

Nie teraz.

Kiedy stoją w szpitalnej sali, dotykając się czołami, a on wsuwa palce w jej włosy, to pragnienie, ta jej żarłoczna potrzeba wydaje się czymś okropnym.

– Przetrywamy to, Whit. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Jesteśmy sobie potrzebni.

Powtarza jej to. Bez końca. Jak gdyby wiedział wszystko i próbował przekonać do tego ich oboje. Ściska jej głowę. A potem zsuwa dłoń na szyję. Whitney z trudem przełyka ślinę.

Przychodzi jej to na myśl. Że mógłby ją udusić. Może wie, że na to zasługuje. Trzyma tam dłoń, lekko wbijając palce w skórę. Ona stara się nie kaszleć. Czuje, jak Jacob zaczyna płakać.

ROZDZIAŁ 57

MARA

Telefon nie przestaje dzwonić, a jego jazgotliwy terkot rozdziera ciszę w domu i za każdym razem brzmi coraz bardziej irytująco. Przez cały dzień Mara krąży między kuchnią a werandą, zastanawiając się, jak długo będzie mogła unikać spraw, którymi powinna się zająć. Ciałem. Telefonami do Lizbony. Dochodzi trzecia po południu. Od śmierci Alberta minął prawie cały dzień.

Boi się, że nie potrafi zrobić nic racjonalnego. Może nie powinna była wtykać nosa w cudze sprawy, zwłaszcza teraz, po tym, co się stało z Xavierem.

Zna to uczucie.

Gdy pocieszała Rebeccę, że znajdzie nieoczekiwanie wielką nadzieję, pamiętała, że musi jeszcze zajrzeć do ogrodu. Przeszukać krzaki i sprawdzić, co tam jest. Jacob wrócił trochę za wcześnie. Miał spoczone czoło. Wyglądał na wykończonego.

– Słyszałaś coś? – pytał. – W nocy ze środy na czwartek?

– Słyszałam? Co miałabym słyszeć?

– Nie wiem. – Spojrzał w okno jej kuchni i przechylił głowę, jakby próbował zajrzeć do wnętrza domu w poszukiwaniu Alberta. – A twój mąż? Może nie spał około północy? Możesz go spytać?

– Oboje spaliśmy – odparła. I na tym się skończyło.

Miała już za dużo na sumieniu.

Przyglądała się, jak Blair jakąś godzinę temu wypełniła chwastami dwa wielkie worki na zielone odpady. Wyrывała każdy z ziemi, jakby ciągnęła linkę starego silnika, który nie chce odpalić. Od czasu do czasu przerywała i wpatrywała się w ziemię z łokciami na kolanach.

Mara mogłaby pójść do Blair na pogawędkę, która otworzyłaby jej oczy. Przynieść garść tulipanów papuzich z ogrodu za domem i spytać uprzejmie,

czy mogłaby jej poświęcić kilka minut.

Dziś już i tak za bardzo mieszała się w nie swoje sprawy.

Do Rebekki miała jednak słabość. Nie powinna odpuszczać wszystkim innym kosztem godności Rebekki. Zasługiwała na to, by poznać prawdę. To jedyna osoba, która patrzy na Marę i pod maską jej wieku, który odciska się na twarzy, widzi kobietę, kogoś niewiele różniącego się od reszty. To ze względu na Rebeccę nie zniknęła jeszcze zupełnie z Harlow Street. Przypuszcza, że będzie pierwszą osobą, która zwróci uwagę na nieobecność Alberta. Pewnego dnia wejdzie na werandę, żeby pogadać, wskaże na dom i spyta: A tak w ogóle, to jak on się miewa? Czy nie wyjechał na jakiś czas z miasta? Może to będzie w przyszłym tygodniu. Albo w przyszłym miesiącu.

Może byłoby lepiej, gdyby siedziała na tej werandzie jeszcze tyle miesięcy, ile trzeba, i obserwowała, jak wszystko się rozsypuje. Bez jej ingerencji w życie tych kobiet. Tak czy inaczej, niedługo na ulicy znowu wyrosną tabliczki z informacją o sprzedaży nieruchomości.

Wchodzi do domu i opiera się plecami o drzwi. Nie mogła się przygotować na sytuację, kiedy zostanie sama. Tylko ona. Jedyna osoba, która pamięta, kim byli razem, we trójkę. Jedyna, która co dzień myśli o Marcusie. Która czuła jego ciężar na kolanach. Prawdziwy i namacalny. Kiedy odejdzie, on też zniknie, i tylko z tego powodu co dzień rano odczuwa ulgę, gdy otwiera oczy i widzi dekoracyjny stiuk na suficie w swojej sypialni.

Miał szesnaście lat, gdy w połowie lat siedemdziesiątych kupiła wreszcie dwa bilety na samolot. Postanowiła znowu spróbować. Przez te lata co miesiąc odkładała drobną kwotę z pieniędzy, które dostawała od Alberta, oszczędzała na zakupach spożywczych i kłamała, że coś się zepsuło w domu, a potem chowała sumę przeznaczoną na naprawę. Albertowi powiedziała, że za bilety zapłaciła jego cioteczka babka. Nie wiadomo, czy uwierzył, w każdym razie nie kwestionował tego. Nie musieli rozmawiać o tym, czy będzie im towarzyszył w tej podróży – wiedziała, że zostanie w domu.

Marcus miał już wtedy całą półkę książek o samolotach. Podręcznik pilota, który znaleźli w jakimś antykwariacie, zbiór informacji o ruchu

lotniczym i książkę *Drzątek i stery, czyli objaśnienie sztuki latania*. Chciała, by w końcu przekonał się, jakie to uczucie znaleźć się w prawdziwym samolocie. Chciała, żeby choć raz opuścił Harlow Street. I uwolnił się od przygniatającego towarzystwa Alberta.

Znowu snuła fantazje, jak będzie się przyglądać Marcusowi chłonącemu szczegóły lotniska, widok samolotów powoli kołujących w kierunku terminalu, elegancko ubranych członków załogi biegnących w kierunku swojego wyjścia, urządzeń sterujących w kokpicie, które przed startem migną mu za głowami pilotów. Chciała zobaczyć, jak rozjaśnia mu się twarz i jak rozsadza go radość. Wtedy już niewiele go interesowało, ale tacy są nastolatkwie. W tej podróży miało być inaczej.

Utrzymała ją w tajemnicy aż do wieczoru przed wylotem, gdy pokazała mu bilety. Uważnie przyjrzał się kartonikom. Złapała go za ramiona.

– Zrobimy to! W końcu to zrobimy! Całe sześć godzin w powietrzu. Zatrzymamy się na dwa tygodnie u mojej rodziny. – Pokazała na numery miejsc. – 22A i 22B. Będziesz siedział przy oknie.

Przygryzł wewnętrzną stronę policzka i położył bilety na nocnej szafce.

– Marcus. To kosztowało bardzo dużo pieniędzy. Uwielbiasz samoloty. Obiecuję, że podróż ci się spodoba. Tak robią podobne rodziny jak nasza. Latają do miejsc, skąd pochodzą, spotykają się z kuzynami i dziadkami. Musimy lecieć, jesteśmy z tym mocno spóźnieni. Proszę cię, nie utrudniaj mi tego.

Pożałowała ostrego tonu. Powinna się hamować. Oboje myśleli o tym, co się stało, gdy poprzednim razem planowali wyjazd. Jak wszystko się potem zmieniło. Ale nie prosiła syna o wiele. A w głębi duszy uważała, że zasługuje na to, by przynajmniej raz zrobili to, co jej sprawi przyjemność. Nie widziała nikogo z kraju od prawie siedemnastu lat. Chciała, by jej rodzina poznała Marcusa. Także rodzina Alberta, chociaż on nie zamierzał uczestniczyć w tych planach. Uprzedzał ją, że ta podróż to zły pomysł, że Marcus nie poradzi sobie za dobrze w nowym miejscu, w domach pełnych obcych ludzi, w chaosie panującym na lotnisku. Jak gdyby miał jakiegokolwiek pojęcie, co jest dobre dla ich chłopca.

Pocałowała syna na dobranoc i dokończyła pakowania na górze.

Rano ubrał się w ładne rzeczy, które mu przygotowała, i usiadł do śniadania, podczas gdy ona upewniała się, czy mają paszporty, i jeszcze raz

przejrzała plan podróży. Albert wyszedł do pracy wcześniej niż zwykle.

– Cieszysz się, że polecisz samolotem, Marcus? – Nie chciał na nią spojrzeć. Ale skinął głową. – To dobrze! Ja się nie mogę doczekać. Chodźmy. Na pewno ci się spodoba.

Pocałowała go w głowę i przez chwilę zanurzała wargi w jego kasztanowych włosach. W tym momencie wierzyła, że oboje mogą się poczuć nowymi ludźmi.

Na lotnisku Marcus rozglądał się, idąc kilka kroków za nią. Usiedli i czekali na komunikat o wejściu na pokład samolotu. Przytrzymała mu kolana, by przestał podrygiwać nogami. Nie sposób było powstrzymać tego lęku. Wiedziała, że się uspokoi, gdy zajmą miejsca w samolocie. Gdy wywołano ich lot, trąciła go, żeby poszedł w głąb rękawa. Zwykle miała do niego cierpliwość; to konieczne we wspólnym życiu. Trudno jednak było zachować spokój i opanowanie, kiedy nie radziła sobie ze stresem, ciężką torbą na ramieniu, kolejką ludzi, którą spowolniali, trzymanym w rękach plikiem dokumentów, których starała się nie upuścić. Zależało jej, by cieszył się tą podróżą. Sama też chciała się cieszyć.

– Chodź, Marcus, pospiesz się. – Potrąciła ją para młodych ludzi z bagażem podręcznym, a wtedy bilety, paszporty i jej portfel poleciały na podłogę. Marcus przyglądał się, jak gorączkowo próbuje wszystko pozbierać, podczas gdy kolejka za nimi wciąż się wydłużała. – Marcus, pomóż mi, na litość boską! Nie stój tak!

Poczerwieniała ze wstydu, kiedy stał nad nią. Usłyszała zniecierpliwione cmoknięcie pasażerki, która obeszła ich bokiem. Miała ochotę odesłać tę kobietę do diabła. Wepchnęła wszystko do torby na ramieniu i poprawiła grzywkę, która lepiła jej się do czoła.

– Posłuchaj – syknęła, przytrzymując go mocno za brodę. – Ogarnij się. Idź szybciej i chociaż raz zachowuj się jak przystało na twój wiek. Mam już dość.

Gwałtownym ruchem odsunęła od siebie jego głowę i puściła. Nigdy wcześniej tak nie mówiła – mam dość. Wtedy jednak powiedziała. Gdy podchodziła do wejścia do samolotu, nie oglądając się na niego, na chwilę jej oczy wezbrały łzami. Zdążyła wziąć się w garść, zanim stewardesa powitała ich na pokładzie.

Tuż przed startem usłyszała, jak zmienia się jego oddech, gdy wyjrzał przez okno na płytę lotniska. Poruszył się niespokojnie. Wzięła go za rękę, pogłaskała po palcach. Było jej przykro, że straciła wcześniej cierpliwość, chciała, żeby zaczęli od nowa.

– Zamknij oczy i licz – przypomniała mu. – Wszystko będzie dobrze.

Samolot z łoskotem toczył się po pasie startowym. Usłyszała metaliczny brzęk o oparcie fotela, ale za późno zorientowała się, że odpiął pas. Poczła zapach potu spod jego pachy, gdy wyciągnął rękę, by chwycić się zagłówka fotela pasażera obok niej, siedzącego przy przejściu. Próbował przejść nad nią i uciec z samolotu. Popchnęła go z powrotem na fotel i objęła najmocniej jak umiała. Był już jej wzrostu i miał tyle samo siły. Na twarzy poczuła wilgoć jego koszuli. Serce trzepotało mu się w piersi. Dyszał jej do ucha. Szeptala do niego:

– Wszystko dobrze, Marcus, tylko siedź spokojnie i oddychaj. Nic ci nie grozi. Wiele osób niepokoi się w czasie lotu. To całkiem normalne. – Mężczyzna obok odsunął się od nich. Zapalił papierosa, a potem wsadził nos w gazetę. Mara czuła, że twarz jej płonie.

Marcus dotknął piersi, gdzie lęk często sprawiał mu ból.

– Wiem – zapewniła go. – Za chwilę poczujesz się lepiej. Popatrz. – Pokazała na okno, za którym rozciągała się pod nimi puszysta warstwa białej waty. Miała nieprzeparte wrażenie, że już gdzieś to widziała. I wtedy zdała sobie sprawę, że coś takiego śniło jej się, gdy była z nim w ciąży. Widziała we śnie, że jej macica jest wyścielona takimi chmurami, które właśnie oglądali. A on pływa w jej wnętrzu w idealnym spokoju. I ciszy.

Puściła go i odchyliła się na swoje miejsce. Przymknęła oczy. Szum samolotu działał kojąco na nich oboje. Marcus się uspokoi. Najbardziej stresujący etap podróży mieli już za sobą. Gdy będą podchodzić do lądowania, zobaczą soczyście zielone wybrzeża Lizbony i na pewno mu się to spodoba. Zastanawiała się, kiedy będzie można dostać kawę. I czy Marcus będzie miał ochotę na szklanekę soku pomidorowego.

Nagle poczuła, jak w jej brzuch wbija się pięść. Uszło z niej powietrze.

Łapiąc oddech, widziała, jak syn sztywnieje na swoim fotelu i próbuje się jej złapać. Próbuje jej coś powiedzieć. Drugą ręką szarpał swój kołnierzyk z twarzą wykrzywioną z bólu. Konał. To było serce. Rozpaczliwie zaczerpnęła haust powietrza i wreszcie odzyskała oddech.

– Mój syn! Na pomoc! Coś mu się stało!

Wyciągnięto go do środkowego przejścia na podłogę i zniknął jej z oczu. Przepisnęła się pomiędzy fotelami, krzycząc do niego, popychając po drodze ludzi. Ktoś chwycił ją pod pachy i odciągnął na tył samolotu. Podczas szamotaniny uderzyła głową w róg wózka z napojami. Przytrzymywali ją przy wyjściu ewakuacyjnym z rękami z tyłu i twarzą przyciśniętą do zimnego metalu. Próbowwała przekrzyczeć hałas z głośników, żeby Marcus mógł ją usłyszeć, ale czyjaś dłoń wbiła jej się głębiej w czaszkę.

Kiedy wylądowali w Houston, zabrano ją do szpitala, żeby założyć jej szwy i podać środki uspokajające. Zostawili ją na noc. Przez dwa następne dni nie widziała ciała Marcusa. Powiedzieli jej, że to było serce, że długo nie cierpiał. Prawdopodobnie wcześniejsze schorzenie uaktywnione przez stres. Nie zgodziła się na sekcję zwłok – nie chciała niczego potwierdzać, to nie miało znaczenia. Wiedziała, że go zabiła, każąc mu wsiąść do samolotu. Gdyby posłuchała Alberta, Marcus by żył.

Nazajutrz rano zadzwoniła do domu, żeby mu powiedzieć o śmierci syna. Szlochał. Jego żal wydawał się niezasłużony, ale zawsze wiedziała, że gdzieś głęboko pod okrucieństwem kryje się miłość. Kiedy się rozplakał, odłożyła słuchawkę.

Po wizycie w kostnicy siedziała w motelu w pustej wannie z nożem do steków, ukradzionym z restauracji, gdzie przez dwie godziny gapiała się w talerz z jedzeniem. Długo i intensywnie rozmyślała nad tym, w co wierzy. Istniało niebo i piekło. I istniała nadzieja, a nawet gwarancja, że jeśli pozostanie przy życiu, będzie go widziała, gdy tylko zamknie oczy. Mogła poczuć jego zapach, zanurzając nos w jego poduszce w domu. Mogła przez sen ścisnąć w dłoniach jego plastikowe samoloty. I mogła jeść śniadanie, patrząc na jego puste krzesło, wiedząc, że był kimś dla niej ważnym.

Popołudniowemu słońcu została jeszcze godzina, zanim zniknie za dachem nad drugim piętrem domu Loverlych. Mara przechodzi na przeciwną stronę ulicy, pochyla się i kładzie przed ich drzwiami papierowy samolot.

ROZDZIAŁ 58

REBECCA

Whitney wzdryga się zaskoczona, gdy Rebecca zimną dłonią dotyka jej przedramienia. Przysuwa usta do jej ucha:

– Był tu mój mąż?

Nie odpowiada.

Rebecca każe jej wyjść razem z nią z sali. Fakt, że Whitney posłusznie idzie, jest dla niej wystarczającym potwierdzeniem, że Ben naprawdę tu był. Naprawdę do czegoś między nimi doszło. Adrenalina uśmierza ból w dole pleców. Podpaska między nogami jest już ciężka.

Otwiera drzwi małego, pustego pomieszczenia w głębi korytarza. Whitney się waha.

– Siadaj. Musisz usiąść.

Ona spełnia polecenie. Rebecca drobnymi krokami chodzi tam i z powrotem. Zaciągnęła ją do tego pokoiku, ale nie ma żadnego planu. Chciała zastać tu Bena, by się przekonać, co poczuje na ich widok razem.

– Jak mogłaś pozwolić, żebym cię pocieszała? Trzymała za rękę?

– Rebecca, nie mogę teraz, muszę...

– Nie – przerywa ostro. Odwraca wzrok, a Whitney zaczyna się trząść. Traci syna, ale Rebecca nie ma nic. Jest rozdarta na strzępy. Nie potrafi sformułować pytań, które powinna jej zadać.

Próbuje odtworzyć powody takiego przebiegu zdarzeń, ale nic nie pasuje. Nie ma miejsca na żadne nieporozumienie ani żadne wyjaśnienia. „Nie jesteś już sobą”, powiedział jej rano Ben. Czyli chodzi o nią. Owszem, poronienia ją zmieniły. Dręczy ją obsesyjne pragnienie dziecka. Ale chciał przez to powiedzieć: Nie jesteś taka, jak chcę. Przestałaś mi wystarczać. Byli załamani, ale nie rozsypali się razem.

Rozlega się pukanie i do pokoju zagląda Jacob. Informuje Whitney, że wrócił i przywiózł jej ubranie na zmianę. Wtedy widzi panikę na jej twarzy.

Wchodzi do pokoju.

– Co się dzieje, nic ci nie jest?

Whitney przysuwa się tak blisko Rebekki, że ona czuje jej kwaśny zapach, woń potu spod pach. To kobieta, której dotyka Ben. Wciska ciało w jej ciało. Rebecca ma ochotę wyciągnąć dłoń i też dotknąć Whitney, wyobrazić sobie, co wtedy czuje Ben. Dotknąć jej bluzy. Końcówek jej wypięlegnowanych włosów. Chce obracać w palcach brylantowy kolczyk w płatku jej ucha. W grę wchodzi uczucia, na pewno, ale nie potrafi zrozumieć, jak może być zdolny pokochać kogoś innego. Tę kobietę. Dopada ją fala mdłości. Odwraca twarz, by nie czuć oddechu Whitney, która szepcze jej do ucha:

– Nie rób tego, proszę. Nic mu nie mów.

Whitney, matka trojga dzieci. Jej piersi karmiły. Szyjka macicy rodziła.

– Whit – niecierpliwi się Jacob. – Powiesz mi, o co chodzi?

– Wszystko w porządku, kochanie. Chodźmy. Muszę być przy Xavim.

Whitney odsuwa się o krok od Rebekki, ale nie patrzy na męża. Jej oczy błagalnie spoglądają na Rebecę. Gdy Jacob kładzie dłonie na jej ramionach, w końcu odwraca się i przytula do niego. Energicznie pociera jej ręce, jak gdyby próbował ją rozgrzać i przywrócić do życia.

Rebecca przytrzymuje się oparcia krzesła, by nie stracić równowagi, ponieważ ból się nasila. W kieszeni czuje wibrowanie telefonu i wie, że to Ben.

– Whit – mówi Jacob. – Idź. Spytałem jeszcze Rebecę o operację, a wiem, że nie chcesz słuchać o żadnych szczegółach.

Whitney i Rebecca spoglądają na siebie. Whitney ma w oczach coraz większy strach, ale musi zachować ostrożność. Dlatego kiwa głową i wolno wychodzi z pokoju. Jacob patrzy za nią, aby mieć pewność, że ich nie usłyszy.

– Wiem, że jesteś w trudnym położeniu, masz swój kodeks etyczny jako lekarz. Proszę cię tylko, żebyś dała nam znać, gdyby w związku z tym, co się wydarzyło, wyszło coś jeszcze. Zgoda? Żebyś nas uprzedziła, nic więcej. Jak już mówiłem, tamtej nocy nie mogła zrobić nic złego, mogę cię zapewnić. – Milknie. Z trudem przełyka ślinę. Wyraźnie bardziej niż wczoraj zależy mu na tym, by mu uwierzyła.

– No więc co się wtedy zdarzyło twoim zdaniem, Jacob? Było późno. Powinien już spać. – Wygląda na zszokowanego tym przepytywaniem.

Zaciska szczęki. – O trzeciej nad ranem wiecznie widzę u was światło. Whitney cierpi na bezsenność, prawda? Bierze na to jakieś środki? Łyka tabletki, kiedy pije całą noc? To połączenie naprawdę potrafi namieszać w głowie. I spieprzyć zdolność oceny sytuacji. Policja wie, że w nocy ze środy na czwartek otworzyła sobie butelkę wina? Zostawiła pusty kieliszek w waszym ogrodzie. Ciągłe tam jest. – Prawie nie poznaje samej siebie. Mówi jednak dalej, coraz ostrzejszym tonem: – Zdajesz sobie sprawę, ile macie szczęścia, że jesteście biali i dość zamożni? Nawet wyrobieni pracownicy socjalni potraktują was łagodnie. Kiedy popatrzą na was dwoje, podświadomie nie będą podejrzewać żadnego zaniedbania.

Jacob wpatruje się w nią.

– Dlaczego to robisz?

Ale wtedy w drzwiach znowu pojawia się Whitney. Rebecca milczy.

– Jacob, dlaczego to tak długo trwa? Powinieneś iść ze mną. – Łamie jej się głos. – Proszę cię, chodź.

Rebecca patrzy, jak wychodzą. Kuca, żeby wziąć się w garść. Musi się zastanowić. Znowu wibruje jej telefon. Potem jeszcze raz.

Kiedy oddała się od Jacoba i Whitney, idąc korytarzem w stronę stanowiska pielęgniarek, czuje, jak macica jej się zaciska. Stara się powstrzymać grymas, gdy plecy atakuje ból. Modli się w duchu, żeby krew nie przesiąkła przez spodnie. Żeby nikt nie zauważył kropel wilgoci na jej czole i włosach.

Mogłaby od razu znaleźć pracownicę socjalną, przyznać, że ma wątpliwości co do matki Xaviera, powiedzieć o jej wcześniejszych zachowaniach. Sprawa bardzo szybko zostałaby przekazana wyżej.

Ale spytaliby, dlaczego wcześniej Rebecca nie odezwała się na ten temat ani słowem.

Parę metrów przed sobą dostrzega Leo, który toczy przez korytarz kardiomonitor na kółkach.

Wtedy przypomina sobie, co przed windą mówiła jej doktor Menlo, kiedy weszła do szpitala. Środki usypiające podane Xavierowi przestają działać i zrezygnowali z następnej dawki. Chcą zobaczyć, jak sobie poradzi bez nich. Doktor Menlo nie powiedziała jeszcze o tym rodzicom. Nie chce, by ktokolwiek robił sobie nadzieję – sytuacja może się różnie rozwinąć. Ale ma powody przypuszczać, że są szanse.

– Na to, że może się obudzić – uściśliła Rebecca, łapiąc się poręczą w korytarzu. Wie, że doktor Menlo nie może ujawniać szczegółów.

– Trzymajmy kciuki – usłyszała. – Mam jeszcze kilka przypadków na górze i muszę tam zajrzeć, ale za godzinę wrócę. Zobaczmy, co się stanie.

To miała być chwila, na którą przy jego łóżku czekała Whitney. Chwila, której za żadne skarby nie mogła przeoczyć.

Sprawdza godzinę na zegarku.

Odciąga Leo na bok. Pyta go, czy coś dla niej zrobi.

– Muszę przekazać wiadomość rodzicom Xaviera. Pilną. Są w jego sali.

Pielęgniarka patrzy w podłogę, by skupić się na instrukcjach Rebekki.

Głosem, który dźwięczy jej w uszach, mówi mu, że doktor Menlo nalega, by chwilę odetchnęli, gdy zawiozą Xaviera na następną tomografię. Powinni pojechać do domu, wziąć prysznic i trochę się pozbierać przed jutrzejszą operacją. Zobaczyć się z bliźniakami. Doktor Menlo obiecuje, że zadzwoni, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Prosi Leo, żeby odprowadził ich do windy. Żeby mieć pewność, że naprawdę wyszli. Musi koniecznie tego dopilnować.

– Ale... – Młody człowiek wygląda na zaskoczonego. – Wydawało mi się, że anestezjologia wstrzymuje się z następnymi dawkami leków, nie powinni być wtedy na miejscu?

Rebecca czuje, jak serce jej wali. Przecząco kręci głową i mimo bólu stara się zachować kamienną twarz.

– Wszystko w porządku. – Nic więcej nie dodaje. Czeka, by Leo wyraził wątpliwości, ale on tylko kiwa głową.

Prosi go, jakby po namyśle, aby nie wspominał, że wiadomość pochodzi od niej. Nie chce, by poczuli się urażeni, że nie przyszła do nich osobiście; wpadła do szpitala tylko na krótkie spotkanie i jest już spóźniona. Kładzie dłoń na zegarku.

Nigdy nie dała mu powodu, by wątpił w jej uczciwość. Na wypadek gdyby jednak nie był do końca przekonany, odchodzi, zanim pielęgniarka zdąży otworzyć usta. Po drodze przytrzymuje się poręczą. Ściąga brwi, marszczy czoło. Nie umie już dłużej nad sobą panować.

Ben znowu do niej dzwoni.

Znajduje łazienkę i odrywa podpaszkę, która waży już tyle co futbolówka. Jest jej gorąco, ma lepką skórę, zaczyna dygotać. Siada na sedesie i wyświetla w telefonie fotografię. To zdjęcie Whitney. Zrobiła je, gdy

pierwszy raz przyprowadziła ją, by zobaczyła Xaviera. Kiedy usiadła po drugiej stronie łóżka i poczuła, że powstaje między nimi jakaś więź. To dlatego powiedziała jej o swoich ciążach. Dlatego poszła minionej nocy do ogrodu. W głębi duszy przeczuwała, że chodzi o coś więcej.

Ściera z uda krew i zmienia podpaskę. Postanawia iść do szpitala po drugiej stronie ulicy. Odpowie na ich pytania. Pięć ciąż. Dzieci brak. W rubryce kontaktów alarmowych wpisze numer telefonu matki. Będzie patrzeć na zegar na ścianie, dopóki nie wyczytają jej nazwiska, położy się na łóżku za cienkim niebieskim parawanem, przyciągnie kolana do piersi i będzie się kołysać, by łatwiej znieść ból, nie będzie się łudziła żadną nadzieją, nie będzie się modliła, będzie robiła tylko to, co potrafi. Będzie czekała.

ROZDZIAŁ 59

BLAIR

Aiden i Chloe znowu grają w wisielca przy stole w kuchni. Na kuchence bulgocze sos do spaghetti. Blair siedzi naprzeciwko nich przed otwartym laptopem i czegoś szuka. Przyczyn samobójstw dzieci. Samobójstw błędnie przedstawionych jako wypadki. Artykułów o uczniach szkół podstawowych zadręczonych na śmierć przez kolegów.

Zalewa ją następna fala strachu.

Chloe piszczy uszczęśliwiona wygraną. Aiden potarł ją pięścią po głowie. Wrócił z pracy wcześniej, żeby być z nimi. Jeszcze raz, prosi Chloe, a on się zgadza. Dziewczynka rysuje szubienicę.

Patrzą na siebie i Blair ma wrażenie, że Aiden przytula ją spojrzeniem. Czuje, jak po tym wszystkim, co się stało, ulatuje z niej niechęć do niego. Nic dziwnego, że łagodnieje. Tym razem jest dla niej jedynym pewnym elementem w życiu. Nie chce już widzieć w nim problemu. Musi się wyleczyć z urazy, od której już się uzależniła.

Późnym wieczorem odwróci się do niego i go przeprosi. Powie mu, że nie powinna go podejrzewać o romans, i będą to szczerze słowa. Że chce, aby było między nimi lepiej. Dotknie go pod kołdrą i zaczeka, aż stwardnieje w jej dłoni.

Będzie się z nią drażnił, będzie udawał, że tego nie zauważa, jak ignoruje tyle innych rzeczy, a potem przyciągnie ją do siebie i skubnie zębami jej dolną wargę o smaku pasty do zębów, pocałuje ją w ramię i piersi, które ona zechce zasłonić, i po raz pierwszy od dawna będą uprawiać seks. Powie mu, żeby popieścił ją ustami. I ogarnie ją ulga, że nigdy nie pozwoliła innemu mężczyźnie dotykać się w tych miejscach tak jak jemu.

Blair słyszy trzaśnięcie drzwi samochodu. Zamyka laptop i podchodzi do okna od frontu. Jacob obejmuje Whitney, prowadząc ją powoli do drzwi. Blair już teraz czuje ukłucie tęsknoty; jej serce nie nadąza za świadomym

umysłem i być może nigdy nie będzie mogło dotrzymać mu kroku. Ale między nimi nic już nie będzie takie samo. Dodaje sobie sił głębokim oddechem. Po południu wysłała SMS-a do Rebekki z pytaniem o stan Xaviera, ale nie dostała jeszcze odpowiedzi, co rzadko się zdarza. Patrzy, jak Whitney odsuwa się na bok, robiąc miejsce Jacobowi, który otwiera drzwi, a potem znowu wyciąga do niej rękę. Przez moment stoją w progu, a później prowadzi ją do środka.

Blair myśli o zdradzie, która tli się pod zasłoną tej czułości. O godnym podziwu małżeństwie, które Whitney tak głupio naraziła na katastrofę. I dlaczego? Bo chciała wzbudzić więcej zainteresowania? Bo ktoś lepiej ją pieprzył? Powinna się zorientować, że Whitney jest niebezpieczna. Blair znowu boleśnie odczuwa tę zdradę. Żałuje, że z taką łatwością dała się okłamać. Że tak bardzo zazdrościła im tej miłości.

Zasuwa zasłonę.

Czat grupowy zaczął się wypełniać wiadomościami. Wśród ogólnikowych wyrazów współczucia pojawiły się pytania, co jeszcze Blair wie. Jak z tym wszystkim radzi sobie Whitney. Czy ze względu na charakter „incydentu” i udział dziecka będzie przeprowadzone jakieś rutynowe śledztwo. W komentarzach wyczuwa się ton przypuszczenia, na jaki liczyła. Domysłów co do Whitney. To wiadomości ułożone ostrożnie i z wprawą przez stado sępów. Jak dotąd nikt nie wspomniał o tym, co zaszło z Chloe. Ale Blair czuje ich narastającą ciekawość, która ją denerwuje. Wyłączyła telefon i odłożyła na noc. Nie jest jeszcze pewna, jak później zareaguje.

Wraca do kuchni i pochyla się, by pocałować Aiden w policzek. Przesuwa dłoń po długim kucyku Chloe. Wyczuwa woń perfum Whitney – unosi do nosa nadgarstek. Przy zlewie odkręca gorącą wodę, wylewa na skórę cytrynowy płyn do mycia naczyń i krzywi się z bólu, szorując przegub ostrą szczotką. Tego popołudnia, po wyjściu Jacoba, poszła do domu Loverlych. Ostatni raz.

Kiedy przestąpiła próg, wszystko wydawało się inne. Zimne i martwe. Przystanąła w łazience i raz, a potem drugi prysnęła się perfumami Whitney. Zauważyła, że w miseczce nie ma pierścionka i obrączki.

Ostrożnie weszła po schodach do pokoju Xaviera. Odkąd była tu poprzedniego dnia, niczego nie dotykano – rozlana kawa wyschła na podłodze, okno wciąż było szeroko otwarte, pokój mocno się wyziębił. Energicznie potarła sobie ramiona i wyjrzała do ogrodu, ale wszystko

wyglądało tak jak zawsze. W sąsiednim ogródku zobaczyła Marę, która przeczesywała dłonią krzew hortensji, jak gdyby szukała czegoś konkretnego.

Na ścianie czerniały niechlujne gryzmoły zrobione tuszem. Przesunęła po nich palcami i nagle zauważyła, że pod spodem jest jakiś napis, który chłopiec próbował zamaskować. Przymrużyła oczy, by odczytać litery, i cofnęła się, bo zobaczyła, co Xavier napisał.

Widok tych słów zmroził jej krew w żyłach.

NIE CHCĘ JUŻ BYĆ TWOIM SYNEM

Chloe i Aiden zaczynają rozstrzygającą rozgrywkę wisielca. Blair informuje ich, że zaraz wróci, by nastawić makaron, i idzie na górę do sypialni. Tego popołudnia poszła do Loverlych, aby utwierdzić się w przekonaniu, którego potrzebowała. Ciesz się z życia, które masz. Z dziewczynki, która wciąż chce trzymać cię za rękę. Z męża, który pomógł ci zbudować to życie, z którym stworzyłaś tę ukochaną córkę; który wciąż chce się kłaść z tobą w łóżku i oplata cię nogą pod kołdrą. Bo to wszystko może zniknąć w ułamku sekundy, jeżeli będziesz nieostrożna. Jeżeli przestaniesz się pilnować.

W małżeństwie nie chodzi o miłość; chodzi o dokonywanie wyborów. A ona wybrała tego człowieka i to życie. Tęsknota za czymś, czego nawet nie potrafi sprecyzować, czego nigdy nie znajdzie, wydaje się zwykłą niewdzięcznością. Egoistycznym pragnieniem. Nie może tak dłużej żyć.

Wyjmuje z kieszeni breloczek z kluczem i wrzuca do torby, którą Aiden zabiera na siłownię. Znalazł się zgubiony klucz i tyle. Potem otwiera szufladę w komodzie, wyjmuje skrawek szmaragdowej folii aluminiowej i zabiera go do łazienki. Fragment opakowania wydaje jej się teraz żaloszny, to po prostu zwykły śmieć. Wrzuca go do sedesu i patrzy, jak unosi się na powierzchni wody. Po chwili trójkącik wolno się zanurza jak żagiel wywróconej łódki. Naciska dźwignię spłuczki. Ma dobre życie, szczęśliwe życie. Przestanie sobie wmawiać, że jest inaczej.

ROZDZIAŁ 60

MARA

Patrzy na drugą stronę ulicy, na samolocik z papieru, który zostawiła na werandzie Loverlych, i znowu się zastanawia, w jakim stanie jest Xavier. Czy jeszcze żyje. Czułaby się bardziej odpowiedzialna za to, co się stało, gdyby w środę w nocy nie czuwała do późna, nie mogąc zasnąć z powodu chrapania Alberta, i nie usłyszała hałasu w ogrodzie Loverlych. Zatrzasnęła okno i poszła spać na dół, w dawnym łóżku Marcusa.

Nie spodziewała się, że to ostatnia noc w życiu Alberta.

Latem Xavier przyłączał się do niej, gdy pracowała w ogrodzie. Wczesnym rankiem w każdy czwartek wystawiał głowę nad ogrodzeniem i pytał, czy mógłby pomóc, ale okazało się, że nie bardzo lubi brudzić sobie ręce. Kupiła mu parę dziecięcych rękawic ogrodowych i powiedziała, że jej syn też nie lubił czuć ziemi pod paznokciami. Nigdy wcześniej nie wspominała mu o swoim synu.

Pewnego ranka pod koniec lata Xavier ni stąd, ni zowąd znowu o niego zapytał. Mara powiedziała mu, że odszedł dawno temu.

– Dokąd odszedł?

– Umarł – wyjaśniła. – Umarł, kiedy leciał.

Xavier z zamyśloną miną obwodził palcem krawędzie skrzydeł plastikowego samolotu, który dała mu kilka miesięcy temu, tego samego, który uwielbiał Marcus. Bardzo jej go przypominał. Wyczuła, że Xavier chciał wiedzieć więcej. Leciał, ale jak? Dokąd? Pewnie jednak rozumiał, że nie należy za bardzo wypytywać o nieżyjącego chłopca.

Pierwsze samoloty z papieru znalazła następnego ranka w czwartek, w pierwszym tygodniu szkoły, kiedy nie mógł już przychodzić i patrzeć, jak pracuje w ogrodzie. Był wyjątkowo brzydki dzień, w którym bez przerwy zadawała sobie w myślach to najtrudniejsze pytanie: co by było, gdyby, co

by było, gdyby... I wtedy, patrząc na ziemię, zobaczyła go tuż u swoich stóp.

Później robiła obchód po ogrodzie w każdy czwartek i zbierała papierowe samoloty. Czasem wplątywały się w gałęzie krzewów, czasem docierały pod ogrodzenie z tyłu, padały na trawę z zagiętymi nosami i nasiąkały rosą. Nigdy nie mówiła o tym Albertowi, w obawie by nie powiedział czegoś Loverlym.

Spytала raz Xaviera, czy te samoloty są od niego. Z początku się przestraszył, wiedział, że to wszystko się skończy, jeżeli będzie miał kłopoty z powodu siedzenia nocą w szeroko otwartym oknie i rzucania samolotów do ogrodu starszych państwa.

Przysięgał, że nie od niego, że nie ma pojęcia, o czym Mara mówi. „Och, mniejsza z tym”, mruknęła. A potem zobaczyła, jak powstrzymuje zadowolony uśmiech. Może chciał, by przemknęła jej przez głowę cudownie niemądra myśl, że spadają z nieba.

Uśmiecha się teraz do tego wspomnienia.

Dawno już nie piła żadnego uczciwego drinka. Wyjmuje z szafki kieliszek, a z kredensu w salonie butelkę rumu i kieruje się do sutereny.

Będzie jej brakowało tych papierowych samolotów.

ROZDZIAŁ 61

WHITNEY

Jacob wyłącza silnik na podjeździe, ale oboje zostają w samochodzie.

Zmusił ją do wyjścia ze szpitala, nalegał. Na pewno odetchnął z ulgą, że doktor Menlo kazała jej po raz pierwszy od dwóch dni opuścić tę salę. Chciała, żeby wzięła prysznic. Przespała się i coś zjadła. Zobaczyła resztki dnia na niebie. Ma w sobie tylko pustkę.

Może uznali, że już nie pomaga.

Może lekarka coś wie.

Nie chciała wychodzić, ale bezpieczniej było nie protestować, uciec ze szpitala, gdzie Rebecca w każdej chwili mogła zmienić zdanie. Gdzie znowu mógł się pojawić Ben i jej szukać. Prawie nie oddychała przez ten czas, gdy Rebecca była w pokoju sama z Jacobem. Zsunęła się po ścianie w korytarzu i siedziała na zimnej podłodze z żywicy epoksydowej, patrząc, jak mijają ją liczne nogi. Przewidywała koniec.

Nie wie, dlaczego Rebecca im darowała.

Blair może nie być taka wspaniałomyślna.

Nieskalana, cnotliwa Blair. Niedościgniony wzór dla Whitney – typ matki, jaką pragnęła być i jaką chciałyby się nauczyć naśladować. Powinna się zorientować, że ta próba jest skazana na niepowodzenie. Mimo najlepszych chęci Blair przed nikim tak bardzo nie wstydzi się stylu swojego macierzyństwa. Nikt nie oceniłby jej bardziej surowo, gdyby znał prawdę o nocy ze środy na czwartek. Ledwie mogła oddychać, gdy przyjaciółka znalazła się w szpitalnej sali obok niej. Sama jej obecność przygniotła Whitney ogromem winy.

„Spokojnie, kurwa, załatwię to”, syknęła do Bena, gdy się zorientowali, że Blair zobaczyła ich razem. „Opanuj się i wyjdź, zanim wróci Jacob”. Nie wiedziała jednak, jak sobie z tym poradzić. Paraliżował ją wstyd. Nigdy nie

odzyska Blair, to wiedziała od razu. Traciła wszystkich. Po kolei. Musiała się nad tym zastanowić.

Nie zachodziła w głowę, skąd Blair wzięła ten klucz. I co jeszcze może wiedzieć.

Miesiąc temu Whitney zatrzymała samochód na podjeździe w tym samym momencie, kiedy przed domem sąsiadów zaparkowała czerwona honda. W lusterku zauważyła, że wóz zatrzymał się gwałtownie. Kierowca przełączył skrzynię na położenie postojowe, zanim jeszcze zdjął nogę z gazu. Wskoczyła z niego blondynka w obcisłych dżinsach i kusym T-shircie, może trzydziestoletnia, zatrzasnęła drzwi. Stała zwrócona twarzą do domu Blair. Whitney obserwowała ją w lusterku i uznała, że kobieta się jej nie podoba. Nie wyglądała na kogoś, kogo jej przyjaciółka mogłaby znać.

Whitney wysiadła z samochodu i szybkim krokiem ruszyła w stronę blondynki zbliżającej się do domu Blair. Zawołała do niej najciszej jak mogła, aby Blair nie usłyszała zza drzwi.

– Halo, halo! Mogę w czymś pomóc? – Kobieta się odwróciła i Whitney dostrzegła jej zdenerwowanie. Jak gdyby miała zrobić coś, czego się bała. Podeszła bliżej. Zobaczyła, że białka jej oczu są zbyt różowe, policzki za bardzo zarumienione. – Pytam, czy mogę w czymś pomóc.

– Przyszłam oddać coś dupkowi, który tu mieszka.

Whitney od razu się domyśliła.

– Ma pani na myśli Aiden?

Kobieta nieco wysunęła szczękę. Zastanawiała się. Nie wiedziała, ile może powiedzieć, a mięśnie jej ramion wyraźnie zeszywniały. Była napięta i błyszcząca. Sięgnęła do torebki i wyjęła parę ciemnych okularów, ale grzebała dalej w poszukiwaniu czegoś innego. Whitney natychmiast rozpoznała ramki. Kanciaste, szylkretowe w brzoskwiniowe cętki. Kobieta była na sąsiedzkim grillu we wrześniu. To ta dziewczyna kolegi Jacoba ze studiów.

Przypomniała sobie, jak usłyszała jej rozmowę z Aidenem na przyjęciu, gdy Blair była w środku i pomagała sprzątać. Pamiętała, jak bezwstydnie Aiden flirtował, jak kobieta odrobinę za długo przytrzymała się jego ramienia. Słyszała, jak mówi jej, w którym biurówcu w centrum pracuje. Że po pracy często wpada na drinka do pubu na parterze tego samego budynku.

Whitney się to nie spodobało. Chciała nawet powiedzieć o tym Blair w kuchni pod koniec wieczoru, gdy wychodziła z Aidenem i Chloe. Słuchaj, nie chcę cię denerwować, nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty. Ale na twoim miejscu wolałabym wiedzieć.

Nie powiedziała jej. Bo to była Blair. Nie chciała wiedzieć. Tamto popołudnie przypominało Whitney, jak ogromne znaczenie w jej życiu ma ich przyjaźń. Nie mogłaby zaryzykować tego, co ich łączyło, i włożyć Blair do rąk bombę, której sobie nie życzyła.

Kobieta wydobyla z torebki mieszek z różowego atłasu i wyciągnęła z niego klucz z inicjałami Aiden na breloczku. Whitney zerknęła na okno od frontu, by sprawdzić, czy przyjaciółka nie wygląda spomiędzy zasłon. Nigdzie nie zauważyła samochodu Aiden. Uznała, że ta kobieta musi zniknąć, zanim Blair je zauważy i otworzy drzwi.

– Proszę mi to dać. Zwróć mu – powiedziała. Kobieta utkwiała wzrok w jej otwartą dłoń. – Klucz. Niech mi go pani da. I odjedzie.

Blondynka wyglądała na zaskoczoną. Po chwili rzuciła jeszcze jedno wściekłe spojrzenie w stronę domu. Wsunęła klucz z powrotem do woreczka. Z wyrazu jej twarzy Whitney wyczytała, że dokładnie wyobrażała sobie scenę, która miała się rozegrać, realizację fantazji o zemście, którą snuła od wielu tygodni. Na progu staje zaniedbana żona, a jej urok i uprzejmość szybko przeradzają się w strach.

– Nie rób tego. Możesz mi wierzyć. Inaczej postaram się, żebyś tego pożałowała.

Kobieta patrzyła na jej dłoń chyba przez całą minutę. Wreszcie położyła na niej różowy mieszek z kluczem. Zacisnęła wargi. Być może wahała się przez chwilę, myśląc, czy nie zabrać klucza z powrotem, woreczek już jednak tkwił w kieszeni żakietu Whitney.

– A teraz wypierdalaj. I nigdy tu nie wracaj.

Kiedy odjeżdżała, Whitney zauważyła na werandzie Marę, która odprowadzała wzrokiem hondę. Spojrzały na siebie, po czym weszła do domu z mocno bijącym sercem. Poczula zapach ugotowanego przez Louise curry z soczewicy, usłyszała piski trojga dzieci, które bawiły się z nią na górze w chowanego. Podeszła prosto do kuchenki i uniosła pokrywkę, by sprawdzić, ile zostało w garnku; wszyscy już jedli. Pomieszała łyżką resztki, przekonując się w duchu, że postąpiła słusznie. Czy Blair coś podejrzewała? W milczeniu gryzła się tą historią? Miała ochotę od razu tam

iść i ją przytulić. Whitney nie chciała poznawać tego sekretu, ale już się stało, a przyjaciółka poczułaby się upokorzona, gdyby się dowiedziała, że ona wie. Gdyby Blair kiedykolwiek to odkryła, wolałaby załatwić sprawę po cichu. Whitney postanowiła więc, że nie piśnie ani słowa. Jak na grillu we wrześniu, z szacunku dla niej udawałaby, że nic się nie stało.

Rzecz komplikowała jeszcze jedna kwestia. Jej hipokryzja, kiedy przejmowała się losem najlepszej przyjaciółki, a Aiden budził w niej niesmak.

Dalej się niepokoiła. I rozmyślała.

Usłyszała kroki Jacoba schodzącego po schodach. Poczowała dotyk jego ust.

– Mogę cię o coś zapytać? Chodzi o tę dziewczynę Jamiego, z którą przyszedł wtedy na grilla. Spotyka się z nią jeszcze?

– Zerwali jakiś czas temu. Podobno nie była materiałem na poważny związek. – Odsunął się od niej. – Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Zdawało mi się po prostu, że parę dni temu widziałam ją w windzie w biurze.

Skinął głową. Ale nie odpowiedział.

– Ma chyba czerwoną hondę – naciskała Whitney. – Nie widziałeś jej w naszej okolicy?

Unióśł brwi. Wzruszył ramionami. Pokręcił głową. Mógłby się zdziwić: skąd mam wiedzieć, czym jeździ? Po co miałaby tu zaglądać? Ale on odwrócił się, by wyjść z pokoju, a ona wiedziała, że o czymś jej nie mówi. Może też wiedział o Aidenie. Nie powiedziała jednak nic więcej; już i tak posunęła się za daleko. Nie chciała, by w powietrzu zawisło to słowo – „romans”.

Odłamki śmigły wokół nich, zagrożenie czaiło się w domach pod nogami, czyhało między nimi w łózkach, gdy spali. Najbardziej zdradzieckie – i przykre – były te kawałki żelastwa, ich świst, gdy się zbliżały, ciężar ich uderzeń. Życie w każdej chwili mogło eksplodować.

Nie, nie będzie o tym wspominać ani Jacobowi, ani Blair.

Tak często wymieniano się tym, co pozostaje niewypowiedziane. Co chroni się przed innymi.

Wtedy myślała o tym właśnie w taki sposób. Mogła nosić to w sobie, rozdzielone na odrębne części, jak kolację dla swoich wybrednych dzieci,

które nie pozwalały, by różne rodzaje jedzenia dotykały się na talerzu.

ROZDZIAŁ 62

REBECCA

Kiedy wchodzi na oddział ratunkowy naprzeciwko szpitala dziecięcego, pierwszą osobą, którą widzi, jest Ben. Wstaje z krzesła w poczekalni. Rebecca zauważa jego niepewność, uniesione brwi, rozluźnioną szczękę, które mają mu nadać niewinny wygląd. Jak gdyby nie miał za co przeproszać prócz tego, że zostawił ją samą w kuchni, choć powinien zostać. Powinien położyć dłonie na wypukłości skrywającej ich dziecko i powiedzieć, że chce ich obojga.

Mija go, podchodzi do rejestracji i w torebce szuka dokumentu tożsamości. Kiedy kończy formalności w pleksiglasowym okienku – poronienie, tak, jestem pewna, nie, jeszcze nie było dwudziestego tygodnia, żadnych alergii – kładzie się na pierwszym pustym rzędzie krzeseł w poczekalni. Nie może już dłużej mieć otwartych oczu. Z następną falą bólu bierze wdech, po czym z sykiem wypuszcza powietrze przez zaciśnięte zęby. Przez chwilę czuje się lepiej, ale wie, że to się zaraz skończy, zaczyna się ucisk między nogami, a czerwony znak na drzwiach trzy metry od niej oznacza, że toaleta jest zajęta.

– Mara powiedziała mi, że tu będziesz – mówi Ben. Rebecca czuje jego ciężar na siedzisku obok. Czuje jego dłoń na swojej kostce. – Nie powinienem tak wychodzić. Przepraszam.

Ból szybko wraca. Zagłusza go nuceniem, długimi, jednostajnymi dźwiękami.

– Wyszedłem, bo się przestraszyłem, byłem w szoku. Ale gdy tylko mi powiedziałaś, od razu wiedziałem, że chcę tego dziecka.

W odpowiedzi może tylko zachichotać. Delirium. Lekko podryguje nogami, szukając ulgi w różnych rodzajach ruchu. Jakby kołysała płaczące dziecko, to dziecko płaczące za cztery miesiące. Nie otwiera oczu. Nasłuchuje, czekając na szczęk drzwi toalety. Ma wrażenie, że otwiera się

na dole. Wie, że powinna iść na ocenę stanu, powiedzieć pielęgniarce, że potrzebuje łóżka, ale teraz nie ma dla niej znaczenia, gdzie to się stanie, nie ma znaczenia, że kucnie na podłodze w poczekalni, a siedem siedzących tu osób odwróci się, by nie patrzeć na to, co z niej wyjdzie.

W formularzach w klinice leczenia niepłodności, które każde z nich musiało wypełnić w zeszłym roku, było pytanie: „Dlaczego tak bardzo pani/panu zależy na biologicznych dzieciach?”. Spojrzał wtedy na nią. „Co tu wpisałaś?”. Wzruszyła ramionami, też wpatrując się tępo w pytanie i myśląc, że to nie fair, bo przecież miliony innych rodziców nie muszą formułować na nie odpowiedzi. Żeby zobaczyć, jak ich rysy łączą się w jednej twarzy? Bo to naturalna rzecz, której powinni pragnąć ludzie w wieku reprodukcyjnym? Nigdy nie rozmawiali o tym, dlaczego chcą mieć dziecko, mówili tylko, czy chcą mieć dziecko. Przekreślił tę rubrykę na znak protestu. Spojrzała na jego kwestionariusz i na swoim zrobiła to samo.

Nie chce, by jej tłumaczył, dlaczego ma romans. Wie, że jej obecność przyprawiała go o klaustrofobię. Że po cichu odcinał się od ich wspólnej przyszłości, zrywał ogniwo po ogniewie, bardzo starając się ją przekonać, że jest inaczej. Że w bezsenne noce użalał się nad sobą jak naburmuszone dziecko, które nie może dostać jedynej rzeczy, jakiej chce. Jedynej, jaka mu się należy. I choć Whitney nie mogła mu jej dać, to Rebecca nie ma wątpliwości, że kiedy z nią był, łatwiej było mu dźwigać brzemię bezdzietności. Ona zatruwała mu życie; Whitney działała jak neutralizator. Dzięki niej związek z żoną stawał się znośniejszy.

A może to był czysto zwierzęcy odruch. Pociąg do kobiety, której organy rozrodcze działały. Znalazł matkę, którą mógł pieprzyć.

Jej jęki przybierają na sile. Ból nieubłaganie sunie dalej, siejąc spustoszenie w każdym centymetrze jej pleców. Czuje dotyk rąk, ale to nie są dłonie Bena. Na ręce ma mankiet ciśnieniomierza. Ciężar między nogami wydaje się niebezpieczny, jak gdyby rozmokła papierowa torebka lada chwila miała się rozerwać, a ona wie, co się teraz stanie.

– To koniec – szepcze do Bena. – Więcej już tego nie zrobię.

Kłęka przy jej głowie, bierze ją za rękę, przyciska czoło do jej czoła.

– Nie musimy rezygnować z dziecka – mówi cicho. – Nie musimy tracić nadziei. Myliłem się. Zróbmy to, wróćmy do kliniki...

– Mówię, że to koniec z tobą. Więcej nie zrobię tego z tobą.

Jest zdziwiony. Patrzy na pielęgniarkę, która wraca z termoforem i informuje Rebecę, że za kilka minut zwolni się łóżko.

– Jesteś zdenerwowana, boli cię, zaczekajmy, aż...

– Zaczęłeś ją pieprzyć w listopadzie – przerywa mu. – Kiedy mi powiedziałeś, że wolisz, byśmy przestali się starać o dziecko. To się zmieniło, prawda?

Ben prostuje się i zatrzymuje wzrok na jej brzuchu.

– W ogóle nie rozumiesz, jak bardzo cię Kocham, jak bardzo chcę...

– Jedź do domu i zabierz swoje rzeczy. Zostaw mi samochód i swoje klucze.

Znowu zaciska powieki. Ben milczy. Rebecca zsuwa się z ławki i odzyskuje równowagę na czworakach. Pielęgniarka masuje jej plecy między łopatkami. Mówi, że ją gdzieś zaprowadzi, że zaraz podłączą jej kroplówkę. Chodźmy. Pomaga jej wstać i przytrzymuje ją, prowadząc w stronę sali z łózkami.

Wtedy Rebecca czuje to, na co czekała. Eksplozję siły. Jakby mogła sięgnąć w głąb siebie i pewną, ciepłą dłoń bezpiecznie wyciągnąć na zewnątrz śpiące dziecko. Jakby była matką.

ROZDZIAŁ 63

WHITNEY

Jacob bierze ją za rękę i prowadzi do drzwi domu. Pochyla się, by coś podnieść.

Samolot złożony z arkusza żółtego papieru kancelaryjnego. Między zagięciami pośrodku jest wiadomość napisana starannym, pochyłym pismem.

Jak sobie poradziłam? Nie najgorzej jak na starszą panią.

Będę na ciebie czekać.

Pozdrawiam

Mara

Whitney odwraca się w stronę domu Mary, spodziewając się, że będą tam razem z Albertem jak zwykle wieczorem. Nie ma jednak nikogo. Wszystkie światła są zgaszone.

Wchodzi do wąskiego korytarza i przez kuchnię patrzy na ogród. Uderza ją niezwykła pustka w domu.

Podchodzi bliżej okien z tyłu i widzi trawę.

Znowu wszystko odtwarza się w jej pamięci.

Pacnięcie głowy o ziemię.

Chce biegiem wrócić do samochodu, wskoczyć za kierownicę, popędzić Harlow Street, a potem przez miasto, żeby do niego wrócić. Nie stawać na żadnym czerwonym świetle. Wbiec po schodach na jego piętro, przeskakując po trzy stopnie, aż paliłyby ją uda.

Jacob prowadzi ją do schodów i pomaga jej usiąść na stopniu. Po kolei kładzie wszystkie rzeczy na kuchennym blacie – torbę, zegarek, klucze. Papierowy samolocik. Porusza się w przemyślany, metodyczny sposób. Opróżnia kieszenie.

– Ach, prawda. Zapomniałem, że wziąłem to ze sobą do szpitala. – Otwiera dłoń. Jej pierścionek i obrączka. – Nie miałaś ich na ręce w środę w nocy.

To nie jest pytanie. Nie pyta dlaczego. Serce tłucze jej się w piersi. Jacob powoli nalewa wodę do dwóch szklanek. Podaje jej jedną i oboje patrzą, jak drży jej dłoń, gdy sięga po wodę.

– Posłuchaj – mówi Jacob. – Myślałem o tym, co wczoraj mówiła mi przez telefon Louisa. Że w środę Xavi był przybity, bo w szkole Chloe zachowała się wobec niego wrednie. Pamiętasz, mówiłem ci o tym dzisiaj po południu.

Whitney pamięta, chociaż nie przyznaje się do tego. „Czy chodzi o Chloe?”, spytała dzisiaj w szpitalu Blair. Oczywiście, że w pewnym sensie chodziło o nią; Chloe, idealną córeczkę idealnej matki. Wyznaczały standardy, których nikt inny nie mógł spełnić.

– Wydaje mi się, że powinniśmy wspomnieć o tym pracownikom socjalnym – ciągnie Jacob. – I każdemu, kto będzie pytał. Że ostatnio miał w szkole problemy z kontaktami w grupie, a jego najlepsza przyjaciółka dała mu do zrozumienia, że byłoby najlepiej, gdyby się zabił. Powiedziała to przy wszystkich.

Whitney gwałtownie wciąga nosem powietrze. „Gdyby się zabił”. Dlaczego mówi to głośno? Myśli o tym, co Xavier napisał na ścianie sypialni. NIE CHCĘ JUŻ BYĆ TWOIM SYNEM. O tym, co mu powiedziała. Czym mu groziła.

– Jacob, byłeś na górze, w jego pokoju? Po tym, co się stało?

– Nie mogę tam wejść.

Patrzy, jak drugi raz napełnia szklankę wodą, na cieniutką jak nitka stróżkę, która ledwie cieknie z kranu, jak gdyby musieli teraz uważać na każdy ruch. Na wszystko, co powiedzą.

– Dlaczego mnie nie zapytałeś, Jacob?

– O co?

– DLACZEGO NIE ZAPYTAŁEŚ, CO SIĘ WTEDY STAŁO, DO KURWY NĘDZY?! – Jej szklanka spada na podłogę i powstaje między nimi kałuża. Whitney podnosi się z miejsca, wykrzywia twarz i zaczyna płakać. – Nie pytałeś, bo nie masz pewności, że nie miałam z tym nic wspólnego. Że nie mogłabym go skrzywdzić, chociaż bardzo chciałbyś w to wierzyć. Strasznie się boisz prawdy, zawsze się bałeś. No więc co nam

zostaje? Dziwny wypadek w środku nocy, w który nikt inny nie uwierzy? Samobójstwo z winy dziewczynki w jego wieku, której matka jest pieprzoną męczennicą? Inne kobiety za mało mnie lubią, Jacob, nie uważają, żeby warto było mnie bronić. Za dużo myślę o sobie. Za rzadko się angażuję. Doprowadziłam do tego, że usłyszały, jak na niego krzyczę! – Wstrzymuje oddech i znowu zalewa ją fala wstydu z powodu tamtego wrześnieowego popołudnia. Wyciera nos wierzchem dłoni. – Nie jestem taka jak one. Nie rozumiesz tego?

Jacob trzyma dłonie na biodrach. Nie odrywa wzroku od wody, która ścieka coraz bliżej jego stóp.

– Przyglądałeś mi się dzisiaj w szpitalu? Sprawdzalesz mnie?

Ściąga brwi. Kręci głową.

– O czym ty mówisz?

Patrzą sobie w oczy. Prowokują się nawzajem. Ile każde z nich jest gotowe znieść?

Jacob pierwszy odwraca wzrok.

Whitney wie, że na tym rozmowa się skończy, ponieważ druga możliwość, prawda o tym, co zrobiła i co on o niej myśli, jest dla nich obojga zbyt bolesna.

– Przygotuję ci kąpiel – mówi Jacob.

Czeka, aż wejdzie na górę, po czym kładzie się na najniższym stopniu.

Może ich zabrać z tego domu, z tej ulicy, z tego miasta i zacząć wszystko od początku. Wycofa się na jakiś czas z firmy, weźmie urlop. Znajdzie sposób, by dojść do ładu z własnym sumieniem po tym, co zrobiła wszystkim. I ocalić to, czego o mały włos nie zniszczyła.

Ale Jacob ma rację. Potrzebny jest jakiś plan. Bo jeżeli Xavier się obudzi, może sobie przypomnieć, co się stało w nocy ze środy na czwartek. A ona nie może ich stracić. Nie może dopuścić do eksplozji tego życia.

Szlocha, zasłaniając twarz. Nie powinna zostawiać Xaviera w szpitalu. Powinna się opierać i trwać przy nim. A jeśli właśnie w tym momencie wyczuł, że jej nie ma? Jeśli w końcu otworzy oczy i przekona się, że jest sam? Musi tam być, żeby ją zobaczyć. Wyobraża sobie krąg otaczających go obcych twarzy i jego, jak małymi dłońmi wyciąga sobie cewnik z penisa, zrywa taśmę ze skóry i wyszarpuje wenflon z ręki. Pielęgniarki biegną, żeby go powstrzymać. Tę scenę podsuwa jej instynkt, w głowie jej huczy od zamieszania w szpitalnej sali.

Słyszy, jak Jacob na górze zakręca wodę. Wyciera nos rękawem. Szybko weźmie kąpiel i się przebierze. A potem wróci do Xaviera. Czuje w gardle lekkie łaskotanie zapowiadające mdłości, które biorą się znikąd, i myśli o pustym żołądku, myśli, jak nędznie chciała się czuć, siedząc przy jego łóżku. Ale znowu pojawia się fala mdłości, tym razem silniejsza.

Już wie, co jej to przypomina – ciążę. Wsuwa kciuk pod ubranie, by dotknąć lewego sutka, tuż przy łomoczącym sercu, i dopiero teraz wyczuwa charakterystyczną wrażliwość. Przestała zwracać uwagę na czas, więc nie ma sensu liczyć tygodni, miesięcy, które upłynęły od ostatniego krwawienia. Myśli o tym, ile razy pozwalała tamtym kończyć w sobie. Już wie. I ta świadomość wprawia ją w osłupienie.

Usiłując pojąć, do czego dopuściła, dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że wibruje telefon Jacoba leżący na blacie. Brzęczenie ustaje. Szpital, to mógł być szpital. Mówili, że zadzwonią, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Zaraz potem dzwoni w kuchni telefon bezprzewodowy którego dźwięk ją zaskakuje i w pierwszym momencie nie umie go zidentyfikować. Pod ten numer nikt nie dzwoni. Rusza w stronę aparatu na miękkich nogach, ale zdąża odebrać.

Dzwoni doktor Menlo.

Słyszy Jacoba zbiegającego po schodach. Odwraca się do niego tyłem, szybko przemierza kuchnię i kieruje się do ogrodu, mocno ściskając słuchawkę, żeby nie mógł jej przejąć, żeby pierwsza usłyszała wiadomość.

– Umarł? Nie mógł umrzeć, nie może mnie zostawić! Niech pani mówi!

Jacob prosi ją, żeby się uspokoiła. Ucisza ją. Próbuje wyrwać jej z dłoni telefon, ale odpycha go z całej siły i przyciska do ucha słuchawkę.

Pada na trawę.

Xavier się obudził. Płacze i woła matkę.

ŚRODA, NOC UPADKU

Z rozmachem stawia kawę na jego szafce nocnej i nieruchomym wzrokiem patrzy na ścianę. Z korytarza wpada dość światła, by odczytać napis.

NIE CHCĘ JUŻ BYĆ TWOIM SYNEM

Słowa chwytają ją za gardło. Oczy za szybko wzbierają łzami, by mogła to wszystko przełknąć. Czuje na sobie wzrok Xaviera, czuje jego strach. Czeka, aż matka wybuchnie. Oboje czekają.

Ale złość nie porywa jej jak zwykle. Ogarnia ją słabość. I poczucie pustki.

Przez dziesięć lat wyczerpał ją swoimi potrzebami i pragnieniami. Teraz rozumie to, co ona rozumiała zawsze, i napisał na ścianie: zawsze będzie jej dla niego za mało.

– Podaj mi swój portfel – poleca mu.

Nie rusza się. Whitney jednym szarpnięciem otwiera górną szufladę, gdzie jej syn trzyma mały płócienny portfel z drobnymi zebranymi z urodzin i pozostawionymi przez wróżkę zębuszkę. Znajduje go pod skarpetkami i rzuca mu na łóżko.

– Zapłacisz za odmalowanie tej ściany.

Xavier powoli odsuwa pościel i siada w łóżku. Wyjmuje banknoty i monety, Whitney wyciąga rękę. Ale on patrzy jej w oczy, szuka ognia. Czeka, aż zapałka podpali lont. Rzuca jej pieniądze pod nogi. Kładzie się z powrotem.

– Nie chcesz być moim synem? – Milknie. Upewnia się, czy jest na to gotowa. – W takim razie odchodzę od ciebie. I nigdy nie wrócę. Nie masz już matki.

Wstrzymuje oddech, słysząc własne słowa, które dzwonią jej w uszach. Nie spodziewała się, że broda tak mu zadrży. Odwraca się twarzą do okna. Whitney zgarnia z podłogi pieniądze i wychodzi z pokoju.

Serce tłucze jej się w piersi. Opiera się o zamknięte drzwi. Odchodzi. Odchodzi. Po raz pierwszy wypowiedziała coś takiego. Przyznała, że istnieje taka możliwość. Że ma wybór.

Whitney już jednak wie, że jedyna różnica między nią a matką, która naprawdę odchodzi, jeśli w ogóle można mówić o różnicach, polega na tym, że odejście nie przynosi żadnej ulgi. Dopóki jej syn jest na świecie i żyje bez niej. Nigdy nie przestanie ciążyć jej na sumieniu, będzie przenikał do jej snów, stanie się niewyczerpanym źródłem wstydu. Dlatego nauczyła się, jak być nieobecna, kiedy jest obok. Potrafi patrzeć przez dzieci, jakby były przezroczyste, widzieć ich poruszające się usta i kiwać głową, być myślami tam albo gdzie indziej. Jest złudzeniem. Ale nigdy nie odeszła.

Powinna mu chyba powiedzieć, że nie mówi serio, powinna tam wrócić i go uspokoić, zanim zaśnie. Ciągłe sprawia mu zawód i ma już tego dość. Najokrutniejsze w macierzyństwie jest to, że to ona go tak ukształtowała, w każdym najbardziej irytującym szczególe. Ona jest powodem jego wszystkich niepokojów, przez nią jest samotny, nawet gdy matka jest w pobliżu. Przyciska dłonie do policzków. Nie chce płakać.

Nagle coś z głuchym łoskotem uderza o drzwi, a potem z trzaskiem ląduje na deskach podłogi. W nozdrza uderza ją zapach kawy i czuje, że ma mokre pięty. I błyskawicznie znowu atakuje ją gniew.

Półtorej godziny później budzi się z wydrukiem prezentacji na piersi – nie zamierzała zasypiać. Ma dziwne wrażenie, że zebrała się w niej energia elektryczna, jak gdyby sen ją naładował. O czym myślała podczas tej króciutkiej drzemki? Ma w głowie strzępy obrazów, którym nie umie przypisać miejsca ani czasu, jak ciągnie go za włosy i wlecze przez trawę. On wrzeszczy, błaga ją, by przestała, ale ona w oszołomieniu i podnieceniu, którego puls ma wyraźnie seksualne zabarwienie (czyżby przez sen zaczęła się dotykać? To się wydawało aż tak realne?), nie może go puścić.

Przeciera dłonią oczy, chcąc to odpędzić. Kłótnię z Xavierem. Ten straszny sen. Spogląda na godzinę na ekranie telefonu. Za piętnaście jedenasta.

Jacob wciąż nie odezwał się z Londynu. Przeczytał jej sześć wiadomości. Jego milczenie ją niepokoi.

Powinna to odwołać. Na wszelki wypadek, żeby nie kusić losu. Jeszcze mogła.

Ale idzie pod prysznic.

Potem wkłada granatowy jedwabny szlafroczek sięgający nad kolana. Nasłuchuje pod drzwiami dzieci, by się upewnić, że zasnęły.

Nalewa sobie niecałe pół kieliszka wina.

W ogrodzie wciąż jest wilgotno i nieprzyjemnie, więc kładzie suche poduszki na meblach na tarasie. Przegląda w telefonie najważniejsze wiadomości, a gdy chce skosztować pierwszego łyku wina, czuje na ramionach dotyk dłoni.

Jego oddech oblewa jej szyję. Dłoń sięga niżej, do jej piersi, i kciukiem trąca sutek jak strunę gitary. Lubi, kiedy nie ma ochoty wcześniej z nią rozmawiać, gdy przychodzi chętny i gotowy. Ona odchyła głowę na oparcie i nie chce przerywać, ale muszą iść do szopy. Tam zawsze to robią: Whitney pochyla się i opiera łokcie o stalową półkę, z której wcześniej zdejmuje plastikowe wiaderka i miniaturowe wywrotki. Chodźmy w nasze miejsce, mówi do niego cicho, ale on przytrzymuje ją i mówi, że dzisiaj woli ją pieprzyć na dworze. Na drogim fotelu ogrodowym z szerokimi oparciami z wikliny.

– Ktoś nas może tu zobaczyć – szepcze do niego. Gdy wypowiada te słowa, robi się jeszcze bardziej mokra i czuje jego palec wślizgujący się do środka.

Wygina się w łuk, chce go poczuć głębiej. Zsuwa z ramion szlafrok. Teraz chce się znaleźć na nim. Zdejmuje mu bluzę przez głowę, zsuwa z nóg spodnie. Siada na jego kutasie odwrócona do niego plecami, a on sięga z tyłu do wszystkich miejsc, których chce dotykać. Chmury suną szybko po niebie i znowu odsłaniają księżyc. Chce, żeby ją zobaczył, więc każe mu uklęknąć przed sobą. Lubi się obnażać, pokazywać mu, że jest gotowa. Zatraca się w tym, co się potem dzieje, zatapia się w sobie.

Nie zdaje sobie sprawy z wydawanych przez siebie dźwięków, dopóki jego dłoń nie zasłania jej ust i nie ucina pogłosu jej rozkoszy. Na szorstkiej skórze czuje swój smak. Kiedy odchyła jej głowę do tyłu, jej zamknięte powieki rozjaśnia blask księżyca.

– Mamo, przestań!

Otwiera oczy.

Widzi Xaviera w oknie swojej sypialni. Obserwuje ich.

Ben odpycha ją od siebie i odwraca się tyłem w stronę domu. Whitney na czworakach pełźnie po szlafrok. Wino się rozlewa, kieliszek przewraca się na beton.

– Kurwa, co robimy? – Ben szamocze się z paskiem spodni.

– Zamknij się – syczy Whitney. Zawiązuje szlafrok. Nie może spojrzeć w górę. Czuje, że Xavier tam jest, nie odszedł od otwartego okna. – Musisz w tej chwili wyjść.

Oddała się z pola widzenia Xaviera, staje przy przeszklonych drzwiach do kuchni i próbuje nabrać więcej powietrza do płuc. Przecież on powie Jacobowi, powie wszystkim. Ich życie rozpadnie się na kawałki. Do cholery, dlaczego Xavier nie spał?

– Mamo!

Ma ochotę krzyknąć, żeby się zamknął.

– BEN?! – woła. Szuka ich. Jego cień się wydłuża, wychyla się przez okno.

Z całej siły zaciska powieki. Myśli o tym, jak rozsunęła uda, by Ben mógł ją oglądać przy blasku księżyca. Jak zapamiętała go lizała, a on rozsmarował na niej spernę jak farbę do malowania palcami, jakie wulgarne rzeczy jej mówił. I jak długo Xavier mógł im się przyglądać.

– MAMO!

W jego głosie słyhać teraz ton złości albo paniki, nie jest pewna. Powinna pobiec na górę, aby go uspokoić, przytulić i powiedzieć mu, jak bardzo jej przykro. Przekonać go, że to, co widział, to wcale nie to, o czym myśli. Ale on będzie wiedział. To będzie się między nimi tliło przez resztę życia. Od dnia narodzin Xaviera walczyła z wizerunkiem matki, jaką miała być, a teraz widzi, że nigdy nie wygra.

– MAMO! BEN!

Wślizguje się ukradkiem do środka tylnym wejściem, żeby się przed nim ukryć, opiera się o marmurowy blat wyspy i stara się ochłonać z paniki, ale nie potrafi. Usta wypełniają się śliną, boi się, że zwymiotuje. Musi się zastanowić, co teraz robi. Co powinna powiedzieć.

– MAMO, jesteś jeszcze? Czy już odeszłaś?

Myśli, że go zostawi, tak jak zapowiedziała. Uwierzył jej. Dlaczego to powiedziała?

Odwraca się do swojego odbicia w szklanych drzwiach.

I wtedy słyszy ten dźwięk.

Stłumione pacnięcie ciała o ziemię.

Wolno podchodzi do szklanych drzwi i odsuwa je trzęsącą się ręką.

Wygląda na martwego.

Nie ma w sobie miejsca na panikę, strach ani żadne inne uczucie. Klęka obok jego głowy w wilgotnej trawie i maca pod spodem, szukając krwi we włosach. Ale nic nie ma. Ujmuje w dłoń jego twarz i drżącymi kciukami unosi mu powieki. Zobacz, jestem tu, błaga go w duchu, wyciągnij do mnie rękę! Ale on się nie rusza. Przyciąga go do siebie. Chce go znowu mieć w środku, w jedynym miejscu, gdzie był przed nią chroniony.

Zapach spermy na jej rękach. Nabrzmiały srom.

Dyspozytorka udziela jej instrukcji, więc przełącza telefon na głośnik i wykonuje to, co trzeba. Udaje się jej napełnić płuca, po czym wdmuchuje powietrze do jego płuc. Adrenalina pomaga jej się skupić, robić dokładnie to, co musi, ale wie, że ta chwila mechanicznego działania nie będzie trwała długo. To wyścig, który się skończy. Słucha w skupieniu kobiety w telefonie, chce zrobić wszystko dokładnie tak, jak jej mówi. Dyspozytorka chwali ją, że świetnie sobie poradziła i teraz pozostaje jej tylko czekanie, mówi, że ratownicy pojawią się za parę minut i od razu wejdą do ogrodu.

Wtedy dostrzega obok Xaviera papierowy samolot, który musiał mieć w ręce w momencie upadku. Przypomina sobie, że widziała go wcześniej. W jego pokoju.

Jego pokoju.

Pędzi na górę, przeskakując po dwa stopnie, w szalonym biegu zahacza o ściany. Wchodzi w plamę kawy w jego sypialni i sięga po leżący na podłodze czarny marker. Naciskając go z całej siły, pokrywa gryzmołami każde słowo, które napisał. To było szczere wyznanie. Pracuje gorączkowo, łka, pieką ją palce i chce już wracać, żeby przytulić go na tej trawie. Darowany jej limit czasu, w którym miała być zwinna i nieustraszona, właśnie mija. Już prawie skończyła. Będzie odpowiadała na pytania dyspozytorki, będzie powtarzała Xavierowi, że go kocha i że nigdy więcej go nie zostawi, ale najpierw musi zamazać te słowa.

Jazgoczą syreny. Upuszcza marker na podłogę. I biegnie do niego do ogrodu.

EPILOG

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Dlaczego przyszłaś?

Pytanie zatrzymuje ją w progu szpitalnej sali Xaviera. W głosie Jacoba brzmi oskarżycielski ton, ale uspokaja się w duchu, że to tylko jej paranoja. Przypadłość spowodowana kłamstwem.

– Obudziłam się wcześniej, więc pomyślałam, że cię zmienię. Możesz pojechać do domu i spędzić trochę czasu z bliźniakami. – Patrzy na Xaviera, który póleży z uniesionym tułowiem i gra w jakąś grę na iPadzie. Jeszcze się nie odezwał. To się zdarza, pocieszają Whitney i Jacoba, powrót do stanu wyjściowego może potrwać, nawet w najlepszym z możliwych scenariuszy, jak w jego przypadku, gdy wszystkie badania przebiegają pomyślnie. Wszyscy udają, że ten nowy normalny stan jest całkiem znośny, jednym okiem oglądają filmy w zamontowanym na wysięgniku telewizorze z pudłem z tyłu, rozmawiają przy nim o nim, o wszystkim, co będą robić całą rodziną, gdy niedługo zostanie wypisany. Oczywiście wszystko to z myślą o poprawieniu nastroju Xaviera, ale Whitney też tego potrzebuje – tego spokoju. Gwarancji.

Jacob wrzuca parę swoich rzeczy do torby, składa prześcieradło, a potem przez telefon w sali zamawia dla Xaviera śniadanie w szpitalnej kuchni. Zarzuca torbę na ramię.

– Na pewno? – pyta jeszcze.

Odkąd Xavier odzyskał przytomność, Whitney unika przebywania z nim sam na sam. Każdą noc spędza z nim Jacob, który śpi na leżance w jego pokoju, podczas gdy ona czuwa w ich łóżku w domu, mając przy sobie Theę i Sebastiana. Jacob robi sobie przerwę dopiero wtedy, gdy zjawia się Louisa z bliźniakami.

Nikt już nie mówi o tym, co się zdarzyło tamtej nocy – wszyscy dali temu spokój. Skończyły się wielokrotnie powtarzane pytania, ciche rozmowy,

które słyszała tuż za drzwiami.

I ona też powinna dać spokój.

Ale nie może dłużej żyć tak jak teraz, sparaliżowana strachem przed tym, co może wyjść na jaw, gdy Xavier zacznie mówić.

Musi z nim zostać sam na sam.

Jacob wyraźnie ociąga się z wyjściem. Whitney stoi z rękami na biodrach i patrzy na niego, podczas gdy on patrzy na ich syna. Znowu odzywa się paranoja.

– Coś się stało? – Z trudem przełyka ślinę.

Jacob dotyka stopy Xaviera pod kocem. A potem podchodzi do niej powoli, delikatnie kładzie dłoń między jej łopatkami i muska wargami jej policzek.

– Zupełnie nic – odpowiada. Whitney ma nadzieję, że nie czuje szalonego bicia jej serca. – Gdybyś mnie potrzebowała, zadzwoń. Kocham cię.

Wychodzi na korytarz i patrzy, jak Jacob wsiada do windy. Potem wraca do sali Xaviera, obraca tabliczkę na drzwiach, odkrywając napis NIE PRZESZKADZAĆ.

Odłożył iPada i spogląda przed siebie na białą tablicę na ścianie, gdzie mają być zapisywane wyniki obserwacji, odnotowywane zmiany poznawcze, które pielęgniarka będzie nanosiła na jego kartę. Drzenie. Zacinanie się. Dezorientacja.

Siada na skraju jego łóżka i bierze go za rękę. Lekko nią potrząsa, figlarnie, próbując go skłonić do uśmiechu. Powtarza to i dotyka czołem jego czoła. Jestem już inna, chce mu powiedzieć, naprawdę tu jestem. Naprawdę cię słucham. I widzę.

– Możesz mi powiedzieć wszystko, co zechcesz.

Zastanawia się, czy to ma być uczucie, które od początku było jej obce. To jest tęsknota, jakiej nigdy nie poznała, rozpaczliwe pragnienie miłości, jaką może ją obdarzyć tylko syn? Chęć, by wchłonąć go całą duszą, istnieć tylko i wyłącznie jako istota, której on potrzebuje? Jestem twoja, chce mu powiedzieć. Potrafię zapomnieć, kim byłam wcześniej, ty też to potrafisz?

Odsuwa się i głaszcze go po policzkach, które tak nabrzmiały od sterydów, że ktoś inny mógłby go nie rozpoznać. Nazywają to twarzą księżycową. Księżyc, księżycowy blask. Jej rozświetlona nagość.

– Wszystko – powtarza cicho. – To zostanie między nami. Nawet o tamtej nocy. O tym, co się wtedy stało. – Ma nadzieję, że Xavier nie słyszy drżenia

jej głosu. Ma nadzieję, że tym razem czuje się przy niej bezpiecznie. Czy kiedykolwiek jeszcze będzie się czuł przy niej bezpiecznie? Nie chce za mocno go naciskać. Cicho jednak ciągnie: – Nawet jeżeli to będzie coś, czego nie jesteś pewien, co niekoniecznie jest prawdą... co twój mózg mógł z czymś pomylić. To może być nasza tajemnica. Rozumiesz? Nie muszę nawet mówić innym, że się odezwałeś. Dopóki sam nie będziesz gotowy.

Znowu go głaszczesz. Xavier nie odrywa wzroku od tablicy na ścianie.

A potem kiwa głową.

– Możesz mi powiedzieć? – Zerka na zamknięte drzwi, a potem na jego dłoń, którą ściska w swojej ręce. Czuje, jak teraz wodzi oczami po jej twarzy. Ma jej coś do powiedzenia. Czekał z tym, aż zostaną sami. Czuje to. – Mów. – Chce sięgnąć do środka i wyciągnąć z niego te słowa, żeby wreszcie mieć je w rękach. I ulepić z nich to, co będzie jej potrzebne. – Proszę.

Gładzi kciukiem jej palce. To delikatny gest, odwzajemnienie czułości. Przynosi jej to taką ulgę, że łyzy stają jej w oczach.

– Dobrze – mówi Xavier.

Na dźwięk jego głosu tłumi cichy okrzyk zdumienia. Miała rację, chciał z nią zostać sam na sam, tylko z nią. Patrzą na siebie, po czym on nabiera powietrza i zerka na ich ręce. Ona wstrzymuje oddech. On przygryza suche wargi. Po wypukłości jego spuchniętych policzków cieką łyzy. Ociera nos wierzchem drugiej dłoni.

– Co się stanie? – pyta Xavier i jeszcze raz przesuwając kciukiem po jej palcach. Tylko raz.

Ujmuje w dłonie jego powiększoną twarz, uświadamiając sobie, że kocha go do bólu. I równie mocno chce wszystko zmienić na lepsze. Kręci głową, nie wie, o co mu chodzi.

– Co się stanie z tobą – mówi. – Kiedy im wszystko powiem.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję fantastycznej Madeleine Milburn i zespołowi jej agencji, są niezrównani. Cieszę się, że mogłam korzystać ze wsparcia Esmé Carter, Hannah Ladds, Liv Maidment, Gilesa Milburna, Valentyny Paulmichl, Georginy Simmonds, Liane-Louise Smith i Rachel Yeoh.

Dziękuję Pamelii Dorman, Maxine Hitchcock i Nicole Winstanley, które okazały mi niezwykłą cierpliwość i troskę, nie szczędząc słów zachęty, gdy pisałam tę powieść. To dla mnie radość i zaszczyt pracować z wami. Jestem szalenie wdzięczna za wasze zaangażowanie w moje pisarstwo.

Odruch i *Szepty* wydały na świat wyjątkowe osoby, którym serdecznie dziękuję za entuzjizm i wielką dbałość widoczną we wszystkim, co robicie. Ciepłe myśli kieruję w szczególności do Briana Tarta oraz zespołu Pamela Dorman Books i Viking, w którego skład wchodzi: Marie Michels, Jeramie Orton, Lindsay Prevette i Rebecca Marsh. Dziękuję Louise Moore i zespołowi Michaela Josepha: Clare Bowen, Jen Breslin, Rianie Dixon, Helen Ece, Christinie Ellicott, Laurze Garrod, Sophie Marston, Kelly Mason, Sriyi Varadharajan, Lauren Wakefield i Madeleine Woodfield. A także Kristin Cochrane i zespołowi Penguin Canada: Beth Cockeram, Danowi Frenchowi, Charidy Johnston, Beth Lockley, Bonnie Maitland, Alannie McMullen i Meredith Pal.

Dziękuję doktorowi Lennoxowi Huangowi ze szpitala SickKids, doktor Kim Aikins ze szpitala dziecięcego Starship oraz doktor Sony Sierze z kliniki płodności TRIO Fertility, którzy chętnie poświęcili mi czas i podzielili się fachową wiedzą, aby wspomóc mnie merytorycznie podczas pracy nad fragmentami książki dotyczącymi opieki medycznej i kwestii płodności. Muszę tu zaznaczyć, że dla dobra fabuły i konstrukcji postaci pozwoliłam sobie na pewną swobodę, więc nie wszystko jest odzwierciedleniem ich wiedzy – wybaczcie!

Moim pierwszym czytelnikom – Beth Locley, Ashley Thomson, Robin Kotisie, Karmie Brown i doktor Kristine Laderoute za jej psychologiczne

oko – serdecznie dziękuję. Jestem również wdzięczna Carley Fortune, Nicie Pronovost i Harriet Alidzie Lye za to, że są taką cudowną gromadką przyjaznych mi pisarek.

Nikt nie czytał tyłu beznadziejnych wersji moich tekstów, ile moja partnerka w naszym pisarskim duecie, Ashley Bennion Tait. Jej talent, ale także przyjaźń są dla mnie ogromnym dobrodziejstwem. W styczniu 2023 roku pod nazwiskiem Ashley Tate wydała swoją debiutancką powieść *Twenty-Seven Minutes* i mam nadzieję, że ją kupicie – jest równie błyskotliwa jak jej autorka.

W pracy niezwykle troskliwie wspierają mnie moje drogie przyjaciółki – musicie wiedzieć, że wszystkie was uwielbiam. Szczególnie gorąco dziękuję najukochańszej Jenny Leroux, z mnóstwa powodów.

Dziękuję wam, moi czytelnicy, księgarze, bibliotekarze i autorzy, którzy w ciągu kilku ostatnich lat promowali *Odruch*, a także tym z was, którzy wysłali do mnie wiadomość, napisali recenzję lub zamieścili post w mediach społecznościowych. To dla mnie wiele znaczy.

Największym przywilejem w moim życiu jest rodzina. Dziękuję moim kochającym i wyjątkowym rodzicom, Markowi i Cathy Audrain, moim siostrze Sarze i Samancie, a także Alexowi, Brendanowi i Braydenowi. Dziękuję Fizzellom i Aikinsom za miłość i wsparcie. Dziękuję również naszej oddanej niani, Jackelyne Napilan.

Na koniec dzięki MJF, za wszystko. Oscarowi i Waverly za cierpliwe znoszenie mojego pisarskiego życia i za to, że są dla mnie wspaniałym, niewyczerpanym źródłem inspiracji. Kocham was.